

Beata Majewska



BILET DO



SZCZĘŚCIA



Rozdział 1

Gdyby ktoś w pierwszy sobotni poranek lipca spytał Hajdukiewicza, jaki przedślubny prezent chciałby otrzymać, odparłby bez wahania, że bilet na podróż w czasie. Wsiadłby wówczas do wehikułu czasu Herberta Wellsa, na cyferblacie nastawił datę trzydziesty pierwszy maja tegoż roku, godzinę plus minus siedemnastą i przeniósł się z powrotem na słoneczną polanę w wiosce Podole.

I gdyby już na niej się znalazł, usiadłby na kocu blisko swojej narzeczonej, chwycił jej małą, szczupłą dłoń i pocałował. Wtedy Łucja przechyliłaby zabawnie głowę, jak często robiła, kiedy z nią rozmawiał, i co zawsze bardzo mu się podobało.

– Muszę ci coś wyznać – powiedziałaby, modląc się w duchu, żeby go zrozumiała i nie odtrąciła. – Droga Łucjo, bardzo cię kocham, ciebie i naszą córeczkę, którą nosisz pod sercem. – Tak brzmiałyby pierwsze jego słowa.

Ktoś może uznałby je za banalne i nieco wyświechtane, zwłaszcza zwrot o „noszeniu dziecka pod sercem”, ale nie ich adresatka. Łucji by się podobały, tym bardziej że Hugo tylko raz powiedział, że ją kocha. Było to w dniu ich oficjalnych zaręczyn, ale nie miało nic wspólnego z prawdą, bo Hugo jeszcze nie darzył jej tym uczuciem.

Później snułby opowieść o tym, jak wymyślił razem z Adamem Solińskim, swoim ówczesnym przyjacielem, a teraz najgorszym wrogiem, plan mający na celu znalezienie odpowiedniej kandydatki na żonę. Jak kierując się zimną kalkulacją, uwiódł Łucję, jak wykorzystał jej naiwność i wiarę w to, że jego zamiary są uczciwe, a postęпки prawdziwe i szczerze. Zdradziłby motywy, czyli powody, dla których tak szybko wszystko się potoczyło. Omówiłby treść testamentu wuja Henryka, warunki zawarte w tym dokumencie i wytłumaczył, że Łucja i córka były mu potrzebne, żeby je wypełnić.

I gdyby już to wszystko szczerze wyznał narzeczonej, na koniec dodałby, że tak naprawdę jedyną osobą, którą oszukał, był on sam. Hugo Hajdukiewicz.

Co sprawiło, że dał się porwać miłości? Przecież tak się pilnował. Od lat nawigował przez życie, unikając okazji do jej spotkania, a tu takie fiasko? Jak to możliwe, że się zakochał? Nieopatrzenie. Bezmyślnie. I mocno, jak nigdy wcześniej. To trudne do wyobrażenia, ale tak właśnie się stało. Wystarczyły krótkie momenty, jak kadry z filmu albo obrazy uchwycone na fotografiach. Nagle do niego dotarło, że to, co przeżywał, było tak bardzo potężne, że aż budziło jego zdziwienie: „Czyżbym tylko ja to czuł? Czy naprawdę nikt poza mną nie widzi, że ona jest najcudowniejszym stworzeniem pod słońcem? Czemu nie kocha jej cały świat?”. Miał ochotę krzyknąć, żeby wszyscy ją kochali. Musiał to przyznać: zwariował. Kompletnie. Odczuwał miłość wszędzie, w każdej kostce i w każdym włosku. Ale

tak miało być.

Dała mu całą siebie: swoją miłość, przyjaźń, radość, ufność i wiarę w ludzi, a zwłaszcza w niego. W efekcie on też dał jej z siebie znacznie więcej, niż sądził, że potrafi. Zakochał się w niej. I dopiero gdy go odrzuciła, zrozumiał, że to wszystko, czym wypełniła jego serce przez tych kilka miesięcy bycia razem, nagle gdzieś zniknęło, a on poczuł się przerażająco pusty.

Niestety, nikt się nie zgłosił z biletem na podróż w czasie, i jedyne, z czym Hugo teraz został, to gorycz i żal, że nie odważył się we właściwym momencie wyznać prawdy o własnych uczuciach samemu sobie i swojej narzeczonej.

Odsunął mankiet wizytowej koszuli i zerknął na zegarek. Tylko godzina dzieliła go od zmiany stanu cywilnego.

Skromną uroczystość zaplanowała w każdym detalu matka pana młodego, pani Hanna. Hajdukiewiczowa uwielbiała swoją przyszłą synową i włożyła wiele serca w przygotowania, od sukienki począwszy, na wyborze menu restauracyjnego obiadu skończywszy. Jakież było jej rozczarowanie, gdy syn oznajmił, że w urzędzie oprócz narzeczonych pojawią się tylko świadkowie, panie Jadwiga Balcerzyk oraz Marta Zagórska, i ona sama.

Babcia Łucji trafiła do szpitala, a jej wychowankę tak bardzo przygnębiła wiadomość o chorobie ukochanej opiekunki, że poprosiła narzeczonego, aby uprzedził matkę, iż nikogo z jej rodziny na ślubie nie będzie, a świadkiem, zamiast kuzynki Moniki, zostanie koleżanka ze studiów. W związku z rodzinną sytuacją uroczystego obiadu Łucja nie przewiduje, a po ceremonii zamierza jak najszybciej wrócić do apartamentu.

I tego już pani Hanna nie zdzierżyła. Postanowiła z nią poważnie porozmawiać.



– Jestem najsmutniejszą panną młodą *ever*, tak właśnie się czuję, a może wcale się nie czuję? – westchnęła cichutko Łucja do odbicia w łazienkowym lustrze. Po kilku sekundach machnęła ręką i przysiadła na brzegu wanny.

Miała na sobie uszytą na miarę śliczną sukienkę z kremowego szantungu, ozdobioną lekką warstwą cienkiej jak mgiełka organzy. Do tego płaskie baleriny, prawie niewidoczne cieliste rajstopy i kilka kwiatuszków wpiętych do wysokiego koka.

Rano do apartamentu przyjechała fryzjerka. Przez godzinę tańczyła wokół pana młodego, ostrzygła go i ułożyła włosy. Później przyszła kolej na Łucję. Uczesała ją i zrobiła delikatny makijaż, żeby zamaskować ślady łez po ostatnich wydarzeniach w życiu panny Maśnik.

Minął tydzień od dnia, w którym zawalił się jej świat. Hugo, najukochańszy i jedyny mężczyzna w życiu Łucji, okazał się oszustem. Posłużył się nią jak przedmiotem, kimś wynajętym do odegrania roli żony i urodzenia dziecka. Jego przeprosiny i zapewnienia o miłości po tym, jak wszystko wyszło na jaw, zupełnie jej nie przekonały. Z bólem zamknęła swoje potrzaskane serce i postanowiła, że tych kilka ocalałych kawałków zostawi wyłącznie dla nienarodzonej córeczki oraz ukochanej babci, która, jakby tragedii było mało, trafiła do szpitala. Na szczęście Hugo stanął na wysokości zadania, zaproponował pomoc, otoczył opieką i sprawił, że na króciutką chwilę znów poczuła się „zaopiekowana”. Ale przecież nie mogła sobie na to pozwolić. Babcia nie powinna się dowiedzieć o ich rozstaniu, bo to na pewno bardzo by ją zmartwiło, więc zawarli pewien układ. Hugo zgodził się, żeby Łucja tu mieszkała, a ona w zamian przystała na zawarcie kontraktu cywilnego. Chociaż warunki umowy były jasne, bała się, że znów popłynie na fali emocji, że uwierzy w zapewnienia narzeczonego i ponownie zostanie oszukana, dlatego co chwila powtarzała uparcie w myślach: „To tylko umowa, staraj się nie wypaść z roli...”.

Zdała sobie sprawę, jakie to będzie trudne, gdy w czwartkowe popołudnie odwiedziła ich niespodziewanie pani Hanna.

– Jak się czujesz, kochanie? – Przysiadła do Łucji i mocno ją objęła.

– Dobrze, dziękuję. – Dziewczyna ze wszystkich sił zacisnęła wargi, aż pobielaly. Już szósty dzień prawie nie opuszczała dziecięcego pokoiku, gdzie się przeniosła jeszcze w zeszłą sobotę. Spała na małej rozkładanej sofie, korzystała ze swojej łazienki, szykowała posiłki, gdy zostawała sama w domu, a robienie zakupów tymczasowo scedowała na narzeczonego.

– Posłuchajcie, dzieci, tak nie można. – Hajdukiewiczowa rozejrzała się bezradnie. Nie podobało się jej to, co zastała. Spoglądała to na zasepionego syna opartego o futrynę drzwi, to na jego zapłakaną narzeczoną, którą zastała w rozbebeszonej pościeli. Kiedy dowiedziała się o chorobie babki Łucji, natychmiast uruchomiła swoje znajomości i w ciągu dwóch dni Zofia Maśnik trafiła na oddział neurologiczny, którego ordynatorem był profesor Kuźniecki. Nie potwierdził diagnozy tarnowskich lekarzy, ale też nie wykluczył stwardnienia bocznego zanikowego, tego strasznego wyroku z datą śmierci odroczoną o mniej niż siedem lat.

– Łucja, przecież to nie koniec świata! Dziewczyno. – Przycisnęła ją do siebie. – Rozmawialiśmy we wtorek przez telefon. Mówiłam ci, że Zosieńka jest w całkiem niezłej kondycji, że ciągle nic nie jest przesądzone. Twoja babcia jest w najlepszych rękach, mąż Iwonki już działa. Konsultował się z Bostonem. Będzie dobrze! – Zajrzała w twarz przyszłej synowej, oczekując chociażby minimalnej poprawy nastroju.

– Mamo, bardzo dziękujemy za pomoc, ale już ci wczoraj powiedziałem.

Teraz sami sobie poradzimy – wychrypiał Hugo.

– Właśnie widzę, jak sobie radzisz. – Pani Hania pokiwała głową. – Dlaczego ona tu śpi? – spytała, jakby zapomniała, że nie jest sama z synem. – Przecież tu jest niewygodnie. – W jej głosie brzmiało oburzenie.

– Ja tak chciałam.

– Dlaczego? – Zwróciła się w stronę Łucji.

– Kiepsko sypiam przez to wszystko, co się stało, łączę w nocy i Hugo nie może spać.

– Hugo?! Czy ty ją wygoniłeś z sypialni?! Chyba upadłeś na głowę. Przecież ona jest w ciąży! Ona musi się wysypiać w wygodnym łóżku, a nie na tym czymś!

– Uderzyła dłonią w twarde materac siedziska.

– Tu mi wygodniej. Nasze łóżko jest za miękkie i coraz częściej bolał mnie kręgosłup – pospiesznie wytłumaczyła Łucja. – Dlatego się tu przeniosłam. Teraz jeśli już uda mi się zasnąć, to tylko tutaj.

– Skarżyła się ostatnio, że chrapię. – Hugo uciekł się do niewinnego kłamstwa.

Nie musieli uzgadniać z Łucją utrzymania w tajemnicy ich umowy. Oboje wiedzieli, że wyłącznie od nich zależy, czy rodzina i znajomi dowiedzą się o prawdziwej sytuacji, i oboje zamierzali zrobić wszystko, żeby zawarty pakt się nie wydał.

– Rozumiem. Pewnie kiepsko sypiasz? – Pani Hania od razu złagodziała ton i pogłaskała Łucję po plecach. – Skoro tu ci dobrze, to śpij tu. A co dzisiaj jadłaś?

– Zamówiłem obiad, coś skubnęła, choć po namowach. – Hugo ratował sytuację.

– To dobrze. Jesteś taka szczupła. Jak urodzisz, zostanie z ciebie kurczątko, powinnaś częściej jeść. – Znów kobieca dłoń przesunęła się wzdłuż lekko wystającego kręgosłupa. – Przypilnuj jej. – Hajdukiewiczowa popatrzyła na syna, który w odpowiedzi uspokajająco pokiwał głową. Odważyła się spytać o obiad po ceremonii. Łucja grzecznie, choć stanowczo, odmówiła udziału. Stwierdziła, że może kiedyś, na przykład przy okazji chrzcina, odbiją to sobie, poprosiła o zrozumienie, tłumacząc się złym samopoczuciem i jeszcze gorszym nastrojem.

Pani Hania pomyślała wtedy, że zagadnie syna o nagłą i zaskakującą zmianę jego świadka, ale po chwili zastanowienia stwierdziła, że to nie jest dobry pomysł. Hugo prawdopodobnie wyczuł, co dręczy matkę, bo nagle sam z siebie dosyć lakonicznie poinformował, że pokłócił się z Adamem i wołał go nie widzieć. Poparł Łucję i orzekł, iż robienie przyjęcia, podczas którego jedyne, co będzie czuła jego narzeczona, to smutek, że jej opiekunki nie ma przy stole, nie jest dobrym pomysłem.

Hajdukiewiczowa posiedziała może kwadrans i pojechała do siebie, z głową wypełnioną czarnymi myślami i przygnębiona prawie tak samo jak Łucja.



– Gotowa? – spytał Hugo, gdy tylko jego narzeczona wyszła z łazienki.

– Tak.

– Wszystko masz? Dowód? – Hugo zerknął na torebkę, którą Łucja właśnie przewieszała przez ramię.

– Tak. – Łucja bezwiednie zagryzła kącik ust, bo ledwie opuściła łazienkę, a zauważyła leżącą na szafce maleńką wiązaną kwiatów. Od tygodnia próbowała się zdystansować, nie myśleć o tym, co za niecałą godzinę ma się wydarzyć, ale bezskutecznie. Dobrze, że chociaż Hugo zachowywał się bez zarzutu. Parę dni wcześniej poprosiła go o rozmowę, powiedziała, że będzie wdzięczna, gdy jej ułatwi wspólne zamieszkiwanie. Ustalili prawie wszystko. Dopóki rozmowa dotyczyła tego, co dzieje się w czterech ścianach, nie było problemu. Pojawił się, gdy zeszli na temat zachowania się na zewnątrz i w obecności bliskich oraz znajomych. Tu znacznie gorzej było osiągnąć konsensus, choć Hugo wykazał pełną tolerancję i zadeklarował, że zrobi, co w jego mocy, ale też i w granicach rozsądku, żeby Łucja nie czuła się skrępowana.

„Łatwiej powiedzieć, niż zrobić” – pomyślała wtedy. Zanim „to się stało”, jak nazywała te straszne godziny spędzone na górnym tarasie, było przecież całkiem inaczej... Uwielbiała całować narzeczonego, przytulać się do niego, być blisko i trzymać go za rękę, stawać za jego plecami i przewieszać się przezeń, gdy siedział na krześle... Dziesiątki gestów świadczyły o tym, że lgnęła do swojego mężczyzny, że chciała co chwila go czuć, że pragnęła stałego kontaktu i choć Hugo rzadko pozwalał sobie wobec niej na czułości, zwłaszcza w obecności swojej matki czy jej babki, Łucji zupełnie to nie zrażało. I mimo że jej ciało wyrывało się do niego, teraz musiała się powstrzymywać. Tęskniła za dotykiem, cały czas było jej zimno, choć już od tygodnia panował skwar nie do zniesienia.

– Jedziemy – zdecydował. – Na mieście mogą być korki.

– Masz rację. – Łucja zerknęła ostatni raz do lustra, Hugo zabrał kwiaty i w milczeniu wyszli z apartamentu.

Wrócili niecałe trzy godziny później. Przez ostatnie dwa kwadransy zamienili ze sobą raptem kilka słów. On spytał żonę, czy nie jest jej zimno, bo zauważył, że ledwie odjechali kilometr od urzędu, a objęła się ramionami. Ona odparła mężowi, że jest w porządku.

„Jak dobrze, że już po” – pomyślała, wchodząc do apartamentu.

„Jak dobrze, że już mamy to za sobą” – westchnął w duchu, gdy zamykał za nią drzwi.

– Napijesz się czegoś? – Hugo zdjął elegancką czarną marynarkę i przewiesił przez oparcie krzesła.

– Chętnie. Może soku. – Łucja zrzuciła baleriny, siadła na sofie i podwinęła pod siebie nogi.

– Dałem kostkę lodu, wystarczy? – Postawił szklanekę na niskim stoliku.

– Tak. Na zewnątrz jest bardzo gorąco, ale tu przyjemnie. – Sięgnęła po napój.

– Nie obrazisz się? – Hugo wskazał na butelkę heinekena.

– Nie. Pij na zdrowie. – Uśmiechnęła się blado, gdy lekko ją uniósł w geście toastu.

– Mogę usiąść? – Popatrzył na miejsce obok niej.

– Tak. – Odruchowo wzruszyła ramionami, jakby to było jej zupełnie obojętne, i niemal od razu położyła wolną dłoń na już dosyć wydatnym brzuchu.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – chrząknął Hugo, gdy się usadowił.

– O czym? – Łucja odstawiła pustą szklanekę. Wlepiła wzrok w koronkę, którą obszyta była dolna krawędź organzowej warstwy sukienki, chwyciła ją w palce i zaczęła delikatnie rozprostowywać maleńką fałdkę.

– Może źle się wyraziłem. Chciałbym ci coś powiedzieć. Czy mnie wysłuchasz? – zwrócił się w jej stronę i spytał przez ściśnięte wrzuceniem gardło.

– Tak. Mów. – Znów jej ramiona drgnęły jak przedtem.

– Gdy składałem przysięgę, mówiłem szczerze. Naprawdę chcę zrobić wszystko, żeby nasz związek był szczęśliwy, zgodny i trwały. Pomóż mi, proszę. – Hugo wyciągnął dłoń.

– Nie – powiedziała cicho. – Nie dotykaj mnie. Obiecałeś.

Czuł się kompletnie bezsilny w obliczu chłodu żony, a gdy przypominał sobie wszystkie momenty z czasów, kiedy Łucja zabiegała o jego dotyk, aż go skręcało z żalu, że stracił jej miłość. Deprymujące poczucie zamknięcia tego etapu życia powodowało, że odruchowo zaciskał pięści, mając niepomierną ochotę uderzyć nimi samego siebie.

– Nie wybacysz mi nigdy? – wychrypiał, cofając rękę.

– Nie chodzi o wybaczenie – wyjąkała Łucja.

– To o co?

– Hugo, ja... – Podniosła na niego wzrok. – Ja nie czuję do ciebie urazy. Już nie.

– A co czujesz? Nienawiść?

– Nie. Ja chyba nic nie czuję. Ja nie chcę czuć... – Znów zatrzymała spojrzenie na połyskującej delikatnie tkaninie. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na swoją dłoń ozdobioną prostą, wąską obrączką. „Miałam ją zdjąć” – pomyślała. Zsunęła złoty krążek z palca i położyła na blacie ławy. – Palce mi puchną, nie mogę nosić biżuterii – wyjaśniła świeżo poślubionemu małżonkowi.

– Rozumiem. – Pokiwał głową, bo ten gest nawet bez słów był wystarczająco wymowny. – Gdybym powiedział ci wcześniej, gdybym się przyznał, czy wtedy byś mi wybaczyła?

– Po co pytasz? To niemożliwe – stwierdziła z żalem. – Nie możemy cofnąć czasu.

– Chcę wiedzieć.

– Znasz mnie. Znacznie lepiej niż ja ciebie. – Łucja drgnęła, jakby chciała strzepnąć z siebie wspomnienia niczym warstewkę wody, bo znów do niej dotarło, że pół roku żyła z człowiekiem, którego nie знаła. Nie wiedziała, co się kłębi w głowie i sercu męża, a gdy już poznała jego myśli, motywy, którymi kiedyś się kierował, uświadomiła sobie, że większość jego słów była fałszem, kwestiami wygłaszanymi przez aktora w teatrze życia.

– Wybaczyłabyś mi. – Głos Hajdukiewicza, gdy wyręczał żonę, sam sobie odpowiadając, przepełniony był goryczą. Czekał, aż Łucja zada mu kolejne, nasuwające się naturalnie pytanie, na które on by odpowiedział: „Tak, żałuję bardzo, żałuję całym sercem, że tego wcześniej nie zrobiłem, nie potrafię sobie wybaczyć i nie wiem, jak mogłem być tak podły, żeby ukrywać przed tobą prawdę”. Ale ona uparcie milczała, a Hugo tak bardzo chciał jeszcze raz zagrać w jej grę, wykrzyczeć dziesiątki odpowiedzi na pytania, których Łucja już nigdy mu nie zada.

Tak, jestem idiotą, bo nie chciałem dopuścić do siebie myśli, że się zakochałem, że znów dałem się ponieść emocjom i zaryzykowałem, angażując się w miłość...

Tak, bałem się, cholernie się bałem odstąpić podbrzusze, bałem się, że znów ktoś mnie skrzywdzi, i dlatego byłem taki oschły...

Tak, bałem się, że mnie nie zrozumiesz, że mnie odtrącisz...

Nie, nie kochałem cię na początku, to przyszło z czasem, a gdy już sobie to uświadomiłem, ty powiedziałaś, że nas nie ma i nigdy nie było...

Nie, nie chciałem twojej miłości, odrzuciłem ją, a ty zachowałaś się jak Bóg. Cierpliwie czekałaś, żebym się opamiętał, docenił, co otrzymałem, aż w końcu spełniłaś moje życzenie i zabrałaś ją bezpowrotnie...

Tak, myślałem, że jesteś jak moje byłe kobiety, nie potrafiłem uwierzyć, że można kogoś kochać tak mocno jak ty mnie, weszylem podstęp, a gdy wystarczająco dużo razy udowodniłaś swoją bezinteresowność, pomyślałem, że po prostu jesteś naiwna...

Tak, tysiące razy miałem ochotę krzyknąć, żebyś przestała mnie gloryfikować, żebyś wreszcie przejrzała na oczy i zauważyła, co się wokół ciebie dzieje, żebyś przestała być taka dobra, kochająca mnie głupio, bo bezwarunkowo...

Tak, teraz oddałbym rok życia, żeby usłyszeć choć jedną z tych twoich życiowych prawd zastyszanych od babki...

Mówił do Łucji bezgłośnie, z trudem przełykając ślinę. Jego gardło było ściśnięte żalem.

– Nie ufam ci i chyba już nigdy nie zaufam żadnemu mężczyźnie. – Przerwała nagle potok jego myśli.

– Nie chcę tego słuchać. – Hugo chwycił się za czoło i potrząsnął głową. Nie mógł znieść świadomości, że wkrótce Łucja urodzi jego dziecko, a pół roku później zniknie z jego życia, tak jak się umówili. Nawet myśl o tym, że pozwoli mu na częsty kontakt z córką, nie niosła pociechy. Nie wyobrażał sobie, że będzie z nią ktoś inny. Ciągle słyszał: „mężczyzna”, inny mężczyzna w życiu Łucji.

– A gdybym wybaczył ojcu, czy...

– Proponujesz mi handel wymienny? – Znów na jej twarzy zagościł delikatny uśmiech, jak przed paroma minutami, gdy Hugo wznosił toast. – To tak nie działa. Wybacząc ojcu, wybaczysz sobie. To w twoim sercu zapanuje większy spokój niż w jego. Dlaczego nie potrafisz tego zrozumieć? – westchnęła.

– Nigdy już mnie nie pokochasz? – Patrzył na nią zdruzgotany, bo nie miał nic. Nic, czego mógłby się uchwycić, żadnego asa w rękawie, żadnego argumentu.

– Nie wiem. Hugo, ja chyba nie przestałam cię kochać. – Odpowiedź przyszła jej z trudnością. Zaczęła od „nie wiem”, ale przecież świetnie wiedziała. Potrzebowała jedynie czasu i jakiegoś spokojnego miejsca, gdzie mogła odnaleźć tych kilka słów składających się na jej „wiem”. Po namyśle podjęła: – Nie wiem, czy kiedykolwiek przestanę cię kochać, ale zakochałam się w kimś innym, niż osoba, którą ty byłeś. Zakochałam się w wyobrażeniu. To moja wina, że usprawiedliwiałam cię, że wmawiałam sobie tyle rzeczy, że czasami sprawiałeś mi przykrość, a ja odwracałam to i winiłam siebie. Byłam głupia. Ot co – wyznała szczerze.

– Nie musisz nic mówić, obiecywać, dawać mi nadziei. Ja sam sobie obiecuję, sam sobie dam nadzieję. Nie poddam się nigdy. Nigdy nie przestanę o ciebie walczyć. Ustąpię tylko wtedy, gdy pokochasz innego mężczyznę – wyrzucił z desperacją, ale i siłą bijącą z głosu.

– Nie mogę ci tego zabronić, ale gdy przekroczysz ustalone granice... – Opuściła głowę.

– Obiecałem, że cię nie dotknę i dotrzymam słowa.

– Czy to już wszystko? Chciałabym się położyć. Jutro jadę odwiedzić babcię. Pamiętasz? – Odważyła się spojrzeć mu prosto w oczy.

– Poczekaj chwilę. – Hugo zerwał się i szybko poszedł do jadalni, wrócił,

trzymając w ręku portfel.

– Chciałem ci coś oddać. Proszę. – Wręczył Łucji maleńką łuskę. – Na szczęście.

– Nie wolno oddawać prezentów. – Uśmiechnęła się mimowolnie na jej widok.

– To nie ta, którą mi dałaś. Tę ukradłem z twojego domu, gdy byłem tam z matką.

– Dlaczego? – Obracała w palcach delikatny, srebrzysty płatek.

– Nie wiem.

– Dziękuję. – Ostrożnie zamknęła ją w dłoni. – Idę.

Weszła do swojego pokoju, przez chwilę rozglądała się bezradnie, w końcu położyła łuskę na komodzie. Wyjęła z szafki lekką bawełnianą tunikę i miękkie wygodne szorty. Szybka toaleta zajęła jej zaledwie kwadrans. Próbowwała się wyciszyć, uspokoić myśli, ale one uparcie napływały, przeplatane słowami Hugona, że będzie o nią walczył. „Z kim, ze mną?” – zastanawiała się, co chciał jej przekazać. Gdzieś w głębi zamkniętego na cztery spusty serca odezwał się cichy, ale bardzo stanowczy głos: „Hugo cię kocha, powinnaś dać mu szansę”, lecz zaraz przywołała obraz siebie siedzącej na tarasie i trzymającej w dłoni list od Adama.

Gdy tylko dowiedziała się o kłótni narzeczonego z najlepszym przyjacielem, domyśliła się, że to on był autorem listu. Próbowwała odkryć, jakimi intencjami kierował się Soliński, zdradzając jej ten sekret, ale nie potrafiła ich jednoznacznie określić. „Uznał, że powinnam poznać prawdę?” – pomyślała, obracając się kolejny raz na łóżku. „Ale dlaczego? Przecież wiedział, że to się wyda. Może rozmawiał z Hugonem, prosił, żeby wyznał mi prawdę, a gdy ten odmówił, sam postanowił to zrobić?” – Łucja gubiła się w domysłach. Snuła się na obrzeżach swoich wspomnień, nie próbując wchodzić głębiej, ale one wciągały ją jak ruchome piaski.

– Nic z tego nie będzie, nie zasnę – mruknęła, siadając na brzegu łóżka. – Może zadzwonić do Adama? – wymamrotała. – Ale po co?

Instynktownie czuła, że to nie jest dobry pomysł. Może i Soliński miał dobre zamiary, lecz ujawniając jej prawdę, zdradził przyjaciela, na dodatek w liście był przecież dopisek o jakiejś kobiecie. Żałowała, że wyrzuciła list do kosza. Teraz by jej pomógł. Za każdym razem gdy ogarniała ją chęć, aby paść w ramiona męża i powiedzieć, że mu wybaczyła, że zapomniała i że chce zacząć od nowa, mogłaby przeczytać list i ostudzić serce oraz głowę. Niestety, listu nie było, ale... Postanowiła wyjść na taras, aby znów przypomnieć sobie te chwile, gdy wszystko się skończyło, choć czuła, że to pewnego rodzaju masochizm. Wstała, wyszła z pokoju, nie wiadomo dlaczego zabierając ze sobą rybią łuskę. Może potrzebowała jakiegoś talizmanu, który pomógłby jej ogarnąć myśli i zapewnić choć namiastkę poczucia bezpieczeństwa? Rozejrzała się ostrożnie; Hugo był w gabinecie, bo dobiegały stamtąd ciche, ale wyraźne dźwięki muzyki i szum bieżni. Przeszła

na palcach obok drzwi, wspięła się na schody i już po chwili była na miejscu. Stała przy balustradzie. Choć zbliżała się piąta po południu, upał nie zelżał. Słońce przygrzewało i Łucja pierwszy raz od tygodnia poczuła, że nie jest jej tak przeraźliwie zimno. Poglaskała się po brzuchu.

– Co, malutka, będzie dobrze, prawda? – spytała nienarodzoną córeczkę. Dziecko jak na życzenie wyprostowało nóżkę i lekko kopnęło. – Będzie dobrze, skoro tak mówisz. – Łucja parsknęła śmiechem. – Mam coś dla ciebie. Jak się urodzisz, dostaniesz to w prezencie. – Wyjęła z małej kieszonki tuniki łuskę i przyglądała się jej w skupieniu, gdy leżała na dłoni, srebrzyście połyskując. „Byłam taka szczęśliwa” – pomyślała Łucja. Nagle delikatny powiew wiatru zdmuchnął łuskę... Próbowała ją złapać, odruchowo rzuciła się do przodu, wspięła na poprzeczkę i przewiesiła przez barierkę, ale gdy już prawie miała ją w dłoni, łuska zniknęła gdzieś w przestrzeni, a Łucja zapadła się w ciemność jak w gąbkę...

Rozdział 2

– Niechże się pan uspokoi – poprosił doktor Piotrowiec z ledwo skrywaną irytacją w głosie. Zniecierpliwiony, zaczął rozważać wezwanie pielęgniarki, żeby podała środek uspokajający młodemu mężczyźnie, który od kwadransa siedział, a raczej wiercił się na krześle w jego gabinecie i zatruwał mu życie, wypytując w kółko o jedno i to samo. Na dodatek nadwrażliwy przyszły ojciec ściągnął go na oddział w trybie pilnym, przerywając partyjkę brydża z kolegami z pobliskiej ginekologii ogólnej.

– Ale jak to się mogło stać? – Hugo nerwowym ruchem przecesał wilgotne od potu włosy.

– Normalnie. Proszę mnie posłuchać. Rozmawiałem z panią Hajdukiewiczową...

– Rozmawiał pan z moją matką?! Kiedy? – Wybałuszył oczy na lekarza.

– Mówię o pana żonie.

– Żona nie zmieniła nazwiska.

– Aha, czyli nadal nazywa się... – Piotrowiec zerknął do karty informacyjnej.

– Maśnik.

– Więc rozmawiałem z panią Maśnik i powiedziała, że przewiesiła się przez poręcz. Nastąpił gwałtowny nacisk na splot trzewny, o tutaj. – Lekarz wskazał okolicę końca mostka. – Stąd omdlenie. Nie ma innych powodów.

– Czy to normalne?

– Tak. Normalna fizjologiczna reakcja. Gdybym pana kopnął w to miejsce albo umiejętnie i mocno uderzył pięścią, też straciłby pan przytomność – powiedział i pomyślał, że to ostatnie jest bardzo kuszącą perspektywą.

– Na pewno nic się nie stało? Nie mam pojęcia, ile czasu ona tam leżała. – Hugo znów próbował odtworzyć jak najdokładniej całą sekwencję wydarzeń. Siedział w gabinecie i słuchał muzyki, chciał się uspokoić. Uruchomił bieżnię i gdy szybkim spacerem pokonał kilka kilometrów, nagle poczuł coś irracjonalnego, ogarnął go jakiś dziwny lęk. Wybiegł z gabinetu i gdy odkrył, że Łucji nie ma w dziecięcym pokoiku, natychmiast przeleciał jak tajfun po mieszkaniu. Wpadł na górny taras... – Gdy znalazłem żonę, nogi się pode mną ugięły – wyjąkał. – Leżała na boku, wyglądało to tak...

– Spokojnie. Przecież odzyskała przytomność, zanim przyjechało pogotowie. To bardzo dobry znak. Proszę się nie martwić.

– Czy nie uszkodziło się nic w jej mózgu? Przez niedotlenienie?

– Nic a nic. Rozmawiałem z panią Łucją, odpowiadała logicznie. Zresztą był u niej neurolog i nie zauważył żadnych niepokojących objawów.

– Z dzieckiem też na pewno wszystko w porządku?

– Tak. Mówiłem, zrobiliśmy USG. Na szczęście my, ludzie, mamy

wbudowany instynktowny mechanizm obronny i gdy mdlejemy, najpierw uginają się nam nogi w stawach kolanowych. Ciężarne i bardzo młode kobiety, jak pańska małżonka, jeszcze łatwiej znoszą takie sytuacje: ich kości są znacznie elastyczniejsze niż pozostałych kobiet czy też mężczyzn. Dlatego żona łagodnie osunęła się na posadzkę, a nie upadła. Nie ma żadnych obrażeń, poza lekkim otarciem skóry na prawej łydce.

– Rozumiem. – Hugo przełknął ślinę. – Mogę się z nią zobaczyć? – Musiał sam naocznie sprawdzić, czy wszystko, co mówi doktor Piotrowiec, jest prawdą.

– Zaraz spacerujemy się na oddział. Żona jest w dwuosobowej sali, proszę to mieć na uwadze. Nie będzie pan mógł przesiadywać tam zbyt długo, bo pacjentka, z którą leży, jest u nas już prawie pół roku i nie chciałbym, żeby czuła się niekomfortowo.

– Pół roku? – spytał Hajdukiewicz z niedowierzaniem.

– Tak. Niekiedy tak właśnie bywa, i zanim pójdziemy do pani Maśnik, chciałem pana jeszcze o czymś poinformować.

Hugo natychmiast przysunął się bliżej krawędzi biurka, przy którym siedział. Nie uszło jego uwadze, że dłoń lekarza trzymająca pióro lekko zadrżała, choć może miał już zwidy z nadmiaru wrażeń.

– Może dobrze się stało, że żona dzisiaj do nas trafiła. Niecałe dwa tygodnie temu byliście państwo z wizytą u mnie, wtedy wszystko było w porządku, ale dzisiaj...

– Przecież przed sekundą mówił pan, że wszystko jest okej! – zachnął się Hugo.

– Chwileczkę! Niechże się pan uspokoi! – Piotrowiec pokręcił głową. Nie znosił panikarzy i histeryków, a dzisiejszy przypadek, czyli mecenas Hajdukiewicz, był wyjątkowo uciążliwy. – Dokładnie zbadałem panią Łucję i zaobserwowałem początki niewydolności szyjki macicy i jej lekkie skrócenie, co mogłoby spowodować przedwczesny poród, dlatego jutro, a najpewniej w poniedziałek postaramy się temu zaradzić. Zaznaczam: to nie ma związku z dzisiejszym wypadkiem i jest dosyć powszechnie spotykane.

– Na czym konkretnie to polega? To jakiś zabieg?

– Może będzie to pessar, specjalny silikonowy krążek, choć raczej jestem zwolennikiem innej metody. Jeśli nie stwierdzę przeciwwskazań, założymy specjalny szew chirurgiczny, aby wzmocnić szyjkę. Oczywiście ten drugi zabieg wykonuje się pod znieczuleniem, proszę się nie obawiać, żona nie będzie cierpieć.

– Rozumiem.

– Jeszcze raz podkreślę, to w takich wypadkach rutynowe postępowanie.

– Proszę wybaczyć, że tak dopytuję, ale jestem zdenerwowany. – Hugo wyciągnął chustkę i otarł czoło.

– Widzę. Pani Hajdukiewicz, rozmawiałem z żoną i wyraziła zgodę, ale

pana też spytam. Otóż po konsultacji z kolegami uznaliśmy, że najlepiej będzie pozostawić żonę na oddziale aż do rozwiązania.

– Dlaczego?

– Pani Łucja mówiła mi o jakichś kłopotach ze zdrowiem jej babki. Najprawdopodobniej stres był przyczyną delikatnej utraty wagi przez pana żonę. Od początku ciąży przybrała jedynie sześć kilogramów, a od ostatniej wizyty waga zamiast się zwiększyć, spadła o pół kilograma. Do tego wyniki morfologii nie zachwycają, ciągle nie możemy uporać się z anemią, chociaż, na szczęście, to nie jest ciężka anemia. Stąd moja decyzja, żeby pani Łucja pozostała w szpitalu. Podamy jej kroplówki, będziemy mogli na bieżąco monitorować poziom hemoglobiny i stan szyjki, no i oczywiście dziecko, zwłaszcza jego wagę i wymiary. Do porodu zostało około dwóch miesięcy, jakoś państwo wytrzymacie.

– Doktor Piotrowiec uśmiechnął się krzepiąco.

Hugo potakiwał skwapliwie w trakcie całej przemowy lekarza, ale tak naprawdę nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony martwił się, jak znieśie to Łucja, zwłaszcza że planowała częste odwiedziny u babki, a z drugiej czuł się spokojny. Wiedział, że w klinice uniwersyteckiej, pod okiem Piotrowca oraz sztabu innych lekarzy i pielęgniarek, jego żona będzie bezpieczna. Znacznie bezpieczniejsza niż w domu.

– Skoro tak pan uznał, nie zamierzam podważać pana kompetencji – zamknął temat.

– Wobec tego chodźmy. Uprzedzam, dzisiaj proszę pozwolić małżonce odpocząć. Pięć minut i wraca pan do domu.

– Oczywiście.



Kap, kap, kap...

Łucja wpatrywała się w wiszącą nad jej głową kroplówkę. Próbowwała odczytać napis na woreczku, ale wisiał zbyt wysoko. Rozglądnęła się na boki. Po lewej stronie na sąsiednim łóżku leżała jakaś kobieta odwrócona plecami, chyba spała. Po prawej: drzwi lekko uchylone na korytarz, na wprost umywalka i niski stoliczek na kółkach ze stojącą na nim mikrofalówką. To było wszystko, nie licząc szafek nocnych przy łóżkach.

„No i nawywijałam, ciekawe, jak wytrzymam tu tak długo? Dwa miechy w szpitalu?” – pomyślała Łucja i pokręciła głową. „Najważniejsze, że nic się nie stało. Babcia przecież też jest w szpitalu i pewnie czuje się znacznie gorzej, a ja histeryzuję” – obsztorcowała się bezgłośnie. „Ciekawe, gdzie jest Hugo?” – zaniepokoiła się. Jak przez mgłę kojarzyła przebieg wydarzeń. Pamiętała jedynie pojedyncze słowa, które wymieniała ze sobą załoga ambulansu, ale czy jej mąż

z nimi jechał? Raczej nie. Na pewno nie. Nagle ją olśniło, że przecież ratownicy mu nie pozwolili, choć bardzo nalegał: nie chciał puścić jej ręki i biegł obok wózka z noszami.

Coś stukało coraz głośniejsze na korytarzu, aż w końcu dziwny odgłos zbliżył się i do salki weszła młoda i bardzo ładna pielęgniarka. Mogła mieć jakieś dwadzieścia parę lat, była nieco podobna do Marty, choć zdecydowanie mniej umalowana, ale i tak Łucja poczuła się lepiej, gdy zobaczyła kogoś „znajomego” wizualnie.

– Jak się pani czuje? – Nachyliła się nad łóżkiem nowej pacjentki ordynatora.

Wszystkie pielęgniarki, również te, które dopiero zaczynały pracę na patologii ciąży, wiedziały, że kobiety będące pod jego prywatną opieką są traktowane z nieco większą atencją niż pozostałe.

– Dobrze. Mogłabym skorzystać z toalety? – Łucja z niepokojem popatrzyła na prawie pusty worek kroplówki, bo cała jego zawartość była w jej pęcherzu, który coraz bardziej przypominał o sobie.

– Może pani. Już to odepnę.

– Co to było?

– Glukoza, środki rozkurczowe i elektrolity – wyjaśniła siostra Ilona, bo takie właśnie imię widniało na identyfikatorze. – Proszę powoli spróbować usiąść. – Chwyciła Łucję pod ramię. – Nie kręci się w głowie?

– Nie. Tylko w policzki mi gorąco. W ogóle jakoś mi gorąco. – Łucja potarła zarumienioną twarz.

– To przez magnez, on tak działa. – Pielęgniarka znów się uśmiechnęła.

– Uhm.

– Łazienka jest na korytarzu, zaprowadzę panią.

– Nie trzeba, sama pójdę. – Łucja ostrożnie wstała z łóżka i zrobiła kilka kroków.

– I jak?

– W porządku.

– To świetnie, ale mimo to panią zaholuję. Doktor Łukasz urwałby mi głowę, gdybym puściła panią samą. I tak potraktował panią ulgowo, bo nie kazał założyć cewnika.

– A doktor Łukasz to kto? – Łucja powoli wsunęła stopy w japonki, w których ją tu przywieziono.

– Ordynator. Doktor Piotrowiec.

– Aha. No tak. Jestem trochę skołowana.

Powoli przeszły przez hol, na szczęście toalety były dosyć blisko i Łucja mogła w miarę szybko pozbyć się nadwyżki płynów.

– Halo, siostronko Ilonko, proszę poczekać! – dobiegło zza ich pleców.

Obróciły się jak na komendę i obie stanęły jak wryte, a ich twarze w jednej chwili lekko poczerwieniały, choć akurat u Łucji trudniej to było zauważyć. Pielęgniarka się spłoszyła, bo ostry ton w głosie ordynatora nie zwiastował niczego dobrego, a Łucja dlatego, że z końca korytarza zmierzał w ich stronę również jej świeżo poślubiony mąż.

– Co to za spacerki? – zapytał lekarz, jeszcze zanim podszedł i stanął przed kobietami.

– Zaprowadziłam pacjentkę do toalety. Pan ordynator nie mówił, że nie wolno. – Dziewczyna spłonila się aż po cebulki włosów wymykających spod białego czepka.

– He, he! – Boski Julio wyszczerzył zęby i protekcyjnie klepnął siostrę w ramię. – Żartowałem. Sprawdzałem twoją czujność. – Puścił oczko do podwładnej. – I jak się czujesz, skarbie? – Nachylił się w stronę Łucji.

– Dobrze. – Pokiwała głową. – Tylko palą mnie policzki...

– Znakomicie! Rumieńce są oznaką zdrowia. Panie Hajdukiewicz, skoro żona już spaceruje, nie widzę przeszkód, żebyście państwo usiedli tu na chwilę i porozmawiali. – Wskazał na ławeczkę stojącą w okiennej niszy. – Tylko bez przesady, pięć, maksymalnie dziesięć minut i proszę odprowadzić żonę do sypialni. – Mrugnął wesoło.

– E... jest pan pewny, że ona może tak chodzić?

– Czy ja dobrze kojarzę? Państwo przed kilkoma godzinami brali ślub? Skoro pani Łucja przeżyła taką uroczystość bez szwanku, to i dziesięć minut pogawędki na siedząco też przetrwa. Panie Hajdukiewicz, proszę nie histeryzować. – Już miał dodać, że to nie oddział paliatywny i że jeszcze nikt „nie zszedł” na korytarzu, ale ugryzł się w język, bo ten żarcik uchodził, owszem, ale raczej w ścisłym lekarskim gronie.

– Naprawdę wzięliście ślub?! – pisnęła siostra Ilona. – Winszuję państwu. – Uścisnęła delikatnie pacjentkę i nawet dała jej całusa w policzek, choć to akurat było bardzo nieprofesjonalne z jej strony i nie uszło uwadze ordynatora. „Już ja cię wycaluję” – pomyślał o naganie, której jej udzieli u siebie w gabinecie w ten przyjemny, sobotni wieczór.

– Dziękuję – powiedział Hugo, zapobiegawczo wyciągając przed siebie prawą dłoń. Zwyczajne gratulacje wystarczyły, bo ostatnie, na co miałby ochotę, to być obściskiwany przez pielęgniarkę.

– Sostro Ilono, proszę zajrzeć pod trójkę. Widziałem, że tam świeci się lampka – polecił ordynator tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Zostawiam państwa. Dziesięć minut – przypomniał nowożeńcom.

– On jest okropny, widziałeś, jak ją potraktował? – fuknęła Łucja, gdy tylko zostali sami i usiedli na wskazanej przez Piotrowca ławce.

Hugo nawet słowem nie skomentował tej krytyki. Siedział i jedyne,

co zaprzętało mu myśli, to pytanie, które nasunęło mu się przed chwilą.

– Łucja...

– Przepraszam. Zdenerwowałeś się. – Zauważyła wyraz jego twarzy. „Boże, ależ jestem głupia. Przecież on musiał strasznie przeżyć całą sytuację!” – zrugowała się w myślach za swoją niefrasobliwość.

– Co ty chciałaś zrobić? – Nagle Hugo chwycił ją za rękę, nie bacząc na obietnice, że nie będzie jej dotykał. – Dlaczego? Co tobą kierowało?!

– Ale... o co ci chodzi? – Słowa ugrzęzły jej w krtani. Nawet to, że trzymał jej dłoń i ścisnął mocno, nie robiło na niej takiego wrażenia jak jego spojrzenie, które przeraziło ją do tego stopnia, że natychmiast odruchowo objęła brzuch wolną ręką. Napięcie między nią a mężem było niemalże fizycznie wyczuwalne.

– Jeśli życie ze mną pod wspólnym dachem jest dla ciebie taką udręką, mogłaś powiedzieć – wycedził Hugo przez zaciśnięte z bólu zęby. – Mogliśmy nie brać tego durnego ślubu, przecież mówiłem, że zrobimy, jak ty zechcesz. Przysięgam, nie proponowałem wam pomocy, żeby cokolwiek na tym ugrać! Wierzysz mi?! Jeśli chcesz, odwołam ten ślub, zanim się uprawomocni. Mogę zejść ci z oczu, nie będę cię odwiedzał, jeśli nie możesz znieść mojego widoku. Nie będę walczył o ciebie, bo teraz widzę, że to było egoistyczne...

Nagle zwiesił głowę. Uświadomił sobie, że osaczył Łucję, nie dał jej prawdziwego wyboru, lecz jego pozór. Nie myślał trzeźwo, bo od paru minut jego świat kolejny raz się zatrzymał. Gdy zobaczył żonę stojącą obok pielęgniarki, gdy porównał ich wzrost, w sekundę uświadomił sobie, że to, co zdarzyło się na tarasie, nie było zwykłym przypadkiem. Łucja była niska, tak niska, że musiała wspiąć się na metalową poprzeczkę, aby balustrada sięgnęła do jej piersi.

– Hugo... – Łucja delikatnie wysunęła dłoń, ale nie dlatego, by się od niego zdystansować, tylko po to, żeby chwycić męża za ramiona. – Popatrz na mnie! – Podniosła głos. – Chcę ci coś powiedzieć!

– Słucham. – Z trudem się wyprostował.

– Myślałaś, że chciałam sobie coś zrobić? – wydukała z niedowierzaniem.

– A nie? – wykrztusił. – Piotrowiec powiedział, że przewiesiłaś się przez barierkę. Że dlatego straciłaś przytomność, bo nacisk na splot słoneczny był zbyt mocny i gwałtowny, ale gdyby nie to omdlenie... Łucja, jak mogłaś?

– Hugo, ty naprawdę tak pomyślałeś? – Była wstrząśnięta. – Ja nigdy bym tego nie zrobiła, przecież jestem w ciąży, przecież zabiłabym nie tylko siebie! A moja babcia?! Umarłaby z rozpaczy. A ty? Twoja mama? Nie wierzę, że aż tak jestem wam obojętna, że nie przeżywalibyście tego. Hugo! Jak mogłeś tak pomyśleć? Przecież samobójstwo to straszny grzech! Nawet gdybym została sama jak palec i nie miała wokół siebie ani jednej kochającej osoby, nigdy bym tak nie postąpiła, rozumiesz?

Nie wydusił z siebie ani słowa. Przetykał kluczę, która coraz szybciej rosła

mu w gardle.

– Nie wierzysz mi? – Potrząsnęła jego dłonią. – Łapałam łuskę! Tę, którą mi dałeś. Poszłam na taras, bo nie mogłam zasnąć, i wzięłam ją ze sobą. Wiatr zdmuchnął mi ją z ręki, więc chciałam złapać i dlatego wspierałam się na barierkę. Wiem, jestem okropnie głupia, ale to był odruch, wychyliłam się i potem już nic nie pamiętam. Ale ja nie chciałam się zabić! Hugo! Jak mogłeś tak pomyśleć? – Opadły jej ręce, ale szybko je podniosła, bo dziecko chyba wystraszyło się podniesionego głosu matki i drgnęło lekko, a ona od razu objęła brzuch opiekuńczym gestem.

– Wiesz, jaki mam problem? – Hugo wreszcie odzyskał głos. – Właśnie do mnie dotarło, że ty jesteś dla mnie za dobra, jesteś za dobra dla każdego. Nie wiem, czy po tej ziemi chodzi choć jeden mężczyzna, który by na ciebie zasługiwał – zasępił się. – Mierzę cię swoją miarą, miarą mojej matki, miarą kobiet, które znałem, i nie pasujesz do żadnej z nich. Po prostu. – W geście bezradności uniósł ramiona.

– Ale wierzysz mi? – Łucja oczekiwała jednoznacznej odpowiedzi.

– Tobie tak. Nie mogę uwierzyć sobie, że jeszcze przed chwilą podejrzewałam cię o taką rzecz...

– Hugo, choćby nie wiem co się działo, choćby z babcią było... – przełknęła ślinę – przysięgam ci, że nigdy nie skrzywdziłabym swojego dziecka, nigdy bym go nie opuściła świadomie. Choć mała jeszcze się nie urodziła, ja już ją kocham. Rozumiesz?

– Tak.

– Nie rozmawiajmy już o tym. Dobrze? – Popatrzyła na niego z nadzieją.

– Wybacz. Spanikowałem. Za dużo tego... – Znow tępym wzrokiem wpatrywał się w swoje wizytowe buty.

– Hugo, mam prośbę.

– Tak? – Natychmiast podniósł na nią oczy. Mimo wszystko wyglądała nad podziw spokojnie. „Może coś jej podali?” – pomyślał z ulgą. Nie chciał, żeby się martwiła. „Jesteś durniem, przestań się roztkliwiać nad sobą” – opieprzył się w duchu.

– Pewnie już wiesz, że tu zostanę, a... – Łucja z zakłopotaniem wygładziła brzydką szpitalną koszulę.

– Jeszcze dzisiaj przywiozę ci czyste ubrania. Masz jakieś specjalne życzenia? – Pomyślał, że w swoich ciuchach na pewno czułaby się swobodniej.

– Przywieź mi telefon, torebkę, nie wiem... może jakieś książki? Nie musi być dzisiaj. Już prawie dziewiąta. Do jutra wytrzymam, poza tym, szczerze mówiąc, chce mi się spać. Trochę podzemałam tutaj, ale nie więcej niż kwadransik. – Ziewnęła.

– Na pewno? – Nagle on też poczuł zmęczenie.

– Tak. Na pewno. Mam jeszcze trochę nietypową prośbę. Babcia nigdy nie miała telefonu komórkowego, ale teraz gdy obie jesteśmy uziemione...

– Jutro to załatwię – przerwał Łucji. – Kupię jakiś prosty aparat i poproszę matkę, żeby zawiozła twojej babce i wytłumaczyła, jak się nim posługiwać.

– Dziękuję. Zwrócę ci pieniądze.

Hugo nawet nie zaprzeczył, wołał dzisiaj nie wchodzić w żadne polemiki z Łucją. Wystarczająco ją zdenerwował swoimi idiotycznymi podejrzeniami.

– Muszę im powiedzieć, że jesteś w szpitalu. Nie wiem, jak to zrobić. Moja matka na pewno zaraz będzie chciała tu przyznać, najwyżej powiem, żeby dała ci spokój choć do środy. Chyba że chcesz, żeby jutro przyjechała ze mną?

– Może ta środa to dobry pomysł?

– Okej.

– Idź już, bo zaraz nas ktoś przegoni. – Łucja popatrzyła w stronę dyżurki pielęgniarek, w której drzwiach już od paru minut pojawiała się i znikła głowa jakiejś siostrzyczki.

– Odstawię cię do sypialni – zażartował Hugo. Miał dosyć tego dnia i choć w ten sposób chciał rozładować nieco atmosferę.

– Okej.

O dziwo, Łucja pozwoliła wziąć się pod ramię i odprowadzić pod same drzwi sali.

– Dobranoc. – Podała mu rękę. – Śpij dobrze.

– Ty też. – Przez moment zastanawiał się, czy to, co zamierza i na co ma nieodpartą ochotę, nie wzbudzi jej sprzeciwu, ale postanowił zaryzykować. Chwycił dłoń żony, obrócił ją wnętrzem do góry i pocałował miejsce, w którym kilka godzin wcześniej leżała małeńka łuska.



Wbrew własnym obawom Łucja przespała całą noc „jak zarżnięta”. To określenie oczywiście również pochodziło z przepastnego słownika powiedzonek i zwrotów Zofii Maśnikowej. Rano obudziła się niesamowicie głodna, na szczęście po mierzeniu temperatury i krótkim niedzielnym obchodzie podano śniadanie.

Salowa pchała wielki piętrowy wózek, zatrzymywała się przy każdej sali i wносиła termosy z całkiem niezłą, jak na szpitalne warunki, zawartością.

– To żarcie z cateringu, dlatego takie smaczne. – Katarzyna Wojaczyk, koleżanka z sąsiedniego łóżka, oświeciła Łucję.

Zdążyły się już trochę zapoznać. Wieczorem jedynie się sobie przedstawiły, a potem, mimo że Łucja była ciekawa towarzyszkę, trzydziestosześcioletniej tlenionej blondynki z pokaźnym, prawie czarnym odrostem i przyjemną pyzată

buźką, niestety, poddała się i zasnęła w okamgnieniu. Dopiero rano w przerwach między kolejnym „molestowaniem”, czyli wizytami pielęgniarek, zamieniły kilka zdań. Kasia, tak jak i Łucja, spodziewała się pierwszego dziecka. Po kilku latach starań udało jej się zająć w ciążę, lecz dosyć szybko stanęła przed dylematem: albo zdecyduje się na leżenie plackiem, i to w przechyleniu, albo straci ciążę.

Łucja nie mogła wyjść z podziwu, patrząc ze zdumieniem na koleżankę, która już kilka miesięcy nie wstawiała, korzystała wyłącznie z basenu i na stałe była zacewnikowana.

– Jezuniu, jak ty to zjesz? – Zerknęła na Kasię, leżącą „nogami do góry”. – Pomogę ci.

– Nie trzeba, dzięki. Kwestia przyzwyczajenia. – Kaśka nacisnęła guziczek i oparcie łóżka delikatnie się podniosło. Sprawnie ustawiła przed sobą miseczkę z zupą mleczną i w najlepsze zaczęła jeść, ku zdumieniu nowej towarzyszki niedoli, nawet nie spoglądając na łyżkę.

– Poczekaj, wezmę chociaż ten termos. – Łucja nie mogła patrzeć na ciężki pojemnik leżący w nogach łóżka.

– Dzięki. Podasz mi jabłko? Skoro jesteś taka miła.

– Jasne. Proszę.

– Jedz, bo ci wystygnie. To nie jest jakieś bardzo ciepłe. Wiesz, zanim tu przyjedzie, zanim to rozpakują... – machnęła ręką. – Teraz i tak jest super, ale pod koniec lutego, gdy tu trafiłam, wszystko przychodziło zimne. Artur przyniósł mikrofalówkę i zawsze ktoś podgrzewał mi obiad.

– To znaczy kto? – Łucja już zjadła prawie „wszyścusięńko”, czyli dwie kanapki z całkiem niezłą marmoladą, jabłko i kilka herbatników, a teraz siedziała na brzegu łóżka i chlupała zupę z rozgotowanym makaronem.

– Koleżanki, takie jak ty – stwierdziła wesoło Kaśka. – Wiesz, ile was było? Ty jesteś piętnasta.

– Naprawdę? – Wybałuszyła oczy. – Jak w Greyu.

– Też to czytałaś? – Kaśka wybuchnęła śmiechem. – A co do was, chyba specjalnie dają mi do towarzystwa takie, jak to się mówi, „na chodzie”. Posiedzicie tydzień albo dwa i fru... do domu, a ja leżę i leżę, ale nie narzekamy! – Pokiwała palcem i uniosła lekko kąciki ust.

– No to masz szczęście. Ja tak szybko nie ucieknę. Razem stąd wyjdziemy we wrześniu. – Łucja prychnęła znad miseczki.

– Casanova kazał ci zostać do porodu? – Kaśka aż uniosła głowę. – Dlaczego?

– Casanova?

– Piotrowiec.

– Czemu tak na niego mówisz? – Łucja zachichotała.

– Nie wiesz? To babiarz. Podrywa wszystkie pielęgniarki i lekarki, nie patrzy

na wiek i wygląd, byleby oddychały – odrzekła z ironią.

– Pacjentki też? – Oczywiście przypominały pięćdziesiątki.

– Coś ty! To profesjonalista i ma twarde zasady. Nigdy nie romansuje ze swoimi pacjentkami, nawet gdyby to była miss Wenezueli, ale gdy nie jesteś jego pacjentką, strzeż się. Doktor Casanova na pewno cię ustrzeli. – Kasia z wprawą wyciągnęła rękę za głowę i bez patrzenia odłożyła ogryzek na blat szafki nocnej. – A dlaczego musisz tu leżeć? Nie widzę, żeby coś ci było.

– Szyjka mi się skraca.

– No i?

– Mam anemię, poza tym coś jeszcze z szyjką, jest niewydolna i Piotrowiec się boi, że zacznę rodzić, a to trochę za wcześnie dla mojej malutkiej. – Łucja pogłaskała się po brzuchu. – W poniedziałek założą mi pessar lub szew.

– W sumie lepiej się pomęczyć, niż później żałować, że z własnej wygody coś się dziecku stało. Piotrowiec to najlepszy fachowiec w całym województwie. Czego myśmy nie przeszli, byliśmy już na konsultacji w klinice, gdzie robią in vitro, ale Artur w ostatnim momencie stwierdził, że może jeszcze raz spróbujemy zmienić lekarza i przez pewne forum dyskusyjne trafiłam do Piotrowca. Trzy podejścia zaliczyliśmy, dopiero metoda z zastrzykami z heparyny zadziałała.

– To znaczy?

– Codziennie robią mi zastrzyki. Popatrz, jaki mam brzuch. – Zachichotała, odsuwając cienką kołdrę i brzeg koszuli. – Najbrzydszy brzuch świata. Mów do mnie: pani Bakłażanowa.

– Ups. – Łucja chwyciła się za usta, gdy zobaczyła pełno sinofioletowych siniaków. – To zniknie?

– Tak, ale na razie wyglądam jak ofiara przemocy domowej. Na szczęście nie boli. Od samego początku miałam te zastrzyki: najpierw robił je Artur, a teraz pielęgniarki.

– Mąż często cię odwiedza?

– Co trzeci dzień, bo jesteśmy z Myślenic. A wy?

– Z Krakowa. To znaczy ja jestem z Podola, to taka mała wioska koło Tarnowa, a Hugo jest z Krakowa – doprecyzowała.

– Ilonka, ta nowa pielęgniarka, powiedziała, że ponoć wczoraj wzięliście ślub. To prawda?

– Uhm. Cywilny.

– Łał, gratulacje! – Kaśka wyciągnęła prawą dłoń.

– Dziękuję.

– Pracujesz? Sorki, bredzę, przecież mówiłaś, że masz dziewiętnaście lat. Studiujesz?

– Studiowałam socjologię na UJ-ocie, zamknęłam drugi semestr pierwszego roku, ale teraz wiadomo, przerwa...

- A co robi twój mąż, też się uczy?
- Jest prawnikiem.
- Prawnikiem? Taki młody?
- Nie taki młody. W przyszłym roku skończy trzydzieści lat.
- Naprawdę?! Ależ jestem głupia. – Kaśka plasnęła się w czoło. – Szczerze mówiąc, wyglądasz jak piętnastoletnia dziewczynka, której zdarzyła się wpadka z kolegą z klasy, stąd uznałam, że twój mąż też jest takim młodzikiem. Sorki, chyba się nie gniewasz, że tak wypytuję?
- Nie. Czemu miałabym się gniewać? – Łucja obdarzyła Kaśkę uśmiechem, a potem wstała i poprawiła jej kołdrę. – Gdybym jak ty leżała tu pół roku, też bym wypytывwała. Nawet telewizora nie ma. Pewnie się nudzisz?
- Tylko wtedy, gdy jestem sama. Zdarzyło się parę razy, na szczęście krótko. Wiesz, jestem przyzwyczajona do kontaktu z ludźmi. Całe życie pracuję w handlu, ostatnio w Rossmannie, a tam, wiadomo, stale coś się działo. Klienci wiecznie mają problemy, no i gadasz, gadasz, godzinami gadasz. Zagadam cię do tego wrześnie.
- Nie przejmuj się, też jestem w tym dobra. – Łucja rozciągnęła usta w uśmiechu.
- To fajnie. W kwietniu była tu taka babeczka, pod czterdziestkę. Zuza. Chryste! Przez trzy tygodnie wydusiła z siebie może pięć zdań, wszystkie w trakcie obchodu i wyłącznie do lekarzy. Kiedyś kichnęłam, a ona powiedziała: „na zdrowie”. Dwa dni cieszyłam się jak głupia. – Zaśmiała się ze swojej anegdoty.
- A dlaczego tu nie ma telewizora?
- Nie mam pojęcia. Artur chciał mi przywieźć, ale nie ma gniazdka antenowego, a mury są takie grube, że ponoć nic nie odbiera na zwykłej antenie. Marzę, żeby obejrzeć wiadomości.
- Nie lubię telewizji, rzadko oglądam, a jeśli już, to filmy.
- Ja to bym obejrzała nawet Mango Telezakupy. – Kaśka wsunęła rękę pod koszulę i podrapała się po brzuchu.
- No tak. – Łucja uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Ja lubię Internet. Czytam różne artykuły albo fora dyskusyjne. Takie tam głupoty...
- Nagle nie wiadomo skąd i kiedy w drzwiach sali pojawiła się tęgawa okularnica z ogromnym kokiem upiętym na czubku głowy i ustami w kolorze krzykliwej czerwieni.
- Dzień dobry, pani doktor. – Stała bywalczyni powitała lekarzkę skinieniem głowy.
- Dzień dobry. A dlaczego nowa pacjentka nie leży?
- Przepraszam. – Łucja natychmiast położyła się na wznak i przykryła nogi, choć było jej bardzo ciepło.
- Proszę grzecznie leżeć, zaraz przyjdzie siostra i podłączy pani kroplówkę.

To nie kurort wczasowy, droga pani. – Doktor Lasińska groźnie popatrzyła znad okularów.

– Przepraszam. – „Droga pani” prawie cała wpełzła pod kołdrę. Na szczęście tęga brunetka szybko opuściła przyszłe mamusie, które ledwie zostały same, popatrzyły na siebie, a potem obie parsknęły zduszonym śmiechem.

– Wiesz, jak ją nazywają? – powiedziała niemal bezgłośnie Kaśka, nerwowo zerkając w stronę uchylonych drzwi. – Czarna wdowa.

– Czarna rozumiem, ale wdowa? – Łucja zachichotała, najciszej jak mogła.

– To stara panna. Nie znosi Piotrowca, i wzajemnie. Kiedyś ponoć powiedział, że przy Lasińskiej każdy facet wyciągnąłby kopyta, dlatego nazywają ją wdową. Ona była w nim zakochana, ale nic z tego nie wyszło. Teraz się mści i traktuje nas, czyli jego pacjentki, okropnie. Ale ja mam ją, za przeproszeniem, w dupie. Lasińska tu nic nie znaczy. – Kaśka z wyjątkowym zaangażowaniem wprowadzała Łucję w świat szpitalnych plotek. – Nie przejmuj się nią.

– Skoro tak mówisz... Strasznie mi gorąco – sapnęła.

– Odkop się, przecież nie musisz być zakryta.

– Teraz to się boję nawet pierdnać. – Zsuwając z siebie kołdrę, Łucja pomyślała, że musi poprosić męża o lekki koc.

– I słusznie! To nie kurort wczasowy, tu się nie pierdzi, droga pani...

Rozdział 3

Hugo wstał o siódmej rano i natychmiast zaczął uwijać się jak w ukropie. Przynajmniej nie miał czasu na zbędne rozważania, jak zeszłego poranka. Poza tym, odkąd pamiętał, był typem „zadaniowca” i lubił organizacyjne wyzwania. Do drugiej w nocy pakował rzeczy Łucji. Skonsternowany stwierdził, że tak naprawdę nie ma bladego pojęcia, gdzie je znajdzie i które będą potrzebne, więc na wszelki wypadek przyniósł ze schowka sporą lotniczą walizkę i wypełnił ją po brzegi ubraniami wystarczającymi na miesięczny pobyt na wczasach. Do tego zgarnął wszystkie kosmetyki znalezione w łazience Łucji, suszarkę, lusterko, przybory kosmetyczne, kaptcie, kilka ręczników, trzy książki, co do których miał pewne wątpliwości, czy czasami już nie zostały przeczytane, ładowarkę do telefonu i torebkę.

– Spokojnie, zastanów się, co jeszcze? – wymamrotał do siebie. – Telefon mam... – Zerknął na leżące na szafce swoją komórkę, aparat Łucji, kluczyki i portfel. – Pieczętka! – Pacnął się w głowę i pobiegł do gabinetu. Już chyba wszystko, podrapał się po nieco zapuszczonym podbródku. Nie miał czasu, żeby się ogolić, wziął jedynie szybki prysznic, włożył przypadkowo dobrany zestaw w postaci dżinsów i koszulki z krótkim rękawem, jeszcze tylko sportowe buty i był gotów. – Nie jest źle. – Zerknął na zegarek wskazujący ósmą. Poupychał telefony po kieszeniach, portfel trafił na prawy pośladek, klucze i pieczętka w dłoń i był gotów do wyjścia, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

Hugo ze zdumieniem patrzył na szczupłą i krótko ostrzyżoną blondynkę, kojarzył jej twarz, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy się spotkali.

– Dzień dobry, ja... – zająknęła się lekko kobieta. – Jestem państwa sąsiadką. Mieszkamy z mężem piętro niżej i tak po przekątnej. Jowita Richter – przedstawiła się, dygając przy tym jak pensjonarka, co raczej do niej nie pasowało, zważywszy na to, że zbliżała się do trzydziestki, a i ubrana była dosyć odważnie.

– Dzień dobry, miło mi. Hajdukiewicz.

Hugo odruchowo cofnął się do holu, żeby jego niespodziewany gość mógł wejść. Dopiero gdy pani Jowita przekroczyła próg, zamknął drzwi, skłonił się i wtedy ona podała mu dłoń.

– Panie Hajdukiewicz, pewnie pan pomyśli, że mam coś z głową... – znów się zawstydziła. – Widzę, że pan gdzieś wyjeżdża i pewnie się panu spieszy...

– Owszem. Jadę do żony, do szpitala, zawieźć jej trochę ubrań. – Zerknął na wypchaną po brzegi walizkę.

– No właśnie. Ja przepraszam, proszę tego nie odebrać jako wścibstwo, ale czy wszystko z Łucją w porządku? Widzieliśmy z mężem, że wczoraj zabrało ją pogotowie. Martwiliśmy się, to znaczy, szczerze mówiąc, ja się martwiłam, bo parę razy rozmawiałam z pana żoną, przy okazji zakupów. Takie tam krótkie babskie

pogaduszki.

- Dziękuję. Na szczęście to nic groźnego, ale żona musi zostać w szpitalu.
- Proszę ją od nas pozdrowić.
- Przekażę. Coś jeszcze? Bardzo panią przepraszam, ale żona na mnie czeka.
- Hugo zaczął się niecierpliwić.
 - No właśnie... – kobieta sięgnęła do kieszonki króciutkich spodenek. – Chciałam to panu dać.
 - Skąd to pani ma? – Hugo wytrzeszczył oczy.
 - Wczoraj późnym popołudniem siedzieliśmy z Albertem na tarasie. Piliśmy drinki i nagle usłyszeliśmy jakiś dziwny tępy dźwięk, jakby ktoś upadł, choć dosyć słabo, bo to przecież prawie dwa piętra różnicy. Mówię do męża: ktoś chyba zemdłał, a on na mnie naskoczył, że jestem pijana i że mi się zdaje. Wychyliłam się, żeby zobaczyć państwa balkon i w razie czego interweniować, ale za kilka sekund pan wpadł na taras, poznałam głos. Potem pani Łucja coś mówiła, przyjechało pogotowie, więc uznaliśmy, że sytuacja opanowana.
 - Dobrze, że mi pani to powiedziała. Martwiłem się, że żona długo tam leżała. – Hugo odetchnął z ulgą.
 - Nie, to było może pół minuty? Na pewno nie dłużej. Trochę się zdenerwowałam, potem gdy już państwo pojechaliście, wróciliśmy z mężem na taras i patrzę, a w mojej szklance pływa to coś, ta łuska. Pomyślałam, że choć to dosyć dziwne, ale może to pani Łucja ją zgubiła. Wprawdzie mąż nie omieszkiał znów stwierdzić, że jestem pod wpływem i bredzę, powiedział, żebym ją wyrzuciła, ale ja i tak postanowiłam to panu przynieść, bo przecież skąd by się wzięła taka rzecz w moim drinku? – Pani Jowita zmarszczyła czoło.
 - Bardzo pani dziękuję. – Hugo wyjął portfel i schował łuskę do kieszonki. – Wiem, że to dosyć dziwne... – powtórzył słowa sąsiadki – ale to bardzo cenna rzecz dla mojej żony, a co za tym idzie także dla mnie.
 - Naprawdę? – Richterowa lekko klasnęła w dłonie. – Wiedziałam! Dobrze, że nie posłuchałam Alberta! On jest Niemcem, a oni w ogóle nie są romantyczni. Na dodatek niedawno skończył pięćdziesiąt lat i zrobił się nie do zniesienia. – Pokręciła z dezaprobatą głową.
 - Pani Jowito, jeszcze raz bardzo dziękuję. W najbliższym czasie pozwolę sobie zaprosić państwa na drinka, ale teraz muszę panią przeprosić.
 - Oczywiście! Już uciekam. Ja też dziękuję, przywrócił mi pan wiarę w mężczyzn. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Proszę nie zapomnieć o pozdrowieniach.
 - Może być pani spokojna, na pewno przekażę. – Gdy tylko za niespodziewanym gościem zamknęły się drzwi, Hugo chwycił się za czoło. Z niedowierzaniem kręcił głową, myśląc o niezwykłym zbiegu okoliczności, który sprawił, że odzyskał ten tak mało znaczący dla innych ludzi drobiazg, będący dla

Łucji talizmanem, a dla niego przepustką do szczęścia, maleńkim biletem wstępu do jej serca.



Pani Hanna stanęła przed oszkloną witryną, poprawiła letni słomkowy kapelusz, kolejny raz stwierdziła, że nie wygląda w nim dobrze, ale machnęła na to ręką. Weszła do wielkiego salonu jednej z najpopularniejszych sieci telekomunikacyjnych i rozejrzała się bezradnie. Nie znosiła takich miejsc, wszystkie sprawy związane z telefonem komórkowym załatwiał za nią Hugo. „O, jest!” – ucieszyła się, gdy dostrzegła syna przy jednym ze stanowisk.

– Dzień dobry, synku, przepraszam, spóźniłam się. Niedziela, a korki jak w piątek po południu w czasie roku akademickiego – westchnęła, siadając przy niewielkim stoliku.

– Dzień dobry. Nic się nie stało. – Hugo nachylił się i cmoknął matczyne policzek.

– Co z Łucją? Dlaczego wczoraj nie zadzwoniłeś? – spytała z pretensją.

– Nie dzwoniłem, bo całą noc byś się zamartwiała. Mówiłem: wszystko w porządku. Jutro ma mieć zabieg, dlatego jeśli chcesz ją odwiedzić, a na pewno chcesz, zrób to w środę, gdy Łucja już trochę odpocznie.

– Dobrze. – Hajdukiewiczowa pokiwała głową. – Martwisz się? – Pogłaskała syna po ramieniu.

– To chyba normalne, że się denerwuję. – Hugo odsunął się lekko. Nie przepadał za czułościami, zwłaszcza w miejscach publicznych. Rozejrzał się, ale na szczęście nikt nie zwracał na nich uwagi. Konsultanci zajęci byli rozmową z nielicznymi klientami, a kobieta przy sąsiednim stoliku z uwagą studiowała treść umowy. – Posłuchaj, tu jest aparat telefoniczny dla pani Maśnik. Aktywny, z kartą SIM. Kupiłem podobny do twojego, umowa jest na moją firmę, więc może dzwonić do woli. Ustawiłem jej darmowe rozmowy do Łucji, do ciebie i do Ireny, jednej z jej córek. Spytaj panią Zofię, czy taki dobór darmowych numerów jej odpowiada, bo jeśli nie, mogę to zmienić. – Wręczył matce telefon.

– Dobrze, postaram się jej to wytłumaczyć. – Zajrzała do pudełka. – Duże przyciski, powinno być jej wygodnie, bo Zosieńka ma kiepski wzrok – mruknęła bardziej do siebie niż do syna.

– A co u niej? Pytam teraz, bo wczoraj nie chciałem rozmawiać przy Łucji.

– Dobrze. Ona jest bardzo pogodną osobą, przecież wiesz. Czuje się lepiej, bo podali jej jakieś leki. Spaceruje, ma apetyt. – Hajdukiewiczowa uśmiechnęła się błado.

– Nie wnika, dlaczego ją przenieśli do Krakowa?

– Nie. Już ci wspominałam, rozmawiałam z jej córkami. Swoją drogą bardzo

miłe i rozsądne z nich babeczki. Razem uzgodniłyśmy, że póki nic nie jest wiadomo, nie będziemy jej mówić, jakie są podejrzenia. Co do przeniesienia, uzasadniłyśmy, że może to i lepiej, że tak się stało, bo będzie mieć bliżej do Łucji. Wytłumaczyłam, że pewnie tarnowscy lekarze uznali, iż w Krakowie mają lepszy sprzęt medyczny.

– Świetnie. Wiedziałem, że sobie poradzisz. Jeszcze raz dziękuję. – Uścisnął lekko dłoń matki. – Kiedy ma być ostateczna diagnoza?

– W piątek.

– To dobrze, im szybciej zabrają się za jakieś konkretne działania, tym lepiej. Przekaż jej informacje o Łucji w oglądny sposób, tak żeby się nie zdenerwowała. Dobrze? Może niech zadzwoni do niej we wtorek.

– Możesz na mnie liczyć. – Pani Hanna znów potaknęła. Z jednej strony martwiła się niezmiernie, bo zżyła się z Łucją i choroba jej babki bardzo ją przybiła, ale z drugiej czuła się potrzebna. Serce jej rosło, gdy widziała reakcję Zofii Maśnikowej, wdzięczność jej rodziny i własnego syna.

– Nie potrzebujesz pieniędzy?

– Jeśli myślisz, że Iwonka czy jej mąż przyjęliby jakieś pieniądze, to jesteś w błędzie. Wzięłam jeden z tych dobrych koniaków, jeszcze od Henrysia, i wpadłam do nich w piątek, a Iwona prawie się na mnie obraziła. Kazała mi wyjść. – Hajdukiewiczowa zaśmiała się. – Dobrze, że jakoś udało mi się ją udobruchać. W końcu wypiliśmy po lampce, ale gdy zbierałam się do domu, Iwonka zakręciła butelkę i chciała mi ją oddać. W końcu zgodziła się na umowę: koniak zostaje u niej i następnym razem znów wypijemy po kieliszeczku.

– Cudownie, mamo. – Hugo z lekkim zniecierpliwieniem wysłuchiwał tych kilku zdań. – Porozmawiamy przy okazji, bo teraz, szczerze mówiąc, chciałbym jak najszybciej jechać do szpitala. Mam jeszcze jedno pytanie. – Nerwowo chrząknął. – Mówiłaś mi kiedyś o dobrym złotniku, twoim znajomym. Mogłabyś mi podać namiary na tego człowieka?

– A! Pan Kazimierz? Oczywiście, poczekaj sekundkę. – Sięgnęła do torebki. – A po co ci złotnik? – Zerknęła znad swojego starego notesika z adresami.

– Obrączka jest za luźna. – Na potwierdzenie swych słów obrócił kilka razy złotym kółeczkiem.

– Jeśli nie masz czasu, daj mi ją. Załatwię to za ciebie.

– Nie. Wolę sam, przymierzę na miejscu.

– Może i racja. Podyktować ci?

– Odpiszę sam, pozwól – odparł Hugo nieco zbyt wyniosłym tonem, którego Hajdukiewiczowa tak nie znosiła, i wyciągnął rękę po notes.

– Pan Kazik to prawdziwy złoty czarodziej, nie wiem, czy cię nie wyrzuci z tak błahym problemem – stwierdziła żartobliwie, żeby poprawić atmosferę. – Wszystko robi ręcznie, takiej biżuterii, jak u niego, nie widziałam u żadnego

jubilera.

– Zamówię spinki do mankietów, żeby nie czuł się pokrzywdzony – powiedział Hugo, a jego zachmurzona przed chwilą twarz wyraźnie się rozpogodziła, bo przypomniał sobie, jaki jest cel wizyty u pana Kazika czarodzieja.

– Nie wiem, czy cię będzie stać.

– Pożyczysz mi. – Puścił do matki oczko.



Od kiedy Katarzyna Wojaczyk „wprowadziła” się na oddział patologii ciąży w krakowskiej klinice uniwersyteckiej, nie przeżyła jeszcze tak interesującej niedzieli jak ta właśnie się kończąca.

– *Ale za to niedziela, ale za to niedziela, niedziela będzie dla nas...* – podśpiewywała pod nosem, czekając na Łucję, która poszła odprowadzić męża, a potem wziąć prysznic i kolejny raz się przebrać, w czym akurat nie było nic dziwnego. Po kroplówkach z magnezu wszystkie dziewczyny marzyły o kąpieli i czystym ubraniu, ale już to, że Łucja mogła teraz urządzić całkiem konkretny pokaz mody, było bardzo zabawne.

Do południa było przyjemnie. Porozmawiała z Młodą, jak nazwała nową koleżankę, coś tam sobie poopowiadały, zjadły obiad, ale ona też czekała na męża Łucji. Była ciekawa, jak wygląda i jakim jest człowiekiem, ten niewiele od niej młodszy „pan mecenas”.

Gdy kwadrans po pierwszej salowa zabrała puste pojemniki po obiedzie, a chwilę później ktoś zapukał delikatnie do drzwi, od razu uniosła głowę i jak to się kolokwialnie mówi: opadła jej szczęka. Widziała tu już różnych facetów, przystojnych jak jej Artek, i takich, którzy nie „robili szalu”, czyli niskich grubasków albo podtatusiałych koleśków lansujących się na playboyów. Hugo Hajdukiewicz nie tylko był przystojny, ale emanował czymś, co Kaśka i jej sklepowe koleżanki określały jako bycie samcem alfa.

Ubrany był zwyczajnie, w białą polówkę i klasyczne džinsy, ale od razu zauważyła, że jest niezłe zbudowany jak na kogoś, kto pracuje umysłowo. W zasadzie wyglądał podobnie jak Artur, no ale przecież jej mąż był budowlańcem, choć nie takim od łopaty, lecz majstrem kierującym sporą ekipą ludzi.

Łucja leżała, bo znów podpięli jej kolejną kroplówkę, a jej małżonek najpierw się z nią przywitał, czyli cmoknął w policzek, następnie podszedł do Katarzyny Wojaczyk, poczekał chwilę, aż wyciągnie do niego dłoń, po czym lekko ją uściśnął i się przedstawił, a zaraz potem spytał, czy może trochę poprzeskadzać.

Kaśka była zachwycona, wreszcie jej marzenia się spełniły. Hajdukiewicz

przyniósł ze sobą nie tylko wielką lotniczą walizkę, co wywołało w niej z trudem powstrzymaną chęć wybuchnięcia śmiechem, ale także laptopa. Okazało się, że laptop ma połączenie z Internetem przez komórkę, a na dodatek będą mogły oglądać na nim większość najpopularniejszych programów telewizyjnych.

Trochę czasu Hugo spędził na ustawianiu i konfigurowaniu sprzętu. Gdy już wszystko działało jak należy, włącznie z bezprzewodową myszką pełniącą także funkcję pilota do telewizora, mąż Łucji wreszcie usiadł na niskim taborecie przy jej łóżku.

Podczas tych trzech kwadransów, które przy nim spędził, Kaśka udawała, że drzemie, ale tak naprawdę słuchała uważnie, o czym rozmawiają jej nowa sąsiadka i przystojny Hugo Hajdukiewicz. Próbowała ich jakoś sklasyfikować. Czy to patriarchat, a może odwrotność? W związku partnerskie Katarzyna nie wierzyła. Już dawno uznała, że nie ma takowych i zawsze któraś ze stron daje więcej, jedna dominuje, a druga jest bardziej skłonna do kompromisów. Wsłuchiwała się w szepczącą Łucję i pomrukującego mężczyznę, a im dłużej to trwało, tym bardziej była zdezorientowana i nawet pojedyncze zerknięcia na tajemniczą parę niewiele dały.

– Jeszcze pewnie z pół godziny. – Łucja usiadła tyłem do niej i popatrzyła na worek z kroplówką.

– Nie powinnaś leżeć?

– Nie, mogę siedzieć. Dziękuję ci za wszystko. Za telefon dla babci szczególnie, jak tylko będę mogła, oddam ci pieniądze za aparat i za rozmowy, choć może nie będzie ich jakoś dużo, skoro ma tyle darmowych minut, ale przecież to też nie jest tak całkiem za darmo, bo...

– Drobiazg, ale pomyślmy o tym, jeśli ci to przeszkadza – przerwał jej mąż.

– Co do laptopa, naprawdę mnie zaskoczyłeś, bardzo się cieszę, ale nie mogę przyjąć takiego drogiego prezentu. Proszę, umówmy się, że po wyjściu ze szpitala zabierzesz go. Może przyda ci się w biurze? Ja już mam swój komputer, przecież wiesz.

– Umówmy się tak: korzystaj z laptopa, a później zadecydujemy, co dalej – mruknął.

– Dobrze.

– Na pewno wystarczy ci ubrań?

– Tak, zabierz resztę z powrotem, przecież tu nie ma miejsca. Suszarkę też.

– Jasne. Moja matka zamierza cię odwiedzić w środę. Może przyjść?

– No pewnie, że tak. – Szept trochę się zgłośił. – A babcia kiedy zadzwoni?

– We wtorek.

– Pani Hania z nią porozmawia, wiesz, o tym wszystkim? – Łucja rozejrzała się na boki.

Kaśka od razu zacisnęła powieki i nawet cicho stęknęła, jak człowiek, który

śpi bardzo głęboko i coś mu się śni.

– Tak. Wieczorem do niej zadzwonię. Zapomniałbym, Jowita Richter prosiła, żebym cię pozdrowił. Widziała, jak wczoraj zabierało cię pogotowie.

– Naprawdę? Podziękuj jej.

– A książki? Mogą być? Czy przywieźć ci inne?

– Mogą być, poza tym nie wiem, czy znajdę czas, żeby czytać, bo teraz gdy mam laptopa, no i jeszcze jest Kasia... – Łucja zniżyła głos.

– Zostawię ci pieniądze.

– Nie trzeba, mam w portfelu pięćdziesiąt złotych.

– To za mało.

Taboret zaskrzypiał, a potem coś zaszeleściło w charakterystyczny sposób.

– Włóż do mojej torebki... daj ją tutaj, w szafce jest miejsce. Rozliczymy się po powrocie.

– Okej.

Zapadła cisza. Kaśka aż przestała oddychać. „Może się całują?” – próbowała odgadnąć, czym spowodowane jest to niespodziewane milczenie. Już zamierzała zerknąć, ale wtedy zaczęła się najbardziej interesująca część spotkania nowożeńców.

– O której godzinie masz zabieg?

– Rano, po ósmej.

– Okej, przyjadę wpół do ósmej. Wystarczy?

– Ale po co? Nie musisz iść do biura?

– Nie. Przypominam ci, że prosić szefa o zgodę nie muszę – oznajmił z lekko wyczuwalną ironią w głosie.

– Hugo... nie wiem, czy chcę, żebyś tu był wtedy...

– Proszę, pozwól mi.

– No dobrze – westchnęła. – Musimy jakoś ustalić twoje odwiedziny, przecież to ci zdeorganizuje całą pracę. Mnie tu jest naprawdę dobrze, Kasia jest bardzo sympatyczna, jedzenie smaczne i dużo, zresztą na parterze jest bufet i sklepik...

– Rozumiem.

Kaśka od razu pomyślała, że głos Hajdukiewicza zabrzmiał tak, jakby właśnie usłyszał wyrok śmierci. „O co tu chodzi?” – gubiła się w domysłach. „On taki zakochany, troskliwy, a Młoda traktuje go z buta” – pomyślała. – „Gdybym ja tak Artkowi sypała do kotła: nie potrzebuję, nie chcę, nie przychodź... zaraz by mnie postawił do pionu i olał na tydzień albo i dwa” – podsumowała zachowanie Łucji.

– Może w czwartki i niedziele? – Po dłuższej chwili padła propozycja.

– Porozmawiamy o tym jutro. Dobrze? – Głos mecenasa zabrzmiał wyjątkowo chłodno.

„Wcale ci się nie dziwię, chłopie, mieszkacie w Krakowie, nie masz nikogo nad sobą, wczoraj się chajtnąłeś, a żonka proponuje, żebyś ją odwiedzał dwa razy w tygodniu? Co jest z tobą, laska?” – Kaśka aż westchnęła do siebie.

– Zgoda.

– Kroplówka się skończyła. Pójdę po pielęgniarkę.

Sąsiadka Łucji lekko obróciła głowę i uniosła powieki, zobaczyła wychodzącego z pochyloną głową mężczyznę i skuloną na łóżku jego młodziutką małżonkę. Siedziała zgarbiona. Jej szczupłe ciało widoczne przez cienką tkaninę na plecach kiwało się delikatnie w przód i w tył.

„Z deszczu pod rynnę” – pomyślała Kaśka, przypominając sobie poprzednią parę, która dzień w dzień się kłóciła. Patrycja i Damian Leśniakowie, najbardziej rozdarty duet, jaki można było sobie wyobrazić. Trzy minuty po tym, jak Damian przekraczał próg szpitalnej sali, zaczynały się jazdy. Szli prawie łeb w łeb, bo z niewielką przewagą Pati. Tu, owszem, było inaczej, grzeczniej, z kulturą, ale czy lepiej? Katarzyna Wojaczyk wcale nie była przekonana. „Co to za związek? Co ich łączy? Muszę do tego dojść” – postanowiła w duchu.

Rozdział 4

Łucja od rana tłukła się po sali jak mucha na szybie. Nie mogła znaleźć sobie miejsca, ciągle myślała o babci. Nawet Kasia próbowała zabawiać koleżankę pogaduszkami o wyprawce albo o wyswataniu swojego synka, czyli „małego Artka”, z jej córeczką, która nie miała jeszcze wybranego imienia.

– Nie denerwuj się tak, bo w końcu i tobie coś się stanie – mruknęła, widząc Łucję stojącą przy oknie i miarowo uderzającą pięścią o parapet. – O której ma przyjechać twój mąż?

– Spóźnia się już godzinę! – warknęła w odpowiedzi. – O matko, jak się boję...

– Zadzwoń do niego.

– Nie. Powiedział, żebym nie dzwoniła. Wiesz, może coś się opóźniło, to spotkanie z Kuźnieckim, ordynatorem. – Odwróciła się i popatrzyła na Kaśkę. – Sama nie wiem, czy to dobry znak, czy wręcz odwrotnie.

– Dzisiaj już wszystko będziecie wiedzieć?

– Raczej tak.

– Powiem ci szczerze, że to i tak błyskawica. Przecież twoja babcia siedzi tam niecałe dwa tygodnie. Poza tym obiecali, że w piątek będziecie wiedzieć, i tak jest. To niespotykane w tym chorym kraju – orzekła. – Inni czekają miesiącami na przyjęcie do szpitala, a gdy już to się uda, leżą, a jedyne leczenie polega na podawaniu im glukozy i środków przeciwbólowych.

– No wiem, ale wcale nie czuję się lepiej z tą świadomością. Mam w nosie, co się dzieje z innymi – sarknęła. – Jezu, przepraszam, jestem okropna. – Zakryła dłonią usta, a potem szybko się przeżegnała, mamrocząc pod nosem: „Wybacz, Panie Boże...”.

– Już się tak nie módl, bo jeszcze świętą zostaniesz – prychnęła Kaśka.

– Przyjechał! – pisnęła Łucja, która znów utkwiała wzrok w widoku za oknem.

– Spokojnie, bo poronisz! Ja pitolę, ale jesteś narwana. – Nie kryła niezadowolenia. – Ten twój Hugo to ma krzyż pański z tobą, świrusko.

– Idzie szybko, to chyba dobrze? – westchnęła Łucja, zupełnie ignorując uwagi Katarzyny. – Gdyby miał złe wiadomości, może by szedł wolniej? – zastanawiała się, próbując na podstawie tempa przemieszczania się męża wysnuć jakieś wnioski.

– Mam prośbę, jak już wejdzie, nie uciekajcie od razu na korytarz. Też chciałabym wiedzieć, co z twoją babcią. Sorki, nie myśl, że jestem wścibska, po prostu martwię się... – Kasia przełknęła ślinę. Jeszcze z żadną z dziewczyn tak się nie zżyła jak z Łucją przez te sześć dni razem spędzonych i choć czasami Młoda drażniła ją swoim dziecinnym zachowaniem, pokochała „włochatego skrzata

z brzuchem” prawie jak własną siostrę.

– Jasne, że zostaniemy. Jesteś kochana. – Łucja nachyliła się i mocno przytuliła przyjaciółkę.

– Przestań, bo mnie udusisz. – Kaśka odepchnęła ją lekko, bo obie właśnie zaczęły się mazać, a czego jak czego, ale płakać przy kimś nie znosiła.

Łucja jeszcze raz się przeżegnała, siadła na łóżku i przykryła nogi kocem. Wiedziała, że gdy Hugo wejdzie i zastanie ją biegającą po sali, dostanie się jej, i to konkretnie. Zdenerwowana do granic możliwości międlila w dłoniach róg kraciastego pledu. Gdy kroki na korytarzu były coraz głośniejsze, prawie przestała oddychać.

– Dzień dobry. – Hugo wsunął nieśmiało głowę, a stwierdziwszy, że nic krępującego u mieszkanek sali się nie dzieje, wszedł do środka.

– I co?! – Łucja nie mogła już wytrzymać. Pociągnęła go za rękaw koszuli, nie dając mu nawet szansy na przywitanie się z Kaśką.

– Uspokój się. Chryste, dziewczyno... – Przysiadł na brzegu łóżka i mocno uścisnął żonę, która właśnie zupełnie się rozkleiła. – Nie jest źle, wykluczili SLA. Słyszysz? Wykluczili. Łucja, nie płacz, bo coś ci się stanie... – Tulił ją do siebie, kołysał, ale ona nie reagowała. Szłochała w jego tors jak wtedy, gdy odkrył, że ona spodziewa się dziecka. Hugo wywrócił oczami, spojrzał przez ramię na sąsiadkę Łucji i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Widzi pani, co ja mam z tą wariatką?”.

Kaśka puściła do niego oczko, uniosła dłoń z wysuniętym do góry kciukiem i uśmiechnęła się od ucha do ucha, choć też przez łzy. Wzruszyła się. Zresztą chyba nawet kamień by się wzruszył, widząc reakcję Łucji.

Po kilku minutach Hugo odsunął lekko żonę i zerknął na jej twarz.

– Już? – spytał, mając nadzieję, że będzie mógł z nią spokojnie porozmawiać.

– Przepraszam... – wyjąkała. Wydostała się z jego objęć, zawstydzona, że tak ją poniosło. Wyciągnęła z szufladki szafki paczkę chusteczek i oczyściła nos.

– Nie możesz tak się denerwować – oznajmił, choć sam również był poruszony.

– Już mi przeszło – sapnęła, pociągając nosem.

– Okej.

Łucja sięgnęła po butelkę z wodą i wypiła prawie połowę zawartości. Jeszcze raz wyczyściła nos, zerknęła na męża i wtedy do niej dotarło, że on znów, jak kiedyś, ma cały przód koszuli mokry od jej łez.

– Ojej, jak ty wyglądasz...

– To nic. Prosto stąd jadę do mieszkania – poinformował ją lakonicznie.

– Uhm.

– Pewnie jesteś ciekawa, co ustalili? – przypomniał jej cel swojej wizyty.

– No tak. Ale to na pewno nie to stwardnienie? – Popatrzyła mu w oczy.
– Na pewno nie boczne zanikowe. Wykluczyli SLA.
– To co jej jest?
– Nie wiedzą do końca, i musimy o tym porozmawiać. – Hugo chrząknął znacząco.

Łucja od razu się domyśliła, o co mu chodzi. Westchnęła, że powinna skorzystać z toalety. Odsunęła koc i wygramoliła się z łóżka. Napięcie opadło i teraz miała wrażenie, że zaraz się przewróci, tak była słaba. Przyjęła zaoferowaną pomoc w postaci silnego, męskiego ramienia i razem z mężem wyszła z sali.

– Jeszcze raz cię przepraszam. – Znów zerknęła na jego koszulę.
– Daj spokój. – Podprowadził ją do ławki.
– Mów, jestem przygotowana – sapnęła, przełykając ślinę.

Twarz jej męża wcale nie wyglądała jakoś radośnie, więc domyśliła się, że najgorzej nie jest, ale rewelacyjnie też nie.

– Posłuchaj. – Hugo usiadł przodem do niej i po ostatnich wydarzeniach nawet nie miał większych obiekcji, żeby ująć jej dłoń w rękę i mocno ją ścisnąć. – Rozmawialiśmy z Kuźnieckim, ja i twoje ciotki. Co do diagnozy, nie wykluczają PLS, czyli pierwotnego stwardnienia bocznego.

– Co?! Przecież mówiłeś...

– *Damn*, pozwól dokończyć! – podniósł głos. – To coś zupełnie innego! Choć podobnie się nazywa, rokowania są inne. Ludzie z tym żyją przez dwadzieścia lat i więcej. Symptomy są znacznie łagodniejsze, w zasadzie nie przeszkadzają w normalnym funkcjonowaniu.

Jak szybko się zdenerwował, tak jeszcze szybciej się uspokoił, bo zauważył natychmiastową reakcję Łucji. Wyrwała dłoń i objęła brzuch rękami, a w jej oczach znów pojawiły się łzy.

– Przepraszam, ale to dla mnie zbyt trudne... – Zwiesiła głowę.

– Sorry, że na ciebie naskoczyłem. Już dobrze? Posłuchaj uważnie...

– Poczekaj. – Przełknęła ślinę, a potem nieśmiało wsunęła swoją dłoń do jego dłoni.

– Okej – mruknął, ściskając ją jak uprzednio. – Profesor dał wam do wyboru trzy możliwości. Pierwsza: twoja babka wróci do domu, bo on nie może dłużej trzymać jej na oddziale, będzie jeździła na badania do Krakowa, ale to dosyć długo potrwa, gdyż na niektóre z nich czeka się nawet pół roku i więcej.

– Rozumiem – potaknęła.

– Druga: to samo, ale w wersji płatnej. Czyli zapłacicie za część badań, wtedy odbędzie się to znacznie szybciej, maksymalnie trzy miesiące.

– Uhm. A trzecia?

– Trzecią Kuźniecki przedstawił wyłącznie mnie. Twoje ciotki z pewnością zadzwonią i będą próbowały wydobyć z ciebie informacje, bo nic im nie

powiedziałem. Woląłem porozmawiać najpierw z tobą, a gdy zadecydujesz, powiesz im. Dobrze?

– Jasne. – Pokiwała głową.

– Otóż on ma kumpla, też profesora, ale z Drezna. To jest w Niemczech.

– Wiem, gdzie jest Drezno. – Łucja prychnęła, bo poczuła się jak idiotka.

– Ten facet ma prywatną klinikę – ciągnął Hugo – specjalizuje się w diagnostyce neurologicznej i dysponuje najlepszym sprzętem, w tym aparaturą PET i innymi. W czasie dwutygodniowego pobytu twoja babka przesłaby tam wszystkie zalecone przez Kuźnieckiego badania, do tego jeszcze kilka innych, w Polsce na razie niedostępnych. Według Kuźnieckiego to może być również jakaś ciężka infekcja bakteryjna, a w tej niemieckiej klinice natychmiast wdrażają odpowiednie leczenie.

– Rozumiem. – Łucja znów pokiwała głową. Domyśliła się, dlaczego Hugo nie zdecydował sam. Nie była aż tak naiwna, żeby nie wiedzieć, że taki pobyt będzie kosztował majątek.

– Niestety, nie masz zbyt wiele czasu na zastanowienie, bo jeśli się nie zdecydujecie na wariant trzeci, on już dzisiaj wypisze twoją babkę do domu.

– A jeśli się zdecydujemy? – Popatrzyła na męża z napięciem w oczach.

– Wtedy też ją wypisze, ale jutro, ewentualnie pojutrze rano, bo wieczorem w niedzielę powinna być już w Dreźnie. Od poniedziałku zaczęliby badania. Profesor Sauer wyjeżdża później na miesiąc na wczasy, a potem ma dwumiesięczne szkolenie w Stanach, więc albo teraz, albo to nie ma sensu.

– Aha.

– Twoja babka nie zna niemieckiego?

Pokręciła głową, coraz bardziej pochłonięta myślami, jaką podjąć decyzję.

– Tak sądziłem. Wobec tego zostaną tam z nią, może nie na cały czas pobytu, ale przynajmniej na kilka dni, żeby się oswoiła.

– Ty ją zawieszysz? – Łucja wybałuszyła oczy.

– A kto? Mówię po niemiecku, poza tym wiem, gdzie się zatrzymać, znam Drezno bardzo dobrze.

– Nie powiesz mi, ile to będzie kosztować? – Opuściła głowę i smętnie nią pokiwała.

– Nie i nie pytaj, bo i tak nie odpowiem. Więc? – Hugo zerknął na zegarek. – Twoje ciotki czekają w szpitalu – przypomniał jej. Podniosła na niego oczy i spytała:

– Jak my... jak ja ci się odwdzięczę?

– Nie oczekuję wdzięczności – odpowiedział z trudem Hugo.

– Ja wiem, czego oczekujesz, ale...

– Mylisz się – wyrzucił nagle z siebie. – Nie pomagam wam, żeby cię kupić. Nie liczę na to, że się zlitujesz i mi wybaczysz albo zechcesz być ze mną tylko

dlatego, że będziesz się czuła zobowiązana.

– To nie tak... – zachnęła się.

– Łucja, posłuchaj. – Ścisnął mocniej jej dłoń. – Zapamiętałem każde twoje słowo. Mówiłaś, że nas nie ma i nigdy nie było, i miałaś rację. Zakochałaś się w wyobrażeniu, w tym, co zbudowałaś w swojej głowie, nie we mnie. Niczego nie pragnę bardziej niż tego, żebyś pokochała mnie prawdziwego, żebyś mi zaufała i była ze mną, ale gdy tak się nie stanie, będę żył dalej.

– Ja... – chciała dokończyć, powiedzieć, że potrzebuje więcej czasu, ale głos ugrzązł jej w gardle.

– Porozmawiamy po moim powrocie – stwierdził spokojnie, ale i bardzo stanowczo.

– Dobrze.

– Jeszcze kilka spraw. Przez tych parę dni moja matka będzie cię odwiedzać, jeśli czegoś będziesz potrzebowała, dzwoń do niej.

– Dobrze.

– Nie rozgaduj się z ciotkami, zwłaszcza na temat finansów. Z twoją babką porozmawiam jeszcze dzisiaj. Wersja oficjalna brzmi: moja mama załatwiła klinikę.

– Rozumiem.

– Muszę uciekać, pojedę się przebrać, a potem do szpitala. Jutro spędzę cały dzień w biurze, żeby nadrobić kolejne dni, więc mogę przyjechać tylko w razie pilnej potrzeby.

– Uhm – mruknęła.

– Odprowadzę cię do sali.

– Nie trzeba, sama wrócę... – Podniosła się powoli.

– Na pewno? – Stał nachylony i patrzył na Łucję z niepokojem.

– Na pewno. Idź już. – Uśmiechnęła się blado.

– Okej. To trzymaj się. Zadzwoń wieczorem, powiem, jak wypadła rozmowa z babką.

– Dobrze. Hugo...

– Tak?

Nie odpowiedziała, objęła go i delikatnie pocałowała w policzek.



Śniadanie zjedzone, obiad też, dwie kroplówki zaliczone, włosy Łucji umyte i zaplecione w luźny warkocz, a Kaśki uczesane i spięte gumeczką. Dziewczyny nawet film obejrzały. Wprawdzie „pacjentka z długim stażem” zdążyła zasnąć co najmniej trzy razy, bo komedię *Pretty Woman* znała nieomal na pamięć, ale Łucja się uparła, twierdząc, że to pozwoli jej trochę zająć

myśli. Bez większych sukcesów, niestety. Teraz bezradnie dreptała od okna do drzwi i z powrotem do okna, i znów do drzwi...

Hugo dzwonił codziennie, ale rozmawiali maksymalnie kilka minut i kończył. Był jakiś inny, wycofany i chłodny, w końcu Łucja nie wytrzymała i spytała go, czy się na nią obraził, a może ukrywa coś dotyczącego zdrowia babci. Odparł, że po prostu jest zmęczony i obiecał, że babka zadzwoni do niej w czwartek, wtedy sobie pogadają i może Łucja uwierzy, że nic złego się nie dzieje.

– Ale łazisz, jak kot za zdechłą rybą po śmietniku... – westchnęła Kaśka, widząc, co dzieje się z Młodą.

– Może zadzwonię? – Popatrzyła na komórkę leżącą na szafce.

– A może daj se siana, bo ja zadzwonię po Czarną Wdowę? He? Przecież nie możesz im przeszkadzać.

– No wiem. – Łucja potaknęła.

– Siądź na czterech, bo ci się coś stanie. Jezu, jak ten twój piękniś wróci, wszystko mu powiem. Zobaczysz! – Zmarszczyła czoło.

– Dobrze się czuję – odburknęła.

– Tak, dzisiaj dobrze, a jutro znów będziesz stękać, że cię ciągnie w dole brzucha.

– To przecież było po tym zabiegu, ponad tydzień temu. – Łucja chciała postawić na swoim, ale posłuchała Kasi i położyła się, choć wyglądało to tak, jakby leżała na rozżarzonych węglach, a nie na kocu.

– I co z tego? Myślisz, że Piotrowiec trzyma cię tu dla dekoracji? – zażartowała Kaśka, bo nie potrafiła się gniewać na niesforną towarzyszkę. – Wiem! Jutro będzie Artur, to poskarżę na ciebie. Zdejmie pasek, a dostaniesz po tyłku, aż będzie się kurzyć.

– No już dobrze. Nie wolno bić dzieci, mamoo... – dodała Łucja. Wiedziała, że Kaśka uwielbia, kiedy tak się do niej zwraca. Niby się złościła, przekomarzała, że takiej niegrzecznej córki by nie zniosła, ale widać było, że lubi być tak nazywana.

– A czemu nie mówisz „mamo” do pani Hani? – Kasia podparła głowę i popatrzyła na Młodą.

– Nie wiem. Jakoś nie potrafię. – Wzruszyła ramionami. – Nie mam wprawy.

Łucja zdążyła się już zwierzyć przyjaciółce z tego, że wychowywała ją babcia, bo rodzice zginęli, gdy miała trzy lata, i ze zdumieniem stwierdziła, że Kaśka była pierwszą nieco „starszą” kobietą, która nie biadoliła nad tym faktem. Owszem, powiedziała, że jej przykro, wysłuchiwała cierpliwie historii, ale szybko ją pocieszyła, że tak czasami w życiu jest.

– Mnie też trudno było przestawić się z „pani” na „mamo”, ale moja teściowa to małpa, poza tym ja mam mamę, a ty nie, więc tobie powinno być

łatwiej. – Kasia puściła do niej oczko.

– Ciekawy punkt widzenia. – Łucja parsknęła śmiechem.

– Powinnaś się przełamać. – Kaśka nagle spoważniała. – Jego matka bardzo cię kocha. Myślę, że by się ucieszyła.

– To nie takie proste... – Łucja wlepiła wzrok w sufit. Co miała powiedzieć? Że jej małżeństwo to efekt zawartej z Hajdukiewiczem umowy? Że nie jest pewna, jak długo będzie trwało? Że gdy Hugo jest blisko, ona myśli tylko o tym, żeby jakoś się hamować i nie rzucić mu się w ramiona, a kiedy zostaje sama, znów opadają ją wątpliwości?

– Wszystko jest trudne, nim stanie się proste – westchnęła Kaśka.

– Niekiedy najpierw jest proste, a potem robi się trudniej... – odpowiedziała Łucja nieco enigmatycznie.

Jej sąsiadka już miała spytać, co ma na myśli, ale wtedy zadzwoniła komórka. Naturalnie Młoda podskoczyła na materacu jak ukłuta szpilką. W ułamku sekundy odebrała, ale równie szybko uśmiech na jej twarzy zgasł.

– Hugo? No hej... dobrze... a dlaczego?... Rozumiem. – Popatrzyła na Kaśkę i pokręciła głową, dając jej bezgłośnie znać, że z babcią dzisiaj nie porozmawia. – Ale wszystko z nią w porządku? Nie bolało ją? – dopytywała. – Uhm... no tak, piąta. – Zerknęła na ścienny zegar. – Jutro? Super. Pozdrów ją... aha... będę czekać... no pa.

– Co jest? – Kasia zauważyła, że Łucja minę miała nietęgą.

– Babcia miała jakiś zabieg, nakłucie lędźwiowe?

– To badanie, nie zabieg.

– Tak, masz rację. Niestety, fatalnie go zniosła, nie mogli się wkluć, a teraz strasznie wymiotuje i Hugo tam poszedł, bo lekarze muszą mieć z nią kontakt.

– Niektórzy tak reagują. Moja kuzynka chorowała na zapalenie opon mózgowych, też jej to robili, też wymiotowała i potem strasznie bolała ją głowa, ale to ponoć typowe dla tego badania. To boli mniej niż zastrzyk u dentysty. Nie martw się. Jutro porozmawiacie. – Zauważyła, że Łucja zmarkotniała i chciała ją jakoś pocieszyć.

– Nawet Hugo nie miał czasu. Mówiłam ci, że tam tylko jedna pielęgniarka zna polski? Dziwne, prawda? Niestety, dzisiaj miała wolne i dlatego on siedzi z babcią, a wieczorem pewnie znów będzie zmęczony, bo powiedział, że zadzwoni jutro.

– Ej! Panna, ale nie jęcz. Przecież on nie pojechał na wczasy – odparła Kasia poważniejszym tonem, w którym pobrzmiwało zniecierpliwienie. Uniosła się i lekko wsparła na łokciach, żeby lepiej widzieć Łucję siedzącą na brzegu łóżka i bezmyślnie majtającą bosymi stopami.

– Trochę mi przykro, bo tak mnie zbył. – Łucja wzruszyła ramionami.

– Posłuchaj, wiesz, ile bym dała, żeby posiedzieć i pomachać łapami jak ty?

A jakoś nie narzekam. A co do tego twojego męża, wyobraź sobie, jak on tam ma przechlapane. Siedzi pewnie cały dzień przy twojej babci, tłumaczy jej, co mówią lekarze. Wiesz, ile on się napatrzy na to wszystko? Ty się puknij w głowę, a nie stękaj. Mój Artek w życiu by tam nie wytrzymał, nawet do mnie wpada jak po ogień, bo nie znosi szpitali – fuknęła z irytacją.

– Masz rację. – Zrobiło jej się głupio. Nie pomyślała, jak wszystko może wyglądać tam na miejscu. A przecież uczestnictwo w takich badaniach, nawet jako widz, musiało być bardzo nieprzyjemne i stresujące.

– Jak już wróci, powinnaś mu podziękować. I to z całego serca. Nie dość, że jego matka nie wiem jakim cudem załatwiła taką klinikę, to jeszcze on wam pomaga. Nie wiem, czy jakkolwiek facet aż tak by się poświęcił dla babci swojej żony. Przypuszczam, że wielu nawet dla własnej matki by tego nie zrobiło.

– Wyślę mu SMS-a. – Popatrzyła pytająco na koleżankę.

– A po co? Daj mu spokój, jutro pogadacie. – Kaśka ułożyła głowę na wygniecionym w poduszce dołku.

– Wiem. Jestem głupia. – Łucja od razu zsunęła się z łóżka i poprawiła kołdrę leżącą na chudych jak patyki nogach Katarzyny.

– Nie jesteś głupia, raczej młoda i trochę dziecinna. Czasami warto skupić się na tym, co ważne. Nie tylko słuchać, co ktoś mówi, ale i zauważać, co robi. Po czynach ich poznacie! – Parsknęła śmiechem. – Nie czytasz Biblii?

– Czytam. – Łucja przełknęła gulę, która nie wiadomo kiedy pojawiła się w jej gardle. Siadła z powrotem na łóżku, otuliła się kocem przyniesionym przez męża i z zapalem zaczęła skubać wystającą z frędzla zbyt długą nitkę.

– Wiesz, może i ten twój Hugo nie jest szczególnie czuły i miły, rzeczywiście mógłby cię trochę cieplej traktować, zwłaszcza że jesteś młodziutka – westchnęła – ale życie to nie sama słodycz. Uwierz mi, Hugo jest tysiąc razy lepszy niż taki facet, który bajeruje od pierwszych minut, jak to go trafił grom z jasnego nieba, jak cię kocha i uwielbia i że jesteś kobietą jego życia. Będzie ci taki oszust prawil komplementy, zabierał do restauracji, obsypywał prezentami, a gdy już osiągnie swój cel, zostawi na lodzie, porzuci jak zbędną rzecz. – Kaśka czuła się w obowiązku trochę obsztorcować „małą niewdzięcznicę”. – Masz szczęście, docień to.

– Uhm... – Niestety, Łucja nie potrafiła dłużej powstrzymać łez i nagle gwałtownie zaszlochała. Chciała skryć się przed całym światem, zamknęła oczy i przytulając do twarzy róg koca, łkała, bo przed oczami znów miała te wszystkie najpiękniejsze i najlepsze, jak się jej wtedy wydawało, chwile życia.

– Jezu! Młoda, dlaczego płaczesz? No, chodź tu! – Katarzyna od razu dźwignęła głowę i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć dziewczyny. – Przepraszam, nie chciałam cię urazić! Przepraszam. – Bezradnie patrzyła na rozpaczającą Łucję, poczuła się okropnie, bo stwierdziła, że zbyt mocno po niej pojechała. – Przestań

beczeć, no chodźże tu. – Próbowwała sięgnąć drobnego kolana koniuszkiem palca, ale łożka stały zbyt daleko od siebie.

– Już... – Łucja zauważyła jej starania, zsunęła się z krawędzi materaca i ciągle wstrząsana łkaniem usiadła na brzegu sąsiedniego łożka.

– No chodź. – Pociągnęła ją za ramię. – Przepraszam, nie chciałam, nie gniewaj się na starą Kaśkę...

Niezgrabnie, ale jakoś się przytuliły, mimo wystających brzuchów oraz niewygodnej pozycji. Katarzyna choć przez chwilę mogła pogłaskać przybraną „córeczkę” po plecach i tym ją udobruchać.

– Nie gniewam się – wyjąkała w końcu Łucja. – To nie przez ciebie płaczę. – Usiadła, brzegiem długiej koszulki otarła twarz. „Przecież i tak jest brudna” – pomyślała, patrząc na sporą plamę po pomidorówce widniejącą na szczycie brzucha.

– To przez kogo? – Chwyciła Łucję za rękę. – Nie powiesz? – spytała po minucie.

– Nie dzisiaj. – Popatrzyła na przyjaciółkę z nadzieją, że zrozumie.

– Dobrze. Kiedyś mi opowiesz, tylko już nie płacz, ty mój włochaty skrzacie. – Kaśka ścisnęła szczupłą dłoń. – Chcesz czekolady? Zjemy po pół. – Sięgnęła za głowę po marsa leżącego na szafce. – Lubisz słodczy?

– Lubię, ale gorzki smak też zdążyłam już poznać... – westchnęła Łucja z nieskrywanym żalem.

Zjadły batonik i wtedy nie wiadomo jak i kiedy temat rozmowy zszedł na chore małeństwa. Łucja pomyślała, że Kaśka jak mało kto zasługuje na szczerłość, więc postanowiła opowiedzieć koleżance dramatyczną historię o tym, jak laboratorium wysłało jej omyłkowo wyniki badania innej pacjentki. Nikomu wcześniej o tym nie mówiła. O całym zajściu wiedziała tylko ona, Hugo i jej lekarz, więc podkreśliła, że to sekret.

– Zrobili mi test NIFTY, taki z krwi. Wyniki wysłali na skrzynkę mailową. Napisali, że dziecko jest chore na zespół Edwardsa. To ciężka wada genetyczna. Dzieci najczęściej umierają już w trakcie ciąży, a nawet gdy się urodzą, żyją bardzo krótko. Oczywiście Hugo od razu zadzwonił do Piotrowca, a ten powiedział, że gdy wynik się potwierdzi, najlepiej będzie zrobić aborcję.

– O Jezu! – Kasia przytknęła palce do ust. – I co? Jak szybko to sprostowali?

– W sumie bardzo szybko, bo po dwóch godzinach zadzwonili z laboratorium, że pomyłka, ale co przeżyliśmy... – Łucja z niedowierzaniem pokręciła głową. – Do końca życia tego nie zapomnę. To było straszne – wykrztusiła, czując łzy napływające do oczu.

– Powiem ci, że mój Artek chyba ich zamordował w tym laboratorium. Boże, co za idioci! Przecież mogłaś poronić ze stresu. Bęcwały! Ech, rzadko klnę, ale ta baba, która ci to wysłała, to jakaś tępa pizda. A co na to Hugo? Nie pozwał

ich? – Kaśka była wyraźnie poruszona.

– Chciał. Pojechaliśmy tam nazajutrz, żeby osobiście odebrać prawidłowy wynik. Hugo zrobił straszną awanturę, ledwie udało mi się go uspokoić. Napisał pozew, ale uprosiłam, żeby go nie składał w sądzie. Każdemu może się zdarzyć pomyłka. Poza tym i tak zwolnili dwie osoby odpowiedzialne za ten błąd. Najważniejsze, że mała jest zdrowa. Gdy usłyszałam, że wszystko z dzieckiem jest w porządku, prawie umarłam ze szczęścia. – Łucja wyraźnie się wzruszyła.

– Wiesz co, Młoda? – Kaśka już miała zaproponować zmianę tematu, ale Łucja jej przerwała:

– Przepraszam, chyba cię zdenerwowałam.

– Nie masz za co przeproszać. Czasami dobrze się wygadać.

– Uhm. A co chciałaś mi powiedzieć?

– Że choć taki z ciebie mały włochaty skrzat, masz wielkie serce...

Rozdział 5

– I zostałam sama – westchnęła do siebie Łucja. – No, prawie sama. Poglaskała się po brzuchu, a potem z trudem wspięła na najwyższej położoną część materaca łóżka, które jeszcze wczoraj zajmowała Kasia. O szóstej nad ranem, trzy tygodnie przed terminem, czyli szesnastego sierpnia, przyszedł na świat mały Artek.

Kaśka niby czuła się świetnie, o ile można czuć się świetnie, leżąc tyle miesięcy w pozycji „do góry nogami”. Żartowała z Łucją, a gdy na godzinkę wpadł Artur, porozmawiały z nim jak zawsze o wszystkim i o niczym. Chyba ją tknęło, że jej pobyt w tym miejscu dobiega końca, bo poprosiła męża, żeby zabrał do domu trochę rzeczy, między innymi kilka książek o pielęgnacji maleńkich dzieci. Obie przyszłe mamusie znały je już prawie na pamięć, tak samo jak ponad dwadzieścia czasopism „Dziecko”, „Twój Bobas” i podobnych, czytanych na bieżąco.

O północy Kaśka się obudziła, jęcząc i stękając, bo coś ją bolało w dole brzucha. Łucja wezwała pielęgniarkę, a chwilę później jej przyjaciółka znalazła się na porodówce. Niestety, nie mogła tam się z nią udać, więc cała w nerwach zaczęła spacerować po salce. Odbijała się w szybie skrywającej za sobą pograżony we śnie Kraków, przejęta, z przytuloną do piersi małą poduszeczką, na której pozostał jeszcze zapach włosów Kasi.

Poddała się po godzinie. Próbowwała zasnąć i w końcu się udało, choć to była najgorsza noc w tym miejscu. Kwadrans przed szóstą Łucja dostała SMS-a od Hugona. Pisał, że już jest na miejscu, czyli w Gdańsku, gdzie pojechał w interesach, a przy okazji zawiózł do pobliskiej Stegny matkę i jej przyjaciółkę na dwutygodniowy pobyt nad morzem.

Prosiła o tę wiadomość zaraz po jego przybyciu, bo trochę się niepokoiła. Na północy panowały nieprawdopodobne jak na Polskę upały. Niestety, do tego dołączyły bardzo gwałtowne burze i ulewy. Dziewczyny z przerażeniem oglądały na laptopie filmiki relacjonujące przebieg tych zjawisk, przypominających czasami to, co dotychczas wydarzało się wyłącznie w innych krajach.

Za to południe Polski przeżywało najwspanialsze dni lata. Było słonecznie, ale nie gorąco. Owszem, zdarzały się słabe burze, przynoszące krakowianom tylko ulgę. Powietrze stawało się cudownie orzeźwiający, pachnący i świeży, a stare drzewa otaczające szpital wyglądały pięknie, gdy ich liście połyskiwały kroplami deszczu w pojawiających się z powrotem promieniach słońca. I właśnie w taki śliczny poranek przyszedł na świat syn Katarzyny i Artura Wojaczyków.

Łucja postanowiła podzielić się tą wiadomością z babcią, bo przecież nie wypadało dzwonić do męża, który zapewne odsypiał nocną podróż. Zerknęła na zegarek, była dziesiąta. Sięgnęła do kieszeni po telefon i kilka sekund później usłyszała ukochany głos.

Od dwóch miesięcy babcia była wyłącznie „głosem”, nie licząc kilku MMS-ów otrzymanych od Justyny, ukazujących Zofię Maśnikową w nowej odsłonie: szczuplejszą o prawie dwadzieścia kilogramów straconych przy okazji wędrówki po szpitalach i klinikach.

– No i co tam, kozo, co tak dzwonisz z rana? Nudzisz się?

– Kasia urodziła.

– Naprawdę?! Kiedy? – Babcia była wtajemniczona we wszystko, co dotyczyło sąsiadki wnuczki.

– Zaczęło się o północy, a o szóstej rano skończyło. Dzidzius super, zdrowiusieńki, ponoć ma nawet włoski. Równe trzy tysiące gramów i pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu! Wysoki, prawda? – W głosie Łucji brzmiał entuzjazm.

– Chyba długi? – Babcia parsknęła śmiechem po drugiej stronie słuchawki.

– No długi, długi. Cesarzkę miała.

– A dlaczego?

– Przez to leżenie, nie miała siły na naturalny poród.

– No tak. Mówiłaś, że ona prawie nie ma mięśni.

– No. – Łucja aż się wzdrygnęła na myśl, ile miesięcy rehabilitacji czeka teraz Kasię. Ile tygodni spędzi na nauce chodzenia, siadania, wstawania z łóżka. Od razu pomyślała, że przecież podobny los, czyli życie na wózku, mógł spotkać babcię, choć znacznie tragiczniejszy, bo z babcią byłoby tylko coraz gorzej, nie lepiej. Na szczęście ukochany Bożyczek, jak mówiły ciotki, na to nie pozwolił.

– A co u ciebie?

– Dobrze. Brzuch mi rośnie – zachichotała. – Dzidzia dzisiaj spokojna, tylko trzy razy mnie kopnęła w żołądek, na szczęście zgagi nie mam, choć, nie powiem, oddycha mi się coraz ciężiej.

– Wytrzymasz. Pomyśl, jak męczyłam się z bliźniaczkami. Dwadzieścia osiem kilo przybrałam, a nie siedem jak ty, chudzielcu. A kto cię dzisiaj odwiedza?

– Nikt – westchnęła markotnie Łucja.

– Bo?

– Marta była w poniedziałek, więc pojawi się w przyszłym tygodniu. Tym razem z Olą, bo już ma wrócić z wakacji, a Hugo wczoraj późnym wieczorem pojechał do Gdańska razem z mamą.

– Tak? A po co? Długo ich nie będzie? – Babka się zmartwiła. Nie mogła kontaktować się osobiście z ciężarną wnuczką ze względu na prowadzoną kurację i na ewentualne ryzyko zakażenia bakteryjnego.

– On w interesach, a pani... znaczy się mama pojechała na odpoczynek z koleżanką. Hugo wraca jutro po południu – wyjaśniła.

– To dobrze. Wolałabym, żebyś sama tam nie siedziała. Powiem Agatce i Irencie, może któraś będzie mogła jutro rano do ciebie pojechać, bo dzisiaj to już trochę za późno. Zanim się zbiorą, minie pięć godzin. Wiesz, one teraz mają gorzej

niż ja! – skwitowała wesoło. – Ja gonię z tyłkiem po domu jak fryga, a te moje klupy się toczą.

Maśnikowa cieszyła się jak dziecko z odzyskanej linii, jak nazywała swoją znacznie mniejszą tuszę. Wyciągnęła z przepastnej szafy kilka z trudem zdobytych jeszcze za komuny kuponów materiałów i na starej maszynie uszyła sobie trzy letnie sukienki. Gdy pokazała się zięciom, panowie zgodnie orzekli, że teściowa się taka laska zrobiła, że może „iść na chyt”, czyli na podryw.

– Justynka do mnie wczoraj dzwoniła, mówiła, że jej mama się odchudza. – Łucja zachichotała do słuchawki.

– No wiem, wiem. Chwałyły się, bo ponoć obie na diecie, znaczy i Agatka, i Irenka. A ta ostatnia to mnie nawet zbesztła, że przeze mnie tak ostatnio przybrały, bo zajadały stres. No i zajadały się tym stresem, co to się drożdżowe ciasto nazywa, że razem ważą dwa metry! Dwieście kila! Moje kruszyny, które w brzuchu nosiłam! Teraz by mnie rozerwały! – Zaśmiała się, że aż coś zatrzeszczało w mikrofonie aparatu.

– Ciekawe, czy im się uda? – Łucja była sceptycznie nastawiona.

To nie pierwszy raz, kiedy ciotki „brały się za siebie”. Oj, czego one już nie próbowały, i tego Dukana, co to taki sławny był w Internecie, ale po trzech miesiącach obie miały dość, bo na widok kur spacerujących po matczynym podwórzu podnosiło im żołądki. Próbowaly też diety tysiąca mórz czy wysp, była również dieta ananasowa oraz jabłkowa. Było też coś, co wymyślił jakiś prezydent, Łucja dokładnie nie wiedziała, bo sama miała raczej odwrotny problem. Jak jej nieżyjący od lat ojciec, była szczupła i drobniutka i nie zanosilo się, żeby kiedykolwiek miało być inaczej.

– No tak się im uda, że gdy skończą, znów dobiją dodatkowe pięć kila słoniny na brzuchach. – Maśnikowa była bezlitosna. – To głupi pomysł. Ja nigdy się nie odchudzałam, ważyłam najwięcej dziewięćdziesiąt, a teraz mam równiutkie siedemdziesiąt – pisnęła jak pensjonarka, bardzo z siebie zadowolona.

– Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. – Łucja znów westchnęła.

– Ja też, ale to już niedługo. Jeszcze tylko miesiąc. Wytrzymamy – głos babki zabrzmiał dosyć surowo. Wiedziała, że nie może się rozklejać, bo wnuczka natychmiast by się rozpłakała razem z nią, a przecież nie można płakać w ciąży, bo dzieciątko będzie miało smutne życie.

– No wiem. – Przyszła mamusia pogłaskała się po brzuchu. Znów zabolalo ją coś w plecach, więc zsunęła się z łóżka Kasi i przeszła na swoje. Musiała się położyć.

– Naszykuję pierogi z jagodami i powiem tym moim kozom, żeby ci jutro ugotowały, okrasily masłem i przywiozły w termosie. Co ty na to? Zjesz?

– Uhm – mruknęła, poprawiając poduszkę na podniesionym lekko wezgłowiu.

– Tak jest borówek w lesie, że ponoć przejść nie można, bo wszystko brudne z soku. Aż mi się coś robi, że nie mogę iść do zagajnika. – Babcia się rozsierdziła. – Nikt tak szybko nie potrafi zbierać, a te, co mi przynosi Marcinek, to takie umęczone, ugniecione, jakby na nich spał. Już tak se pomyślałam, że ubiorę gumowce, jakąś kapotę i długie portki, no i czapkę. Może by się nic nie stało? Kleszczy nie ma, bo za sucho.

– Babciu! Nawet nie próbuj! Wiesz, czym to grozi. Przecież jeszcze nie skończyłaś kuracji na tę okropną boreliozę! – Łucja nie mogła tego słuchać, aż plasnęła dłonią o materac. Najchętniej wstałaby i pojechała do Podola, żeby babce natrzeć uszu.

– No wiem. Oj, dostałoby mi się od wszystkich! – Chichrała się jak dziecko. – Nawet twój mąż by mnie okrzyczał, gdyby się dowiedział. Boże, codziennie się modlę za niego. – Nagle zupełnie zmieniła ton. – Niby trochę mruk i poważny bardzo, jak prawdziwy mecenas, a taki dobry i serdeczny. Jak sobie przypomnę, jak to żeśmy razem siedzieli na korytarzu w tej niemieckiej klinice i czekali na wynik z komputera, co to miał pokazać, czy aby nie jakie raczysko się przypałało, to mnie aż w dołku gniecie. Tak czekamy i czekamy, i on tak zerka na mnie, a ja się modlę. Tak sobie przesuwam te kuleczki różańca, co to go dostałam od proboszcza Malinki, popłakuję, a ten twój Hugo nagle chwycił mnie za rękę i mówi: „Jestem tutaj, niech się pani nie martwi, będzie dobrze”. A gdy już te profesory nam powiedziały, że czyściutko, że nic nie ma złego, to mnie tak ścisnął, że prawie żebra połamał.

– Uhm... – Łucja z trudem odpowiedziała, bo ją też coś ścisnęło, ale w gardle. Choć już chyba z dziesięć razy słyszała tę historię, jak i wiele innych o pobycie w dreздеńskiej klinice, to i tak zawsze się wzruszała, gdy babcia opowiadała, jak to było. Zamrugała szybko powiekami i żeby dodać sobie otuchy, znów przytuliła poduszczykę Kaśki, z którą to namiastką przyjaciółki spędziła noc.

– A mówiłam ci, że ten pan Marek też był chory?

– Nie. – Łucja się stropiła. – Co mu było?

– Już ci opowiem, no i popatrz, jak mu się nie darzy w życiu ostatnio! Najpierw te problemy z emeryturą, widocznie nawet w tej Kanadzie są oszuści, a teraz to. Agatka załamuje ręce, liczyła, że on coś pomoże Justynce i Mariuszowi, a tu trzeba jemu pomagać, no, ale wiadomo, nie można człowieka zostawić na zmarnowanie. Podejrzewali raka prostaty, ale na szczęście to nie rak. Miał jakiś zabieg w tamtym tygodniu. Mariuszek mówił. Wszystko dobrze, ale z ojca ponoć został cień człowieka. Wiesz co, Łuciuś, ja myślę, że on z tej zgryzoty tak marnieje, że Hania o niczym nie wie no i że Hugo się na niego gniewa. Sama nie wiem, czy to tak dalej może być. – Maśnikowa sapnęła. – Może powinnam rozmówić się z Hanią i powiedzieć jej o nim? – Gryzła się tą sytuacją, tym bardziej że z nikim nie mogła porozmawiać o związku między Orneckim, teściem Justyny, a ojcem

męża Łucji, bo z jej rodziny nikt poza nią nie był wtajemniczony. Za każdym razem gdy spotykała się z Hajdukiewiczową, miała wyrzuty sumienia, że ukrywa przed nią prawdę.

– Babciu, ja sędzę, że nie powinniśmy się do tego mieszać. – Łucja smętnie pokiwała głową. Ją tak samo dręczył ten konflikt, ale przysięgła sobie, że już nigdy nie poruszy tego tematu z Hugonem. Obawiała się, że on uchwyci się tego jak ostatniej deski ratunku, pomoże ojcu finansowo i pojedna się z nim wyłącznie dla niej, żeby u niej „zapunktować”, a ona tak nie chciała. Jej marzeniem było, żeby Hugo pogodził się z nim tak po prostu, dla samego siebie. Niestety, raczej nic na to nie wskazywało. Od pamiętnej kłótni, jeszcze gdy byli „razem”, Hugo tylko raz o tym wspomniał, ale to była propozycja, która wyniknęła z zupełnie innych pobudek niż chęć wybaczenia.

– No wiem, Łucka. Wiem. – Babcia przerwała potok gorzkich myśli wnuczki. – O mój Boże, jak to się niektórzy potrafią zaplatać w życiu – stęknęła z goryczą. – Taką sieć utkają ze swoich kłamstw i złych uczynków, że na koniec sami w nią wpadną, a wyleźć z tego niełatwo. I żeby chociaż w porę się opamiętali albo chcieli dać sobie pomóc, to nie. Niektórzy siedzą w tej pajęczynie i myślą, że im dobrze, a tu co? Psińco, bo kiedyś i tak trzeba wyjść i wyprostować swoje ścieżki. Wiesz, jak jest z kłamstwem. Ma krótkie nogi i do tego okropnie koślawe, więc choć bardzo uważa, i tak upadnie, i to na środku gościńca. A potem to tylko płacz i sromota zostanie.

– Babciu... – bąknęła Łucja. – Ja... coś ci powiem. – Przez chwilę myślała, że nie wytrzyma, że wreszcie wyzna jej prawdę, ale poczuła, że chyba nie potrafi. Może ona też siedziała już zbyt mocno w kokonie kłamstw? Zasepiła się.

– No co?

– Czytałam ostatnio pewną historię... – podjęła Łucja, bo przecież jakoś musiała wybrnąć. – Na takim forum dyskusyjnym o miłości. Była dziewczyna, ma nick Oszukana Julia, też młoda jak ja i też szybko wyszła za mąż, bo zaszła w ciążę.

– No i? – Maśnikowa się zainteresowała. Lubiła słuchać opowiadań o życiu nieznanym jej ludzi, czytanych przez wnuczkę w Internecie jeszcze za podolskich czasów.

– I gdy już ich synek miał trzy latka, nagle okazało się, że mąż Julii ma jeszcze córeczkę, pięć lat ma ta dziewczynka. Nigdy nie powiedział Julii, że ma dziecko.

– A wiedział o tej swojej córeczce? – Babcia jak zawsze chciała poznać wszystkie szczegóły, żeby móc wydać werdykt.

– Tak.

– To nieładnie się zachował. A z tym pierwszym dzieckiem się spotykał?

– Spotykał. Płaci alimenty, raz na miesiąc gdzieś wyjeżdżał, mówił Julii,

że w interesach, a to były odwiedziny u tego pierwszego dziecka, ale z tą jego mamą nic go już nie łączy, ona wyszła za męża. To się przez przypadek wydało i Julia się teraz pyta, co ma zrobić? – Łucja zmarszczyła czoło. Sytuacja forumowiczki była przecież bardzo podobna do jej sytuacji. Śledziła wątek już od kilku dni. Wpisów przybywało, a osoby, które w nim pisały, coraz bardziej dzieliły się na dwa obozy. Jeden – radykalny, doradzał Oszukanej Julii, żeby pogoniła męża w diabły i wzięła rozwód. Grupa druga, nieco mniej liczna, twierdziła, że powinna wybaczyć. Kasia, też lubiąca słuchać tego typu opowiadań, opowiedziała się za pierwszym rozwiązaniem i Łucja bardzo źle to zniosła. Zamierzała kiedyś wyznać jej prawdę o tym, co uczynił Hugo, ale teraz pomyślała, że może i dobrze, iż do tego nie doszło.

– No, a ten gagatek powiedział, dlaczego ją tak oszukał? – Maśnikowa drażyła temat.

– Uhm – potaknęła. – Bał się, że gdy Julia się o tym dowie, odejdzie od niego, bo kiedyś mu powiedziała, że nigdy nie chciałaby żyć z rozwodnikiem albo wdowcem, właśnie ze względu na konieczność dzielenia się mężem z inną kobietą albo z dziećmi z poprzedniego związku. On ją bardzo kocha, teraz jest zrozpaczony, bo nie wyobraża sobie bez niej życia. Julia chciała, żeby się wyprowadził, ale on ją błaga, żeby pozwoliła mu zostać, że już nigdy jej nie oszuka.

– I patrz, jaki głupi ten jej mąż! – obruszyła się babka. – I tak prawda wyszła na jaw i przeszła po plecach kulawemu kłamstwu.

– Co byś zrobiła, babciu, na jej miejscu? – Łucja bezwiednie zacisnęła palce na brzegu małego jaśka.

– Nie wiem, córcia. To trudna rzecz, taka decyzja. Dziadek nigdy mnie nie okłamał. Nigdy, przenigdy. On, jak i ja, brzydził się kłamstwem. Gdy już dziewczynki zaczęły rozglądać się za chłopakami, Felek zawsze im powtarzał: przez życie powinno się przejść razem, trzymając się mocno za ręce. Gdy żyjesz z kłamcą, on idzie za twoimi plecami, a ty ciągle spoglądasz przez ramię. Tak się obracasz i obracasz, aż w końcu się potkniesz i upadniesz.

Łucja nie musiała widzieć babci, żeby wiedzieć, że teraz pewnie siedzi i kiwa swoją posiwiałą głową.

– Czyli Julia powinna się z nim rozejść? – Przełknęła ślinę, a potem na moment zamknęła oczy w oczekiwaniu na ostateczny werdykt.

– Nie powiem ci. Widzisz, z drugiej strony Bóg każe nam wybaczać. Jeśli ten jej mąż wyrazi skruchę, poprosi o przebaczenie, nie po chrześcijańsku byłoby mu odmawiać. Przypowieść o miłosierdziu dla syna marnotrawnego chyba pamiętasz?

– Pamiętam. Babciu, a gdyby się okazało, że on ją jeszcze wcześniej okłamał w innych sprawach? Gdyby to nie był koniec? – wyjąkała.

– Jezus kazał nadstawić drugi policzek, jeśli ktoś cię uderzył pierwszy raz, ale to Jezus, a nie my, zwykłe ludzie, słabe i grzeszne. A zresztą cóż ci dzisiaj tak przyszło do głowy, żeby mnie męczyć o te kłamstwa?! Pewnie chcesz tej dziewczynie napisać, poradzić? Niechże cię ręka boska broni! – Zofia Maśnikowa podniosła głos, bo nagle się domyśliła, o co chodzi wnuczce. – Nie można decydować za innych, bo jeszcze się kogo skrzywdzi swoim osądem. Ta dziewczyna nie ma matki, ojca?

– Nie wiem. Spytała na forum, może nie chce porady od rodziny.

– Niech idą na parafię, z księdzem porozmawiają. No ale dobrze, skoro chcesz jej pomóc, napisz tak... – chrząknęła. – Droga Julko, jeśli kochasz męża, daj sobie czas, daj czas swojemu sercu, posłuchaj, co ono mówi. Przyglądaj się mężowi, zobacz, jak się sprawuje, ale jeśli się okaże, że już nigdy nie będziesz potrafiła mu zaufać, odejdz. Nie dręcz go obietnicami bez pokrycia, bo życie bez wiary w uczucia i intencje drugiego człowieka nic nie jest warte. No i? Może być? – spytała babka nieco zawstydzona, bo nigdy nie doradzała komuś nieznanemu.

– Może. Napiszę jej jeszcze dzisiaj – wydukała z trudem Łucja. – Dziękuję.

– Co mówiłaś? Powtórz.

– Napiszę jej – odparła bez entuzjazmu.

– No przecież sama chciałaś, żeby ci powiedzieć – sarknęła babcia. – Oj, kozo, chyba jesteś zmęczona. Przyznaj, spałaś co w nocy? Czy nie bardzo?

– Trochę spałam.

– Już ja znam to twoje „trochę”. Pewnie oka nie zmrużyłaś przez Kaśkę. Idźże spać, niecnoto, a nie susz głowy o jakieś głupoty, bo jeszcze ci się co stanie.

– Dobrze.

– Trzymaj się i moją prawnusię pozdrów. – W jej głosie było słychać czułość. – Jutro ktoś do was przyjedzie. No, zostań z Bogiem, Łucka.

– Pa, babciu. – Łucja odłożyła telefon na szafkę. Przez chwilę rozglądała się bezradnie po pustej i cichej salce, a potem jeszcze mocniej przytuliła poduszeczkę Kasi i wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem.



Słuchając *Summertime* czy *Błękitnej rapsodii* Gershwina, Hugo zawsze się uspokajał, ale dzisiaj zamiast ukojenia czuł wyłącznie przygnębienie i coś, czego do końca sam nie mógł określić. „Czy to samotność?” – próbował dociekać. Patrzył przed siebie na uciekające kilometry asfaltu błyszczącego od deszczu, który towarzyszył mu od samego Gdańska, ale ciągle to jedno słowo, którego uparcie poszukiwał w głowie, gdzieś mu umykało.

W nocy się rozpadało, a szum wody uderzającej o szyby był tak głośny, że obudził go o wpół do piątej nad ranem. Przez chwilę Hugo próbował ułożyć się

wygodnie na szerokim łóżku, ale sen nie nadchodził, w końcu poddał się po półgodzinie. Wstał, włożył ciuchy z poprzedniego dnia, szybko spakował małą walizkę, zjechał na dół i wymeldował się z hotelu.

Wsiadł do samochodu, oparł głowę o zagłówek i nagle poczuł, że ma ochotę jeszcze raz zobaczyć morze. Poprzedni dzień spędził najpierw w pokoju, odsypiając noc, a później w biurze mecenasa Heartza, Niemca mającego w Gdańsku jeden z oddziałów swojej berlińskiej kancelarii. Wieczorem Hugo postanowił pojechać do Jelitkowa. Dotarł na plażę około dziewiątej i od razu stwierdził, że to był zły pomysł. Odbywał się tam jakiś mały koncert i wszędzie włóczyły się grupki rozkrzyczanych dziewcząt i młodych chłopaków. Niektórzy z nich byli już mocno zawiani, Hajdukiewicz nie mógł znieść ich dobrego humoru i bardzo szybko zwinął się do hotelu.

Gdy bladym świtem zajechał na parking przy plaży, nie było na nim ani jednego samochodu. Wysiadł, postawił kołnierz marynarki i poszedł na spacer wzdłuż brzegu. W wilgotnym powietrzu wyczuwał smak soli. Mokry piasek przyklejał się do butów, wiatr smagał mu twarz, siekł kroplami zimnego deszczu, ale mimo niesprzyjającej aury Hugo czuł się spokojny.

Założył okulary przeciwsłoneczne, żeby ochronić oczy, wypatrzył spory pień wyrzucony przez morze i siadł na nim, nie bacząc na to, że był brudny i śliski od wodorostów. Wyobraził sobie, że jest lato, letnie popołudnie, pusta plaża, na którą przyjeżdża z Łucją. Parkują samochód, zdejmują buty i zostawiają je pod siedzeniami. Biegają wąskim dojściem na plażę, trzymając się za ręce. Gdy tu docierają, Łucja zaczyna tańczyć na piasku, a on stoi i patrzy. Nie robi jej durnych fotek telefonem, nie próbuje wrzucać do wody. Po prostu stoi i patrzy, a ona tańczy do szumu fal: wiruje, wzbija bosymi stopami tumany piasku i cieszy się jak dziecko, że tu jest. Z nim.

Posiedział tak może kwadrans, wrócił do samochodu przemoczony do suchej nitki. Rzucił marynarkę na tylne siedzenie, ale gdy zerknął na swoje spodnie z tyłu, stwierdził, że wykorzysta ją jako podkładkę. Obrócił na lewą stronę, klapnął tyłkiem na mokrą podszewkę i wyruszył w drogę powrotną.

Minął Łódź, zatrzymał się na stacji benzynowej. Wypił pół kubka czarnej kawy, stojąc i spoglądając przez szklaną ścianę małego bistro. Tu było inaczej: słonecznie i ciepło. Choć był głodny, nic nie zamówił. Popatrzył na kanapki leżące za szybą i pomyślał, że jedyne, co mógłby teraz zjeść, to jajecznicę z pomidorami, jaką kiedyś zrobiła mu Łucja. Zabrał kubek i wrócił do samochodu, żegnany ukradkowymi spojrzeniami pań z bufetu. Siadł i zerknął na swoje buty, ciągle przemoczone i upačkane piaskiem. Eleganckie czarne spodnie wyglądały równie rozpaczliwie, ale machnął na to ręką i wyruszył dalej.

Próbował przypomnieć sobie rozmowę z Łucją, krótką i bardzo dziwną. Zadzwoił do niej po południu, jeszcze przed wizytą u Heartza. Długo czekał,

a gdy w końcu odebrała, jej głos brzmiał inaczej niż ostatnio. Spytał, czy płakała, ale zaprzeczyła. Opowiedziała o narodzinach syna Kasi, a potem wspomniała, że pogadała z babcią, i to w zasadzie było wszystko. Chciał z nią porozmawiać, wyczuł jej dziwne przygnębienie, próbował ją pocieszyć, że już wkrótce oni też doczekają się dziecka, a wtedy ona powiedziała coś dziwnego: „Nasze życie już od dwóch miesięcy jest czekaniem”. A po chwili dodała, że nie wie, czy powinno tak być i że on chyba na to nie zasłużył. Próbował ją dopytać, żeby wytłumaczyła, co miała na myśli. – „Dlaczego ja nie zasługuję, powiedz...” – prosił, ale wtedy zamiast wyjaśnień usłyszał coś innego:

– Przepraszam, nie powinnam cię dręczyć. To moja wina, ja nie potrafię inaczej... – Głos się jej załamał. – Staram się, Hugo, ale... – zająknęła się.

– Porozmawiamy jutro – uciął rozmowę po minucie ciszy w słuchawce. Wiedział, że już nic z Łucji nie wydobędzie.

Tablica przydrożna informowała, że wkrótce będzie zjazd na autostradę do Krakowa. Zjechał na pobocze, zgasił silnik. „Jedenasta. Zadzwońię do niej” – pomyślał i nagle słowo, którego mu brakowało, jakimś magicznym sposobem pojawiło się w głowie. „Beznadzieja”. Tak, właśnie to czuł. Brak nadziei, że kiedyś wszystko się ułoży. Mimo to sięgnął po komórkę, wybrał numer Łucji i wziął głęboki wdech. „Co dzisiaj usłyszysz?” – spytał samego siebie. Jeden sygnał, drugi... dziesiąty... i informacja, że abonent nie może odebrać telefonu. Spróbował jeszcze raz.

– Halo? – Głos w słuchawce go zaskoczył. Znał, słyszał, ale przez chwilę nie mógł skojarzyć, do kogo należał.

– Hajdukiewicz przy telefonie, mogę rozmawiać z żoną? – rzucił szybko.

– Dzień dobry, panie Hugo! To ja, Irenka.

– Co się dzieje z Łucją?! – wypalił natychmiast, bo wyczuł w głosie kobiety dziwne brzmienie.

– Rodzi! – pisnęła.

– Jak to?!

– No normalnie, rano o ósmej odeszły jej wody. Od razu ją zabrali na porodówkę. Przyjechałyśmy z Agatką na dziesiątą, a tu pusta sala! Prawieśmy obie zawału dostały, tak to wyglądało, panie Hugo. – Podniosła głos, jak wtedy, gdy opowiadała o tym, jak znalazła leżącą w łazience matkę. – Poszukałyśmy lekarki no i nam powiedziała, co i jak. Agatka z nią jest, znaczy z Łucją, a ja właśnie przyszedłam po telefon, bo Łucja prosiła, żeby przynieść.

– Zaraz tam będę! – Hugo nagle się ocknął. – Proszę się nie rozłączać. – Odpalił silnik, wyjechał na jezdnię jak szalenciec, wymuszając pierwszeństwo i powodując, że kilka samochodów coraz bardziej niknących teraz za nim, zahamowało z piskiem. Przełączył rozmowę na zestaw głośnomówiący, szybko pomyślał, o co powinien spytać, i zaczął przesłuchanie, wyprzedzając przy tym

wszystko, co się ruszało na drodze. – Pani Agata z nią jest?

– No tak, bo to macie rodzinny poród ponoć opłacony. No, a że Agatka niedawno rodziła z Justynką, znaczy z córką, która rodziła synka, to uznałyśmy, że ona kompetentniejsza będzie.

– Rozumiem, a jest Piotrowiec?

– No właśnie nie ma, jest jakiś inny lekarz. Kudłacz? Włochacz? Nie pamiętam.

– Grzywacz?

– O, ten! To ordynator na położnictwie.

– Wiem, Piotrowiec mi mówił. – Hugo odetchnął z ulgą, bo doktor Grzywacz miał doskonałą opinię.

– No i tam se rodzą obie przy nim. Właśnie dotarłam na miejsce, siedzę teraz na korytarzu. – Irena chyba wyczuła, że mąż Łucji trochę się uspokoił, choć i tak wyraźnie słyszała, że jedzie szybko, bo silnik ryczał głośno jak w ciągniku. – Niechże się pan tak nie spieszy, panie Hugo – poradziła. – Wszystko będzie dobrze.

– A co z dzieckiem?

– W porządku, KTG podłączyli, czyli taką słuchaweczkę – tłumaczyła jak kompletnemu laikowi. – Serduszko pika, aż tu trochę słyhać. Grzywacz mówi, że ździebko za wcześnie ten poród, no ale trzy tygodnie to nie jest dużo, dzidzia nadrobi szybciotko. Łucja będzie ją karmić piersią, to urośnie pannica jak ta lala.

– A podali jej znieczulenie?! – Przypomniał sobie, że również taką dodatkową opcję opłacił.

– A nie wiem, iść spytać? – Irenka idealnie spisywała się w roli dziennikarza relacjonującego przebieg jakiegoś wydarzenia.

– Proszę – warknął poirytowany, bo właśnie stanął w długim korku do bramek i zdał sobie sprawę, że pewnie z minutę straci, czekając na wyjazd z autostrady. Zapłacił błyskawicznie, cały czas wsłuchując się w to, co dobiegało z głośników. Miał wrażenie, że przez niezliczoną ilość szmerów i szelestów oraz mamrotania jakichś osób słyszy krzyk Łucji, i aż go zmroziło. Zacisnął jeszcze mocniej palce na kierownicy, dodał gazu i wystrzelił, wyprzedzając ciąg samochodów przed sobą.

– Już jestem. No to jest tak... – sapnęła ciotka Łucji. – Rozmawiałam z pielęgniarką, co to tam jest obok na sali przedporodowej. Znieczulenia nie dali, bo ponoć teraz już nie ma sensu. Ujście jest na dziewięć centymetrów, więc pieronem idzie, a Łucja wcześniej nie chciała, bo to się w kręgosłup wbija. Pewnie się bała, że jak naszej mamie nie będą się mogli wkłuć.

– Rozumiem, ale ona przecież cierpi. Może mogli to jednak dać? – Hugo zmarszczył czoło, bo znowu musiał się zatrzymać, tym razem na czerwonych światłach.

– A tam, trochę pocierpi, to jej nic nie będzie. Dopiero od trzech godzin rodzi. To jest nic. Kobiety rodzą po trzy dni i też żyją. No, panie Hugo, proszę nie panikować. Kiedy pan będzie?

– Za kwadrans. – Hugo zerknął na zegarek.

– Dobrze. No to teraz mamy zawody! – zakrzyknęła wesoło. – Kto będzie pierwszy? Tylko niech się pan nie wygłupia tym swoim samochodem – uprzedziła.

– Dziecko powinno mieć i matkę, i ojca – dodała, zapominając chyba, że mówi do kogoś wychowanego przez jednego rodzica, i na dodatek będącego mężem sieroty.

– Dam jej fory. – Hajdukiewicz już nieco ostygł i pozwolił sobie na żart.

– Panie Hugo, bo mi tu piszczy, że bateria słaba. To ja się rozłączę, jakby się co działo, będę dzwonić od siebie. Dobrze?

– Jasne. Dziękuję.

– Do usły...

Pi... pi... pi...

Rozdział 6

– Pani Łucjo, jeszcze raz! Ostatni raz, obiecuję! – Doktor Grzywacz uśmiechnął się od ucha do ucha, żeby dodać otuchy swojej młodziutkiej pacjentce.

Łucja wzięła głęboki wdech, ale zanim napięła mięśnie, lekarz ostrzegawczo pokiwał palcem. „Aha, muszę poczekać na sygnał” – pomyślała resztkami świadomości. Była już bardzo zmęczona, choć ciotka Irena mówiła, że to wyjątkowo szybki poród. Położna i Grzywacz twierdzili tak samo, więc nie miała powodów, by wątpić w ich słowa.

– Proszę kolanko wesprzeć na mnie i uwaga! Na trzy cała sala rodzi z nami, a ty, piękności moja, jedziesz na maksa. Okej?

– Okej – wysapała z trudem.

– I nie przemy buzią, tylko dołem. Zapamiętałaś? – Kamińska, najlepsza położna krakowskiej kliniki, zwróciła uwagę dziewczynie.

– Uhm...

– No, Łucka, będzie dobrze! – Ciotka Agata była tak rozemocjonowana, że jej twarz opływała potem, a włosy pod wpływem wilgoci skręciły się w drobne loczki, charakterystyczne dla trwałej ondulacji. Trzymała siostrzenicę za rękę i tak ją ścisnęła, że niewiele brakowało do kompletnego zmiażdżenia szczupłutkiej kończyny.

– Raz, dwa...

Łucja napięła się z wszystkich sił, miała wrażenie, że zaraz coś ją rozerwie od środka, ale przecież musiała się sprężyć.

– Trzy! – Doktor Grzywacz rzucił komendę.

Agata odruchowo też napięła mięśnie i z wrażenia aż pierdnęła, na szczęście nikt nie zwrócił na to uwagi, bo dziecko wydostało się na świat, obwieszczając to od razu głośnym krzykiem.

– O matko... – Łucja opadła jak ścięta lilia. Leżała z zamkniętymi oczami i oddychała ciężko. Nie musiała patrzeć, bo ciotka Agatka z szybkością karabinu maszynowego na bieżąco relacjonowała to, co się właśnie dzieje.

– Odcinają pępowinę! Oj, jaka fajna ta twoja malutka! Jakie ma włoski! Długie i czarne! Słyszysz, jak wrzeszczy?! Znaczy się zdrowa całkiem! O, teraz się zakrztusiła, odśluzowują ją, znaczy odśluzowują, no wiesz, śluz jej wyciągają, temu tak zakaszlała. O, jaka fajna! – powtarzała w kółko. – A jakie to ma kolanka maluskie, nóżki takie chude jak patyczki, a jak wierzga tymi stopkami maciupenkimi! – Ścisnęła mocniej rękę siostrzenicy.

– Pani Łucjo, trochę panią oszukałem. Teraz będzie ostatni wysięk – stwierdził doktor Grzywacz stojący przy nogach pacjentki. – Rodzimy łożysko. Proszę przec.

Poszło równie szybko i bezproblemowo jak cały poród. Lekarz

poinformował, że krocze nienaruszone, pęknięć nie ma, szyć nie trzeba, a pacjentka jest wprost stworzona do rodzenia dzieci.

– Teraz jej tę metkę dają i ważą, no, Łucka, powiem ci, że się super spisałaś! No popatrz na nią! – krzyknęła radośnie ciotka Agata i potrząsnęła jej ramieniem.

– No, fajna. – Łucja uniosła głowę i przez kilka sekund zerknęła w kierunku, z którego dobiegał krzyk córeczki. – Ciociu, daj mi dychnąć – użyła sformułowania babci.

– A jasne, jasne. Dychaj se. – Agata sięgnęła po zwilżoną gazę i przetarła czoło Łucji. – Poczekasz sekundkę? Pójdę powiedzieć Irencie.

– Okej, ale może poczekaj troszkę. Niech powiedzą, ile waży.

– Dobrze. – Ciotka znów krzepko ją ścisnęła, a potem spontanicznie ucałowała, przyduszając przy okazji swoim obfitym biustem skrytym pod zielonym, zbyt obcisłym fartuchem.

– Pani Maśnik, proszę powiedzieć, co pani urodziła? – Położna podeszła z owiniętym w pieluszkę dzieckiem i na chwilę zbliżyła je do twarzy Łucji.

– Córeczkę – przeczytała z metki.

– Tak. Dziesięć punktów w skali Apgar. Waga dziecka dwa tysiące osiemset gramów, pięćdziesiąt siedem centymetrów! Będzie modelka. – Kamińska błysnęła zębami i znacząco uniosła brwi. – Zaraz ją powycieramy, zakroplimy oczka i pozwolimy mamusi przytulić ją do brzuszka.

– Mogę iść siostrze powiedzieć? – Ciotka Agata już nie mogła wytrzymać.

– Oczywiście – odpowiedział jedyny mężczyzna w tym gronie. – A gdzie małżonek? – Zerknął na panią Maśnik.

– Jedzie z Gdańska. No właśnie, ciociu zadzwońcie do niego z mojego telefonu i mu powiedzcie, okej? Babci też! Ja nie mam siły – sapnęła świeżo upieczona mamusia, blade się uśmiechając. – Pamiętasz? Pięćdziesiąt siedem wzrostu i...

– Dwa osiemset, jak dobra kura! – zażartowała Agata. – Już idę. – Przeleciała jak wicher przez salkę przedporodową i wypadła na korytarz z miną zwycięzcy. – Irenka! Mamy córeczkę! – krzyknęła i stanęła jak wryta. – Pan Hugo?! – pisnęła i rzuciła mu się w ramiona. – Gratuluję! Co pan tu robi, panie Hugo?! – Odsunęła się.

– A przyjechał! – Irena śmiała się do rozpuku, bo ona też miała niespodziankę dla siostry i równie zaskakującą. Czekwała razem z mężem siostrzenicy już dobre pięć minut. Hugo dreptał nerwowo, co kilka sekund pytając, czy może nie lepiej by było, żeby dał znać, że już jest, ale ciotka Łucji uparcie tłumaczyła, że w takim momencie nie powinien przeszkadzać. Łucka się rozproszy, a to niebezpieczne dla dziecka, powtarzała jak mantrę.

– Wszystko w porządku? – spytał, przejęty do granic. Głos drżał mu z podekscytowania, ledwie łapał powietrze.

– Tak! Dwa osiemset wagi, pięćdziesiąt siedem centymetrów, oj, długaśna ta wasza mała, no i te punkty maksymalne.

– Apgar?

– Tak. – Agata z dumą pokiwała głową. – Mam pomysł! Panie Hugo, niechże pan tam idzie – zachichotała. – Łucja padnie, jak pana zobaczy.

– Tylko chałat niech włoży, patrz, jakie ma portki. – Irenka zmarszczyła nos.

– O Maryjo, a gdzie się pan tak ubabrał? – Pokręciła głową. – No nic, może nie zauważą. Proszę. – Podała mu swój fartuch. – Ręce ma pan czyste?

– Tak. Przed chwilą byłem w toalecie, buty przetarłem, ale reszta... – westchnął. Starannie zapinał wszystkie guziki, choć z trudem, tak latały mu ręce ze zdenerwowania. – Może być? – spytał, wygładzając fałdy zbyt szerokiego fartucha.

– Może. Niech pan idzie, a my dzwonimy do mamy. A to ci będzie niespodzianka! – Irena plasnęła dłońmi w swoje tęgie uda.

Hugo wziął głęboki wdech, jeszcze raz poprawił kołnierzyk koszuli wystający spod zielonego płótna i ostrożnie nacisnął klamkę. Nikogo nie było w dosyć słabo oświetlonej salce, do której wszedł, więc dotarł do kolejnych drzwi, zapukał, ale nikt nie słyszał. Otworzył je i stanął jak wmurowany. Pierwsze, co zobaczył, to zakrwawione prześcieradło leżące na posadzce i stos podobnie wyglądającej ligniny. Natychmiast odwrócił wzrok.

– Co ty tu robisz? – Jego żona ledwie wyjąkała z siebie słowa powitania.

– Dzień dobry – powiedział, jeszcze przejęty poprzednim widokiem.

Łucja leżała z głową podpartą na wezgielcu łóżka porodowego, w ramionach trzymając maleńki tobolek z wystającą ciemnoczerwoną twarzyczką dziecka. „Moje dziecko, moja maleńka córeczka” – pomyślał.

– Dzień dobry. – Grzywacz podszedł do niego, zdejmując po drodze już niepotrzebne rękawiczki. – A pan to?

– Hugo Hajdukiewicz. Mąż Łucji. – Wyciągnął dłoń.

– A! Tatus się zjawił?! Gratulacje! – Lekarz uściśnął mu prawicę. – Wszystko w należyтым porządku, pani położna przekaże co i jak, ja się muszę pożegnać, mam kolejny poród. – Obdarzył go kurtuazyjnym uśmiechem.

– Dziękuję, panie doktorze. Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co, taka moja rola. Żona była bardzo dzielna, współpracowała znakomicie, rodziła jak ósme, a nie pierwsze! – Wybuchnął szczerym śmiechem. – I nawet dziergać jej nie trzeba, bo ani się nie darła, ani nie podarła. Zostawiam państwa w dobrych rękach. – Zerknął na kręcącą się w pobliżu Kamińską.

– No chodź tu. – Łucja skinęła na męża. – Popatrz, jaka jest słodziusia. Śpi, biedaczka, zmęczyła się. – Z dumą przyglądała się malutkiej, która rzeczywiście była śliczna. Miała długie, bardzo ciemne włoski, pokrywane delikatnym meszkiem nawet czółko, perkaty nosek, prawie czarne rzęski i malinowe usteczka.

Hugo nieśmiało zbliżył się do Łucji, usiadł na okrągłym taborecie i dopiero wtedy złapał się na tym, że prawie nie oddycha.

– Podobna do ciebie – skwitowała. – Do mnie chyba ani troszkę.

– Dziękuję. – Hugo przełknął ślinę, tak bardzo wzruszony, że z trudem mógł cokolwiek powiedzieć. Nachylił się i ucałował dłoń Łucji trzymającą maleństwo.

– Nie dziękuj, to wyłącznie twoja zasługa. – Zachichotała nerwowo, trochę skrepowana reakcją męża. Gdy po chwili zaskoczenie jego przybyciem minęło, zauważyła, że zbladł, jak tylko wszedł do środka. Dostrzegła też ten charakterystyczny błysk w oku, kiedy usiadł obok niej. „Będzie płakał” – pomyślała z przerażeniem, bo nie potrafiłaby odnaleźć się w tej sytuacji. Hugo był dosyć oschłym człowiekiem, przywykła do tego i nie wiedziała, co zrobić. Na szczęście chyba się opanował, bo chrząknął kilka razy, pocierając przy tym dosyć energicznie szorstkie policzki.

– Wstałem wcześniej – usprawiedliwił się. – Zamierzałem wyjechać o dziewiątej, ale tak wyszło, że już jestem.

– Cieszę się, że jesteś – szepnęła, zagryzając wargę.

– Ja też.

– W sumie może to i dobrze, że stało się to dzisiaj – stwierdziła, szukając w jego oczach aprobaty. Nie potrafiła logicznie myśleć, gdy co chwila spoglądał na nią tak jak teraz. Trochę się martwiła, że urodziła przed terminem tak samo jak Kasia, ale gdyby przyszło jej czekać jeszcze trzy tygodnie? Byłoby ciężko, zwłaszcza bez ukochanej przyjaciółki.

– Dobrze. – Pokiwał głową. – Pewnie zrobiłaś to specjalnie. Przyznaj się. – Mrugnął.

Nawiązał do ich sporu. Chciał być przy porodzie, ale żona zdecydowanie odmówiła. W końcu uznali, że opłacą poród rodzinny, a co do tego, kto będzie przy nim asystował, jeszcze się dogadają, ale i tak Łucja w skrytości ducha postanowiła, że urodzi sama.

– Nie – natychmiast zaprzeczyła. – W życiu bym jej nie zaszkodziła. – Pocałowała główkę córeczki.

– Żartowałem – sprostował Hugo. Cała sytuacja go tak bardzo zaskoczyła, że nie był pewny ani jednego słowa, które wypowiadał. „Co mam teraz zrobić, porozmawiać z położną?” – pomyślał, patrząc na kobietę siedzącą przy niewielkim biurku i wypełniającą jakieś dokumenty.

– Ale jesteś kochana, a jak ładnie śpisz. – Łucja zachwycała się dzieckiem. – Hugo... – podniosła wzrok.

– Tak?

– Chcesz ją potrzymać? – Uśmiechnęła się figlarnie.

– A mogę? – Spłoszył się wyraźnie, a potem zerknął w stronę położnej, która właśnie skończyła pracę, bo stanęła przy drzwiach, trzymając pod pachą papierową

teczkę.

– Może pan – orzekła. – Zaraz tu przyjdzie siostra, zabierze dziecko na badania słuchu, ale tych kilkanaście minut macie państwo dla siebie. W razie potrzeby obok w sali przedporodowej będzie pielęgniarka.

– Rozumiem. Dziękuję pani. – Lekko skinął głową.

– Pójdiesz do tatusia. – Łucja wysunęła dłonie i bardzo ostrożnie przekazała mu szpitalny becik z drogocenną zawartością. Przez chwilę przyglądała się mężowi i córeczce. „Trzymasz ją, jakby to była porcelanowa waza z epoki Ming” – pomyślała i parsknęła pod nosem. Hugo podniósł oczy i popatrzył na Łucję z bardzo niewyraźną miną. Nie wiedział, dlaczego się zaśmiała, tak samo jak nadal nie miał pojęcia, co ma powiedzieć czy jak się zachować.

Znów skupił wzrok na dziecku. Było takie małe. „Nigdy nie trzymałem w rękach takiego maleństwa, zresztą żadnego nie trzymałem” – skonstatował w duchu. Nie miał rodzeństwa, jego znajomi nie mieli jeszcze potomstwa, a w Stanach też nie było okazji do kontaktu z dziećmi. „Nawet nie wiem, czy lubię dzieci?” – nagle sobie uświadomił.

– Czemu nic nie mówisz? – Łucja przerwała tok jego rozważań.

– Chyba nie mam nic do powiedzenia – odparł cicho, obawiając się, że obudzi córkę.

– Nie cieszysz się? – Przełknęła ślinę.

– Ja nie wiem. – Popatrzył na żonę. – Jestem oszołomiony, przepraszam – dodał szybko, widząc, jak zareagowała na jego słowa. – To stało się tak niespodziewanie. Oczywiście, że się cieszę, ale chyba jeszcze do mnie nie dotarło...

Nagle rozległ się dźwięk przychodzącego połączenia.

– Pewnie moja matka – stwierdził, patrząc bezradnie w stronę prawej kieszeni spodni.

– Daj, wezmę ją. – Łucja wyciągnęła ręce.

Hugo z ulgą oddał dziecko. Wstał, odszedł na koniec sali i wyjął telefon.

– Halo... dzień dobry, mamoo... w szpitalu... – zerknął na nasłuchującą Łucję – w Krakowie. Spokojnie, nic mi się nie stało, nie panikuj! – raptownie podniósł głos. – Wyjechałem szybciej, dlatego już jestem na miejscu. – Tej ostatniej uwadze towarzyszył lekceważący gest dłoni, poparty wyraźnie słyszalną w jego głosie irytacją. – Mam wiadomość, Łucja urodziła... – Wywrócił oczami, bo ledwie się pochwalił, a matka od razu zaczęła szlochać po drugiej stronie słuchawki i musiał chwilę odczekać, aż wróci jej głos. – Zdrowa, wszystko w porządku... dziesięć... obie dobrze się czują... nie, nie dali znieczulenia, nie zdążyli... tak, bardzo szybko... od ósmej rano... dobrze, przekażę... trzymaj się, zadzwonię później. Do usłyszenia... Co jeszcze? – burknął. Stał, potakując głową, ale po kilku sekundach wyraz jego twarzy dziwnie się zmienił. Bezwiednie zacisnął palce wolnej dłoni, a chwilę później wyprostował je i podrapał się po głowie, wicherząc

włosy ciągle jeszcze oprószone bałtyckim piaskiem. – Masz rację, przepraszam i dziękuję, że mnie wyprostowałaś – przyznał cicho i z niezwyčajną jak u niego pokorą. Jeszcze raz się pożegnał, schował komórkę do kieszeni i zerknął na swoje dziewczyny. – Masz pozdrowienia od mojej mamy. – Uśmiechnął się, siadając z powrotem.

– Ucieszyła się? – Łucja chciała wreszcie usłyszeć, że ktoś z klanu Hajdukiewiczów wyraża radość bez konieczności wyduszania z niego takiej informacji.

– Bardzo – odpowiedział natychmiast. – Mogę? – Wyciągnął rękę.

– Naprawdę chcesz? – W oczach Łucji od razu pojawiły się łzy szczęścia.

– Przecież jestem jej ojcem – wychrypiął wzruszony.



Łucja ostatni raz omiotła wzrokiem stół w jadalni. Wszystko było w należytym porządku: i piękny obrus w kolorze pastelowego różu, i nowa zastawa, którą otrzymała w prezencie od teściowej, i patera z dwoma rodzajami ciast. „I tak pewnie nic z tego nie zjedzą” – westchnęła do siebie, patrząc na sernik wiedeński przywieziony z najlepszej krakowskiej cukierni.

Spodziewała się przyjaciółek. Marta z Olą, która nie załapała się na jej pobyt jeszcze w szpitalu, przybywały z wizytą. Na szczęście to miała być już ostatnia oficjalna wizyta związana z „ogładaniem” maleństwa. W ciągu pięciu dni przez apartament przetoczyło się sporo gości, naturalnie pierwsza była pani Hania. Dotarła w tym samym dniu, w którym wróciła znad morza. Została do późnego wieczora, uczestniczyła w kąpeli, razem z synową przyglądając się wynajętej na tydzień położnej, chyba jeszcze bardziej niż Łucja, wpatrując się uważnie w każdy ruch pani Urszulki, która z niebywałą wprawą myła, smarowała kremem pupcię, czyściła pępek dziecku i zakładała mu ubranko.

Z Podola wysłano całą delegację: obie ciotki, Justynka, Monia i nawet wujek Stefan przyjechali, żeby powitać raz jeszcze oficjalnie nowego członka, a raczej członkinię rodziny Maśników. Przywieźli ze sobą tyle prezentów, że Łucja rozpakowywała je trzy popołudnia, aż w końcu poprosiła o pomoc Hajdukiewiczową, która zajęła się tym bardzo chętnie i z wrodzonym zamiłowaniem do porządku i dobrej organizacji.

No i jeszcze pani Jowita i jej małżonek, z małym *Weisertem* w postaci uroczej sukieneczki i drobiazgiem dla mamusi, czyli zestawem kosmetyków do pielęgnacji ciała.

Za każdym razem Łucja musiała przygotować mniejsze czy większe przyjęcie, ale na szczęście gros związanych z tym obowiązków wziął na siebie Hugo. On zamawiał catering, nie pozwalając żonie na stanie przy kuchni,

organizował kogoś do sprzątanía, a po imprezie sam doprowadzał apartament do porządku. Miał to dopracowane w każdym detalu, bo na czas jej nieobecności podpisał trzymiesięczną umowę na dostawę usług sprzątanía i serwisu pralniczego.

– Już – krzyknęła Łucja w stronę drzwi i prawie natychmiast zatkała usta dłonią. Ciągłe zdarzało się jej zapomnieć, że ktoś śpi smacznie parę metrów od jadalni i nie należy hałasować, choć po prawdzie dziecko było wyjątkowo spokojne. Spało dużo, jadło z apetytem i na razie nie sprawiało żadnych problemów. Pani Urszulka stwierdziła, że to raczej typowe dla wcześniaków, do których grona od biedy można było zaliczyć córeczkę Łucji. Dokładnie dzisiaj, czyli dziesiątego września, mijał termin porodu, więc z formalnego punktu widzenia dziecko dopiero teraz się urodziło.

– Cześć, mamunia! – pisnęła Marta, ładując się do mieszkania z dwiema sporymi papierowymi torbami.

– No cześć! – Gospodyni ucałowała Zagórską w ślicznie „zarumienione” opalizującym różem policzki. – A gdzie Olka? – Uniosła brwi.

– A idzie, idzie nasza gwiazda, bywalczyni największych dyskotek świata, gorsza zaraza niż hiszpanka... – zachichotała, zerkając do korytarza. – Jesteś przygotowana? – Puściła do Łucji oczko.

– Na co?

– Na to! Tadam! – Marta kurtuazyjnie odsunęła się, żeby pozwolić przejść przyjaciółce.

– O matko! – Łucja wytrzeszczyła oczy, widząc gipsowy opatrunek Rudej, ciągnący się od palców do kolana lewej nogi. – Co ci się stało? – spytała, zamykając drzwi.

– Hej. – Ola odstawiła kule i stojąc na sprawnej nodze, uściskała Łucję i ucałowała w policzek. – Ale jesteś chuda! Fiu, fiu... A jakie masz cyce!

– Tia... Łucja ma cyce, a ty poślizgnęłaś się przy goleniu. – Marta zarżała tak, że aż czknęła. Poprawiła włosy, a potem z niesmakiem zerknęła na swoje paznokcie. Nie miała czasu iść do kosmetyczki i wyglądały teraz niezbyt elegancko, z miesięcznym odrostem i matową powierzchnią.

– Zapraszam. – Łucja uśmiechnęła się do swoich koleżanek.

– Gdzie małżonek? – Ola poprawiła szorty. Na szczęście dla niej, mimo że wakacje się skończyły, nadal było bardzo ciepło i mogła je nosić, prezentując chociaż na zdrowej nodze efektowną tropikalną opaleniznę.

– W pracy. Będzie za dwie godziny – uspokoiła dziewczyny Łucja.

Wprawdzie zdążyły już poznać Hajdukiewicza, niedługo po świętach wielkanocnych, ale przy nich zachowywał się wyjątkowo sztywniacko i wszystkie wspólnie uznały, że wolą się widywać wyłącznie w babskim gronie.

– Może siądźcie w salonie? – Gospodyni popatrzyła na kuśtykającą Olę. – Tam będzie wygodniej. Przeniosę jedzenie.

– Pomogę ci. – Marta położyła torby na kanapie obok sadowiącej się „kaleki”, jak nazywała Rudą.

Razem sprawnie przetransportowały wszystko na ławę, zaparzyły dzbanek kawy, a dla kobiety karmiącej, czyli dla samej siebie, Łucja naszykowała kubek owocowej herbatki.

– Śpi? – Ola spojrzała na mały odbiornik elektronicznej niani stojący obok telewizora.

– Tak, mamy niecałą godzinę. – Troskliwa mamusia zerknęła na zegarek. – Powinna się obudzić o czwartej, karmiłam ją wpół do drugiej, więc to jakoś tak wypadnie. – Szybko policzyła w głowie. – Je co dwie i pół godziny – wyjaśniła, siadając na niskim pufie.

– Często je. – Zagórska pokiwała głową. – To zdrowe, tak wszystkie powinnyśmy jeść, wtedy się nie grubnie. – Chwyciła skórę na wydatnych kościach biodrowych, wystających nad krawędzią dżinsowych biodrówek.

– Ta... na pewno. – Ola prychnęła pod nosem. – Przecież ta malutka pewnie je w nocy?

– No je. Trzy razy, o dziewiątej wieczorem, o północy i o trzeciej – potwierdziła Łucja. – Częstoście się. – Wskazała brodą na paterę. – Sernik jest pyszny, a to drugie ciasto z bezową górą ma w środku maliny i borówki. Super.

– Trzy razy? – Marta zmarszczyła nos, jakby właśnie coś brzydko zapachniało. – A o szóstej rano?

– Też, ale to już nie noc.

– Jak dla kogo. – Olka wywróciła oczami. – Dla mnie to już rano, bo w betonowym bucie kiepsko sypiam, ale dla niej – zerknęła na Martę – to i południe jest środkiem nocy.

– Mów, co się stało? – Łucja postukała w gips upstrzony napisami w stylu graffiti wykonanego przez najgorszego amatora.

– Zwichnęłam kostkę i zerwałam ścięgna.

– Ja opowiem, jak to było! – Marta aż podskoczyła na sofie.

– Okej, ale ja opowiem o kocyku. – Ola uśmiechnęła się triumfalnie.

– Dobrze, niech ci będzie. – Zagórska wydeła usta. – Tylko nie koloryzuj, bo ci kule zabiorę – stwierdziła z przekąsem. – Otóż... – zawiesiła efektownie głos – jak ci wiadomo, droga Łucjo, nasza ukochana przyjaciółka wróciła niedawno z wczasów na Majorce, gdzie odpoczywała... – chrząknęła znacząco – ze swoim nowym fagasem, niejakim Mieszko Lubawa, Mieszko Lubawą? To się jakoś odmienia? – Zerknęła na Olę.

– Odmienia, odmienia, tępoto – prychnęła. – Z Mieszkiem.

– A wiecie, że imię Hugo też się odmienia i na przykład w dopełniaczu brzmi „Hugona”? – Łucja zachichotała.

– No nie gadaj, że tak mówisz! Gdzie są skarpetki mojego drogiego Hugona?

– Marta zarżała jak koń.

– Nie. Tak tylko wam powiedziałam, jako ciekawostkę – wyjaśniła, nakładając kawałki sernika na trzy talerzyki.

– Aha, no i na czym to ja... wiem! Pojechała z tym Mieszkiem i jego mieszkiem... a tam, na tej Majorce, jest taka słynna mordownia, nazywa się BCM, i wchodzi do niej małe miasteczko, czyli siedem tysięcy ludzi, a wszystkie drinki, które są za darmo, można dostać w dziesięciu barach.

– W piętnastu – burknęła bywalczyni dyskotek.

– I tam jest coś takiego jak piana party – ciągnęła niczym niezrażona Marta – które polega na tym, że na wszystkich wylewają hektolitry piany, no i nasza artystka ujechała na parkiecie...

– Ups... – syknęła Łucja.

– Szlag mnie trafia, bo jeszcze trzy tygodnie muszę to nosić, a dwa dni przed tym wypadkiem zrobiłam sobie tatuaż na kostce, no i teraz się boję, że się źle zagoi. – Ola była szczerze wkurzona.

– Nie mówiłaś! – Marta szturchnęła ją w ramię. – Co masz? Obrazek czy napis?

– Nie powiem.

– No powiedz... – Łucja też była ciekawa.

– *I fucking like to party, It's what I was born to do...* – mruknęła niezbyt wyraźnie. Ledwie skończyła, a jej koleżanki najpierw przez chwilę patrzyły na siebie, później na gips, aż wybuchnęły niepowstrzymanym śmiechem.

– Co to za cytata? – Marta próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszała te słowa.

– To fragment utworu. Nie znacie zespołu, bo nie wyglądacie mi na fanki trashmetalowych kawałków. – Ola nie zamierzała ich szczególnie mocno wtajemniczać w swoje niszowe upodobania z gimnazjalnych czasów. – Teraz moja kolej... – Uśmiechnęła się jak kot nad tłustą makrelą. – Ale najpierw rozpakuj prezenty! – Plasnęła w dłonie.

– Dobrze. – Łucja skwapliwie się zgodziła. Była ciekawa, co otrzymała od przyjaciółek, choć jednej rzeczy spodziewała się na pewno: kocyka, o którym wspomniały na początku wizyty.

– O! Jakie słodkie! – Uniosła przed sobą welurowe śpioszki w śnieżnobiałym kolorze i z aplikacjami w postaci maleńkich stokrotek. – Wzorek jak na mojej pościeli, którą miałam w akademiku, ale ładniejszy, bo haftowany.

– Zapamiętałam. – Marta mrugnęła do niej.

Po śpiochach przyszedł czas na kolejne drobiazgi, czyli porządną, jak podkreśliła Ola, grzechotkę z Fisher Price oraz coś dla mamy w postaci bardzo ładnej trykotowej bluzeczki. Druga torba skrywała koc. Gdy już leżał rozłożony na kanapie, Łucja aż westchnęła z zachwytem. Rzeczywiście kocyk był urzekającej

urody, miłutki i miękki, z szenili bawełnianej, obszuty taśmą z białymi pomponikami i zadrukowany w króliczki.

– Wiedziałam, że ci się spodoba! Widzisz! Mówiłam ci! – zwróciła się w stronę Oli, uśmiechającej się tajemniczo.

– Dzięki, wszystko takie cudne! – Łucja ucałowała obie przyjaciółki. – Nie musiałyście, przecież to wszystko kosztowało majątek.

– Oj tam. Nie demonizuj. – Marta poklepała ją po ręce, ale widać było, że jest jej przyjemnie. – Razem się złożyłyśmy, nawet Mieszek się dorzucił i kazał pozdrowić, choć cię w życiu na oczy nie widział.

– A teraz ci opowiem, jak Zagórska kupowała kocyk. – Ola zachichotała. – Pamiętasz, jak kiedyś wspominałam o tym kocyku ze sklepu DULCE, w którym Marta się zakochała? To właśnie ten. – Wskazała palcem. – Otóż kupiła ten kocyk w piątek przed waszym ślubem, ale gdy parę dni później dowiedziała się, że jesteś w szpitalu, pojechała do sklepu i go zwróciła.

– Tak? A dlaczego? – Łucja wybałuszyła oczy na Martę.

– Oj, tak wyszło – warknęła. – Wystraszyłam się, bo nam opowiadałaś, że nie wolno ci kupować wyprawki, zanim się dziecko urodzi, bo to zły znak. Zabrałam koc i oddałam, choć laska z DULCE nie chciała go przyjąć. Kazała mi wymienić na coś innego, więc wzięłam matce wazon. – Wzruszyła ramionami. – Tam są takie ładne rzeczy, a że miała akurat imieniny, no to się jej pofarciło.

– Aha. No to skąd ten kocyk? – Obdarowana podniosła prezent i przytuliła do twarzy.

– Ona znów tam pojechała i jeszcze raz go kupiła. – Olka ryknęła śmiechem. – Powiedz, Zagórska, no nie krępuj się, jaką minę miała panna z tego sklepu, gdy trzeci raz oglądałaś ten sam kocyk i drugi raz go kupiłaś.

– Zabiorę ci kule. Zobaczysz, małpo. – Marta nerwowym ruchem poprawiła włosy, ale po sekundzie dołączyła do rozbawionych przyjaciółek.

– Cicho! – Łucja podskoczyła jak dźgnięta nożem. – Obudziła się.

– Jak super! – pisnęła Ruda. – Wreszcie zobaczymy Marynię. Maria ma mieć na imię?

– Tak. Idziecie ze mną czy mam tu z nią przyjść? – Zerknęła na gipsowy opatrunek.

– Jakoś dotrę – wysapała Ola, wspierając się na kulach.

– Okej, tylko mówcie cicho, bo ona się troszkę płoszy, gdy ktoś nieznajomy głośno przy niej mówi – ostrzegła gości, chwilę później otwierając drzwi dziecięcego pokoju.

– O... Jak ładnie... – Marta rozglądała się z podobnym zachwytem, z jakim przed chwilą Łucja podziwiała prezenty. Obie z Olą strzelały na wszystkie strony oczami, podziwiając wystrój pokoiku, ściany oklejone tapetami w pastelowym odcieniu różu i z miętowymi akcentami, białe mebelki i nawet kremową pikowaną

narzutę na sofie, na której teraz sypiała Łucja.

– No chodź do mamusi. – Wyjęła córeczkę razem ze sporym białym becikiem, w którym mała wierciła się i popiskiwała jak myszka.

– O jeżu malusieńki, ale drobinka.

– A jaki bet ma wielki, po co jej taka platforma?

– Jaka słodka, ale ma włoski długie...

– Patrz, jakie ma chude nogi, kolana jak zgięcie mojego kciuka, no może ciut grubsze...

– Ale podobna do Hugo, znaczy Hugona, prawda? A jaką ma pupeczkę maluśką...

– Patrz, jaki ma meszek na tyłku i pleckach, skrzeczy jak żabka...

Szeptaly, nachylone nad dzieckiem przewijanym z dużą wprawą przez Łucję.

– Becik dostałam od teściowej – wyjaśniła. – Na początku nie bardzo mi się to widziało, ale teraz myślę, że to genialna rzecz, zwłaszcza dla takich maleństw. Ciepło jej i czuje się bezpiecznie jak w brzuszku, a mnie wygodnie trzymać. Poza tym ładny jest, prawda? – Wygładziła fałdkę na jednej z szerokich tasiemek, którą zawiązała w kokardę.

– Ładny. Wygląda jak arystokratka w tych falbankach – podsumowała Ola.

– Co chcesz, przecież to szlachta, a szlachta się bawi. – Marta znów piła do nazwiska Hajdukiewicza.

– Ona nie jest z żadnej szlachty. – Łucja prychnęła. – To moja Marysieńka ukochana. To co teraz? Jedzonko? – Ucałowała coraz bardziej nerwową córeczkę.

– Możemy popatrzeć? – Ola aż podskoczyła na jednej nodze.

– Pewnie. Siadajcie. – Wskazała im swoją sofę, a sama usadowiła się na fotelu. Rozpięła guziczki bluzki i po chwili cichy odgłos ciamkania wypełnił pokój. Dziewczyny prawie nie oddychały, zapatrzona w ten cudowny rytuał kontynuowany od tysięcy lat przez kobiety. Łucja delikatnie się huśtała i nuciła coś pod nosem, a maleńka Marysia w najlepsze nadrabiała braki powstałe przez zbyt wczesne przyjście na świat.

– Ale żarłoczna. – Marta nie wytrzymała i szepnęła do Oli.

– Możecie normalnie rozmawiać. – Mamusia puściła do nich oczko. – Gdy malutka je, można robić wszystko, ja tak jej śpiewam, bo chcę, żeby znów zasnęła.

– Wiecie co? Jeszcze bardziej mi się dziecka zachciało niż wtedy, gdy kupowałam ten kocyk. Ruda, pierwszy raz w życiu miałaś rację, ewidentnie coś ze mną nie tak. Nie mam faceta, ale dziecko bym chciała.

– To akurat nic trudnego, idź do Afirmacji albo Prozaka, niestety, musisz iść sama. – Olka zerknęła na swoją nogę. – Jak prąd wyłączą, może ktoś ci załatwi dzitka. Korzystaj, tym bardziej że nie masz konkurencji, więc jakaś szansa jest. – Zachichotała złośliwie.

– Połamię ci te kule. Postanowione.

– Co się buchasz? – Ruda stuknęła ją lekko w głowę. – O! Pusto jak w pudełku po air maxach.

– I skąd się takie bierze? – Marta nie była jej dłużna. – A wiem, zima była łagodna i z ziemi wylazło... – Popatrzyła z politowaniem na siedzącą tuż obok przyjaciółkę.

– Przestańcie – poprosiła Łucja, która prawie się udusiła, tłumiąc śmiech. – Mleko mi skiśnie i zaraz się posikam, a nie mam pampersa. Wiecie co? Nikt mnie tak nie potrafi rozbawić jak wy. Jesteście kochane.

Dziewczyny jak na komendę spoważniały, a potem obie znów parsknęły pod nosem.

– O, chyba pan domu wrócił. – Marta obróciła się w stronę wyjścia na korytarz.

– Możesz przymknąć drzwi? – Łucja dziwnie się spłoszyła. Zakryła pierś pieluchą tetrową, którą co jakiś czas wycierała bródkę dziecka, i lekko oblizwała wargi.

– Jasne. – Marta spełniła jej prośbę, tak samo jak Ola nieco zdziwiona nagłym skrępowaniem ich przyjaciółki.

– Zaraz się przywitacie. Już prawie skończyłam – dodała zażenowana.

– Łuki... ale o co kaman? On nie może zobaczyć, jak karmisz? Czy co? Brzydzi się tego? – Ruda była wyraźnie skonsternowana.

– Daj jej spokój – syknęła Marta, szturchając ją dyskretnie nogą. Była bardziej empatyczna i bez problemów odczytywała mowę ciała, poza tym ciągle jeszcze miała przed oczami zachowanie Łucji w dniu ślubu, którego była świadkiem. Czowała, że coś jest nie tak, ale nie zamierzała wypytywać, bo na ile знаła Łucję, wiedziała, że jedyne, co osiągnie, to jej niechęć. Postanowiła, że poczeka, może kiedyś usłyszy prawdę.

– Wiecie co? – Ola chyba zrozumiała, że to temat tabu, i postanowiła, żartując, trochę rozmydlić i zbagatelizować problem. – Mam kuzynkę i ona twierdzi, że w życiu by nie rodziła z mężem, bo ponoć niektórzy panowie po takim widoku przestają odczuwać pociąg do żony, więc Łuki, niezła z ciebie spryciara. Poród z ciotką, karmienie przy kumpelach, ryzyka brak. Dobrze robisz, że mu nie pozwalasz patrzeć.

Łucja westchnęła na te słowa. Obtarła pieluszką dziecięcą twarzyczkę, zapięła guziki bluzki, wstała i delikatnie ułożyła becik ze śpiącą już małą Marysią. Oparła się o łóżeczko.

– Nie wiem, czy dobrze robię. – Wzruszyła ramionami w geście bezradności. – Czas pokaże, czy dobrze.

– Ej, co jest, laska? – Marta zerwała się z sofy, bo zauważyła, że na policzkach Łucji pojawiły się pierwsze nieśmiałe łzy.

– Nic. Przepraszam was. – Przytuliła ją mocno, pociągnęła za sobą i siadły

razem obok Oli, która z przerażeniem obserwowała całą scenkę, myśląc, że to jej wina. – Sorki, to taki *baby blues* – wytłumaczyła się. – Zaraz mi przejdzie.

– Mamy sobie pójść? – Marta pogłaskała Łucję po drżącej ze zdenerwowania dłoni.

– Nie. Zostańcie, proszę. Nie wypuszczę was bez kolacji. – Otarła policzek.
– Wiecie, że od przyszłego tygodnia zaczynam indywidualny kurs prawa jazdy? – Uśmiechnęła się blado. – Teściowa się uparła, że mi zafunduje.

– Tak? To super, choć teraz to już z domu nie wyjdę, strach będzie po ulicach chodzić. – Ola wyczuła od razu, jak powinny się zachować z Martą.

– I lepiej nie wychodź, wszyscy na tym skorzystają. – Zagórska pokiwała głową. – To co jest na kolację? Skisłe mleko? Wiedziałam, że tak się to skończy...

Rozdział 7

Było brzydko i zimno, październik niezbyt przyjemnie uprawomocnił panującą już od dziesięciu dni kalendarzową jesień. Hugo poprawił rękawy swetra i rozejrzał się po poczekalni. „Piotrowiec nie ma powodów do narzekania” – pomyślał, widząc kilkanaście osób czekających w kolejce do gabinetu. Większość stanowiły pary oczekujące dziecka, tak samo jak on i Łucja jeszcze sześć tygodni temu. Oparł głowę o oparcie sofy, zamknął oczy, próbując wyalienować się i nieco odpocząć. Do jego uszu docierał specyficzny szum charakterystyczny dla tego miejsca. Zawieszony w rogu telewizor ze ściszonej prawie do zera dźwiękiem stanowił tło dla prowadzonych szeptem rozmów. Hugo nie chciał ich rozumieć, przestawił w głowie tryb myślenia z języka polskiego na angielski, niemal od razu stwierdzając, że tak jest znacznie lepiej.

Ostatnimi czasy czuł się bardzo samotny, a z każdym kolejnym dniem ta samotność wśród otaczających go kobiet coraz bardziej narastała. Łapał się na tym, że chyba znów zaczyna mu to odpowiadać, co akurat nie było dla niego czymś zaskakującym. Lubił własne towarzystwo, dopiero Łucja na chwilę pokazała mu, że może być inaczej, ale ten etap miał już za sobą.

Najmniej kłopotów sprawiała pani Jadwiga, więc jej nie poświęcał szczególnej uwagi, za to matka nadrabiała z nawiązką. Czasami miała pretensje, a za chwilę tryskała entuzjazmem, krytykowała go, żeby pięć minut później przeproszać i rozpływać się w zachwytach. Twierdziła, że zbyt mało się angażuje w opiekę nad córką, a gdy podczas jej wizyt próbował wziąć małą na ręce, naskakiwała na niego, że ma ją na co dzień i żeby nie przeszkadzał, poszedł sobie i zajął się pracą. Nie mógł pojąć zachowania matki. Ale i tak zauważył, że od kiedy urodziła się Marysia, znacznie się jej „polepszyło”. Nie spędzała już tyle czasu na cmentarzu, za to najchętniej siedziała u nich dzień w dzień i od rana do nocy opiekowała się wnuczką. Ograniczył jej wizyty do dwóch w tygodniu, plus trzecia na wypadek czegoś szczególnego, jak chociażby dzisiejsza wizyta u lekarza.

Hajdukiewiczowa zafundowała synowej kurs prawa jazdy, choć to raczej jej bardziej na tym zależało niż Łucji, bo dzięki temu miała pretekst, żeby przesiadywać u młodych rodziców. Niestety, Hugo nie zgodził się, żeby pilnowała Marysi we wszystkie trzy dni, które jego żona spędzała poza domem. Zarezerwował sobie jedno popołudnie sam na sam z córeczką. Lubił te chwile, gdy zostawał z nią w domu. Czasami szedł na spacer, a gdy było brzydko, siedział w dziecięcym pokoiku i patrzył, jak mała śpi. Ostatnio zabrał becik i wraz z nim ułożył się na swoim łóżku w sypialni. Marysia spała, posapywała małym noskiem, a on leżał na boku i przyglądał się jej zdumiony, że taki mały człowieczek kiedyś urośnie, będzie rozmawiał, pracował, żył...

Wsunął swój palec do wnętrza mikroskopijnej, ale przecież absolutnie

doskonałej dłoni, a wtedy dziecko od razu mocno ją zacisnęło. „Jesteś silna” – pomyślał. Trzymała ojca za palec i spała spokojnie. Obudziła się krótko przed powrotem Łucji, leniwie otworzyła oczy i od razu wyprostowała swoje maciupęńkie paluszki. Nachylił się i popatrzył prosto w jej ciemnoniebieskie tęczęwki. Były duże i wyglądały trochę tak, jak u postaci w japońskich kreskówkach. Hugo wiedział, że to normalne. Czytał sporo na temat rozwoju dzieci i równolegle porównywał to, czego dowiedział z się netu, z tym, co działo się z Marysią. Nie mówił o tym nikomu, to był jego prywatny wkład w bycie troskliwym ojcem.

– Hej, widzisz mnie, to ja, twój tato – rzekł do Marysi, choć nie liczył na odpowiedź. Z utęsknieniem czekał na odzew z jej strony, mówił do niej, głaskał po ciepłym czółku i spoconych włoskach, przytulał delikatnie, ale ona nie reagowała. Wierciła się coraz bardziej, aż w końcu charakterystycznym krzykiem obwieściła, że jest głodna. Miał przygotowaną butelkę z odciągniętym pokarmem, ale zanim się podniósł, żeby ją przynieść z kuchni...

– Hugo?

Otworzył oczy.

– Spałeś? – Łucja stała nad nim, zaskoczona, bo jej jasne brwi były lekko uniesione.

– *Nope*. Rozmyślałem. – Podniósł się energicznie. Niespodziewanie skupił wzrok na jej twarzy i poczuł nagły impuls, żeby wziąć Łucję w ramiona i pocałować te kuszące usta, które były tak blisko. – I jak? W porządku? – spytał pozornie beznamiętnie.

– Powiem ci za chwilę, muszę iść zapłacić. – Zerknęła w stronę małej recepcji w rogu poczekalni.

– Już uregulowałem rachunek.

– Aha. Dziękuję.

Hugo podszedł do wieszaka, zabrał swój płaszcz. Chciał pomóc Łucji włożyć kurteczkę, ale uprzejmie podziękowała. W milczeniu wyszli z budynku małej prywatnej przychodni i tak samo pokonali krótką drogę do samochodu.

– Mam propozycję, może pojedziemy na jakiś obiad? – Hugo zerknął na zegarek. – Dopiero czwarta, mówiłem matce, że wrócimy po piątej. – Popatrzył na Łucję z nadzieją, że się zgodzi.

– Przepraszam, ale chyba nie jestem w nastroju – chrząknęła, bo coś załaskotało ją w gardle. – Poza tym już przygotowałam obiad, wystarczy podgrzać.

– Okej. Jak sobie życzysz. – Odpalił silnik i powoli zaczął wyjeżdżać z parkingu gęsto zastawionego samochodami.

– Nie gniewaj się. – Łucja nie miała odwagi spojrzeć na męża. Siedziała przypięta pasami, na których zacisnęła palce w geście bezradności. Naprawdę nie miała ochoty na wyjście do restauracji. Na nic nie miała ochoty, oprócz powrotu do apartamentu. Marzyła o tym, żeby wrócić do domu, zrzucić sukienkę, wziąć

prysznic, przebrać się w coś wygodnego, uciec do małego pokoiku i przytulić Marysię.

Wizyta u Piotrowca zupełnie ją rozbiła. Nie powiedział ani jednego niewłaściwego słowa, niczym jej nie uchybił. Mimo że pierwszy raz była u niego sama, nawet nie spytał o męża. Nie pokusił się również o te swoje żarciki, na które czasami sobie pozwalał, gdy jeszcze razem z Hugonem przychodziła na kontrolne badania w trakcie ciąży.

Zbadał ją, stwierdził, że wszystko jest w porządku, a potem spytał, czy miesiączkuje. Odpowiedziała, że nie. Kolejne pytanie dotyczyło częstotliwości karmienia, więc zreferowała, że przeciętnie osiem do dziewięciu razy na dobę. Wtedy powiedział, że ona i mąż mogą już podjąć współżycie. Zapytał, jak zamierzają się zabezpieczać, bo karmienie wyklucza zażywanie pigułek hormonalnych i, niestety, nie jest stuprocentową metodą antykoncepcyjną, choć dosyć skuteczną, zwłaszcza gdy karmi się bardzo często. Mówił Łucji coś o hormonach, prolaktynie i tak dalej, ale ona nie słuchała uważnie.

Czuła się jak idiotka. Co miała mu powiedzieć? Że ich metoda antykoncepcji to „szklanka wody zamiast”, jak żartował czasami wujek Janek? W końcu wzięła receptę na preparat z łatwo przyswajalnym żelazem i umówiła się z doktorem Piotrowcem za trzy miesiące, aby ewentualnie wtedy dobrać jakieś tabletki. „Proszę na razie korzystać z metod mechanicznych, przerwatywa będzie najlepsza” – doradził.

I to właśnie spowodowało, że wyszła z gabinetu, znów mając w głowie obraz wszystkiego, co wydarzyło się niecały rok wcześniej. Gdy zobaczyła pólśiedzącego męża, z zamkniętymi oczami, z rzęsami kładącymi delikatny cień na policzkach pokrytych ciemnym zarostem, nagle zapragnęła usiąść mu na kolanach, poczekać, aż ją obejmie, wtedy mocno przyłgnąć do niego i tak już pozostać.

– Miałaś mi powiedzieć, co mówił Piotrowiec – niespodziewanie przypomniał jej Hugo. – Chciałbym wiedzieć, chyba że to tajemnica.

– Nie. Wszystko w porządku, macica się idealnie obkurczyła. Zbadał mi piersi, też nie stwierdził żadnych nieprawidłowości. – Przełknęła ślinę. – A, kazał mi kupić jakiś preparat z żelazem – dodała szybko. – Mam receptę. Kupię w aptece u nas na osiedlu, bo to coś popularnego, powinni mieć.

– Rozumiem.

I znów milczenie, cisza dzwoniąca w uszach, przerywana odgłosem włączanych migaczy, gazem dodawanym przy ruszaniu ze skrzyżowania, cichym piskiem hamulców, gdy dojeżdżali do czerwonych świateł.

– Zawiesz nas w sobotę do Podola? – spytała Łucja, żeby ją przerwać.

– Tak. Przecież obiecałem.

– Zostaniesz na chwilę?

– Nie wiem jeszcze. Jeśli nic nie wyskoczy w biurze, wtedy tak.

– Uhm.

I on, i ona, oboje myśleli o tym samym, choć każde na swój sposób. Łucja nie mogła zapomnieć słów doktora Piotrowca. Hugo zaś jedyne, co widział w głowie, to kadr z popularnonaukowego filmu, ukazujący dwie planety, a może jakąś planetę i jej księżyc, które krążyły na coraz bardziej oddalających się od siebie orbitach.

Miał coś w domu, w gabinecie: wykonany przez pana Kazimierza złoty pierścionek z kryształowym oczkiem skrywającym w swoim wnętrzu mały talizman. Spoczywał w szufladzie biurka, a Hugo ciągle odwlekał jego wręczenie. Najpierw miał go dać Łucji zaraz po powrocie ze szpitala do domu, ale pomyślał, że może to niezbyt fortunny moment. Nie chciał, żeby ci wszyscy goście, którzy będą ich odwiedzać, zwracali nań uwagę, bo Łucję na pewno by to krępowało. Minął kolejny tydzień, jeszcze jeden i ciągle nie było okazji. „Chyba nigdy go jej nie dam, nasze orbity są coraz odleglejsze” – pomyślał, parkując pod apartamentowcem.

– Hugo...

– Tak? – Popatrzył na żonę.

Odpięła pasy, starannie wygładziła fałdkę skórzanej torebki i gdy już nic nie było do zrobienia, podniosła wzrok na męża.

– Tak sobie pomyślałam, że może napilibyśmy się wieczorem wina? Nie mogę dużo, ale pół lampki czerwonego winka dobrze mi robi na krew. – Uśmiechnęła się blado.

– Dobrze – odrzekł po chwili, zaskoczony propozycją. – Kupię w delikatesach. Wytrawne?

– Może półsłodkie?

– Niech będzie półsłodkie.



Zjedli kolację, Łucja poszła wykąpać córeczkę, później karmienie i kilkunastominutowe usypianie małej, przy którym sama też prawie usnęła. Jakoś się ogarnęła, z trudem wstała, ułożyła Marysię w łóżeczku i jeszcze raz zerknęła na nią. „Śpij” – wyszeptała, głaskając ją po coraz pulchniejszej rączce.

Gdyby nie obietnica, którą złożyła mężowi, z pewnością jedyne, co by teraz zrobiła, to zgasila małą lampkę i dołączyła do córki. Ale nie mogła tak postąpić, czuła wyraźnie, że sprawy między nimi z dnia na dzień przybierały coraz gorszy kierunek, oddalali się i nic nie mogli, a może nie chcieli z tym zrobić. W zasadzie funkcjonowali jak grzeczni i uprzejmi wobec siebie lokatorzy tego samego mieszkania. Wypracowali coś na kształt codziennej rutyny: Łucja oprócz opieki nad małą zajmowała się przygotowaniem posiłków, dbała o dom, a Hugo pracował,

robił zakupy i czasem brał dziecko na spacer. Żyli, skrywając swoje smutki gdzieś na dnie serca, oboje tak blisko i jednocześnie daleko od siebie.

– Jestem zmęczona – westchnęła cicho. Potarła policzki, żeby się trochę otrzeźwić. Podniosła ręce i poprawiła luźny kok z włosów zaplecionych w warkocz i upiętych szeroką frotką. Zerknęła na welurową bluzę rzuconą niedbale na oparcie fotela, ale ostatecznie zrezygnowała z jej włożenia. W apartamencie było bardzo ciepło, bo Hugo ze względu na Marysię ustawił temperaturę na dwadzieścia trzy stopnie. Zdecydowanie za dużo, aby Łucja czuła się komfortowo, ale nie protestowała, bo malutka wiecznie miała zimne rączki. Ostatni rzut oka w stronę łóżeczka i wyszła z pokoju, zabierając odbiornik elektronicznej niani i cicho zamykając za sobą drzwi.

– Zasnęła? – spytał Hugo, ledwie pojawiła się w salonie.

– Tak. Do północy mam spokój. – Łucja zerknęła na zegarek.

– Zamierzasz aż tyle czasu mi poświęcić? Nie wiem, czy to wytrzymam. – Hugo z niedowierzaniem pokręcił głową. Pozwolił sobie na sarkazm, gdyż ostatnio ich jedyne wspólne chwile ograniczały się wyłącznie do spożywania posiłków, i to też nie wszystkich.

Łucja zauważyła, że jej serce na moment zgubiło rytm. Przełknęła ślinę, bo poczuła się wyjątkowo nieprzyjemnie.

– Nie bądź niemiły – powiedziała, wytrzymując spojrzenie jego ciemnych oczu, które mierzyły ją przenikliwie.

– Przepraszam. – Natychmiast spoważniał. – Zachowałem się jak gbur.

– W porządku – odparła, wzruszając ramionami, żeby nie dać mu poznać, jak bardzo zrobiło się jej przykro. Stała przy niskiej ławie, wahając się, gdzie usiąść. Ostatecznie wybrała miejsce na kanapie, na której siedział jej mąż. „Gdybym siedła na fotelu, pewnie znów wsadziłby szpileczkę” – uznała w duchu. Przyglądała się, jak napelnia kieliszki, jej do połowy, swój do pełna.

– *Graham's ten years old tawny port* – przeczytał z etykiety. – Powinno być dobre. Portugalskie. Kobieta, która mi je doradziła, zasugerowała, że świetnie smakuje z serami, dlatego kupiłem kilka rodzajów. – Przysunął w stronę żony deskę z pokrojonymi na cienkie plastry najlepszymi gatunkami serów dostępnych w delikatesach.

– Pomyślałeś o wszystkim – pochwaliła męża. – Ładnie podane.

– Dziękuję. Za co wzniesiemy toast? – Hugo podał jej kieliszek.

– A musimy za coś wnieść? – spytała, obracając w palcach cieniutką szklaną nóżkę.

– Nie, ale picie z toastem jest bardziej uzasadnione. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Chyba usprawiedliwione i rozgrzeszone, bo w dobrych intencjach. – Łucja pozwoliła sobie na mały żart.

– Może tak być. To co? Zdrowie pięknych pań? – Jego głęboki, niski głos zabrzmiał kusząco.

– Nie ma tu takich. – Popatrzyła śmiało w jego oczy, choć z sekundy na sekundę miała mniej siły, by bronić się przed przepelniającym ją coraz mocniej pragnieniem. W tak bliskiej obecności męża traciła zupełnie zaufanie do siebie i do reakcji swojego ciała.

– Naprawdę? Widocznie coś mi się stało ze wzrokiem. Muszę to sprawdzić – rzekł Hugo. Lekko się podniósł i przysunął kilkanaście centymetrów. Siedział teraz tak blisko, że ich uda prawie się stykały. Łucja oczywiście zauważyła ten manewr, mogła się odsunąć, ale nie chciała, żeby uznał jej zachowanie za ostentacyjne, więc po prostu obróciła się przodem do męża i podwinęła lekko nogi pod siebie. „I wilk syty, i owca cała” – pomyślała, patrząc na jego minę. „Nie uciekłam, docień to” – przekazała mu bezgłośnie, licząc że zrozumie.

– Nie myliłem się. Ładnie wyglądasz. – Przesuwał spojrzenie po jej twarzy. Podobała mu się. Niezmiennie. Codziennie wystawiała na próbę jego opanowanie, a dzisiaj szczególnie. Z upiętymi włosami, obnażoną szyją, obojczykami dyskretnie rysującymi się pod jedwabistą skórą, w czarnym obcisłym topie na ramiączkach i zwykłych szarych dresowych spodniach wyglądała wyjątkowo ponętnie. „Chcesz mnie uwieść” – pomyślał, skupiając wzrok na jej bosych stopach będących na wyciągnięciu ręki.

– No dobrze, niech ci będzie. Zdrowie pięknych pań – przerwała mu kontemplację, wruszając przy tym ramionami.

– Zdrowie.

Stuknęli się lekko lampkami, zadźwięczały radośnie i czysto. Łucja upiła łyk. Wino było słodkawe, z wyczuwalną orzechową nutą i dyskretnym posmakiem suszonych śliwek.

– Smaczne – orzekła, sięgając po cieniutki plaster sera.

– Bardzo. – Hugo wychylił kieliszek. – Puszczę jakąś muzykę. – Wstał i podszedł do odtwarzacza.

„Błagam, niech to nie będzie jazz, bo nie wytrzymam” – modliła się w duchu Łucja. Już się zorientowała, w jakim kierunku to wszystko zmierza. Wino, sery, nastrojowe oświetlenie... Hugo zapalił nawet trzy zapachowe świece. Stały na parapecie i wypełniały salon dyskretnym aromatem pomarańczowej skórki i wanilii.

– Simon and Garfunkel? – Zerknął na nią.

– Uhm. – Łucja ochoczo pokiwała głową, jednocześnie oddychając z ulgą.

Niestety, jej zadowolenie trwało bardzo krótko. Hugo zdjął sweter i został w samym podkoszulku podkreślającym jego muskulaturę. Naturalnie nie byłby sobą, gdyby nie usiadł przodem do żony i nieco bliżej niż przedtem. Zapach rozgrzanego męskiego ciała drażnił jej nos, kolano ukryte pod ciemnogrnatowym

dżinsem stykało się lekko z jej kolanem. Łucja miała wrażenie, że skóra w tym miejscu ją piecze. „Trzymaj się, dziewczyno” – pomyślała z bijącym sercem, obserwując męża, który z wprawą napełnił swój kieliszek. Znow czuła się zakłopotana jak na samym początku ich znajomości, a Hugo skwapliwie to wykorzystywał. Wiedziała, że jej policzki z pewnością się zarumieniły, a wino wcale nie pomagało się uspokoić, szumiało w odzwyczajonej od alkoholu głowie. Była ciekawa, jak zareagowałby Hugo, gdyby poznał jej myśli i pragnienia w tym momencie.

– Za miesiąc mam egzamin. Sławek tak mówił, ten mój instruktor – powiedziała dla odwrócenia uwagi i uśmiechnęła się jak gdyby nigdy nic. Postanowiła sprowadzić rozmowę na bezpieczne tory.

– Dobrze, że o tym wspomniałaś. Trzeba będzie kupić ci jakiś samochód. Już się rozglądałem. Co powiesz na volvo xc sześćdziesiąt? Oczywiście w automacie. – Obdarzył żonę uprzejmym uśmiechem.

– Chwileczkę. – Łucja zmarszczyła czoło. – Ustalmy coś. Po pierwsze, nie mam pojęcia, jak wygląda to volvo, po drugie, nie chcę przyjmować od ciebie tak drogiego prezentu, bo to na pewno drogi samochód.

– To typowy SUV, podobny do mojego auta, jest wygodny i bezpieczny. To bardzo ważne. Tym bardziej że przecież czasami będziesz podróżować z Marysią – uzasadnił. – Jeśli nie chcesz mieć samochodu na swoje nazwisko, mogę kupić go na firmę, jak laptopa, którego używałaś w szpitalu. Odpowiada ci taki układ?

– Okej – zgodziła się po krótkim namyśle. – Brzmi rozsądnie.

– Cieszę się. – Uniósł kieliszek i uderzył lekko jego podstawą w górną krawędź kieliszka Łucji.

Wypili wszystko i jednocześnie – jakby się umówili – odstawili puste szkło na ławę, a Łucja znow poczuła to irytujące łaskotanie w dole brzucha, zwiastujące kłopoty. „Teraz powinniśmy się pocałować, a potem...” – Potrząsnęła głową, nie mogła uwierzyć, że tak bardzo tęskniła za dotykiem dłoni męża, była zła na siebie, że jest tak słaba i podatna na każdy jego ruch, interpretowany przez nią jak prowokacja. Za to Hugo był zupełnie wyluzowany, wsparł się ramieniem o oparcie kanapy i bez skrępowania taksował żonę wzrokiem.

– Na pewno ten twój Sławek poinformował cię, że po zdanym egzaminie trzeba od razu często i dużo jeździć, w przeciwnym razie wszystko zapomnisz, dlatego dobrze, że się zgodziłaś – orzekł.

– To nie jest mój Sławek. – Łucja prychnęła jak kotka. – A właściwie, czy mogę cię poprosić o... – nagle zaciął się jej głos. – Mógłbyś oddać mi moją obrączkę? Twoja mama dziwnie się patrzy, poza tym w sobotę jadę do babci, a ona jest bardzo spostrzegawcza i na pewno się spyta, dlaczego jej nie noszę.

– Matka mówiła, że ten koleś, Sławek, jest w moim wieku. Może on cię podrywa? – Hugo na moment przymrużył oczy.

– Nie. – Natychmiast pokręciła głową.

– Rozumiem. – Chyba nie wierzył, bo nawet nie drgnął. Siedział spokojnie i patrzył prosto w jej oczy, aż w końcu nie wytrzymała i opuściła wzrok na sznureczek od spodni, którym zaczęła się bawić. – Trochę to dziwne, że akurat gdy zaczęliśmy rozmawiać o twoim instruktora, przypomniałaś sobie o obrączce. Nie uważasz? – spytał Hugo.

– Nie – odparła zażenowana. – Już dawno miałam cię o nią poprosić, tylko ciągle wylatywało mi z głowy. – Popatrzyła na dłoń męża.

On nosił swoją od dnia ślubu. Nigdy jej nie zdejmował, czasami bawił się nią, obracał na palcu, lekko zsuwał i zakładał z powrotem. Dziesiątki razy obserwowała takie zachowanie. Mówiąc, że zapomniała o obrączce, skłamała. Zrobiła tak, mimo że kłamstwo nigdy jej nie wychodziło, ale ostatnio zdarzało się coraz częściej. „Jestem w kokonie, o którym mówiła babcia” – pomyślała i cicho westchnęła, bo zupełnie jej to nie odpowiadało.

– Przepraszam. Nie chciałem wprawiać cię w zakłopotanie. Zaraz przyniosę obrączkę. – Hugo wstał.

Ledwie wyszedł z salonu, Łucja wzięła głęboki wdech. Brakowało kilku sekund i przyznałaby się. Powiedziałyby mężowi, jak czasami zachowuje się instruktor, jakie komplementy jej prawi, jak parę razy powtórzył, że nie wierzy w to, żeby taka śliczna i młoda dziewczyna była już mężatką i miała dziecko. Nie skutkowało nawet to, że Łucja co chwila wspominała Sławkowi o teściowej, która go wynajęła i opłaciła. Przynajmniej raz w trakcie każdego spotkania pozwalał sobie na jakąś uwagę niemającą nic wspólnego z nauką jazdy. Miał numer jej komórki i ostatnio o ósmej wieczorem wysłał jej SMS-a. Na szczęście zabrała telefon do łazienki i natychmiast skasowała wiadomość brzmiącą zbyt poufale jak na łączące ich relacje. „Tęsknię za Tobą...” – napisał po pięciu dniach niewidzenia się ze względu na lekkie przeziębienie Łucji. „Muszę to jakoś ukrócić” – postanowiła wtedy. Uznała, że obrączka będzie niezłym „przypominaczem” dla Sławka. „Może widząc ją, przestanie mnie nagabywać”.

– Proszę. – Hugo położył na ławie małe pudełeczko.

– Dziękuję. – Łucja przez chwilę zastanawiała się, czy włożyć ją teraz, czy gdy zostanie sama, ale stwierdziła, że byłoby to tchórzostwo z jej strony. Gdy Hugo sięgnął po butelkę z winem i kolejny raz napełniał swój kieliszek, ona podniosła pudełeczko i je otworzyła. W środku, oprócz obrączki, na aksamitnej poduszeczce leżał mały sygnet z idealnie okrągłym, lekko opalizującym kamieniem. Wyglądał jak srebrny, ale Łucja od razu domyśliła się, że to białe złoto. – Co to jest? – Przełknęła ślinę.

– Pierścionek dla ciebie.

– Dla mnie? – Jej brwi wystrzeliły w górę. – Z jakiej okazji?

– Bez okazji, ale jeśli koniecznie potrzebujesz uzasadnienia, żeby go

przyjąć, to moje podziękowanie za to, że urodziłaś Marysię, choć powinienem ci go wręczyć zdecydowanie wcześniej. Przepraszam. – Hugo wypił parę łyków wina, zabrał z deski trzy plastry sera, zwinął je w rulon i powoli zagryzał nimi słodki alkohol. Był ciekaw reakcji Łucji. Kilka razy go dzisiaj zaskoczyła, najpierw propozycją, że wypiją wieczorem wino, później szybką akceptacją zakupu samochodu i na koniec prośbą o obrączkę.

– Hugo, ja... – zamilkła na moment. – Ja bardzo dziękuję, ale nie wiem, czy to jest dobry pomysł... – stropiła się. – Nie chcę sprawiać ci przykrości...

– Zanim odmówisz, zobacz, czy pasuje – polecił.

Łucja wyjęła sygnecik i przez chwilę badawczo mu się przyglądała. Nie musiała przymierzać, była pewna, że będzie pasował idealnie. Koszyczek podtrzymujący oczko wysadzany był jakimiś małymi kamyczkami, mieniącymi się na tęczowo przy najmniejszym ruchu dłoni. „To na pewno diamenty, dobrze, że są takie maleńkie” – pomyślała. Skupiła wzrok na środkowym kamieniu, próbując ocenić jego wartość i mając nadzieję, że nie był drogi.

– Co to za kamień? – Poddała się po minucie badawczej obserwacji.

– To szkło szafirowe.

– Szkło? – W jej głosie pobrzmiwało niedowierzanie. – Coś tam się mieni na dole, tak nie wygląda szkło – stwierdziła. – Choć może to szafirowe wygląda inaczej niż zwykle... Nie znam się. – Uniosła ramiona w geście bezradności.

– Zjrzyj od wewnątrz, od spodu oczka – podpowiedział.

– Czy to... – urwała w pół słowa.

– Tak. To właśnie to. – Pokiwał głową. Przypominał sobie, ile kłopotu było z wykonaniem tego kaboszonu. Złotnik opowiadał, że w małej czeskiej hucie szkła, do której wysłał łuskę karpia, człowiek odpowiedzialny za nietypowe zlecenia stwierdził, że to najtrudniejsza rzecz, jaką wykonywali. Inżynier Jičínský obawiał się, że łuska zniszczy się w momencie wtapienia jej w płynne szkło i dlatego kupił karpia, oskrobał go i na jego łuskach testował swoje pomysły co do wykonania usługi. Dopiero gdy opracował odpowiednią technikę, odważył się wtopić tajemniczą rybią łuskę przyslaną z Polski. Oczywiście policzył sobie odpowiednią sumkę za trud włożony w ten dziwaczny eksperyment, ale dla Hajdukiewicza nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Hugo, jednak oddałeś mi swoją łuskę... – powiedziała cicho Łucja, bezgranicznie wzruszona.

– To nie ta. Moja jest schowana w portfelu – rzucił pozornie beznamiętnym głosem.

– Jak to? A skąd wzięła się ta? – Popatrzyła na oczko pierścionka.

– Jowita Richter znalazła ją u siebie na tarasie i przyniosła nazajutrz po twoim omdleniu – wyjaśnił.

– Naprawdę? – Łucja wybałuszyła oczy. – Nie wierzę...

– Naprawdę. Prosiłem, żeby ci nie mówiła wcześniej, ale teraz możesz ją spytać.

– Hugo... ja nie wiem, co powiedzieć. – Głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Nic nie musisz mówić, po prostu przyjmij pierścionek.

– Ale dlaczego? Skąd taki pomysł?

– Chciałem, żebyś już nigdy jej nie straciła, żebyś miała ją zawsze przy sobie, a w tym szkłe jest bezpieczna na wieki – wytłumaczył spokojnie.

– Dziękuję ci. Ja... – Zszokowana kręciła głową, bo nigdy nie otrzymała prezentu równie romantycznego i poruszającego do głębi.

– Założ.

Posłuchała go, ale najpierw obrączka wróciła na swoje miejsce, a obok na środkowym palcu prawej dłoni zagościł sygnecik.

– Jest piękny. – Wyciągnęła przed siebie rękę.

– Pięknie wygląda na twojej dłoni – powiedział ochryplym głosem. W jego oczach lśniła radość i coś na kształt chwilowego triumfu.

„I co teraz mam zrobić, jak się zachować?” – myślała Łucja. Opuściła już dłoń, ale nadal przyglądała się swoim palcom ozdobionym biżuterią. „Mam go pocałować?” Zerknęła na męża. „Gdy to uczynię, nie będę w stanie się powstrzymać przed pójściem dalej, a on na pewno mi w tym nie pomoże” – uświadomiła sobie.

– Hugo, ja jestem... – zająknęła się. – Bardzo, bardzo ci dziękuję. To chyba najpiękniejszy prezent, jaki mogłeś mi ofiarować. Zawsze będę nosić ten pierścionek, obiecuję. Nigdy go nie zdejmę. – Znow jej oczy spoczęły na połyskującym dyskretnie oczku o jednej płaskiej fasetce.

– Moim marzeniem jest, żebyś nigdy nie zdejmowała nie tylko tego pierścionka, ale i obrączki – odparł niemal bez tchu.

Łucja kilka razy zamrugnęła, w końcu zamknęła oczy. Spod powiek zaczęły wypływać nieśmiało pierwsze łzy. – Potrzebuję trochę czasu – powiedziała cicho, jakby mówiła do siebie.

– Ile? – Męski głos próbował naruszyć barierę, którą zbudowała.

– Nie wiem. – Odważyła się podnieść głowę i popatrzeć na męża.

– A kiedy będziesz wiedziała?

– Potrzebuję trochę czasu... – powtórzyła, tym razem nieco głośniejszym głosem. – Nie naciskaj, to dla mnie trudne. – Objęła się rękami, jakby chciała się schronić przed całym światem.

„Dla mnie też” – pomyślał Hugo. Sięgnął po kieliszek i słodkim winem przepił gorycz, którą czuł bardzo wyraźnie. Niestety, nie pomogło. „Chciałbym wziąć cię w ramiona, kochać się z tobą”. – Wyłącznie spojrzeniem przekazywał Łucji swoje pragnienia.

– Dziękuję, że przyjęłaś pierścionek. – Westchnął zrezygnowany i zniechęcony jej dystansem. – I za miły wieczór też. – Dopił resztę wina i odstawił

pusty kieliszek na małą tackę. Znowu ogarnęło go to uczucie, od którego aż skręcało go w środku. „Czego oczekiwałeś, idioto? – pomyślał ponuro. – Że tak łatwo i szybko ci wybaczy? *No way!*”

– Chyba pójdę się położyć. – Łucja bezwiednie potarła policzek. – Marysia się obudzi za dwie godziny, może zdążyć się zdrzemnąć – dodała po chwili.

– Powinnaś odpoczywać, żeby nie stracić pokarmu.

– No tak, masz rację. – Wstała, wzięła małe pudełeczko i rozejrzała się niewidzącym wzrokiem.

– Posprzątam – zadeklarował Hugo, który też już podniósł się z kanapy i podszedł do parapetu okna, żeby zgasić świece.

– Dziękuję. To... dobranoc. – Łucja zatrzymała się przy wyjściu z salonu.

– Dobranoc – odpowiedział, zdmuchując ostatni płomień.

Rozdział 8

Trzy miesiące bez babci? Gdyby ktoś powiedział Łucji, że tyle znieś, nigdy by nie uwierzyła, ale jednak jakoś to zniosły, i babcia, i ona. Gdy z nosidełkiem w ręku przekraczała próg swojego rodzinnego domu, jej serce waliło jak oszalałe, a z oczu płynęły strugi łez. Przez pierwsze pięć minut obie ścisnęły się tak mocno, że aż kości trzeszczały. Odsuwały się na moment, żeby spojrzeć na siebie i znów paść w objęcia. Stały w ciasnym korytarzyku, na przemian płacząc i ciesząc się, że wreszcie są razem. Obie obsypywały się komplementami, Łucja chwaliła babcię, która wyglądała wyjątkowo młodzieńczo w dopasowanej sukience, a sama słuchała, jak to macierzyństwo jej służy i że trochę nabrała ciała. Dopiero ciche skrzeczenie dobiegające spod pieluszki tetrowej, którą była przykryta Marysia, przerwało to wzruszające powitanie.

Łucja pomaszerowała do łazienki, umyła twarz i ręce, a później wniosła nosidełko do pokoju babci. Wyjęła małą i sprawnie wyłuskała ją z ciepłego kombinezonu. Zofia Maśnikowa, mimo że od trzech tygodni uznawana była za całkowicie wyleczoną, wołała zachować ostrożność, więc tylko przyglądała się całej procedurze. Do końca nie było wiadomo, co oprócz boreliozy i jersiniozy dolegało babce Łucji, dlatego lekarze wdrożyli dosyć długą kurację antybiotykową, żeby nie pozwolić przetrwać żadnej paskudnej bakterii.

Oczywiście prawie cały dom został wyrócony do góry nogami. Stefan z Jankiem wybiłkowali ściany i sufity, dywany zostały wyrzucone i zastąpione nowymi, podobnie jak dwa materace, pierzyny i poduszki. Resztę, czyli zasłony, firanki, narzuty i obrusy, można było uprać. Babka pokusiła się nawet o posypanie wszystkich pomieszczeń święconą solą.

„Jeszcze zdążę Marysię nieraz wytarosić, nie bój się” – uprzedziła Łucję. „Myślę, że przesadzasz” – stwierdziła wnuczka. Czytała w Internecie, że praktycznie nie było możliwe, żeby ktoś mógł się zarazić od babci, ale ta ostatnia ucięła dyskusję znanym powiedzeniem wzbogaconym o dodatek jej autorstwa, czyli: niestrzeżonego diabeł strzyże, i to tępyimi nożycami.

– Cały ojciec – orzekła, przyglądając się karmionej piersią prawnuczce. – A czego to mąż szanowny nawet na chwilę nie wszedł?

– Ma dużo pracy, pojechał z powrotem do Krakowa i wróci po nas pod wieczór. – Łucja podniosła wzrok na babkę. Powtórzyła słowo w słowo, co przekazał jej Hugo jeszcze poprzedniego dnia, ale jakoś nie bardzo wierzyła, że to prawda. Czuła, że uniósł się honorem po ich czwartkowej rozmowie przy butelce wina. Wczoraj cały dzień odnosił się do niej z wyjątkową rezerwą i chłodem. Nawet nie skorzystał z propozycji wspólnego wykąpania małej. Wymówił się ciasnotą w łazience, a przecież już kilka razy kąpali Marysię razem, a raz nawet w trójkę, bo z jego matką.

– No tak, zarobiony pewnie. – Maśnikowa pokiwała głową. – Może ma mnie dość. – Parsknęła śmiechem. – W tym Dreźnie tośmy się nasiedzieli jak te łyżki związane razem przed Wilią, i to nie kilka godzin, tylko przez tydzień.

– Może wieczorem będzie miał chwilkę, powiem, żeby wstąpił chociaż na herbatę. – Łucja poczuła się odpowiedzialna za niezbyt taktowne zachowanie męża.

– Po południu mają wpaść dziewczynki, znaczy Agatka z Irenką – wytłumaczyła babcia jak komuś obcemu, pewnie przez zbyt długą rozłąkę. – No i jeszcze kuzynostwo, ale nie wiem kto konkretnie. Chcieli już teraz przydrałować, ale nie pozwoliłam. Później pooglądają, jak się już tobą nacieszę. – Zachichotała.

– I z wzajemnością – stwierdziła Łucja.

– A widzisz, coś mi pamięć ostatnio szwankuje, jak nie urok to sraczka. Już dawno miałam spytać, co słyhać u tej dziewczyny z forum. Julia jej było?

– Uhm.

– No i co u niej? Napisałaś jej wtedy, co ci poradziłam?

– Tak.

– Oj, chyba coś nie poszło po twojej myśli? Nie spasowała rada starej babki?

– Zofia Maśnikowa dobrze znała swoją wnuczkę.

– Nie pozwoliła mężowi wrócić. To znaczy, najpierw pozwoliła, ale po miesiącu się rozstali, bo ona nie potrafiła mu wybaczyć. Ciągłe się kłócili, no i...

– Łucja wzruszyła ramionami. Gdzieś w głębi serca kibicowała mężowi Julii, ale dotarło to do niej dopiero, gdy ta napisała, że jednak nie zostanie z mężem, że nie potrafi mu wybaczyć i ponownie zaufać. Łucja próbowała porównać skalę przewinienia tego człowieka i własnego narzeczonego, wszak obaj oszukali kogoś najbliższego, niestety nie udało się jej ocenić, który z panów mocniej zawiódł pokładane w nim zaufanie.

– Nie zawsze wszystko dobrze się kończy. Widocznie tak miało być – westchnęła Zofia.

– A ty co byś zrobiła? Już teraz możesz mi powiedzieć.

– Ja? – Babcia zrobiła zdziwioną minę. – Pojęcia nie mam. Bo to, widzisz, jest tak, jeśli znasz kogoś od dziecka, jak ja znałam Felka, ciężko sobie wyobrazić taką sytuację. Dziadek nigdy mnie nie oszukał. Prędzej mogłabyś spytać Hani, czy ona by wybaczyła panu Markowi.

Łucja wytarła pieluszką buzię Marysi, zapięła bluzkę i ułożyła dziecko na ramieniu, żeby mu się odbiło.

– A co u niego? – spytała, patrząc na babcie.

– No nic nowego. Chwała Bogu ze zdrowiem całkiem mu się wyprostowało, jak i u mnie, ale dalej ma kłopoty z emeryturą. Oni tam mają podobnie jak teraz u nas. No i pan Marek zbierał pieniądze na trzecim filarze, ale wszystko poszło na leczenie jego żony. Agatka mówiła, że ostatnie dziesięć lat był kierownikiem

w jakiejś firmie, co to nie odprowadzała składek na ichniejszy ZUS, więc są kłopoty z drugim filarem, a do takiej podstawy jak ja mam, też mu brakuje, bo nie mieszkał tam czterdziestu lat. Pogmatwane to jest.

– I co teraz? – Łucja ułożyła małą w nosidełku.

– Ano najlepiej by było, żeby tam pojechał na jakiś miesiąc lub dwa pozałatwiać wszystko, bo ponoć więcej ludzi z tej firmy się zebrało i podali do sądu tego właściciela firmy. Ale on nie ma pieniędzy i kółko się zamyka. Agatka coś tam kombinuje z Jankiem, że wezmą kredyt i mu pożyczą, żeby tam pojechał, ale nie wiem, czy się uda, bo już mają pożyczkę do spłaty, co to brali na Justysi wesele, i w banku im robią problemy. Ja chciałam podzyrować, ale za stara jestem, Irenka ze Stefkiem też zadłużeni, bo przecież ciągnik kupili trzy lata temu, no i tak to wygląda. Kiepsko. – Maśnikowa machnęła ręką.

– Aha.

– Chcesz ją wynieść do swojego pokoju? – Babcia zerknęła na prawnusię.

– Lepiej tutaj, przynajmniej mam ją na oku. Jej nie przeszkadzają rozmowy.

– Będzie spać?

– Może zaśnie. Kiedyś lepiej sypiała, ostatnio chyba ma kolki, bo pod wieczór zdarza się, że okropnie płacze. – Łucja ułożyła nosidełko na podłodze i lekko nim huśtała.

– Po chrzcinach jej przejdzie. – Babcia leciutko się uśmiechnęła. – Tydzień wytrzymasz.

– A jak nie przejdzie?

– To wypróbujesz przeciągania przez spódnice.

– Co? – Łucja wybałuszyła oczy.

– Już ci powiem. Zakładasz spódnice i chodzisz w niej cały dzień, potem na wieczór zdejmujesz i gdy dziecko ma kolkę, trzy razy przekładasz je przez otwór w spodnicy, ale koniecznie od dolnego brzegu ku górze, czyli tam gdzie pasek. Nie wiem tylko, czy to działa na dziewczynki, bo moje kozy nie miały kolek, ale synkowie Wandy, jak jeden mąż, kończyli dwa miesiące i zaczynało się. Wrzeszczały te biedne chłopaki na pół wsi, no i tylko to działało.

– Babciu, żartujesz? – zachichotała wnuczka.

– Nie. Wiem, że teraz są inne sposoby. Można kupić kropelki, takie jak Justynka podawała dziecku, ale kiedyś nie było.

– Ale to jest jakiś zabobon!

– Oj tam, zaraz zabobon. Metoda lecznicza, a nie zabobon. A co to komu szkodzi?

– W sumie? – zamyśliła się Łucja, patrząc na swój sygnecik z łuską. – Nikomu.

– Popatrz, dziecko, jaki ten sposób z wyprawką mądry jest. Bo to niby też zabobon, a jaki rozsądny. Kiedyś nie było jak teraz, że prawie każde dzieciątko

uratuja, nawet jak się słabowite urodzi. Kobiety nosiły ciążę i gdy nie daj Boże zmarło się maleństwu albo poroniła taka nieszczęsnica, to wiesz, jaki byłby żal, gdyby miała wszystko naszykowane? A tak człek się pomodlił i zapomniał, życie toczyło się dalej i za chwilę znów się starał o kolejne dziecko. Tak samo imienia nie wybierało się wcześniej.

– Przecież kiedyś nie było wiadomo, jaka jest płeć dziecka, to pewnie dlatego.

– A nieprawda. Wiedziałyśmy. Jak brzuch był duży, ale biodra się nie rozeszły i uroda poprawiła, to chłopak, a gdy na odwrót – to dziewczynka – stwierdziła babcia.

– No może i racja, brzuch miałam mały, ale tyłek mi urósł. No i pryszczki mi się pojawiły na koniec... – Łucja z niedowierzaniem potrząsnęła głową. – A jakie znasz jeszcze zwyczaje? – Położyła nosidełko na środku łóżka i siadła obok, delikatnie nim huśtając.

– A wstążeczki czerwone się przypinało, żeby nikt nie obziokał małej.

– Czyli?

– Uroku nie rzucił. Kokardka pomaga, żeby dziecko było zdrowe, no i ładne też. Wszystkie moje dziewczynki takie miały przypięte do wózka, ty też miałaś i twoje kuzyneczki też.

– Aha. Babciu... – Łucja uśmiechnęła się pod nosem.

– No co?

– A zrobisz dla Marysi taką kokardkę na uroki?

– A jak myślisz, kozo? – Maśnikowa wstała z krzesła. – Już dawno mam naszykowaną. Zaraz ci przyniosę. To najładniejsza kokardka, jaką zrobiłam. – Zachichotała.

– Jesteś czarownicą...

– No, prawdziwa ze mnie wiedźma. Felek czasami tak mówił. – Babcia parsknęła pod nosem.

– Nie jesteś wiedźmą, raczej czarodziejką. – Łucja zerwała się z łóżka i mocno ją przytuliła. – Kocham cię.

– Ja ciebie też, mój skarbie kochany...



– Panie Hugo, zapraszam! – Agata, która otworzyła drzwi, ciągnęła go za rękaw płaszcza.

– Proszę wybaczyć, ale już szósta, a ja po ciężkim dniu. – Hajdukiewicz nie miał ochoty na towarzyskie spotkania, spędził prawie pięć godzin nad apelacją w dosyć trudnej sprawie. Jedyne, o czym marzył, to odebrać żonę i córkę, wrócić do Krakowa, wziąć prysznic i zasiąść z piwem przy telewizorze, bynajmniej nie

żeby coś obejrzeć, lecz raczej zresetować umysł.

– Parę minut pana nie zbawi.

– Pójdę się przywitać, ale zaraz uciekam. – Hugo wszedł do gościnnego pokoju. „Niezły spęd” – pomyślał, ledwie przekroczył próg. Trochę zeszło, zanim został komisyjnie obściskany przez ciotki i babkę Łucji. Obaj zięciowie Maśnikowej podali mu dłonie, oni też traktowali go jak bohatera, bo przecież gdyby nie on i jego matka, teściowa tak szybko by nie wydobrzała. Na koniec podszedł do niego wąły okularnik, który do tej pory przyglądał się spokojnie spektakularnemu powitaniu.

– Damian Kowalik – przedstawił się.

Hugo uściśnął mu dłoń, przez chwilę mierzył chłopaka wzrokiem, ale gdy do pokoju weszła Łucja, natychmiast się odwrócił i skierował w jej stronę. Wziął od niej nosidełko i zajrzał do środka. Marysia nie spała, popatrzyła na ojca swoimi ślicznymi granatowymi oczkami i ziewnęła malowniczo.

– Nakarmiłam ją, powinna spać – wyjaśniła Łucja.

– A to co? – Hugo wskazał na czerwoną wstążeczkę przymocowaną na prawej stronie uchwytu. – Rozrywka?

– Też. – Zaśmiała się.

– Dobrze. To wracamy?

– Nie zostaniesz choć na herbacie? – spytała nieśmiało, widząc, że nie zdjął płaszcza.

– Jestem zmęczony – wyjaśnił.

– Jak chcesz. – Łucja wzruszyła ramionami. – Babciu, będziemy się zbierać.

– Szkoda, że pan Hugo choć na kwadransik nie zostanie. Plackiem by się poczęstował – kusila Irenka.

Bezskutecznie, bo Hajdukiewicz znów wymówił się zmęczeniem i późną porą. Zabrał sporą siatkę, w której były przygotowane dla nich smakołyki: ciasto, trochę jajek oraz parę słoików z przetworami.

Zofia Maśnikowa odprowadziła wnuczkę i jej męża do drzwi. – Jedźcie z Bogiem, dzieci. – Ucałowała ich. Stała w drzwiach, patrząc, jak w milczeniu zmierzają w stronę bramki. – I co to się z wami podziało? – westchnęła cicho do siebie. Czowała, że coś jest nie tak. Łucja zachowywała się dziwnie, gdy rozmowa schodziła na temat jej męża, ucinała dyskusję, a gdy Hugo przyjechał, nie powitała go radośnie, nawet na niego nie patrzyła. „Będę się za was modlić” – postanowiła w sercu, choć i tak codziennie odmawiała dziesiątkę różańca za każdą ze swoich córek i ich rodzin. Pomachała im ręką i zamknęła drzwi.

– Siądziesz z przodu? – spytał Hugo, gdy skończył zapinać fotelik.

– Wolę z tyłu. – Łucja obeszła samochód. Była zła na męża. Nie dość, że nie wszedł nawet na chwilę, gdy ją przywiózł do babci, to i teraz zawiódł, a ona spodziewała się, że jednak zostanie chociażby pół godziny. Siadła obok córeczki,

zapięła pasy i wlepiła wzrok w boczną szybę, mimo że i tak nic nie było za nią widać.

Hugo odpalił silnik i ruszyli. Marysia zasnęła jeszcze w domu, więc wystarczyło leciutko odchylić brzeg kocyka i zostawić ją w spokoju, bo jak większość dzieci lubiła spać w samochodzie.

– O co ci chodzi? – Hugo wyczuł, że Łucja nie jest w humorze.

– O nic. Też jestem zmęczona. To był bardzo emocjonujący dzień.

– Na pewno – rzucił z przekąsem. – Ten Damian to twój chłopak?

– Nie.

– Nie? Przecież mówiłaś, że się spotykaliście – burknął znad kierownicy.

– Owszem. Kiedyś.

– Stara miłość nie rdzewieje.

– To nie była żadna miłość – fuknęła pod nosem Łucja. – My się tylko spotykaliśmy, jak koleżanka z kolegą. Gdyby miał złe zamiary, przecieżyby nie czekał tak długo, żebyś go zobaczył u babci.

– Złe? Zależy wobec kogo. Wobec ciebie na pewno dobre. I to raczej on chciał zobaczyć mnie niż ja jego, ale okej. Pewnie jest podobny do twojej rodziny. Poza tym w zasadzie nie mam prawa wnikać w to, z kim się spotykasz. Czyż nie? – Hugo zacisnął palce na kierownicy.

Przez chwilę jechali w milczeniu, on wściekł na siebie, że sprowokował tę idiotyczną dyskusję, a Łucja jeszcze bardziej zła o to, że mąż uznał jej rodzinę i sąsiadów za grupkę wścibskich wieśniaków.

– Może skupiłbyś się raczej na swojej rodzinie – warknęła po paru minutach.

– Moja, dzięki Bogu, ma się dobrze.

– Co masz na myśli? – Hugo wziął głęboki wdech. Poczł się, jakby ktoś dał mu w twarz. Nie oczekiwał niekończących się podziękowań i wdzięczności za to, że pomógł babce Łucji, ale zaskoczyła go otwarta wrogość ze strony małżonki.

– Nie co, a kogo. Mówiłam o twoim ojcu. Powinieneś się nim zainteresować. Był ciężko chory, a teraz nie ma za co żyć. – Zacisnęła zęby.

– Masz rację. Powinienem. – Zamierzał przemilczeć to oskarżenie, ale jego żona chyba nie wyczuła, że aż się zagotował, bo po chwili dodała, że jej rodzina musi troszczyć się o Orneckiego. „Fuck” – zaklął w duchu Hajdukiewicz. Znów zapomniał, że lepiej omijać wszelkie uczucia szerokim łukiem, oprócz tych ojcowskich, bezpiecznych, bo wyrażanych wobec niewinnego dziecka. Cała reszta groziła poważnymi obrażeniami, jak nie bezpośrednio, to spowodowanymi rykoszetem. – Wiem, że był chory. Zadzwoił do mnie dzień przed operacją, żeby o niej powiedzieć. – Hugo za wszelką cenę próbował zachować spokój. – Wiem też o emeryturze. Rozmawiałem kiedyś z twoją babką, wspominała o tym.

– Aha. – Łucja była wyraźnie zaskoczona. – I co zamierzasz zrobić? – Ledwie wydusiła z siebie pytanie, bo poczuła się jak idiotka.

– Nic.

– Dlaczego?

– Znam jego adres, więc wysłałem mu pieniądze, ale odmówił przyjęcia przekazu i kasa wróciła.

– Uhm... – Zatkąło ją jeszcze bardziej. – Może nie chciał jałmużny?

– Żadna jałmużna, mógł mi je zwrócić jak pożyczkę, choć gdyby tego nie zrobił, też bym nie płakał. Pewnie zaraz stwierdzisz, że gdybym mu wybaczył, toby przyjął pomoc. – Hajdukiewicz wyjechał na główną trasę. – Rozczaruję cię. Nie zamierzam się z nim godzić ani przedstawić matce.

Był wściekły. Przeształ tryb jazdy na sportowy i dodał gazu, aż lekko ich wgniotło w siedzenia. Na szczęście szybko się zreflektował, że przecież nie jest sam, i zwolnił.

– Może jest honorowy? Ty pewnie postąpiłbyś identycznie.

– Żartujesz?! To nie żaden honor, lecz brak odpowiedzialności, pozwolić na taki obrót sprawy. Przecież twoi krewni nie mają zbędnych dwudziestu tysięcy, a co najmniej tyle potrzebuje Ornecki, żeby wrócić do Kanady, pomieszkać tam ze dwa miesiące i pozatławić swoje sprawy. Nie przyjął pieniędzy i teraz Mariusz oraz cała wasza rodzina będą ciuć kasę, bo mój wielce honorowy tatuś gardzi moją.

– Nie wiem, co o tym myśleć. – Łucja przełknęła ślinę. – Przepraszam, nie powinnam była cię pouczać i oceniać.

– Nie powinnaś – zgodził się.

– Mogłeś powiedzieć mi wcześniej.

– A ty się chwalisz, gdy komuś pomagasz? – zakpił szorstko, lecz uścisk, który czuł w sercu, jeszcze bardziej się wzmógł. Jej słowa sprawiły mu ból, wywołując rozpacz i gniew, tym większe, że to właśnie ona je wypowiedziała.

– Nie. Przepraszam cię – powtórzyła bliska łez. – Byłam niesprawiedliwa.

– Daruj sobie. Wiem, co o mnie myślisz. Według ciebie jestem potworem, bo nie potrafię zapomnieć o tym, co zrobił ten człowiek mojej matce i mnie. Mogę być potworem. Nie przeszkadza mi to – mruknął rozgoryczony.

Łucja szybko zamrugła powiekami. Było jej niewiarygodnie przykro. Gdyby mogła cofnąć czas, nie doprowadziłaby do tej rozmowy. Przełknęła kluskę żalu podlaną łzami i nachyliła się w stronę męża.

– Nie gniewaj się na mnie – powiedziała bardzo cichym głosem i nieśmiało dotknęła jego ramienia.

– Daj spokój. To wszystko nie ma sensu. – Westchnął głęboko. Nawet nie popatrzył w lusterko wsteczne. Jedyne palce mocno zaciśnięte na kierownicy zdradzały, jak bardzo się zdenerwował.

– Może masz rację. – Łucja opadła z powrotem na oparcie. „To nie ma sensu” – w głowie powtórzyła po mężu. Przytuliła policzek do chłodnej szyby i tak

została do końca podróży, zatopiona w smutnych myślach i przybita świadomością, że coraz bardziej oddalali się od siebie i że nic uczucia, które ich kiedyś łączyło, staje się coraz słabsza.



Pani Hania trzeci raz wygładziła małą serwetkę leżącą na środku kuchennego stołu, spojrzała z zadowoleniem na paterę z ciasteczkami i filiżanki. Wszystko wydawało się bez zarzutu. Prawie wszystko, bo tak naprawdę coraz mniej spraw układało się po jej myśli. Znowu pokręciła głową. Na wczorajszych chrzcinach jej pierwszej wnuczki nie pojawił się najlepszy przyjaciel syna, Adam, ani jego rodzice, chociaż akurat oni byli zaproszeni. W zasadzie ze strony ojca dziecka tylko Hajdukiewiczowa była gościem i czuła się bardzo niezręcznie, mimo że Zosieńka całe przyjęcie siedziała przy niej i zabawiała rozmową.

Dzwonek przy drzwiach przerwał te niewesołe myśli, więc poszła otworzyć przyjaciółce. Przywitwały się, Solińska jeszcze raz przeprosiła za nieobecność na uroczystości, powtarzając zgrabną wymówkę o tym, że prawdopodobnie nie będzie ich w Krakowie ze względu na dawno zaplanowaną wizytę u dalekiej kuzynki jej męża.

– Pyszny tort. – Alicja odłożyła widelczyk. – Haniu, to od nas, przekaz młodemu. – Wyjęła z torebki blad różową kopertę. – Podziękuj i przeproś ich w naszym imieniu.

– Alusiu, ja nie wiem, czy powinnam to przyjąć. – Obracała w dłoniach kopertę, która z pewnością skrywała sporą sumkę pieniędzy, aż w końcu położyła ją na stole.

– Haniu, posłuchaj... – matka Adama chrząknęła, dotykając ramienia przyjaciółki czułym gestem. – Wiem, że chłopaki o coś się posprzeczały, ale to nie nasza sprawa. Póki tego nie wyjaśnią między sobą, nie możemy nic zrobić. Tadzik orzekł, że nie powinniśmy się wtrącać, a gdybyśmy przyszli na chrzciny, Adaś mógłby uznać, że jesteśmy przeciwko niemu w tym konflikcie, więc to było najlepsze rozwiązanie. Nie gniewasz się? – Popatrzyła z nadzieją.

– Nie. Przestań, jak mogłaś tak pomyśleć? Przecież znamy się tyle lat – westchnęła Hajdukiewiczowa, dyskretnie ocierając łzę, która pojawiła się w kąci oka. Jej zwykle opanowany głos lekko drżał. – Ja chyba postąpiłabym podobnie. Martwię się, bo wiesz, jaki mój Hugo potrafi być zawzięty. Gdy już się obrazi, to na lata, a taka byłam szczęśliwa, kiedy ich widziałam razem. Jak to się mogło stać? Nie wierzę...

– Pogodzą się. Zobaczysz. Lepiej opowiedz, jak było? – Solińska sięgnęła po filiżankę i upiła kilka łyków herbaty.

- Pięknie. – Pani Hania uśmiechnęła się blado.
- A kogo wybrali na rodziców chrzestnych? Nie mówiłaś – przypomniała jej Alicja.
- Ojcem jest Marcin, a matką kuzynka Alinka, oboje to dzieci Irenki, ciotki Łucji.
- Aha. Dużo było osób?
- Szesnaście. Razem ze mną – doprecyzowała Hajdukiewiczowa.
- To sporo. A jak w restauracji? Spisali się? Wiesz, ja ci polecałam Białą Różę, więc czuję się odpowiedzialna. – Przyjaciółka puściła do Hanny oczko.
- Bardzo elegancko, jedzenie smaczne, a obsługa bez zarzutu.
- To dlaczego jesteś taka markotna? – Solińska powoli traciła cierpliwość, widząc minę Hani. – Wszystko się udało, powinnaś się cieszyć.
- Oni nie śpiąją ze sobą. – Hajdukiewiczowa zwerbalizowała to, co gryzła ją od wczoraj. – Mówię o moim synu i Łucji – dodała po sekundzie.
- Skąd wiesz? Rozmawiałaś z nimi?
- Synowa wczoraj przyjęła komunię. – Pani Hania miała przed oczami całą sytuację. Łucja pewnie sądziła, że nikt tego nie zauważył, bo było spore zamieszanie, ale gdy już rodziny chrzczonych dzieci odeszły spod ołtarza, ona wymknęła się na chwilę z ławki i uklękła przed wracającym z końca kościoła księdzem.
- Hm... – Solińska zmarszczyła czoło. – Może postanowili, że nie będą współżyć aż do ślubu kościelnego?
- Nie wiem, co o tym myśleć. Wiesz, jakie podejście do Kościoła i religii ma mój syn.
- Wiem. Takie jak ten nasz gagatek. A Hugo był u komunii?
- Nie.
- Haniu, sądzę, że nie powinnaś zaprzętać sobie tym głowy. Młodzi są, za chwilę pewnie im przejdzie. A tak w ogóle to zamiast się cieszyć, że masz taką religijną synową, ty się martwisz.
- Chyba rzeczywiście coś mi odbija. Wyobraź sobie, na przyjęciu była kuzynka Łucji Justyna z mężem i malutkim synkiem. Siedzieli na drugim końcu stołu, po przeciwnej stronie. I był taki moment, że Hugo obchodził stół, żeby nalać każdemu wódki, i gdy stanął koło tego Mariusza, męża Justynki, aż mnie zatkało.
- Dlaczego? – Solińska była szczerze zadowolona, tym bardziej że przyjaciółka już nieco się rozpogodziła.
- Nie wiem. Może mi się wydaje, ale uważam, że on jest bardzo podobny do mojego syna.
- Kto? Ten Mariusz?
- Tak.
- Ale pod jakim względem?

– Głównie z wyglądu, chociaż jest znacznie młodszy i ubiera się dziwacznie, miał dżinsową marynarkę zamiast garnitur, czerwoną koszulę, włosy tak śmiesznie uczesane, sterczące i na żelu, na dodatek trochę rozjaśnione na złoty kolor.

– Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić twojego syna w takiej fryzurze.

– Ja też. Dlatego tak mną wstrząsnęło, gdy Hugo stał nad nim i coś mu powiedział, a Mariusz podrapał się po brodzie, wiesz, w taki specyficzny sposób, jaki setki razy widziałam u mojego syna. I nagle do mnie dotarło, że oni są podobni. Gdyby ich ubrać tak samo i zrobić identyczne fryzury, wyglądałoby jak bracia bliźniacy. – Hajdukiewiczowa przymknęła oczy, próbując znów przywołać w pamięci ten obraz.

– Czasami zdarzają się takie sytuacje. Kiedyś pojechaliśmy z Tadzikiem na sympozjum do Poznania, to było dziesięć lat temu. Może nawet dwanaście? – zawiesiła głos. – Spacerujemy po rynku i idą jakieś dzieciaki, grupka nastolatków, i wszyscy jak jeden mąż stanęli i chórkim mówią do mojego męża: „Dzień dobry, panie profesorze”. Tadek odpowiedział, a gdy odeszli, ryknął śmiechem, że jego sława sięga tak daleko. Wyobraź sobie, że jeszcze trzy razy jacyś ludzie nam się kłaniali, aż w końcu w restauracji, do której wstąpiliśmy, żeby coś przekąsić, nastąpił moment kulminacyjny. Usiedliśmy, przeglądamy menu i nagle jakiś facet, może pod pięćdziesiątkę, staje przy nas i jak nie łupnie Tadka w ramię, jak nie krzyknie: „Romek Kłys?! Byku! Widzę, że wreszcie kogoś poznałeś!” – Uderzyła dłonią w blat, żeby lepiej oddać emocje. – Cała sala patrzy na nas, a my jak idioci siedzimy i patrzymy na tego człowieka.

– I co było dalej?

– Ten mężczyzna się przysiadł, przedstawił i w rozmowie okazało się, że Roman Kłys, sobowtór Tadeusza, był nauczycielem matematyki w jednym z poznańskich liceów, ponoć łudzaco podobny i z twarzy, i z figury do mojego Tadeusza. Zdeklarowany kawaler, pewnie niektórzy podejrzewali, że wiesz, lubi... – mrugnęła znacząco. – Więc gdy Tadzik szedł ze mną pod rękę, zrobił furorę, bo wszyscy pomyśleli, że profesor Kłys nagle nawrócił się na kobiety.

– Śmieszna historia. Nigdy mi jej nie opowiadałaś. – Pani Hania napełniła filiżanki herbatą.

– Bo to chyba było, gdy Hugo wyjeżdżał do Stanów, wtedy nie miałaś głowy do niczego.

– No tak, masz rację.

– A jak się nazywa ten Mariusz? Mogłabym poszukać w Internecie.

– Nie wiem. Hugo mi ich przedstawił, ale tylko z imienia. Przecież nie będę dopytywać Zosieńki, co to za jeden. Pewnie by pomyślała, że mi odbiło.

– Szczerze mówiąc, też bym tak pomyślała. – Solińska pokiwała głową. – A jak synowa, zdała egzamin?

– Nie mówiłam ci? Zdała, i to za pierwszym podejściem. Hugo kupił samochód i od paru dni Łucja już jeździ, choć oczywiście mój syn nie pozwala jej na razie prowadzić samej. Dla mnie to dobrze, bo zostaję wtedy z Marysią. Jakież to jest kochane dziecko, grzeczna jak aniołek, nie choruje, ma apetyt... – Pani Hanna rozczuliła się na wspomnienie wnuczki. – Prawie całą noc potrafi przespać. A jaka śliczna! Poczekaj, pokażę ci zdjęcia z wczoraj.

Solińska nachyliła się nad małym ekranikiem telefonu komórkowego.

– Bardzo ładna, a te włosy czarne to jak u laleczki.

– Prawda? – Babcia Marysi była nieustająco nią oczarowana.

– Ależ nas wyprzedziłaś. Synowa, wnuczka... Pewnie za rok albo dwa będzie kolejne.

– Tak mówisz? – Hajdukiewiczowa podniosła wzrok na przyjaciółkę.

– A czemu nie?

– Obyś miała rację – westchnęła. – Obyś miała rację, kochana...

Rozdział 9

Pierwszy listopada był chłodny i wyjątkowo brzydki. Od rana lało, jakby niebo też chciało dołożyć swoje trzy krople do smutnego nastroju tego dnia. Wiatr gasił znicze, szarpał wiązanekami kwiatów i wywracał donice z chryzantemami. Łucja zostawiła Marysię u babki, odwiedziła cmentarz, pomodliła się na grobie rodziców i dziadka, porozmawiała z Damianem, którego spotkała przy kościele, a potem szybko wróciła do rodzinnego domu.

Zjadła obiad, pogadały z babcią. Hugo zaraz po Zaduszkach wybierał się w prawie dwutygodniową podróż do Niemiec i Holandii, więc zapowiedziała, że wpadnie za kilka dni i może nawet zostanie do końca tygodnia. „Jedź, dziecko, zanim się całkiem pomroczy” – babcia kazała jej wracać do Krakowa. Nie chciała, żeby wnuczka jeździła w nocy. Bała się o nią pomimo telefonicznych zapewnień Hani, że synowa świetnie sobie radzi i na dodatek ma bardzo bezpieczny samochód.

Zofia Maśnikowa odsapnęła dopiero, gdy dowiedziała się, że najmłodszy Kowalik zabiera się z Łucją. Miał wolne aż do trzeciego listopada, ale stwierdził, że chętnie skorzysta z darmowego transportu, tym bardziej że wioził ze sobą sporo zapasów, a i towarzystwo ulubionej sąsiadki mu odpowiadało.

– Wypasiona fura – cmoknął z uznaniem, ledwie wszedł. Całą drogę zachwycał się samochodem przyjaciółki, choć i tak znaczącą większość uwag zachował dla siebie. – Dobrze jeździsz – stwierdził, gdy minęli Bochnię.

– Dzięki – mruknęła Łucja. – A ty? Kiedy zrobisz prawko? Przecież potrafisz prowadzić. Od kiedy pamiętam, jeździłeś samochodem ojca.

– Chyba ciągnikiem – powiedział, a na ustach błąkał mu się nikły uśmiech. – Fordem też śmigalem, ale u nas po wsi i okolicach, a nie w mieście. A teorii nauczyłem się z netu. W sumie dzisiaj mógłbym zdać egzamin, ale bez kursu się nie da – westchnął z goryczą. – Mam odłożone parę stówek, trochę dorobię na fuchach. Może w przyszłym roku spróbuję. Na wiosnę.

– Tato ci nie pomoże?

– Ojciec nie ma pieniędzy, kończyliśmy w tym roku dobudówkę do chlewa, no i wszystko poszło. Poza tym po co mi na razie prawo jazdy, skoro i tak nie stać mnie na samochód – ironizował, bo fiasko jego planów trochę go na początku zirytowało, ale w końcu musiał je przyjąć na klatę, najlepiej z dystansem i humorem. – Dobrze wybrałaś – rzucił po chwili namysłu i pokiwał głową.

– Co? – Zerknęła na niego.

– Męża. Ma kasę, żyć łatwiej, choć chyba z niego jeszcze większy ponurak niż ze mnie.

– Nie jesteś ponurakiem, zresztą Hugo też nie jest.

– Ja tam nie wiem, raz w życiu go widziałem, ale Monia mówiła, że mruk.

- Może trochę – zgodziła się Lucja.
- Groźny. Jak się przedstawiłem, zmierzył mnie wzrokiem, aż się ciepło zrobiło.
- Kiedyś wspominałam, że się spotykaliśmy. Pewnie dlatego – zachichotała.
- Wiesz, że w lato chodziłem z Alinką? – Damian nie chciał wyjść na kompletnego mięczaka i nieudacznika.
- Z naszą Alinką? – Lucja wybałuszyła oczy.
- Córka ciotki Ireny, młodsza o rok od Moniki i Łucji, była śliczną dziewczyną, ale nigdy nie interesowała się chłopakami. Ciotka twierdziła, że chyba skończy jako stara panna, bo jedyne, co robi w weekendy, to siedzi w domu i czyta te swoje romanse.
- No z waszą, waszą.
- I co się stało?
- A byłem u niej któryś raz, ale powiedziała, żebym więcej nie przychodził. Mówiła, że idę na studia i tam pewnie poznam jakąś dziewczynę, a ona nie chce związku na odległość. I tak się zakończyło. – Bezradnie wzruszył ramionami. – Tłumaczyłem, że na polibudzie dziewczyn jak na lekarstwo, nawet na informatyce jest ich tylko kilkanaście, że będę przyjeżdżał w każdy piątek, ale się uparła.
- Żałujesz?
- Szczerze? Nie.
- Dlaczego?
- Domyśl się – prychnął.
- Damian... – Lucja wzięła głęboki wdech. – To by nam nie wyszło. Nie pasujemy do siebie – wyznała z nieszczęśliwą miną.
- Może i tak. A Hugo do ciebie pasuje?
- Nie wiem – odpowiedziała po dłuższej chwili. Nie chciała okłamywać przyjaciela z dziecięcych lat. Kochała Damiana, ale bardziej jak brata niż chłopaka, i pewnie dlatego nie czuła do niego ani ułamka tej namiętności, która połączyła ją z mężem.
- Trudno. Nie ma co gdybać, i tak już po zawodach. – Popatrzył do tyłu na fotelik ze śpiącą Marysią.
- Śpi? – Lucja zauważyła jego ruch.
- Tak. Nie znam się na dzieciach, ale nie za ciepło ubrana? Taki gruby ma ten skafander, że prawie jej nie widać. Na Sybir by się nadawał.
- Jest wcześniakiem, łatwo marznie – wyjaśniła. – Grodkowice. Jeszcze pół godziny i powinniśmy być na miejscu. Od razu mam zadzwonić do babci – dodała po chwili.
- Paskudna pogoda, no i ruch spory, chociaż za Bochnią i tak mniejszy niż na początku.
- Uhm. Myślałam, że wszyscy pojedą autostradą i że tu będzie lepiej.

– Pewnie wszyscy tak pomyśleli.

– I tym sposobem autostrada pusta – zaśmiała się Łucja.

Ujechali niecały kilometr, gdy nagle na środku jezdni pojawiły się światła. Prosto na nich pędził samochód, który wystrzelił nie wiadomo kiedy spośród sznura aut z naprzeciwka.

– Hamuj! – wrzasnął Damian.

Łucja posłusznie wdepnęła pedał do samej podłogi, choć dobrze wiedziała, że to nie pomoże, na moment zamarła sparaliżowana strachem i w ostatniej sekundzie przed zderzeniem obróciła się, żeby przytrzymać córkę.

– Trzymaj się! – krzyknął chłopak, łapiąc za kierownicę...



Hajdukiewicz zjadł obiad, wypił kawę i choć matka usilnie go zatrzymywała, stwierdził, że wraca do siebie. Trochę się niepokoił. Między pysznym rosółem a schabowym z ziemniakami purée zadzwonił do Łucji, ale burknęła, że właśnie wyjeżdżają z Podola, więc nie chciał przeszkadzać. Już prawie dojeżdżał na osiedle, gdy radio się ściszyło i komputer obwieścił o przychodzącym połączeniu. Zerknął na mały ekranik, numer był zastrzeżony, więc odrzucił rozmowę, ale ten ktoś nie dawał za wygraną.

– Słucham! – warknął, spodziewając się pomyłki.

– Hugo! Miałam wypadek! – Łucja szlochała po drugiej stronie.

– Chryste! – Natychmiast zahamował z piskiem i zjechał na chodnik. – Gdzie jesteś?! Jak się czujesz?! Co z małą?! – zarzucił ją gradem pytań.

– Ja w porządku, ona raczej też, bo słyszę, że płacze, ale Damian chyba nie żyje! Nie widzę dobrze, bo poduszka wybuchła, ale nie rusza się i ma zakrwawioną twarz!

– Gdzie jesteś?!

– Za Grodkowicami – łkała.

– Poczekaj, nie rozłączaj się, wezwę pomoc z drugiego aparatu! – Wyszarpał z kieszeni marynarki służbową komórkę. – Zaraz tam będę. – Ruszył, nie bacząc na to, że wymusza pierwszeństwo. Błyskawicznie wybrał numer alarmowy i podał wszystkie informacje. Ledwie skończył mówić, gdy zauważył, że Łucja się rozłączyła. Radio znów nadawało nastrojową muzykę. Zaklął, uderzając pięścią w kierownicę. Przez głowę przelatywał mu milion myśli. Szalał z niepokoju, przez Wieliczkę przejechał jak wariat, łamiąc wszystkie możliwe ograniczenia prędkości. Bezskutecznie próbował dodzwonić się do Łucji. „Po cholere ten Damian z nią jechał? On prowadził?” – mamrotał do siebie.

Gdy zobaczył jadący z naprzeciwka ambulans na sygnale, aż zamarł. Nie wiedział, czy ma zawrócić, czy lepiej będzie dojechać na miejsce wypadku.

Kierując się intuicją, postanowił zrobić to drugie. Już z daleka widział migotanie świateł, lewym pasem wyprzedził sznur samochodów czekających na możliwość przejazdu i zahamował przed policjantem.

– Proszę mnie przepuścić! – krzyknął przez okno. – Nazywam się Hajdukiewicz, tam jest moja żona Łucja Maśnik i córka! Jechały czarnym volvo!

– Niech pan jedzie.

Hugo w paręnaście sekund dojechał do samochodu Łucji. Stał kilka metrów za nim, wysiadł i rozejrzał się bezradnie. Na miejscu wypadku panowało istne piekło. Dwa wozy strażackie, pomoc drogowa, radiowóz, ambulans stojący kilkadziesiąt metrów dalej – wszystko migotało jak w diabelskiej dyskotecie.

– Gdzie są pasażerowie z tego auta?! – Dobiegł do grupki policjantów i wskazał volvo leżące bokiem w rowie. – Moja żona w nim jechała!

– Chłopaka przed chwilą zabrali do Wieliczki, a kobieta, która kierowała, jest w karetce.

– A dziecko?! Tam było dziecko!

– Jest razem z nią.

Hajdukiewicz ruszył do ambulansu, gdy był kilka metrów przed nim, zauważył, że na poboczu leżą dwa czarne plastikowe worki z ciałami. Jego serce z wrażenia prawie się zatrzymało. Wziął głęboki wdech, szarpnął boczne drzwi samochodu, wsunął głowę i zajrzał do środka.

Natychmiast zauważył go kierowca, który właśnie palił na poboczu. Podskoczył i złapał go za rękaw płaszcza.

– Nie wolno tu wchodzić! – krzyknął.

– Tu jest moja żona – wychrypiał Hugo, szczękając zębami. Od razu spostrzegł leżącą na złożonych noszach Łucję, a tuż obok puste nosidełko. – Co z nią? Gdzie córka?

– Wpuść pana i zamknij drzwi. – Wysoki rudzielec w pomarańczowej kamizelce odwrócił głowę. – Krystian Mróz, ratownik medyczny – przedstawił się. – Żona jest w szoku, ale raczej nie ma poważniejszych obrażeń. Oddycha samodzielnie, tętno i ciśnienie w fizjologicznej normie. Sama wyszła z auta i zabrała dziecko, gdy przyjechaliśmy, już stała z małą obok.

– Tu jest córeczka – z kąta ambulansu dobiegł spokojny kobiecy głos. – Wszystko z nią w porządku, daliśmy jej lekki środek uspokajający domięśniowo, bo płakała.

Hugo wszedł do ciasnego wnętrza, z trudem przecisnął się do młodziutkiej lekarki trzymającej Marysię, stwierdził, że na pierwszy rzut oka nic nie wygląda niepokojąco, więc od razu wrócił do Łucji.

– Dlaczego się nie rusza? – spytał ratownika, trzęsąc się jak galareta.

– Za dużo wrażeń i przed chwilą nam zasłabła, ale jak pan widzi, już odzyskuje przytomność. Zaraz pojedziemy do szpitala. Proszę przypomnieć, jak ma

na imię?

– Łucja.

– Pani Łucjo, słyszy mnie pani? Proszę otworzyć oczy. – Ratownik lekko potrząsnął jej dłonią z wenflonem, wystającą spod folii termoizolacyjnej.

– Hugo... – jęknęła od razu, gdy zobaczyła męża. – Gdzie Marysia?

– Jest tutaj, obok. – Hugo nachylił się i ostrożnie pocałował Łucję w zroszone zimnym potem czoło. – Śpi. Nie martw się o nią.

– Spokojnie, pani Łucjo, mówiliśmy, że córeczce nic się nie stało. – Doktor Krystian uśmiechnął się łagodnie. – Dziecko nie ucierpiało, wystraszyło się tylko.

– Przepraszam... zapomniałam – westchnęła. – A Damian!?! – Nagle uniosła się na przedramionach i wytrzeszczyła z przerażeniem oczy. – Co z Damianem? On jechał ze mną!

– Jest w szpitalu w Wieliczce, proszę się nie denerwować. Nic mu nie zagraża. – Ratownik próbował za wszelką cenę uspokoić pacjentkę. – Pojedziemy? – Zerknął pytająco na koleżankę.

– Okej. Musi pan wyjść. – Popatrzyła na Hajdukiewicza. – Jedziemy do Wieliczki.

– Który szpital?

– Na Szpunara.

– Pojadę za państwem.

– Jest pan w stanie prowadzić? – Mróz zerknął na Hajdukiewicza. – Może najpierw niech pan porozmawia z policją? Trochę się uspokoi.

– Żona zostanie w szpitalu? Nie może zostać, bo... ona karmi. – Pokręcił głową, bo prawie natychmiast dotarła do niego absurdalność tego argumentu.

– Dopiero za jakieś dwie godziny będziemy wszystko wiedzieć. Trzeba zrobić rentgen, zbadać obie pacjentki pod kątem neurologicznym, a żona musi się poddać testom na obecność narkotyków i alkoholu.

– Rozumiem. – Hugo bezwiednie zacisnął szczęki.

– Ruszamy – zarządziła lekarka. – Pamiętaj pan adres?

– Tak. Ulica Szpunara.

– Okej. To my się pożegnamy.

Hugo opuścił ambulans na trzęsących się nogach. Nie miał szansy na ochłonięcie, bo pierwsze, co zobaczył, to dwa karawany stojące na poboczu. Szybko odwrócił wzrok. Podeszedł do policjanta, który stał przy volvie i coś notował.

– Młodszy inspektor Karol Szymczyk. – Zasalutował, gdy tylko zauważył Hajdukiewicza.

– Moja żona prowadziła. Łucja Maśnik. A ja jestem właścicielem tego samochodu – powiedział Hugo, wciąż wyraźnie wstrząśnięty. Wyjął swoje dokumenty i podał policjantowi.

– Numer kontaktowy do pana?

– Zaraz podyktuję.

– Dobrze, telefon mam... – mruknął policjant, kończąc uzupełniać dane. – A właśnie, chłopcy ze straży znaleźli jakiś aparat telefoniczny w samochodzie. Niestety, chyba jest uszkodzony. W poniedziałek proszę podjechać do nas na posterunek, wydamy go, a także inne rzeczy z samochodu. Nie zapomni pan?

– Nie. Jak to się stało?

– Widzi pan? To tych dwoje nieszczęśników. – Policjant wskazał brodą na pracowników zakładu pogrzebowego, którzy właśnie zaczęli wkładać zwłoki do karawanów. – Młodzi ludzie. Mróz mówił, że chyba obaj byli pijani. Jechali range roverem. Cisnęli jak diabli, wyprzedzali na trzeciego, żona zjechała do rowu i uniknęła zderzenia. Oni, niestety, nie mieli tyle szczęścia. Wypadli z drogi i wryli się w pole. Nie widać stąd, przelecieli kilkanaście metrów. Tamci państwo widzieli całą sytuację. – Pokazał na parę stojącą przy radiowozie.

– Nie byli zapięci?

– Nie. Wypadli przez szybę. Gdy ich znaleźliśmy, obaj nie żyli. To jakieś chłopaki z Rzeszowa. Bracia. Rodzina już tu jedzie. – Pokiwał głową. – Gdyby nie trzeźwość umysłu tego chłopaka, który jechał z pana żoną, nie wiadomo, jak by było. – Szymczak wyjął z kieszeni paczkę marlboro i pytającym wzrokiem popatrzył na Hajdukiewicza.

– Dziękuję. – Hugo wziął papierosa. – Co pan miał na myśli?

– Będą wyciągać. – Inspektor zerknął na samochód pomocy drogowej, który ustawił się w poprzek drogi. – Żona mówiła, że nie ma pojęcia, jak to się stało. Hamowała, tyle kojarzy. Ten facet... – zawiesił głos, zerkając od notatnika – Kowalik Damian, który jechał obok niej, szarpnął kierownicą i wylądowali w rowie – wyjaśnił. – Tam jest wybetonowane koryto i dosyć solidnie grzmotnęli. Poduszki strzeliły po jego stronie, ma pokiereszowaną twarz od okularów i złamaną rękę. Tyle wiem od ratowników – dodał, wypuszczając dym nosem. – Ale zuch chłopak, ledwie go wywlekli ze środka, otrząsnął się jak pies i od razu w krzyk, co z pana żoną i dzieckiem – rzekł z wyraźnie słyszalnym podziwem. – Troskliwy, znaczy się. – Mrugnął do Hajdukiewicza.

– Chryste... – jęknął Hugo. – Jak dobrze, że z nią jechał.

– Nie da się ukryć. Chłop zawsze trzeźwiej myśli. Nawet pamiętał numer do ojca, już powiadomiliśmy rodzinę. To państwa znajomy?

– Przyjaciel żony.

– A ona to chyba świeży kierowca? – Inspektor rzucił niedopałek na mokry asfalt.

– Tak. Żałuję, że pozwoliłem jej dzisiaj jechać. Pogoda fatalna.

– Co racja, to racja. Dopiero teraz przestało padać, za to mróz chwyta. Nomen omen – zaśmiał się.

– Moja matka na mnie wsiadła, że nie powinienem panikować, że jutro będzie znacznie gorzej, bo niedziela, i się zgodziłem. – Hugo nie mógł sobie wybaczyć.

– Co komu pisane i tak go nie ominie – stwierdził filozoficznie Karol Szymczyk, chowając notes do kieszeni służbowej kurtki. – Nic się nie stało, powinien pan Bogu podziękować, no i temu chłopakowi też. Co z samochodem? – Popatrzył na volvo. – Szkoda wozu. Widać, że nówka.

– Nieważne. – Hajdukiewicz machnął ręką. – Mam zadzwonić po assistance?

– Tak. Niech go biorą. My już zrobiliśmy swoje. Technik był, zdjęcia są.

– Rozumiem. – Hugo wyjął telefon. Porozmawiał chwilę z konsultantem, przekazał informację policjantowi, który ponownie poczęstował go papierosem. W milczeniu przyglądali się wrakowi range rovera, wciąganemu właśnie na lawetę.

– Tyle lat w zawodzie, a i tak robi wrażenie. – Inspektor przeżegnał się, gdy obok nich przejechał pierwszy karawan.

– Na pewno. – Hajdukiewicz odwrócił wzrok. W duchu dziękował Bogu, że jest tak ciemno. Przynajmniej nie musiał panować nad wyrazem twarzy ściągniętej strachem na myśl, jak mógł się skończyć ten wypadek. Oczy i gardło ciągle paliły, ale nie zamierzał płakać. Wbił spojrzenie w błyszczący od świateł asfalt, próbując opanować chaos w strwożonym sercu.

– Jedź pan z Bogiem. Na dzisiaj już dosyć trupów. – Po chwili Szymczyk podał mu dłoń, a potem krzepiąco poklepał po ramieniu.



Łucja wyszła z gabinetu, zerknęła na Marysię, która właśnie zaczęła się budzić. „Pewnie głodna” – pomyślała, rozglądając się bezradnie. Szpitalny oddział ratunkowy w Wieliczce przepełniony był ludźmi: tłoczyli się w poczekalni, na korytarzu stało kilka wózków z pacjentami, a obok nich co chwilę przebiegał ktoś z personelu.

– Przepraszam – zaczęła jedną z pielęgniarek – chciałabym ją gdzieś nakarmić.

– Pediatra pozwolił?

– Tak.

– Niech pani idzie za mną.

Weszły do małej dyżurki, siostra wskazała krzeselko, a sama oparła się o krawędź biurka. – Ile ma? – spytała, patrząc na karmione dziecko.

– Dwa i pół miesiąca, ale to wcześniak.

– Ładnusia – pochwaliła. – Pani z tego wypadku przed Grodkowicami?

– Tak. Nie wie siostra, co z Damianem? Ma na nazwisko Kowalik, szczupły, dosyć wysoki. – Łucja podniosła wzrok.

– Pani jest z rodziny?

– Nie, ale to mój przyjaciel. Proszę powiedzieć. – Zagryzła wargi, żeby się nie rozplakać.

– Zaraz ma mieć operację. Ma złamany obojczyk i kość ramienną. I coś z twarzą. Chyba łuska skroniowa pękła.

– Łuska?

– To taka kość z boku głowy. – Pielęgniarka pokazała na sobie.

– Ale to nic groźnego? – Łucja nie mogła już powstrzymać łez.

– Akurat w jego przypadku to nie największy problem. Doktor Grzycz, nasz okulista, bardziej martwił się o prawe oko. Wybuch poduszki zniszczył okulary. Odlamek szkła przebił gałkę oczną i płyn wyciekł. Wygląda nieciekawie, ale przejdzie, bo płyn się uzupełni – wyjaśniła. – Przepraszam. – Podeszła do drzwi, w które ktoś zapukał.

– Dobry wieczór, szukam żony. Maśnik Łu...

– Tu jestem. – Łucja, choć z trudem, ale poznała głos męża.

Hugo wszedł do środka. Zbliżył się do Łucji. Błady, drżącą z wrażenia dłonią wyjął chusteczkę i otarł czoło, bo od razu zauważył plaster wystający przy szyi Łucji i drugi na drobnej dłoni. – I jak? – Popatrzył na pielęgniarkę. – Co z żoną? Dzieckiem?

– Proszę poczekać. – Podniosła słuchawkę starego aparatu telefonicznego i wybrała numer. Przez minutę rozmawiała z kimś, głównie potakując. – Z żoną i córką wszystko w porządku. W zasadzie możecie już państwo wracać do domu. Dostała pani zalecenia?

– Tak. W kieszeni mam wypisy.

– To ja państwa zostawiam. Proszę jechać ostrożnie – dodała z uśmiechem i opuściła dyżurkę.

– Wezmę ją. – Hugo wyciągnął rękę.

Gdy Łucja odwróciła się, żeby zapiąć bluzkę, wreszcie pozwolił sobie na krótką jak mgnienie oka chwilę słabości. Ostrożnie przytulił córeczkę do twarzy i ucałował w pachnący mlekiem policzek. Tłumiąc łzy ulgi, że nic się nie stało, kucnął i ułożył dziecko w foteliku.

– Wracamy? – spytał.

– Muszę zadzwonić do babci. Daj mi telefon.

– Twoja babka już wie, zadzwoniła, gdy tu jechałem. Nie martw się, wytłumaczyłem, że nic wam się nie stało. – Hugo stanął przed Łucją. Miał nieodpartą chęć wziąć ją w ramiona i już nigdy nie wypuścić z objęć, ale wystający spod kołnierzyka bluzki gruby opatrunek skutecznie go hamował. Nieśmiało wyciągnął dłoń, poprawił kosmyk długich włosów przyklejony do twarzy żony i ostrożnie musnął jej policzek. Przesunął opuszkami palców po rozpalonej skórze, którą tak dobrze pamiętał, a której tak dawno nie dotykał. Jego serce zabiło dziko,

porwane do galopu nie tylko przeżyciami sprzed godziny, ale i obecną chwilą.

– Hugo, tak się bałam, myślałam, że już po nas. – Nie wytrzymała intensywności jego spojrzenia i przywarła do męża, wybuchając płaczem.

– Spokojnie, nic się nie stało... – Głaskał ją po plecach, starając się panować nad sobą, choć niewiele brakowało, żeby i on się rozkleił. – Boli cię coś? – spytał po chwili.

– Nie. – Odsunęła się, trochę zawstydzona swoją reakcją.

– A tu? – wskazał na okolice lewego obojczyka.

– Nie. Nic a nic. Oj, a rodzice Damiana? Wiedzą? – przypomniała sobie.

– Tak. Policja ich poinformowała. – Zerknął na zegarek. – Pewnie zaraz tu będą.

– Hugo... tak się martwię o niego. – Otarła łzę spływającą po brodzie.

– Rozmawiałem z nim przed chwilą.

– Naprawdę? I co?

– Jedźmy do domu, musisz odpocząć. Powiem ci na miejscu.

– Okej.



– Boże, dziękuję ci za wszystko... – westchnęła Łucja, z czułością spoglądając na śpiącą Marysię. Rozejrzała się po pokoju. Było jej zimno, więc narzuciła ciepłą bluzę, zapięła pod samą szyję, a do małej kieszonki wepchała paczkę chusteczek. Czuła, że mogą się przydać. Zabrała odbiornik elektronicznej niani i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Wiem, że nie masz ochoty, ale musisz coś zjeść. Usiądź w salonie, będzie wygodniej. – Hugo krzątał się w kuchni. Chwilę później postawił przed Łucją kubek z gorącą herbatą, wycisnął do środka kilkanaście kropel soku z cytryny i wsypał dwie łyżeczki cukru. Zamieszał, zbyt energicznie, bo trochę wychlapało się na blat ławy.

– Zrobiłem kanapki. – Obok garnuszka postawił spory półmisek z nimi.

– Dziękuję, ale tyle nie zjem. – Łucja sięgnęła po kromeczkę weki i bez zapалу zaczęła ją przeżuwać.

– Mogę zobaczyć wypisy?

– Uhm. W łazience są moje dzinsy, poszukaj w którejś kieszeni.

Hugo wrócił z dokumentami, usiadł obok żony i bardzo dokładnie przeczytał obie karty informacyjne.

– Nic tam nie ma. Na szczęście – sapnęła Łucja, która prawie na pamięć znała ich treść. – Mam tylko ramię odgniecione od pasów, no i trochę w prawym boku mnie otarło, ale lekko. Dali mi zastrzyk z pyralginy i jakiś słaby środek uspokajający.

– Widziałem, luminal. Możesz zażywać środki przeciwbólowe? Mówiłaś, że karmisz? – Zerknął na nią.

– Tak. Lekarka powiedziała, że apap może być, ale chyba nie potrzebuję. Nie boli tak mocno. – Poprawiła opatrunek.

– Obawiam się, że jutro może być gorzej. – Hajdukiewicz zmarszczył czoło. – Słuczenia bolą na drugi, trzeci dzień.

– Wtedy zażyję. Dzięki Bogu, że nałożyłam Marysi ten gruby skafander od twojej mamy. Muszę jej podziękować. – Uśmiechnęła się blado. – Pewnie dlatego małej nic się nie stało.

– Wybacz, ale mam całkiem inne odczucia. Już mi przeszło, ale gdy pojechałyście do szpitala, miałem ochotę odwiedzić matkę i bynajmniej nie po to, żeby podziękować za skafander. – Hugo odłożył dokumenty. – Żałuję, że zgodziłem się na twój wyjazd. Zwłaszcza dzisiaj.

– To nie jej wina – Łucja natychmiast się obruszyła. Odpowiadało jej zachowanie teściowej, cieszącej się jak dziecko, gdy synowa zdała egzamin i tak „doskonale” sobie radziła za kółkiem. Pani Hania, w odróżnieniu od syna, nie panikowała. „Nie wolno bać się na zapas” – twierdziła. Tym bardziej że zarówno samochód, jak i fotelik dla wnuczki spełniały wszystkie wyśrubowane normy bezpieczeństwa.

– Wiem, że nie jej. Dlatego nie pojedę. Obie macie szczęście – stwierdził. – Na razie jazdę masz z głowy. Samochód rozbity, miesiąc w serwisie jak nic, o ile da się naprawić i nie wymienią go na nowy.

– Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek siądę za kierownicą – wyznała stropiona.

„Sto razy bardziej wolałbym kogoś wynająć, żeby cię woził” – pomyślał Hugo, wyobrażając sobie żonę znów prowadzącą samochód.

– Nie będę cię zmuszał. Możesz jeździć taksówkami, a do babki cię zawiozę, kiedy tylko będziesz chciała – uspokoił.

– A co z tymi ludźmi... – zadrżał jej głos. – Kto to był? Wiesz coś?

– Niewiele. Nie zaprzataj sobie tym głowy. – Nie zamierzał wtajemniczać jej w detale. Gdyby usłyszała, że to bracia, na dodatek bardzo młodzi ludzie, z pewnością znów by się zdenerwowała.

– Okej. Powiedz mi, co z Damianem. Wiem tylko tyle, że ma złamaną rękę i coś z twarzą, okiem i jakąś kością obok czoła. Nazywa się łuska, ta kość – wyjaśniła. – Tyle zapamiętałam.

– Zauważyłem go prawie zaraz po przyjeździe do szpitala. Leżał na wózku i razem z pielęgniarką i sanitariuszem czekali na windę.

– Jak wyglądał?

– Nieciekawie. Miał zaklejone oko, ręki nie widziałem, bo przykryli.

Łucja wtuliła się w róg sofy i podwinęła pod siebie nogi. Poprosiła o koc,

bo ciągle lekko dygotała.

– Hugo, nie mam pojęcia, jak to się wszystko stało. Jechaliśmy i nagle pojawił się ten samochód, jak spod ziemi. Nie zauważyłam go wcześniej... – Popatrzyła na męża, szukając zrozumienia w jego oczach. – Zahamowałam, Damian coś krzyknął, ale ja odruchowo obróciłam się do tyłu, chyba chciałam przytrzymać Marysię, i wjechaliśmy do rowu. Pewnie wtedy szarpnęłam kierownicą, Boże, jaka jestem głupia... Nie nadaję się na kierowcę. – Wyjęła chusteczkę i próbowała się ogarnąć. Upiła kilka łyków herbaty, ale to nic nie dało. Łzy ciekły ciurkiem, każda zabierając ze sobą odrobinę napięcia i stresu.

– Nie płacz – chrząknął Hugo. – Działałaś instynktownie, chciałaś uchronić małą. Skręciliście, bo Damian złapał kierownicę.

– Naprawdę? – Łucja była wstrząśnięta. – Nie pamiętam z tego nic a nic. – Pokręciła głową. – Skąd wiesz? – Pociągnęła nosem.

– Rozmawiałem z nim. Gdyby nie ten manewr... – Hugo machnął ręką, wolał nie myśleć o tym, co mogło się stać. – Chciałbym mu jakoś podziękować. Szczerze mówiąc, najchętniej dałbym mu ten samochód, gdy wróci z naprawy. – Już miał dopowiedzieć, że właśnie dlatego wziął od chłopaka numer telefonu, ale Łucja mu przeszkodziła:

– Damian nigdy nie przyjmie takiego prezentu, poza tym nie ma prawa jazdy – stwierdziła.

– Nie?

– Nie. On ma piątkę rodzeństwa, jest najmłodszy i ostatni w kolejce. Pamiętasz? Przecież kiedyś ci opowiadałam. Jego rodzice żyją dosyć skromnie, na dodatek ostatnio zainwestowali w budynek gospodarczy. Damian studiuje informatykę, zawsze się tym interesował, od dziecka. Może na wiosnę pójdzie na prawko, jak sobie dorobi w Krakowie przez weekendy. Taki ma plan, mówił mi.

– Teraz to raczej nie dorobi. Zanim wyzdrowieje, upłynie sporo czasu – zauważył trzeźwo Hugo.

– No tak, masz rację. Biedna pani Wandzia – westchnęła Łucja.

– To jego matka?

– Tak.

– Pomyśl, jak mógłbym im pomóc. Może twoja babka coś zdołała. Wspominałaś, że to jej przyjaciółka.

– Myślę, że to nic nie da. Kowalikowie to bardzo honorowi ludzie.

– Jak wszyscy w Podolu – rzucił z przekąsem Hajdukiewicz. – Ale honorem jeszcze nikt się nie najadł, a ten chłopak prawdopodobnie uratował wam życie. Czy nie mam prawa do okazania wdzięczności? – Lekko podniósł głos.

– Masz, jak każdy człowiek. Hugo, ja też chciałabym się ci kiedyś odwdziaczyć za to, co zrobiłeś dla babci, ale wiem, że nigdy nie będę w stanie tego uczynić. To frustrujące, świetnie rozumiem, co czujesz. – Popatrzyła na niego.

– Przecież wiesz, że zrobiłem to dla ciebie! – Zaciśnął szczęki, bo niczego bardziej nie pragnął, niż powiedzieć, że ją kocha, a gdy pędził na miejsce wypadku, strach o nią i ich dziecko prawie go zabił. – Najważniejsze, że jesteś obok. Ty, Marysia. To mi wystarczy. – Zbliżył się i delikatnie ucałował uniesioną dłoń żony.

– Za to właśnie muszę podziękować twojemu przyjacielowi. Pomóż mi, proszę. – Schylił się i wsparł czoło na jej udzie.

– Porozmawiam z babcią. Obiecuję – wykrztusiła z trudem Łucja.

– Dziękuję – wyszeptał.

Rozdział 10

„Ależ paskudnie” – pomyślała Łucja, wysiadając z tramwaju. Zerknęła w zaciągnięte prawie fioletowymi chmurami niebo, poprawiła kołnierz kurtki, rozejrzała się na boki i szybko przemaszerowała przez ulicę. Weszła na rynek i od razu skierowała się w stronę Sukiennic. Przynajmniej kawałek drogi mogła pokonać w znacznie lepszych warunkach. Miała jeszcze w rezerwie kilkanaście minut, więc od razu zwolniła. Stała przy jednym ze stoisk z drewnianymi zabawkami, które przyciągały wzrok, ledwie się na nie popatrzyło.

Kończył się ostatni tydzień listopada, Łucja szybko przeliczyła, ile to już tygodni życia ma Marysia i uznała, że jedyne, co mogłaby jej kupić, to spora grzechotka przedstawiająca biedronkę. Chowała właśnie portfel i zabawkę do torebki, gdy zadzwonił telefon.

– No cześć, babciu! – przywitała się wesoło.
– A cześć, kozo ty moja. Co porabiasz? Jak Marysieńka?
– Marysia świetnie, kolek nie ma, apetyt jest, śpi dobrze, a ja idę do fryzjera podciąć końcówki – wyjaśniła. – Umówiliśmy się z Martą. Poczekaj sekundkę... – Łucja zapięła torebkę i z aparatem przy uchu podeszła do bramy wyjściowej z Sukiennic. Spojrzała na zalany deszczem trotuar, który zniechęcał do opuszczenia ogrzewanego wnętrza budynku.

– Już mogę rozmawiać. – Wsparła się o metalową kratownicę.
– Kto przy małej? Hugo?
– Nie ma go od wtorku, pojechał do Niemiec, ale wraca wieczorem. Pilnuje jej pani Hania, znaczy mama – z trudem wydukała ostatnie słowo.

– Ciekawe, kiedy ty się w końcu nauczysz? – Maśnikowa od razu to wychwyciła.

– Nie wiem – stwierdziła, marszcząc czoło.
– Co poza tym słyhać?
– Nic ciekawego – mruknęła Łucja w odpowiedzi.
– Wanda mi wspominała, że Damian był u ciebie przedwczoraj.
– Uhm. – Wywróciła oczami, myśląc, że jak zwykle przed babcią nic się nie ukryje.

– Łucka, ty uważaj, zawsze mu się podobałaś, ale teraz musisz pamiętać wyłącznie o mężu – głos babki zabrzmiał dosyć surowo.

– Babciu! – pisnęła tak głośno, że jakiś mężczyzna przechodzący obok przez moment zatrzymał na niej wzrok. – Po pierwsze, pamiętam, po drugie, mówiłam mu o tym spotkaniu, a po trzecie, zaprosiłam również Martę, Olę i Anię, więc nie byliśmy sami – fuknęła.

– No nie ciskaj się tak, żartowałam – zaśmiała się. – A Ania to...?
– Koleżanka ze studiów – burknęła, jeszcze trochę nastroszona.

– No a co u Damiana?

– W porządku. W poniedziałek wyszedł ze szpitala, czuje się dobrze. Oko wydobrzało, więc widzi normalnie. Jest tylko troszkę mniejsze niż drugie, ale lekarze mówią, że to się wyrówna. A jeśli chodzi o twarz, też nie najgorzej – zreferowała szybko.

– Będzie miał blizny?

– Nie. Tam, gdzie złamała się kość skroniowa, ma taką małą, cienką kreseczkę. Ale dlaczego mnie tak wypytyujesz? Pani Wandzia ci nie opowiedziała? Nie wierzę. – Łucja pokręciła głową.

– Opowiadała, ale wiesz, jak to matka: przesadzi trzy razy, drugie tyle dołoży i gdy jej słuchałam, wyszło na to, że Damianek wygląda, jakby z frontu wrócił, i to wschodniego – zaśmiała się Maśnikowa.

– Babciu, a co z tym, o co prosiłam? Chodzi mi o kurs prawa jazdy.

– Nie ma mowy! Znasz Kowalików, jeszcze może z Wandą by Hugo co ugrał, ale z Władkiem? To taki honorny człowiek, że nawet nie próbowałyśmy pytać, bo jeszcze by nas obsztorcował.

– Hm... – Łucja się zasępiła. – Mam jeszcze taki pomysł, a może nic panu Władkowi nie mówić? Przecież Damian mógł po prostu zarobić te pieniądze.

– Oj, Łucka, na kłamstwie to jeszcze nic dobrego nie zbudowano, nie wiesz tego?

– No wiem, wiem. – Dziewczyna pokiwała głową.

– Poczekaj, może kiedyś będzie okazja i Hugo się odwdzięczy. Różne chodzą przypadki po ludziach, choć komu jak komu, ale Kowalikom to już chyba wystarczy tej dobroci. A gdzie ty jesteś? Słyszę, że ktoś się śmieje.

– Stoję przy wyjściu z Sukiennic. Jest okropnie zimno, a leje już trzeci dzień – odparła Łucja i od razu spojrziała na zegarek.

– U nas też paskudnie. Psa z kulawą nogą by nie wygonił.

– Babciu, będę kończyć, bo się spóźnię.

– No dobrze, to do zobaczenia w niedzielę.

– Do zobaczenia, uściskaj tam wszystkich – poprosiła.

– Ty też, męża ode mnie ucałuj – rzuciła babcia, zanim kliknięcie w słuchawce obwieściło koniec rozmowy.

„Pozdrowić pozdrowię, ale całować raczej nie zamierzam” – westchnęła Łucja w duchu. Poprawiła kaptur i wybiegła na deszcz. Parę minut później zziębnięta stanęła w drzwiach salonu, weszła do środka i rozejrzała się za Martą.

– Tu jestem! – krzyknęła przyjaciółka, machając jej ręką z oddalonego kąta.

Łucja powiesiła kurtkę, potwierdziła przybycie u miłej recepcjonistki, wzięła filiżankę z herbatą i pomaszzerowała do przyjaciółki.

– Długo będziemy czekać? – spytała po serdecznym powitaniu.

– Nie, może kwadrans poślizgu. Moja fryzjerka już kończy. – Wskazała

na szczupłą dziewczynę z awangardową fryzurą z prawie białych włosów.

– Bo wiesz, nie chciałbym zostawiać Marysi na dłużej niż trzy godziny.

– Ty masz końcówki, modelowanie, do szóstej na pewno się wyrobiją.

– To dobrze – odparła Łucja, rozglądając się na wszystkie strony. Już od progu spodobał się jej ten niewielki salon utrzymany w wesołej kolorystyce. Był przytulny i ciepły, nie jak większość nowoczesnych, markowych salonów, w których rządziły wyłącznie zimne odcienie i błysk chromowanych detali. Poustawiane tu i ówdzie polakierowane na czerwono wiklinowe kosze z gazetami, kilka kwietników, obrazy – wszystko tworzyło przyjemną całość. Każde z ośmiu stanowisk było zajęte, więc najwidoczniej fryzjerzy nie narzekali na brak zajęć, skonstatowała w duchu.

– Coś ci powiem! Padniesz. – Marta chwyciła ją za rękę. – Wyobraź sobie, że nasza koleżanka spiknęła się z tym twoim Damianem – oświadczyła z szerokim uśmiechem.

– Ola? – Łucja wybałuszyła oczy.

– Nie, no coś ty. Ona dalej kręci z Mieszkiem – wyjaśniła.

– Ania? Niewiarygodne. – Łucja pokręciła głową. – Ona i Damian? – Nie mogła sobie tego wyobrazić. Ania Różewicz była bardziej przebojowa i śmiała niż Ola z Martą razem wzięte, a do tego urody jej nie brakowało i nigdy nie narzekała na brak ochotników, którzy chcieliby się z nią spotykać. Lubiła imprezy i życie towarzyskie, więc Damian ze swoimi skrajnie odmiennymi upodobaniami pasował do niej jak wół do karety.

– Dokładnie. Nasza Różyczka baletniczka i twój błędny człowiek z bliźną to najbardziej interesujący związek sezonu – podsumowała żartobliwie Marta.

– Wierzyć się nie chce. Skąd wiesz, że się spotykają? Przecież dopiero trzy dni temu się poznali.

– Widzę się z nią codziennie, zwierza się na bieżąco. Chodzimy razem na lektorat i psychologię społeczną – wyjaśniła. – Od razu we wtorek wieczorem Anka go zaprosiła do siebie, i to na noc! – syknęła, znacząco unosząc brwi.

– Jak? Co? – Łucja była wstrząśnięta. – Zgodził się?

– Wyszliśmy wszyscy od ciebie, ja z Olką wróciłyśmy do domu, a oni poszli na tramwaj, tam się jakoś ugadali, a że nie ma współlokatorki Anki, to powiedziała mu, żeby wpadł na herbatę. Ponoć rozmawiali do północy i wtedy ona chciała... – chrząknęła znacząco, rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje – ale on się nie zgodził.

– Ale jaja – pisnęła cicho Łucja. – Chciała go uwieść? Jak znam Damiana, musiał się okropnie spłoszyć.

– Dokładnie. Zabił jej takiego klina, że do dzisiaj Anka nie może tego przeżyć. Wczoraj byli w kinie, a w sobotę ona organizuje u siebie andrzejki, oczywiście zaprosiła Damiana i mnie z Olą, jeszcze kilka osób i powiedziała,

że ciebie też. Miałam ci przekazać zaprosiny, więc właśnie przekazuję. Przyjdź z mężem – dodała po sekundzie namysłu.

– Przestań. Hugo się nie zgodzi. Poza tym nie chcę zostawiać Marysi na noc z teściową.

– Tak przypuszczałam – stwierdziła Marta. – Powiedziałam Ance, że niech raczej na ciebie nie liczy. Powiedz, nie brakuje ci wolności? – spytała, przysuwając się bliżej. – Nie tęsknisz za swobodą?

– Jedyne, za czym tęsknię i czego mi brak, to ty i Ola, no i uczelnia – przyznała szczerze.

– Nie czujesz się ograniczona? Wiesz, chcąc wyjść z domu, musisz kogoś załatwić do opieki, choćby dzisiaj.

– Nie przeszkadza mi to.

– To co ci przeszkadza? Łuki... przecież widzę, że jesteś inna niż kiedyś. Im dłużej byłaś w ciąży, tym gorzej to wyglądało, a teraz wcale ci się nie polepszyło. Nie chodzi o dziecko?

– Nie. Marysia jest cudowna. Uwielbiam ją, oddałabym za nią życie – wyznała, uśmiechając się blado. – Dziecko to nie tylko obowiązki, znacznie więcej otrzymujesz, niż dajesz. Wiesz, jaka ona jest cudowna? Gdy tylko mnie widzi, uśmiecha się, cieszy. To najlepsza nagroda.

– Więc o co biega? Nie układa wam się w małżeństwie? – Marta objęła przyjaciółkę.

– To skomplikowane, ale w skrócie powiem, że tak. – Łucja przełknęła ślinę. – Tylko proszę, nie mów nikomu. Okej?

– Jasne. Mogę jakoś pomóc? – spytała po dłuższej chwili.

– Nie. Nikt nam nie może pomóc – odparła ze smutkiem. – Nie mówmy o tym. – Niewiele brakowało, żeby spod powiek Łucji wypłynęły łzy, już od minuty cisnące się bez litości, ale na szczęście ktoś je powstrzymał. Młody chłopak w czerwonym podkoszulku podszedł do nich i uśmiechnął się szeroko.

– Hej, dziewczyny – rzucił powitaniem.

– Siemka, Mati. – Marta od razu skinęła mu ręką.

– Mam cię czesać. Co będziemy robić? – spytał Łucję po szybkiej prezentacji.

– Końcówki trzeba przyciąć – wyjąkała, przez ciągle jeszcze ściśnięte gardło.

– Ej, laska, zrób coś nowego – nakazała jej przyjaciółka. Stała obok i zdjęła gumkę z długiego kucyka blond włosów. – To nudne, w kółko ta sama fryzura.

– Co proponujesz? – Mateusz zerknął na Martę. – Czarny jeź z asymetrią? – zaproponował wesołym tonem.

– Tia... – parsknęła. – Marzysz. Może grzywkę? – Popatrzyła

na przyjaciółkę.

– W sumie czemu nie? – Łucja machnęła ręką. – Ostatnio wszystko mi jedno...



Hugo przyleciał wcześniej, niż planował, dlatego już o piątej pojawił się w apartamencie. Pani Hania nie była szczególnie zadowolona z tego powodu, ale nie zamierzała dyskutować z jedynakiem. Ucałowała wnuczkę, poinformowała go, kiedy mała jadła, i gdy już wszystko zostało wyjaśnione, pojechała do siebie.

– I jak, maleńka? Stęskniłaś się za mną? – spytał córeczkę, gdy tylko zostali sami. Dziecko spojrzało na niego granatowymi jak atrament oczami, a potem nieśmiało uniosło kąciki ust.

– Kocham cię – wyznał szeptem. Uwielbiał małą. Im dłużej z nim była, tym bardziej się przywiązywał, tak samo jak kiedyś do jej mamy. Usiadł z Marysią w salonie i kołysał ją w beciku, aż opuściła delikatne powieki. Mógł przyglądać się godzinami, gdy spała. Wyglądała wtedy tak słodko, że nawet najbardziej zatwardziałe serce biłoby szybciej i mocniej. Patrzył na maleńką twarzyczkę, spokojną i łagodną, zbliżał nos, żeby poczuć ten wyjątkowy zapach mleka, niemowlęcych kosmetyków i jeszcze czegoś nieuchwytnego, a jego serce wypełniała słodycz. Może dlatego z żalem ułożył córkę w łóžeczku.

Wziął szybki prysznic, przebrał się w wygodne spodnie i bawełniany podkoszulek, zjadł późny lunch i z westchnieniem ulgi, że jest już w domu, spoczął na sofie. Bezmyślnie zmieniał kanały, bo tak naprawdę nic go nie interesowało. Czuł się zmęczony, głowę miał pełną myśli o tym, co przeżył przez ostatnie kilka dni: dziesiątki rozmów z kontrahentami, prawnikami, ludźmi znaczącymi tak dużo, a jednocześnie tak niewiele dla niego.

Gdy godzinę później Łucja weszła do mieszkania, Hugo drzemał na kanapie wyczerpany kilkudniową tułaczką po kancelariach, hotelach i lotniskach. Lekko przechyloną głowę położył na oparciu, zaplecione dłonie spoczywały na brzuchu. Podeszła bliżej, stanęła tuż obok i skupiła wzrok na jego twarzy. Zawsze ją zachwycały długie i bardzo ciemne rzęsy męża. Kładły cień na policzkach, gdy spał, i powodowały, że wyglądał wtedy niemalże bezbronnie.

Chyba wyczuł, że ktoś jest blisko, bo otworzył oczy.

– Hej, już jesteś?

– Hej – przywitał się, jeszcze ciągle półprzytomny. – Miałem wcześniejszy samolot.

– To świetnie, a co z Marysią? Nie wiesz, kiedy jadła? – spytała, onieśmiewiona jego niespodziewaną obecnością.

– Matka mówiła, że przed dwiema godzinami. – Hugo usiadł prosto i zerknął na zegarek. – Teraz śpi.

– Uhm – potaknęła.

Stęsknił się za Łucją. Miał nieodpartą chęć wziąć ją w ramiona, pocałować i powiedzieć, że brakowało mu jej, ale jak zwykle przemilczał. Wiedział, że wtedy skryłaby się w dziecięcym pokoju, a przecież on tak bardzo potrzebował jej towarzystwa. Im dłużej trwało ich papierowe małżeństwo, tym mocniej cierpiał z powodu braku fizycznego kontaktu. „Gdybyś chociaż mnie przytuliła, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie” – pomyślał, patrząc w oczy żony.

– Dobrze ci w takiej fryzurze – ocenił po chwili.

– Dziękuję – odparła, nieco zawstydzona komplementem. Odruchowo poprawiła włosy. Nie czuła się pewnie, choć Marta i Mateusz zgodnie orzekli, że wygląda świetnie z grzywką obciętą w owalną linię i łagodnie okalającą jej delikatną dziewczęcą twarz.

– Jadłeś kolację? – spytała, przysiadając na poręczy fotela. – W lodówce zostawiłam gołąbki. Znalazłeś?

– Tak. Matka mi powiedziała, zanim wyszła.

– Uhm. – Zagryzła wargę. Nie wiedziała, jak się zachować, bo przez kilka dni rozłąki znów trochę odwykła od obecności męża. – Jak interesy? Wszystko się udało?

– Tak. Z Niemcami zawsze potrafiłem się dogadać.

– Cieszę się.

– A ja nie.

– Dlaczego? – Zmarszczyła czoło.

– Może wolałbym zamienić sukcesy zawodowe na te związane z życiem osobistym? – zażartował.

– To miało być śmieszne?

– Chyba pójdę spać. Jak widzisz, bredzę. – Hugo ziewnął, wyciągając przed siebie zaplecione dłonie.

– Jak uważasz. – Łucja wzruszyła ramionami. – Wykąpię Marysię sama. Możesz iść odpocząć.

– A ty nie masz mi nic do powiedzenia? – nagle zadał pytanie.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem. Tyle dni się nie widzieliśmy. – Hugo poczuł się dziwnie skrępowany. – Nic się nie wydarzyło? A jak wtorkowa impreza?

– To nie była żadna impreza – zachnęła się Łucja. – Zwykle koleżeńskie odwiedziny. Posiedzieliśmy, porozmawialiśmy, podałam herbatę i ciasto. Tyle.

– Rozumiem – stwierdził z wyraźnie słyszalną ironią.

– Ale o co ci chodzi? O Damiana?

– O nic mi nie chodzi – odparł. „Oprócz tego, że skręca mnie z zazdrości” –

dokończył w myślach.

– Mamy zaproszenie na jutro na andrzejki u Ani. To mała domówka u mojej znajomej z uczelni, tu w Krakowie. – Ledwie skończyła mówić, gdy przyszło jej do głowy, że to był głupi pomysł, wspominać o tym. – W sumie bez sensu, nie powinniśmy tak wykorzystywać twojej mamy – wycofała się naprędce.

– Dlaczego bez sensu? Kto będzie? – Hugo przymrużył oczy.

– Oła, Marta, koleżanki i koledzy Ani...

– Damian też? – przerwał.

– Też – potaknęła.

– Chcesz, idź. Zostanę z Marysią w domu. To twoje towarzystwo, jestem za stary na takie zabawy – stwierdził z przekąsem.

– Hugo... – Łucja wzięła głęboki wdech – nie jesteś za stary.

– Okej, wobec tego za drętwy.

– Przestań. – Jego żona spuściła wzrok na swoje dłonie.

– Nie przestanę! – nagle podniósł głos. – Po cholere mam iść z tobą na imprezę, na której będzie koleś, któremu się podobasz, który cię bardzo lubi, i to z wzajemnością?!

– To mój bliski przyjaciel, znamy się od zawsze, nic do niego nie czuję oprócz zwykłej ludzkiej sympatii i przywiązania. Poza tym on ma dziewczynę, a ty...

– A ja...

– Nie masz prawa być zazdrosny. – Przełknęła ślinę.

– Jesteś niezwykle uprzejma, dziękuję za przypomnienie mi, że nie mam żadnych praw, poza jednym: mogę utrzymywać Marysię! – Uderzył dłonią o podłokietnik sofy.

– Już zapomniałeś, że zawdzięczasz mu życie naszej córeczki?

– Tak, zapomniałem! Widzisz, jaki jestem?! Niewdzięcznik bez serca – odparł wzgardliwie.

– Nie krzycz na mnie, bo... – Próbowała zachować spokój, ale opuszki jej palców zaczęły lekko dygotać.

– Bo co?! – Nie pozwolił jej skończyć. – Wrócisz do babci? – ironizował. – I tak wrócisz! Oboje o tym wiemy! Co za różnica czy teraz, czy za trzy miesiące?! – krzyknął, nie wiadomo dlaczego coraz bardziej wzburzony.

– Nie będę z tobą rozmawiać. Zwłaszcza gdy mówisz do mnie takim tonem. – Wstała i wyszła do kuchni. Napełniła dzbanek, drżącą dłonią wyjęła z szafki kubek i torebeczkę owocowej herbaty. Wsypała dwie łyżeczki cukru. Oparta brzuchem o blat czekała, aż woda się zagotuje. „Nie płacz, nie płacz” – bezgłośnie prosiła samą siebie. „To jest zbyt trudne” – pomyślała o ich wspólnym życiu pod jednym dachem. „Wegetujemy. Zamiast żyć, odgrywamy role w spektaklu pod tytułem *Małżeństwo na czas określony*, jesteśmy jak dwójka schodzących sobie

z drogi, ostatnio coraz mniej lubiących się lokatorów” – skonstatowała z goryczą. „Ciekawe, kiedy zaczniemy się nienawidzić? Czyżby właśnie dzisiaj się zaczęło?” – dumiała.

– Przepraszam. – Hugo stanął za jej plecami. Bezwiednie zacisnął pięści, ale szybko rozprostował palce, choć Łucja i tak nie mogła zobaczyć tego gestu. – Wybacz. Nie wiem, co we mnie wstąpiło – skłamał. Wiedział, co go gryzie, ściska za gardło i odbiera powietrze – to strach, lęk, że wkrótce wszystko się skończy. Mydlana bańka pęknie, a on zostanie sam. Dlatego był na siebie wściekły. Zawsze potrafił panować nad emocjami, a przynajmniej tak mu się wydawało, ale od kiedy poznał Łucję, a zwłaszcza od chwili, gdy uświadomił sobie, że ją kocha, uczucia zaczęły przesłaniać mu pole widzenia, prowokowały do irracjonalnych zachowań i nie pozwalały na utrzymanie zdrowego dystansu.

– W porządku. Nic się nie stało – odpowiedziała, nalewając wrzątek. – Nie gniewam się. Chcesz herbaty?

– Nie. Pójdę się położyć – odparł, ale zamiast odejść, stał, wpatrując się w jej włosy. Były piękne. Błyszczące, gładkie i idealnie proste, spływały, przykrywając wąskie ramiona. Kusiły: „Dotknij nas, wyciągnij rękę i przekonaj się, jakie jesteśmy jedwabiste i miękkie”. Nie posłuchał głosu pragnienia, ale nachylił się lekko, żeby choć poczuć ich zapach.

Łucja wyczuwała jego obecność za plecami, słyszała przyspieszony oddech i jedyne, czego pragnęła, to mocno go przytulić, a jeszcze lepiej, żeby to mąż ją objął. Przymknęła oczy, marząc o dotyku jego silnych dłoni. „Odważ się” – błagała w myślach, ale nic się nie działo poza tym, że w milczeniu stał za nią. Nie wytrzymała napięcia i powoli się odwróciła.

– Co robisz? – spytała przez ściśnięte z wrażenia gardło.

– Nic – wychrypiął Hugo. „Nawet nie wiesz, jaką masz władzę nade mną” – pomyślał, odsuwając się nieco i patrząc w jej zaczerwienione oczy. „Jesteś młoda, bez wykształcenia, bez pracy, bez pieniędzy, zdana na moje utrzymanie, ale to ja jestem słabszy, bo tylko od ciebie zależy, czy będziemy razem; możesz jednym postanowieniem, jednym słowem dać lub odebrać mi dostęp do wszystkiego, co stworzyliśmy, co jest dla mnie najcenniejsze” – stwierdził bezgłośnie.

– Wybacz, nie chciałem cię zdenerwować – westchnął. – Jeśli chcesz iść na te andrzejki, zaraz zadzwonię do matki.

– Nie dzwoń. Odechciało mi się wyjścia gdziekolwiek – fuknęła.

– Przeze mnie. Jeszcze raz przepraszam za mój wybuch, jestem zmęczony – usprawiedliwił się. – Za półtora tygodnia kolejny raz muszę wyjechać, będziesz mogła znów zaprosić przyjaciół. A tak na marginesie, ten wasz proboszcz Malinka... – przeciągnął głos – miał rację. Decyzja o wzięciu ślubu kościelnego powinna być dobrze przemyślana. To bardzo mądry i przewidujący człowiek. Prawda? – Prawie natychmiast pokręcił głową, nie wierząc, że znów sprowokował

zonę. Nie chciał tego robić, to działo się samo i wbrew niemu. Wystarczył jakiś błysk w umyśle, pojedynczy obraz, wizja Łucji siedzącej obok Damiana, który z nią rozmawia, a ona śmieje się radośnie.

– To frustrujące, że nie można kogoś kupić, że nie można się go ostatecznie pozbyć, ofiarując mu w zamian samochód albo pieniądze na prawo jazdy, prawda?
– odpowiedziała pytaniem. W jej słowach pobrzmiwała ironia i wyraźna nagana, co natychmiast wywołało jego złość, ale jakoś się opanował.

– Każdego da się kupić. Kwestia ceny.

– Ale nie zawsze za pieniądze – wypaliła.

– Trafiłaś w sedno. Punkt dla ciebie – potwierdził i z uznaniem pokiwał głową. – Mój największy problem to nieumiejętność znoszenia poczucia bezradności. Tracę rozum, kiedy coś wymyka mi się spod kontroli, gdy muszę się dostosować do warunków stawianych przez kogoś i nie mogę nic z tym zrobić. – Niespodziewanie pozwolił sobie na szczerłość.

– Chyba Marysia się obudziła? – Łucja spojrzała w stronę korytarza.

– Chyba tak.

– Pójdę tam. – Odstawiła kubek na blat szafki.

Hugo jeszcze przez chwilę stał bez ruchu, a potem sięgnął po garnuszek i upił kilka łyków gorącej herbaty.

Rozdział 11

Tak szybko zapadał zmierzch, że Marysia ostatnio zasypiała już o szóstej wieczorem. Łucję trochę to cieszyło, bo cały wieczór miała dla siebie, ale i martwiło, gdyż mała potrafiła przed piątą rano obwieścić, że zaczyna nowy dzień.

Wyszła z pokoiku, zabrała ze sobą odbiornik niani i powlokła się do kuchni. Była senna, ale musiała posprzątać po całym aktywnym dniu spędzonym z córką, a poza tym Hugo wkrótce miał wrócić z pracy. Jak zawsze głodny i wykończony problemami.

Zaczęła wstawiać naczynia do zmywarki, gdy ktoś cicho zapukał do drzwi. Łucja wybałuszyła oczy, bo jako żywo nie przypominała sobie, żeby ktoś ich nachodził o takiej porze. Jediną osobą mogła być sąsiadka, Jowita, ale już od tygodnia wczasowała się z mężem na jakichś tropikalnych wyspach.

Łucja szybko wytarła ręce i pobiegła w stronę drzwi.

– Damian? – spytała niezbyt grzecznie, ale po prostu opadła jej szczęka na widok przyjaciela. Po pierwsze – wpadł bez zapowiedzi, a po drugie – wyglądał jak nie on. W oczy rzucał się płaszcz: prawdziwy, wełniany i bardzo elegancki męski płaszcz, spod którego wystawało coś na kształt szalika, lekko odsłaniającego kołnierz białej koszuli i krawat. Piękny, jedwabny i w kolorze wina.

– Hej! – Damian rozciągnął twarz w uśmiechu. – Mogę wejść?

– Jasne! Zapraszam. – Gospodyni natychmiast odsunęła się w drzwiach.

Zanim jej niezapowiedziany gość wszedł do środka i roztoczył wokół siebie zapach jakiejś mocnej wody toaletowej, Łucja zdążyła strzelić okiem do lustra i zauważyć, że jej spodnie od dresu nie prezentują się zbyt elegancko. Poza nimi miała na sobie dosyć sfatygowany podkoszulek, a jej fryzura przypominała wronie gniazdo stylizowane kształtem na krowi placek. Jeszcze raz spojrzała na siebie krytycznie i skrzywiła się z widocznym niesmakiem.

– Pewnie grzeczność nie pozwala ci spytać, co tu robię – stwierdził wesołym tonem Damian.

– Czytasz we mnie jak w otwartej księdze. – Łucja skwitowała żart, ale nie było jej wcale do śmiechu. Bała się, że nic dobrego nie wyniknie, gdy za moment Hugo wróci z pracy i zobaczy Damiana wyglądającego, jakby zamierzał się jej oświadczyć.

– Twój mąż mnie zaprosił.

– Co? – Rozdziawiła buzię.

– Mogę to gdzieś dać? – spytał Damian, podając jej płaszcz z szalikiem schowanym do rękawa.

– Jasne. – Od razu go zabrała i powiesiła w szafie. Ręce jej latały, jak nie przymierzając przed ustnym egzaminem z historii socjologii u profesor Maślak. – Idź do salonu.

Damian schylił się, żeby zdjąć buty, ale Łucja zauważyła jego gest i pomachała ręką, że nie musi. Więc pomaszerował tam, gdzie mu polecono. Siadł na kanapie, po czym uznał, że powinien rozpiąć marynarkę. A po kolejnych kilku sekundach, że chyba ją zdejmie, bo w mieszkaniu było bardzo ciepło. A po następnych, że nie wypada, bo na stół przepocił koszulę pod pachami, i to już przed wejściem do biura mecenasa Hajdukiewicza. Wystarczyła ta kobieta, pani Jadwiga, i jej dziwny wzrok, którym go wręcz oblepiła, gdy przez parę minut siedział w sekretariacie.

– Czego się napijesz? – krzyknęła Łucja z kuchni.

– Na razie niczego, chodź tu, póki jesteśmy sami – odkrzyknął, ale znacznie ciszej.

– Co się stało? – Łucja szybko przyszła z kuchni i przysiadła na oparciu kanapy.

– Posłuchaj... – Damian zniżył głos nieomal do szeptu. – Twój mąż wczoraj zadzwonił do mnie i zaprosił do siebie do biura na rozmowę. O pracę.

– Serio?! A skąd miał numer? – pisnęła Łucja.

– Dałem mu miesiąc temu, wtedy w szpitalu poprosił. I pojechałem tam dzisiaj do niego i on powiedział, że ma dla mnie pracę.

– Jaką?

– Taki człowiek od wszystkiego. Mam nadzorować komputery, oprogramowanie, no i najważniejsze, powiedział, że wyśle mnie na kurs prawa jazdy, a w zasadzie to na same egzaminy, bo zależy mu na czasie. Gdy już zdobędę prawko, mam jeździć z jakimiś umowami i czymś tam jeszcze, i to po całej Polsce. Pytał, jakie znam języki, więc mu powiedziałem, że angielski całkiem nieźle, ale głównie techniczny, więc zamierza mnie posłać na superszybki kurs metodą Callana.

– Jezu... Kiedy u niego byłeś?

– Siedziałem tam od czwartej. Patrz, jak mnie Anka ubrała. To wszystko jej starszego brata, on też jest prawnikiem. Tylko buty mam swoje i... niewymowne. – Mrugnął. – Powiedziała, że na takiej rozmowie mam wyglądać jak człowiek.

– Czekaj, a gdzie jest Hugo? – Łucji też się udzieliło dziwne napięcie w głosie Damiana, bo zniżyła ton i co kilka sekund zerkała w stronę korytarza.

– Przyjechaliśmy razem, ale poszedł do delikatesów coś kupić, a mnie kazał tu przyjść i poczekać.

– Aha. To pewnie za moment tu będzie.

– Raczej tak.

– I co, zgodziłeś się? Czemu wczoraj do mnie nie zadzwoniłeś?

– Szczerze, to do końca nie wiedziałem, czy nie powiem mu, że nie jestem zainteresowany. Dopiero dzisiaj postanowiłem, że jednak pójdę na to spotkanie. A czy się zgodziłem, już ci...

Nagle usłyszeli charakterystyczny dźwięk zamka cyfrowego. Łucja od razu popatrzyła w stronę drzwi, a Damian, spłoszony, aż podskoczył na kanapie.

– Jestem – dobiegło z korytarza. Po chwili Hajdukiewicz wszedł do salonu, z satysfakcją odnotował, że jego nowy pracownik jest chyba jeszcze bardziej purpurowy na twarzy niż dwie godziny temu, a i widok żony mu się spodobał. Miała minę, jakby spaliła żelazkiem jego najlepszą koszulę, a on właśnie to odkrył.

– Cześć, kochanie... – Podeszedł do niej i cmoknął w lekko zarumieniony policzek. Miał do tego formalne prawo, bo razem zgodnie ustalili, że przy obcych może tak się z nią witać. Nie omieszkał skorzystać z okazji, choć zdawał sobie sprawę, jak bardzo to ją zirytuje. Ale i tak przyjemność z tego pocałunku była większa niż satysfakcja, że ją wkurzył.

– Cześć – odburknęła Łucja, czując krew jeszcze szczelniej wypełniającą każdą małą żyłkę i tętniczkę pod skórą twarzy.

– Najmocniej przepraszam, Damianie, ale pójdę się odświeżyć, a ty, kochanie, przygotuj nam coś do zjedzenia. Mogę cię o to prosić? – spytał najbardziej ugrzecznionym tonem, jaki mógł z siebie wydobyć. – Musimy odpowiednio uczcić ten podwójny sukces.

– Naturalnie – wycodziła Łucja przez zaciśnięte zęby. Od razu pojęła, że Damian przyjął propozycję jej męża, skoro ten zamierzał to opić.

– Cudownie. Och, zapomniałbym. Kupiłem alkohol, przekąski i coś słodkiego. – Postawił tuż przy jej nogach wielką papierową torbę z logo delikatesów.

Łucja wywróciła oczami. „Boże, co za dupek” – jęknęła bezgłośnie, widząc jak Hugo się zachowuje.

– Podać w jadalni czy tutaj? – spytała równie kretyńskim, sztucznie modulowanym głosem i parę razy zamrugła oczami jak typowa słodka idiotka.

– Myślę, że nasz gość powinien zdecydować, gdzie mu będzie wygodniej – odparł Hugo, uśmiechnął się promiennie, odwrócił na pięcie i wyszedł z salonu, zaciskając odruchowo kciuki.

– Chryste... – sapnęła Łucja, gdy usłyszała dźwięk zamykanych drzwi łazienki męża.

Zerknęła do wielkiej torby i od razu zauważyła, że Hugo kupił jakiś nieprawdopodobnie drogi koniak, dwie paczki równie drogich serów i pudełko belgijskich pralinek.

– To gdzie szanowny pan życzy sobie skosztować kolację? – Uniosła brwi i zatrzepotała rzęsami.

Damian ryknął śmiechem, ale niemal natychmiast urwał.

– Może tu? – syknął.

– Okej – odpowiedziała prawie bezgłośnie Łucja i puściła do niego oczko. Poszła do kuchni, wyjęła z lodówki owinięte folią półmiski i zabrała się

do szykowania spóźnionego obiadu. Na szczęście dzisiaj przygotowała coś eleganckiego, jakby przewidziała sytuację. Włożyła półmisek z grillowanymi polędwiczkami do piekarnika, odwinęła streczkę chroniącą sałatkę przed wyschnięciem i napełniła koszyczek świeżo pokrojonym ziarnistym pieczywem.

– Pomóc ci? – dobiegło ją zza pleców.

Odwróciła się.

– Weź kieliszki. – Wskazała mu brodą na szafkę. – A gdy je zaniesiesz, wyjmij z tej torby wszystko i połóż na ławie. I wróć tu po resztę.

Damian kursował między kuchnią a salonem, czując, że robi mu się coraz bardziej gorąco. Ledwie usiedli z Łucją przed zastawioną ławą, gdy Hugo wyszedł z łazienki.

„Zamorduję go” – warknęła w duszy Łucja. Widziała, że to wszystko, co czyni jej szanowny mąż, to jakaś demonstracja, ale nie spodziewała się, że aż tak będzie próbował zawstydzić biednego Damiana.

Hugo miał na sobie równie niezobowiązujący strój jak ona. O ile nie swobodniejszy. Ciasny podkoszulek opinał mu mięśnie, pod dresowymi spodniami odznaczały się klejnoty rodowe pana mecenasa, a z włosów kapąła woda i powodowała, że biała bawełna T-shirtu zrobiła się półprzezroczysta. Przebijały spod niej ciemne włosy, które Hugo miał na torsie. I oczywiście był boso. A jakże...

Zasiadł w swoim ulubionym fotelu, już miał założyć stopę na kolano i rozprzeć się jak basza, ale nagle stwierdził, że postąpi inaczej.

– Cudownie się spisałaś, kochanie – powiedział do Łucji.

– O tak. Wszystko wygląda super – potaknął Damian.

– Damianie, może najpierw przejdziemy na mniej formalną stopę? – spytał Hugo.

– A wy nie byliście na ty? – zdziwiła się Łucja. – Przecież już dawno się poznaliście. U mojej babci, w Podolu.

– Owszem, ale twój bliski przyjaciel... – Hajdukiewicz prawie przeżuł to ostatnie słowo, tak wolno je wymówił – uparcie zwraca się do mnie per pan. Może tradycyjny bruderszaft pomoże mu przełamać lody. Damianie? Po kieliszku?

– Chętnie – wychrypiał młody człowiek i bezwiednie otarł czoło. – Choć strasznie tu macie ciepło, a po koniaku to się chyba rozpląnę.

– Przepraszam. – Hugo zrobił zbolaną minę, ale zdradzały go drgające lekko kąciki ust. – Podwyższyłem temperaturę, bo myślałem, że jest za chłodno. Skręcić?

– Nie! – od razu zaprotestował Damian. – Proszę nie robić sobie kłopotu.

– Okej.

– Może zdejmiesz marynarkę? – zatroskała się Łucja.

– Wytrzymam.

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami, coraz bardziej wkurzona na męża

i na Damiana, że pozwalał sobie ciosać kołki na głowie.

Hugo wstał, napełnił dwa kieliszki koniakiem, podszedł do Damiana, przepletli ręce i wypili po łyku alkoholu. Na szczęście nie posunął się do tego, żeby cmokać w policzek spłoniętego młodzieńca. Wystarczył krzepki uścisk dłoni.

Wreszcie mogli zacząć jeść. I znowu najmłodszego Kowalika spotkał afront, bo ledwie wziął do ust pierwszą porcję sałatki, a zakrztusił się ziarnem dyni i musiał na moment wyjść do łazienki. Wrócił, dokończył kolację i nawet zgodził się na kolejną lampkę koniaku. Ryzykował, że się upije, bo głowy do alkoholu nie miał nigdy, ale wołał już to niż drętwą atmosferę tego spotkania.

– Jeszcze mi nie powiedziałaś do końca, jakie warunki zaproponował ci Hugo – zagaiła rozmowę Łucja i od razu popatrzyła na męża ostrzegawczo, żeby czasem nie wypalił z czymś niegrzecznym.

– Bardzo dobre. Dzięki, Hugo. – Damian zerknął na swojego szefa.

– Myślę, że w kwestii finansów jesteś zadowolony.

– O tak! Bardzo.

– A co ze studiami? – zaniepokoiła się Łucja. – Nie będziesz miał czasu na naukę. A zajęcia? Zacziesz opuszczać i cię wywałą. Hugo, przecież on jest na pierwszym roku. Najgorszym!

– Oj, kochanie, nie zachowuj się jak jego mamusia. Chłopak sobie poradzi. Prawda, Damianie? – Hugo uderzył w protekcyjny ton, choć świetnie go maskował i tylko jego żona była świadoma, że właśnie kolejny raz dał do zrozumienia, że uważa go za nieszkodliwego dzieciaka.

– Myślę, że nie zawiodę – odpowiedział z namysłem Damian. Czuł, że zaczyna mu szumieć w głowie, ale dzielnie potaknął, gdy Hugo trzeci raz podniósł butelkę i zerknął na niego pytająco.

– Damian musi na razie załatwić kwestię prawa jazdy. Właściwą pracę zaczyna dopiero w lutym. Wtedy zmieni tryb nauki na zaoczny. – Hajdukiewicz się ulitował i zaczął mówić normalnym tonem. – Od przyszłego semestru będzie studiował w weekendy, a pracował od poniedziałku do czwartku. Na razie w zupełności wystarczy – wyjaśnił żonie.

– Ale to kosztuje. – Łucja popatrzyła na przyjaciela. – Czesne na pewno jest wysokie.

– Pan... Hugo zaproponował, że pokryje koszty mojej nauki, a ja to odrobie w przyszłości. Ale się nie zgodziłem, bo pensja jest tak wysoka, że starczy także na to. – Damian uśmiechnął się do Łucji.

– Hm... Widzę, że wszystko sobie dograliście – westchnęła z przekąsem.

– Chyba nie masz nic przeciwko? – Hajdukiewicz popatrzył na żonę spod przymrużonych powiek. – Damianowi pasują moje warunki, uważam, że świetnie sobie poradzi, a ja też skorzystam, bo znaleźć dobrego i uczciwego pracownika wcale nie jest łatwo. Powinieneś podziękować Łucji, w zasadzie to ona cię

zarekomendowała. Mówiła, że jesteś bardzo pracowity, szybko się uczysz i nie boisz wyzwania.

– Serio? – Damian rozciągnął twarz w uśmiechu. – Dzięki, Łucka! Jesteś zajebistą przyjaciółką. – Nachylił się i cmoknął zaskoczoną dziewczynę w policzek.

Powietrze przeszył ryk gwałtownego śmiechu. Hugo prawie złożył się na swoim fotelu. Takiego obrotu sprawy się nie spodziewał. Mina Łucji mówiła wszystko, również to, że nazajutrz będzie miał się z pyszna, bo upił biednego Damiana.

– To jeszcze po jednym? – zaproponował, gdy z trudem opanował podrygujące ze śmiechu ciało.

– Czemu nie... – czknął młody Kowalik.



Skacowany do cna Hajdukiewicz uniósł głowę i zobaczył, że zamiast w sypialni, leży w swoim gabinecie. Usiadł na sofie i potarł ramiona. Niczym się nie okrył, więc trochę ostygł przez noc. „Pewnie Łucja przykręciła ogrzewanie” – pomyślał, a zaraz potem jego wzrok padł na zegar ścienny.

– *Fuck*. Jedenasta? – wymamrotał do siebie. Zeszłego wieczoru ostro przygrzali z Damianem. Okazało się, że chłopak też lubi sport, więc gospodarz włączył jakiś sportowy kanał i akurat trafili na mecz koszykówki. Hugo wyciągnął z barku drugą flaszkę i przy whisky opowiedział Damianowi o swojej miłości do drużyny Boston Celtics. Gość patrzył w niego jak w obrazek, a gdy Hajdukiewicz przyniósł i pokazał mu kilka swoich zdjęć z zawodnikami tej drużyny, aż się skręcił z zazdrości i żalu, że nigdy nie wyjechał z Polski, podczas gdy Hugo był w tylu krajach, a w Ameryce mieszkał, i to bardzo długo.

Łucja zamierzała dzielnie im towarzyszyć, ale o dziewiątej skapitulowała, przeprosiła obu panów i poszła spać.

– Apokalipsa nadejdzie rankiem, czemu o tym zapomniałem? – mruknął Hugo, próbując powoli i ostrożnie wstać. – Ciekawe, jak młody? – Pokręcił głową i od razu pożałował, bo zrobiło mu się niedobrze, a wymiotować nie znosił, choć wiedział, że szybciej doszedłby do siebie. Wyszedł z gabinetu na miękkich nogach, poczłapał do łazienki, w której spędził dwa kwadransy i odświeżony wrócił do grona żywych, czyli do żony.

– Dzień dobry – powitała go Łucja. – Chcesz śniadanie? A może lunch? – Popatrzyła na niego jak na insekta, który właśnie wylazł z kanału ściekowego.

– Dzień dobry. Żadnego jedzenia. Jeśli mogę o coś prosić, to o herbatę. Mocną, czarną i bez cukru – odparł, siadając przy stole. – Gdzie mała?

– Twoja mama przyjechała o dziewiątej i zabrała ją do siebie. Mają wrócić

o drugiej. Dzwoniła pani Jadwiga, pozwoliłam sobie odebrać telefon. Pytała, czemu nie ma cię w pracy. Powiedziałam, że jesteś chory. I widzę, że nie skłamałam. – Pokiwała głową z politowaniem. Odwróciła się i nastawiła czajnik. Minutę później przed Hajdukiewiczem stał wielki kubek z wiszącymi sznureczkami trzech saszetek z herbatą.

– O której poszedłeś spać? – spytała Łucja, siadając przy przeciwległym boku stołu.

– Po północy.

– A co z Damianem?

– Zamówiłem mu taksówkę. Na pewno dotarł do domu, ale czy żyje, tego nie mogę zagwarantować. Nieźle się chłopak sprawił. – Hugo parsknął śmiechem. – Patrzyłem z okna. Zanim doszedł do taryfy, zrzygał się trzy razy.

– Bardzo śmieszne – fuknęła w odpowiedzi Łucja.

– E... Przepraszam, że nie posprzątałem. Pewnie zostawiliśmy bałagan. – Upił ostrożnie kilka łyków herbaty i popatrzył na Łucję. – Jesteś na mnie zła? Jesteś.

– Jestem.

– Ale nie o ten bajzel?

– Owszem, nie o bajzel. Bo to można szybko posprzątać.

– Posłuchaj, to chyba dobrze, że dałem mu pracę? Wszyscy na tym skorzystamy. – Hugo od razu się domyślił powodów.

– Och, serio? – Łucja wydeła usta.

– Serio. Będę mógł wcześniej wracać z biura, odpadnie mi spora część wyjazdów i obowiązków z tym związanych. Chłopak zarobi nieźle pieniądze, usamodzielnili się i tak dalej, a ty...

– A ja? Jak niby na tym skorzystam?

– No... Będziesz miała męża w domu. Częściej. – Rozpromienił się i puścił jej oczko.

– Aha. I mam ci uwierzyć, że to z tego powodu go zatrudniłeś?

– Dokładnie tak. Chłopak dobrze rokuje, jest bardzo inteligentny, świetnie się zna na komputerach, nie boi się wyzwania...

– Co ty masz z tym chłopakiem?! – przerwała mu wywód. – Chłopacy to są u szewca, a Damian jest mężczyzną – stwierdziła dobitnie. – Przyznaj, chcesz go mieć na oku. Dałeś mu pracę, żeby go od siebie uzależnić, żeby czuł wdzięczność i nie próbował do mnie startować. Tak? Więc ci powiem, co o tym myślę. To bardzo słabe, a ja nie znoszę zazdrośników.

– Ponoć ma dziewczynę – powiedział Hugo i przymrużył oczy. – Więc raczej nie jest tobą zainteresowany, sama mówiłaś.

– Dziś ma, jutro nie ma. Różnie bywa.

– Fakt. Dziś mam żonę, za pół roku nie mam. Różnie bywa – powtórzył

po niej z przekąsem. – Dałem mu pracę, pomogłem stanąć na nogi, czego się czepiasz?

– Widzę, że jesteś bardzo zadowolony. Zrobisz z niego chłopca na posyłki, więc pewnie czujesz ogromną satysfakcję.

– A może chciałem bliżej poznać człowieka, którego tak bardzo lubisz i cenisz? Może chcę coś podpatrzeć? Zmienić się, żebyś i na mnie spojrzała łaskawszym okiem? A może coś mu zawdzięczam? Gdyby nie on, nie wiem, czy rozmawialibyśmy teraz ze sobą, więc może chciałem mu podziękować, choć dobrze wiem, że nie ma na tej ziemi rzeczy, która równoważyłaby twoje i Marysi życie i którą mógłbym mu ofiarować. Nie pomyślałaś o tym? – Nachylił się, żeby być odrobinę bliżej żony, ale dzielący ich dystans prawie się nie zmniejszył.

– Okej. Może to wszystko, co powiedziałeś, jest prawdą, ale dobrze widziałam, jak się wczoraj zachowywałeś.

– No jak? – spytał, rozbawiony wyrazem jej twarzy. Zaciśnęła usta w wąską linijkę, a oczy przypominały szparki, tak mocno je przymrużyła.

– Jak protekcyjny dupek! – warknęła. – Te zakupy w delikatesach, drogi koniak, francuskie sery, czekoladki – wymieniała. – Musiałeś go tak poniżyć? Szpanować kasą? Wiesz, że on pożyczył te wszystkie ubrania, żeby wyglądać elegancko, a ty siedziałeś ubrany jak, jak... – zająknęła się, bo nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

Już miał odpalić, że ona też nie powalała strojem, ale ugryzł się w język. Dobrze wiedział, o co jej chodziło. Trochę nim trzepnęło, gdy usłyszał, że Damian pożyczył garnitur i płaszcz, żeby dobrze wypaść na rozmowie. Od razu postanowił, że dołoży mu co nieco do pensji na zakup służbowego ubrania.

– Jak dupek? – odpowiedział Łucji.

– Owszem, i to niewychowany.

– Posłuchaj, musi tak być. Nikt nie będzie się z nim cackał. Każdy młody facet potrzebuje twardej ręki. Przecież się nie skarżył, więc o co ci chodzi?

– Jestem ciekawa, czy twój wujek też się z tobą nie cackał. Już to widzę! – powiedziała z naciskiem, nawet nie starając się ukryć poirytowania. – Pewnie od razu dostałeś najlepsze biuro, służbowy samochód i asystentkę.

– *Nope.* – Hugo wyszczerzył zęby. – Sekretarki mogłem co najwyżej pooglądać, samochód dostałem, ale dopiero po dwóch latach tyrania za friko. Do pracy i wszędzie jeździłem rowerem. Moje biuro do złudzenia przypominało kabinę windy. Było małe, bez okna i klimy. Czasami w lecie pracowałem przy otwartych drzwiach, bo brakowało powietrza, ale, fakt, masz rację: byłem uprzywilejowany, bo nie siedziałem z resztą towarzystwa w wielkiej wspólnej sali.

– Dlaczego?

– Przez pierwszy rok żaden z moich kumpli, asystentów jak ja, nie odezwał się do mnie nawet słowem. Jedyne, co robili, to niechcący wylewali kawę

na dokumenty, nad którymi pracowałem, lub zrzucali je z biurka. Bywało też, że magicznym sposobem z mojego kompa zniknęło coś, nad czym wcześniej harowałem kilkanaście lub więcej godzin. W końcu zrozumiałem, że nie chcą mnie widzieć, i poprosiłem o jakieś pomieszczenie. Dostałem schowek.

– Ale czemu tak robili? – Łucji już przeszła złość, a w jej głosie brzmiało dobrze mu znane współczucie. – Bo szef był twoim wujkiem?

– Bingo.

– Dawałeś im to jakoś odczuć?

– Chyba żartujesz! Gdyby nie to samo charakterystyczne nazwisko, nikt by się nie domyślił, że coś nas łączy. Prywatnie wuj był dla mnie jak ojciec, ale służbowo? Ech, żałuj, że tego nie widziałaś. – Hugo potrząsnął głową. – Dostawałem najbardziej parszywe zlecenia. – Zaśmiał się.

– Ale i tak wiedziałaś, że kiedyś będziesz miał to wszystko. Pieniądze, kancelarię, stanowisko. Rozumiesz? A Damian nie. Ma piątkę braci, a jego rodzice nie są majątni. Sam musi zapracować na życie.

– *Bogactwo i sława to pragnienie każdego. Pytanie brzmi: co jesteś w stanie dla tego poświęcić?* – Łucja zmarszczyła czoło, więc wyjaśnił: – Konfucjusz.

– Chcesz powiedzieć, że chodzi o wybór?

– Tak. W życiu zawsze chodzi o wybór. Gdy tracisz możliwość wyboru, tracisz prawie wszystko. Zostaje ci jedynie bezradność i bierne oczekiwanie na to, co przyniesie los. Póki Damian ma wybór, póty świat stoi przed nim otworem. – Pokiwał głową. – Dziękuję za herbatę, postawiła mnie na nogi – orzekł, energicznie podnosząc się z krzesła.

– Nie ma za co. Gdy będziesz głodny, powiedz, naszykuję ci coś specjalnego na kaca. – Łucja nieśmiało uniosła kąciki ust.

Hugo odpowiedział tym samym. Już miał wyjść z kuchni, gdy nagle się odwrócił i wyznał:

– Masz rację. Jestem o ciebie zazdrosny. I bezradny, bo pozbawiłaś mnie wyboru. I zdeterminowany, żeby go znowu mieć. Pamiętaj o tym. – Pokiwał wskazującym palcem i po chwili wyszedł, zostawiając ją z zaszklonymi oczami wbitymi w blat stołu.

Rozdział 12

Hajdukiewicz rozsiadł się wygodnie, wyjął książkę, ale zanim wśród sześciu zagiętych kartek zdołał odnaleźć miejsce, do którego dotarł zeszłego wieczoru, podeszła do niego stewardesa. Urodziwa brunetka podała kartę dań i drinka. W pierwszym odruchu chciał odmówić, ale chyba jej uśmiech sprawił, że zmienił zdanie.

Stewardesa pomogła w podjęciu decyzji co do wyboru posiłku, a gdy odchodziła z zamówieniem, odprowadził ją wzrokiem. Jej krótka opięta spódniczka odkrywała zgrabne nogi, jędrne pośladki rysowały się wyraźnie pod cienką tkaniną. Kiedy dziewczyna zniknęła za kotarą, Hugo westchnął do siebie. Brakowało mu kobiety. „To już prawie pół roku” – szybko policzył w myślach. „Sześć miesięcy bez seksu?” – Z niedowierzaniem pokręcił głową.

Zjadł pieczeń bo bawarsku, wypił szklanekę soku z pomarańczy, a gdy obsługa zabrała naczynia, oparł się wygodnie i dyskretnie zerknął na sąsiada po prawej. Na szczęście tęgi mężczyzna chyba nie był towarzysko usposobiony, bo od początku lotu rzucił tylko kilka słów łamaną angielszczyzną, a teraz założył słuchawki i drzemał.

Hugo otworzył *Annę Kareninę* i ponownie odłożył lekturę na kolana. Ledwie opuścił powieki, gdy znów ujrzał stewardesę. „*Fuck*” – zaklął w duchu. „Utknąłem w martwym punkcie” – ocenił sytuację. Coraz częściej łapał się na tym, że traktuje Łucję jak córkę, a nie żonę. Nie chodziło o ich intymne kontakty, bo tych nie było wcale, lecz raczej o to, że troszczył się o nią prawie tak samo jak o Marysię. Gdy przebywał poza domem, prosił matkę o codzienne wizyty w apartamencie, dzwonił do niej co parę dni i choć rozmowy z nią były wyjątkowo lakoniczne, i tak był zły na siebie. Zły o to, że brak mu odwagi, aby równie często rozmawiać bezpośrednio z Łucją, i o to, że potrzebował tych uspokajających relacji matki jak powietrza.

Do końca lotu drzemał, przynajmniej miał gwarancję, że nikt do niego nie zagada, zwłaszcza ślicznotka z obsługi. Nie zamierzał kusić losu, bo kilka razy zdarzyło mu się być podrywany przez stewardesy, a z jedną nawet poszedł na tak zwaną kawę. Teoretycznie, mógłby to powtórzyć choćby dzisiaj, bo nigdy nie poruszali z Łucją kwestii wierności fizycznej w ich dziwnym papierowym związku, ale z pewnością oboje uważali, a przynajmniej on, że ustalenie tych zasad było zbędne.

Hugo otworzył oczy dopiero wówczas, gdy usłyszał informację, że koniec podróży już blisko. Szybko opuścił samolot, ciągnął walizkę, przepychając się przez spory tłumek, a gdy nieco się poluzowało, odetchnął z ulgą i zwolnił kroku. Nagle za plecami usłyszał swoje imię. Natychmiast się odwrócił.

- Pani trener – stwierdził z przekąsem, widząc zbliżającą się Andżelikę.
- Pan mecenas... – przeciągnęła głoski, stając tuż przed nim. – Co pan tu

robi?

– To samo co pani – odparł ironicznie.

– Jak to możliwe, że nie spotkaliśmy się w samolocie? – Przechyliła głowę.

– Klasa biznes?

– Ekonomiczna.

– A ja premium. – Mrugnął.

– Interesy?

– Owszem. Zakupy? – Rzucił okiem na małą usztywnianą torbę, a sekundę później na krótką kurteczkę Andżeliki. – Mediolan stosowniejszy.

– Włosi dysponują kiepskim sprzętem... – zawiesiła głos i znacząco popatrzyła na rozparek spodni Hajdukiewicza. – Kettler ma lepsze bieżnie.

– Zgadza się. Do dzisiaj jestem zobowiązany za poradę. – Lekko skłonił głowę.

– Kawa? Będziesz miał okazję się odwdziżyć.

– Czemu nie? – odpowiedział po chwili namysłu. – *Sweet point?* Mają wygodne łóżce.

– I dyskretne. Może być – zgodziła się.

W milczeniu szli przez halę przylotów. Hugo zerknął kilka razy na swoją towarzyszkę. Zawsze mu się podobała: wysoka blondynka z idealną sylwetką, owalną twarzą, wydatnymi ustami i zawadiacko zadartym kształtnym noskiem. Nie tylko jemu wpadła w oko zaraz po pierwszej wizycie w klubie fitness MAXY. Co drugi facet, który rozpoczynał tam treningi, wodził wzrokiem za piękną trenerką.

W rogu sali znaleźli przytulny kącik. Hajdukiewicz zamówił kawę, zaproponował coś słodkiego, ale Andżelika nie wyraziła chęci na „węgle”. Siedzieli naprzeciwko siebie, w tle dyskretnie sączyła się muzyka z filmu *Absolwent*, do tego cichy szmer rozmów dobiegający od strony kilku oddalonych boksów. Hugo poczuł się wyjątkowo zrelaksowany, znad filiżanki z parującym espresso taksował Andżelikę wzrokiem.

– Zmieniłaś się – stwierdził po chwili wnikliwej obserwacji.

– Tak? Na lepsze? – Andżelika oparła przedramiona o blat stolika i nachyliła się w stronę Hajdukiewicza.

– Włosy? – Hugo przymrużył oczy. – Wyprostowałaś? Chyba inny odcień, jaśniejsze niż kiedyś. Zielone soczewki zamiast niebieskich...

– I coś jeszcze? – spytała, oblizując wargi.

– Dopięłaś swego – parsknął, skupiając wzrok na jej biuście. – Choć nie wiem, czy to było potrzebne.

– Nie podobają ci się? – Musnęła lekko piersi wylewające się z dekoltu obcisłego sweterka. – Szkoda.

– Moja opinia jest nieistotna. Mąż zadowolony? – Podniósł filiżankę i upił

kilka łyków.

– Zauważyłeś... – Na sekundę spuściła wzrok na prawą dłoń. – Tobie też gratuluję, zwłaszcza córeczki.

– Skąd wiesz?

– Od Izy, a ona chyba od twojego kumpla. Adama Solińskiego?

– Tak. – Hugo chrząknął, bezwiednie zaciskając palce na ściankach filiżanki.

– Nie odpowiedziałś, czy twój mąż...

– Jurek? Owszem, zadowolony – nie pozwoliła mu skończyć.

– Jurek? Czy to... – zmarszczył czoło.

– Tak.

– Odważna decyzja – stwierdził. Nie dał po sobie poznać, jak zaskoczyła go ta informacja. Jerzy Maksymowski, właściciel sieci klubów fitness, znany krakowski biznesmen, był o ćwierć wieku starszy od Andżeliki. Na dodatek kilka lat temu kandydował na posła, a plakaty przedstawiały go z „ukochaną” małżonką i dwójką dzieci. Hugo zapamiętał te szczegóły, bo Jurek – jak kazał na siebie mówić szef klubu – prosił go wówczas o głos.

– Czy ja wiem? – Andżelika wzruszyła ramionami. – Jurek wygląda świetnie, sporo ćwiczy, a i w tych sprawach jest niezły – zachichotała. – Kupił mi dom w Swoszowicach, dostałam niezły samochód i jeden z klubów na własność, sponsoruje moją karierę, pojutrze wylatuję do Stanów na trzymiesięczne szkolenie. Naprawdę nie mam powodów do narzekania.

– Co na to jego żona? Dzieci?

– Chyba nie myślisz, że chodzimy razem na zakupy. Basia mnie nie znosi, liczyłam się z tym, a co do dzieci... W zasadzie to od Adriana się zaczęło. To jego syn – wyjaśniła, widząc pytające spojrzenie Hajdukiewicza. – Spotykaliśmy się, ale tatuś okazał się lepszy.

Hugo odstawił pustą filiżankę, założył nogę na nogę i oparł się wygodnie. – Kochasz męża? – spytał.

– Czy to ważne? Basia kiedyś poprosiła o rozmowę. Mówiła, że niszczy ich małżeństwo, że się kochają, że jestem przelotną miłostką, że Jurek nigdy się ze mną nie ożeni. Jak widzisz, myliła się. Zresztą nie zależy mi na miłości. To najbardziej nietrwały element związku, rodzi niepotrzebne komplikacje.

– Jesteś cyniczna...

– I rozsądna – dokończyła z uśmiechem. – Możliwe, ale jemu to nie przeszkadza, mnie też nie. Dobrze wiem, że pociągam go fizycznie. To seks jest głównym spoiwem naszego małżeństwa. Jesteśmy wobec siebie szczerzy, on wie, czego oczekuję od niego i co mogę dać mu w zamian.

– Myślisz, że to wystarczy? – Hugo przymrużył oczy. – Wyrachowanie i dobry seks?

– Nie powiedziałam, że go nie kocham.

Już miał zripostować, ale ugryzł się w język. „Jestem ostatnią osobą, która powinna cię pouczać” – pomyślał. Zdał sobie sprawę, że tak naprawdę on kiedyś postąpił znacznie gorzej. Nagle skonstatował, że Andżelika zmieniła się nie tylko zewnętrznie. Gdyby się uważnie przyjrzeć, bystry obserwator, a Hugo niewątpliwie nim był, odkryłby coś w jej oczach: smutek, jakiś cień, nie nachalny, ale widoczny.

– A twoja żona? Pochwal się. Słyszałam, że jest bardzo młoda. Ładna? – Andżelika nie zauważyła, że się zasępił.

– Młoda, ładna... Przepraszam cię na moment – przerwał niespodziewanie. Sięgnął po telefon, szybko rzucił wzrokiem na ekran. Zawahał się, ale w końcu odebrał. – Słucham... Tak, przed niecałą godziną... Czy to coś pilnego?... Rozumiem – zerknął na zegarek – wobec tego będę o siódmej... Nie, muszę coś jeszcze załatwić. Do zobaczenia – pożegnał się.

– O wilku mowa? – Andżelika obdarzyła Hajdukiewicza promiennym uśmiechem.

Już miał zaprzeczyć, ale ostatecznie potaknął. Nie zamierzał psuć humoru byłej dziewczynie. Dobrze wiedział, że jest spostrzegawcza i z pewnością wyczuła nutę zniecierpliwienia, która wkradła się w jego głos, gdy rozmawiał z matką.

– No cóż, nie jesteś szczególnie czuły dla żonki – stwierdziła, wydymając usta. – Już się znudziłeś? Nieładnie.

– Może sama na to zapracowała?

– Hm... Mogę wiedzieć, co musisz załatwić? – Uniosła lekko brwi.

– To sprawa prywatna.

– Rozumiem. – Andżelika jeszcze bardziej nachyliła się w jego stronę, prawie kładąc się na blacie stolika. – Wiesz, Hugo, zawsze mi się podobałeś. Dlaczego nam nie wyszło? Przypomnij mi.

– Nie pamiętam – zażartował i oparł się wygodnie o tył sofy. Odpowiadało mu zainteresowanie Andżeliki. Schlebiało, gdy patrzyła na niego rozszerzonymi źrenicami, a skóra jej wyeksponowanego biustu lekko się zaróżowiła.

– Pamiętasz. Naprawdę aż tak się naraziłam? – prychnęła.

– Mówiłem. Nie przepadam za audytorium.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć procent facetów dałoby się pokroić za udział w trójkącie z dwiema kobietami, zwłaszcza takimi jak ja i Kinga – powiedziała z przekonaniem, ale i z lekką nutą irytacji.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć procent to nie wszyscy.

– Zrobiłam to dla ciebie. Myślałam, że się ucieszysz z niespodzianki – próbowała jeszcze raz wytłumaczyć, jakimi pobudkami się kierowała, zapraszając koleżankę, jedną ze stałych bywalczyń klubu MAXY. – Sztywniak z pana, panie mecenasie...

– Możliwe, ale powinnaś była ustalić to ze mną wcześniej. – Hajdukiewicz pokręcił głową. Świetnie pamiętał, jak bardzo się zdenerwował, gdy w trakcie ich

łózkowych zabaw odbywających się w wynajętej kawalerce Andżeliki nagle ktoś zadzwonił do drzwi, a później po prostu wszedł do środka. Czuł się jak ostatni idiota, bo spanikował, salwując się ucieczką do przylegającej niewielkiej garderoby. Gdy po kilku minutach niepokojącej ciszy panującej za drzwiami, ubrany w przyciasny szlafrok gospodyni opuścił pomieszczenie, ujrzał czekające na niego dwie nagie kobiety. Wkurzył się do tego stopnia, że pospiesznie się ubrał i wyszedł bez słowa, a nazajutrz poinformował Andżelikę o definitywnym zakończeniu związku. Było mu to zresztą na rękę, bo te sześć miesięcy ich relacji zbiegło się z jednym z najgorętszych momentów w życiu zawodowym Hajdukiewicza. Rozkręcał działalność, ciągle wyjeżdżał, a Andżelika wiecznie mu to wyrzucała. Poza tym z dobrze poinformowanych źródeł płynął do niego strumyk plotek i ploteczek, jak wówczas świetnie sobie „radziła” jego osobista trenerka, więc tym bardziej nie powinna była narzekać.

– Teraz też byś tak postąpił? – spytała, przechylając wdzięcznie głowę i przerywając mu rozrachunki z przeszłością.

– Owszem – odparł. – Coś planujesz? Powiniennem się bać?

– Mówiłeś, że wrócisz do domu o siódmej. Mamy dopiero... – zerknęła na zegarek – czwartą. Więc może wykorzystamy ten czas w jakiś przyjemny sposób?

– Czyli?

– Znam miły motelik, blisko lotniska – mruknęła.

– Nie owijasz w bawełnę.

– Panie mecenasie, zbieramy się stąd. – Andżelika z triumfalnym uśmiechem podniosła się z sofy. – Nie lubię tracić czasu, przecież mnie znasz.

– Też tego nie lubię – odparł rozbawiony Hugo.

W milczeniu dotarli do wyjścia z budynku. Ledwie wsiedli do taksówki, a na udzie Hajdukiewicza pojawiła się wypielęgowana dłoń z długimi i ostrymi jak żyłki paznokciami. Podróż trwała krótko, może trzy minuty, ale to wystarczyło. Hugo z zadowoleniem zerknął na swój rozporek. „Jestem zdrowy” – błysnęła mu w głowie krzepiąca myśl. Stanęli przy chodniku, kierowca wysiadł razem z nimi i wyjął bagaże.

– Zapłacę. – Hugo puścił oczko do Andżeliki.

– Poczekam na ciebie w recepcji – szepnęła mu wprost do ucha. Ciągnąc za sobą torbę, dotarła do końca chodnika. Ledwie zniknęła w drzwiach motelu, Hajdukiewicz natychmiast chwycił swoją walizkę i z niemałym trudem wsadził na tylne siedzenie taksówki, po czym sam usiadł z przodu.

– Osiedle Wiślane Tarasy – polecił.

– Jedziemy... – Kierowca uśmiechnął się pod wąsem. Przypadła mu do gustu i zainteresowała go ta parka, bo im dłużej Leszek Kuźnik pracował jako taksówkarz, tym bardziej był spostrzegawczy. Od razu się domyślił, że to nie

małżeństwo. Bynajmniej nie po dwóch różnych obrączkach, bo tego detalu nie zdołał zauważyć, lecz po bagażach. Pasażer miał sporą walizkę, co świadczyło o długim pobycie poza domem, a pasażerka znacznie mniejszą torbę podróżną. Ergo: „raczej nie są małżeństwem”, wydedukował, pakując manatki do bagażnika. Drugim argumentem na poparcie jego przypuszczeń było zachowanie kobiety i mężczyzny. W ciągu krótkiej podróży Kuźnik zerknął parę razy do specjalnego lusterka wstecznego zamontowanego dla poprawy bezpieczeństwa. „Ho, ho, gorąca laska, tak nie zachowują się żony...” – pomyślał, widząc dłoń kobiety zbliżającą się w okolice rozporka męskich spodni. Spodziewał się oczywistego zakończenia, zwłaszcza gdy blond ślicznotka podała adres motelu, ale zachowanie klienta zupełnie zbiło go z tropu. Myślał gorączkowo, co zamierza przystojny brunet siedzący obok i pachnący jakąś zapewne drogą wodą toaletową, gdy gdzieś w okolicy drzwi pasażera zadzwonił telefon.

– Słucham? – Hugo wyjął aparat z kieszeni marynarki i odebrał połączenie. – Uśmiechając się pod nosem, zgłosił rozmowę, żeby kierowca też mógł ją usłyszeć.

– Gdzie jesteś?! Co ty odpieprzasz?! – Andżelika natychmiast dała do zrozumienia, że nie jest zadowolona.

– Nie gustuję w trójkątach, a w czworokątach tym bardziej, więc nie rozumiem, skąd takie zaskoczenie. Poza tym lubisz niespodzianki i wreszcie jesteśmy kwita – odparł z satysfakcją.

– Hajdu...

Hugo natychmiast przerwał rozmowę i schował aparat do kieszeni. Tylko tego brakowało, żeby kierowca dowiedział się, jak ma na nazwisko.

– Bujaj się, mała – mruknął, jeszcze ciągle ucieszony, że utarł nosa byłej dziewczynie.

– Ostra babka. – Taksówkarz odważył się skwitować, bo prawidłowo zinterpretował intencje pasażera. – Napalona... – dodał lubieżnym tonem.

– Może się pan wrócić, gdy już odstawi mnie na miejsce. – Hugo parsknął śmiechem. W innych okolicznościach nie pozwoliłby sobie na taką szczerość i zuchwałość wobec obcego człowieka, ale dzisiaj był w wyjątkowo dobrym nastroju, choć uczciwie musiał przyznać, że to właśnie Andżelika go weń wprowadziła.

– Chyba nie jest mną zainteresowana. – Kuźnik pokręcił głową. – Czasami człowieka kusi, ale i ja nie z tych, co lubią skomplikowane figury geometryczne. – Zerknął na prawą dłoń ozdobioną startą ze starości obrączką.

– Czasami kusi... – Hajdukiewicz zgodził się z nim. – Nawet bardzo.

– Najczęściej gdy żonka zimna, ale to dopiero po dwudziestu latach stażu – pocieszył taksówkarz.

– Tak pan mówi? – Hugo się zasepił. – Zmieniłem zdanie, proszę

do śródmieścia... – podał kierowcy adres matki.

Kuźnik zorientował się, że to koniec pogawędki, więc puścił Eskę i lekko ściszył radio. Jego pasażer oparł głowę i przymknął oczy. Odwlekanie w czasie? Jakież to głupie i dziecinne, zreflektował się po chwili Hugo. A gdybym już nigdy nie wrócił do mojej zimnej żonki, czy w ogóle by to zauważyła?

Próbował sobie przypomnieć, jak wyglądało jego życie jeszcze rok temu. Skupił się na okresach, gdy nie podróżował służbowo, bo to właśnie one uległy największej zmianie. W dni powszednie wracał do pustego mieszkania, brał prysznic, odgrzewał kolację. Czasem wypił drinka albo piwo, włączał telewizor, na kolanach łądował laptop albo książka. Po chwili rezygnował z jednego i drugiego i szedł spać, bo najczęściej był zmęczony i jedyne, o czym myślał, to o obowiązkach czekających go następnego dnia. Piątki i soboty spędzał ze znajomymi u siebie lub na mieście, niedziele u matki. Jego życie z jednej strony wydawało się dosyć rozrywkowe, zwłaszcza weekendy, ale z drugiej było nudne i przewidywalne: od poniedziałku do czwartku samotność w apartamencie, trzy pozostałe dni chaotyczne i męczące.

Nagle dotarło do niego, że wkrótce minie równo rok od dnia, kiedy pierwszy raz spędził z Łucją noc. Pomyślał, że jest romantycznym głupcem, skoro zapamiętał datę, ale po chwili uznał, że to nie był żaden sentyment, lecz tylko dobra pamięć, którą zawsze się szczylił.

– Jesteśmy na miejscu. – Kierowca przywołał go z powrotem do rzeczywistości.

– Mam prośbę, mógłby pan zawieźć walizkę na osiedle? – Hugo zerknął na taksometr i wyjął z portfela dwukrotność kwoty, którą ten wskazywał.

– Wiślane Tarasy?

– Tak. Proszę zostawić w recepcji. – Podał numer budynku, jeszcze raz rzucił wzrokiem na identyfikator z danymi taksówkarza, powtórzył je dwukrotnie w myślach, pożegnał się i wysiadł. Zamierzał zadzwonić do Łucji, ale ostatecznie wysłał jej SMS-a z informacją, że będzie przed siódmą. Schował aparat telefoniczny. Było mroźno, więc postawił kołnierz płaszcza i szybko pokonał kilka metrów dzielących go od drzwi wejściowych kamienicy. Nie miał pewności, że matka jest w domu, ale poszczęściło mu się, bo ledwie zadzwonił, a otworzyła mu drzwi.

– Synku, a co ty tu robisz tak wcześnie? – spytała, podstawiając mu policzek do pocałowania.

– Przepraszam. Zmieniłem plany – stwierdził, wieszając płaszcz. – Wybierałaś się gdzieś?

– Do Alicji, ale to nie problem. Odwiedzę ją później. Gdzie masz bagaże? – Uniosła brwi. – Jesteś głodny?

– Nieszczególnie. Jadłem w samolocie, a walizkę wysłałem taksówką, mam

nadzieję, że nie zaginie – rzucił niefrasobliwie.

– Nie zaginie, bez obaw. Upiekłam sernik, zjesz? Zrobić kawę?

– Ciasto chętnie, lecz z herbatą. – Hugo chciał iść do kuchni, ale matka poprosiła, żeby usiadł w jadalni. Od razu pomyślał, że zapowiada się poważna rozmowa. Wypili po filiżance mocnej czarnej herbaty, zamienili parę słów na temat pogody i jego podróży. W kilka minut zreferował przebieg służbowych wojaży po Londynie i kilku miastach w Niemczech. Z kolei Hajdukiewiczowa z dumą w głosie opowiedziała, co słysząc u dziewczynek, jak nazywała synową i wnuczkę. Przebojem ostatnich dni był pierwszy ząbek Marysi i choć zamierzała utrzymać ten fakt w tajemnicy, nie wytrzymała i to ona pochwaliła się nowinką.

– Stęskniłeś się za nimi? – spytała, napelniając kolejny raz maleńkie filiżanki.

– Naturalnie, że tak. Dziwne pytanie.

– Może i dziwne. Masz rację – westchnęła pani Hania. – Mówiłam ci, że... – zawahała się na moment i głos jej zadrżał, zanim dopowiedziała – że święta spędzam poza Krakowem?

– Nie. – Hugo odłożył widelczyk. Był nieprawdopodobnie zaskoczony słowami matki. Odkąd pamiętał, na święta zawsze pozostawali w Krakowie, w rodzinnym domu. Wuj Henryk nieraz zapraszał siostrę, ale zawsze odmawiała, twierdząc, że Wigilię spędza wyłącznie u siebie i że on będzie mile widzianym gościem.

– Wybieram się z Solińskimi nad morze. Do tego pensjonatu, w którym byłam w lecie – wyjaśniła po chwili Hajdukiewiczowa. – Tam jest bardzo przyjemnie.

– Skąd taki pomysł?

– To nie mój pomysł, jeśli mam być szczerą. Tadzik, a w zasadzie to Alicja tak postanowiła, bo...

– Chodzi o Adama? – wszedł jej w słowo.

– Tak. On... Nie wiem, czy ci mówiłam...

– Nie. Tego też mi nie mówiłaś, ale akurat ten temat niezbyt mnie interesuje – odparł chłodno.

– Adaś zlikwidował firmę i jakieś trzy miesiące temu wyjechał do Niemiec. I Alicja...

– Nieistotne. Nie musisz się tłumaczyć. Jeśli masz ochotę wyjechać, nie widzę żadnych przeszkód. Najbliższą podróż planuję na koniec stycznia i gdybym potrzebował twojej pomocy, do tego czasu z pewnością zdążycie wrócić.

– Tak, ale ja nie o tym... – znów się zająknęła.

– To o czym? Dlaczego mnie tu ściągęłaś?

Dopiero teraz Hugo zauważył, że matka wygląda inaczej niż zwykle. Trzymała łyżeczkę w drżących palcach i już od kilku minut się nią bawiła.

Po chwili odłożyła ją na spodek, pozornie niedbałym gestem strzepnęła kilka okruszków z serwetki, westchnęła i popatrzyła prosto w oczy syna.

– Mój brat przed śmiercią wysłał do mnie list. Na kopercie zawarł prośbę, żeby nie otwierać go wcześniej niż dwa miesiące przed twoimi trzydziestymi urodzinami. Do listu dołączony był ostatni testament – powiedziała z trudem Hajdukiewiczowa.

– Rozumiem. – Hugo wziął głęboki wdech. Czuł krew zaczynającą krążyć coraz szybciej i mocniej, serce mu głośno waliło i miał wrażenie, że słyszy je wszędzie: w piersiach, w uszach, pod czaszką. – Mógłbym go zobaczyć? – wykrztusił po chwili.

– Nie mam go tutaj.

– Daruj sobie stopniowanie napięcia, droga mamó. Jeśli masz mi coś konkretnego do powiedzenia, mów. – Poprawił się na krześle, które nie wiadomo dlaczego nagle stało się twarde i niewygodne.

– Nie mam kopii testamentu, ale zachowałam list. Pewnie jesteś ciekaw, co wuj napisał?

– Mówiłaś, że to list do ciebie. Nie zamierzam czytać waszej prywatnej korespondencji. Jeśli znasz treść testamentu, powiedz, co w nim jest.

– W zasadzie brzmi prawie tak samo jak poprzedni, jedyne, co Henryś zmienił, to kilka klauzul. Dokładnie dwie. – Zamilkła na moment, żeby przełknąć ślinę. – Tę o ślubie i o dzieciach.

– Nie! – Hugo zerwał się z krzesła. Okrążył stół, wrócił na swoje miejsce i usiadł z impetem, aż zatrzeszczało oparcie. – Jeśli tak to ma wyglądać, zaraz stąd wyjdę. Przestań cedzić słowa, powiedz, co masz mi do zakomunikowania, i skończmy rozmowę. – Uspokoił się równie szybko, jak wzburzył.

Hajdukiewiczowa zastygła z wrażenia, bo od niepamiętnych czasów syn nie pozwolił sobie w jej obecności na aż tak otwarte okazanie gniewu. Sięgnęła po filiżankę i szybko wypła kilka łyków chłodnej herbaty. Spodek zadzwęczał, gdy odstawiła puste naczynie.

– Zmiany dotyczą wieku, w którym masz otrzymać spadek. – Chrząknęła. – Wuj prolongował termin o dwa lata, czyli do trzydziestych drugich urodzin, więc masz więcej czasu, ale gdy spełnisz warunki szybciej, od razu możesz wystąpić o wykonanie testamentu.

– A nowe warunki to...

– Jak wspomniałam, masz więcej czasu, ale musisz spełnić jeden z dwóch warunków, czyli być w sakramentalnym związku małżeńskim i mieć co najmniej jedno dziecko urodzone lub w drodze albo w związku cywilnym i mieć co najmniej dwójkę dzieci urodzonych lub w drodze. Oczywiście z jedną kobietą.

– Nie wierzę! – Hugo odchylił głowę, aż dotknęła wysokiego oparcia, i zaniósł się głośnym śmiechem. Jakoś się uspokoił, wstał, podszedł do barku

i wyjął butelkę koniaku. – Napijesz się ze mną? – spytał, patrząc w stronę matki.

– Nie. – Natychmiast pokręciła głową.

Szybko nalał sobie pełną lampkę, upił połowę zawartości i usiadł przy stole.

– Czyli na tę chwilę nici ze spadku? A dlaczego wuj od razu nie złożył oświadczenia tej woli? Nie uważasz, że to dziwne? Kazał ci to zrobić dopiero teraz? – Przymrużył lekko oczy, bo cała sprawa zaczęła mu się wydawać bardzo podejrzana.

– Henryś nic mi nie kazał. Sporządził ten testament na wypadek, gdybyś nie zdążył wywiązać się z warunków poprzedniego, i to ja podjęłam decyzję o wysłaniu nowego testamentu – odparła, starając się patrzeć synowi prosto w oczy. – Mogłam go zniszczyć lub wysłać, unieważniając w ten sposób poprzednią wolę twojego wuja.

– Ach tak! – Uśmiechnął się z przekąsem. – Zdajesz sobie sprawę, że nie taka była intencja twojego brata, gdy go sporządził? Że spełniłem warunki pierwotnego zapisu i za niecałe dwa miesiące mogłem być właścicielem schedy po wuju? Mogę poznać powody twojej decyzji?

– Możesz, choć uważam, że powinny być dla ciebie wystarczająco jasne. – Hajdukiewiczowa zgrabnie pominęła zarzuty syna.

– Oświeć mnie – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Uznałam, że w twoim małżeństwie...

– Nie wierzę – przerwał jej. – Nie wierzę... Jak mogłaś?! – ponownie podniósł głos. – Co cię obchodzi moje małżeństwo?! To moje małżeństwo, na miłość boską! Nie twoje! – Uderzył pięścią w stół, aż zabrzęczało szkło. – Co możesz o nas wiedzieć?!

– Przestań krzyczeć. Jeśli natychmiast się nie uspokoisz... – wykrztusiła z trudem.

– Wrócisz do babci?! – dodał i ryknął śmiechem. – Oszaleję – jęknął, jednocześnie śmiejąc się i pocierając zmarszczone czoło.

– Hugo... Ja chcę dla ciebie dobrze, synku – rzekła prawie bezgłośnie pani Hania. Nie potrafiła powstrzymać łez. Wyjęła z rękawa sweterka bawełnianą chusteczkę i wytarła twarz, uważając przy tym na wytuszone rzęsy.

– Dobrze? – zachnął się Hugo, gdy tylko schowała chustkę. – Chcesz dla mnie dobrze?! Jakim prawem decydujesz, co jest dla mnie dobre, a co złe?

– Prawem matki – powiedziała, a potem wyprostowała się dumnie i popatrzyła mu w oczy.

– Matki?

– Tak, matki. Sądzę... Nie. Ja to wiem, że coś między wami jest nie tak. Nie śpicie razem, nie żyjecie razem. Gdy wyjeżdżasz, dzwonisz do Łucji rzadko i rozmawiacie kilka minut. Tak się nie zachowuje dobre małżeństwo – fuknęła. – Może to cię zmobilizuje, żeby coś zmienić, poprawić, a ta dziewczyna, a Łucja... –

Znów łzy trysnęły z jej oczu. Hanna nie mogła się opanować, jej serce ścisnęło się z żalu, gdy odwiedzając codziennie synową i wnuczkę, matczynym sercem wyczuwała, że wszystko, co było kiedyś między jej synem a Łucją, gasło jak płomień wypalającej się świecy.

– Skąd wiesz, że nie śpimy razem? Że nie dzwoniemy do siebie wieczorami? Założyłaś monitoring w naszym apartamencie? – Potarł czoło. Nie wiedział, czy śmiać się, czy złościć. – Już mnie osądziłaś. Może i masz rację, to wyłącznie moja wina. – Hugo starał się zachować spokój. Patrzył na płaczącą matkę, w końcu wstał i nalał sobie kolejną lampkę koniaku i wypił ją, stojąc przy barku. – Wiesz, mam... zmieniłem zdanie, chętnie zobaczę list od wuja. I jeszcze jedno, możesz pokazać mi dowód nadania tego testamentu? Jak mniemam, wysłałaś go listem poleconym? – Zerknął na nią.

– Przykre, że mi nie ufasz – wyjąkała. Wyszła do sąsiedniego pokoju i po chwili wróciła z plikiem papierów, które podała synowi: – Proszę, tu dowód nadania, a to potwierdzenie, które otrzymałam od notariusza, i jeszcze list Henrysia.

Hugo siadł przy stole i metodycznie sprawdzał daty na dokumentach. Szybko stwierdził, że wszystko rozegrało się niecały miesiąc wcześniej. Jego matka wysłała list do Bostonu dwudziestego listopada, a dziesiątego grudnia otrzymała z kancelarii notarialnej potwierdzenie przyjęcia dokumentów.

– Skrupulatność zdecydowanie mam po tobie – rzucił sarkastycznie. – Teraz list... – Hugo rozłożył kartkę i w skupieniu zaczął czytać.

Kochana Haniu

Dziwnie się czuję, pisząc ten list i mając świadomość, że gdy go czytasz, jestem już na tamtym świecie i spoglądam na Ciebie z góry. W moim kawalerskim życiu żałuję tylko jednego, że nie miałem dosyć czasu i odwagi, aby założyć własną rodzinę, ale może to i dobrze, bo dzięki temu nasza Mama, Ty i Twój syn mogliście i możecie przeżyć godnie swoje.

Z całej Waszej trójki to Hugo jest najbliższy mojemu sercu. Zawsze traktowałem go jak rodzony syna i to jego sprawy interesują mnie najbardziej. Choć sam byłem bezdziejny, nie chciałem, żeby poszedł w moje ślady. Jeszcze raz proszę go w Twoim imieniu o wybaczenie, pewnie był bardzo rozgoryczony treścią testamentu, czyli warunkami. Pomyślałem, że warto byłoby się zabezpieczyć na wypadek, gdyby nie zdążył ich spełnić, więc sporządziłem drugi...

Dotarł do końca. O ile na początku drżały mu ręce, o tyle teraz poczuł się wyjątkowo spokojny. Jeszcze raz wrócił do początku listu. Przelatywał wzrokiem po liniach i co kilka sekund spoglądał na matkę. Nie patrzyła na niego. Siedziała bez ruchu. Z oczami wbitymi w stojącą przed nią filiżankę sprawiała wrażenie nieobecnej duchem. Hugo odłożył list, nie zauważyła. Lekko drgnęła dopiero, gdy

powiedział, że przeczytał. Podniosła wzrok na syna.

– Masz do mnie żal – szepnęła, wyczuwając, że go zraniła, i to mocno.

– Mam. Nie powinnaś była tego robić – rzucił sucho. – To było niepotrzebne.

– Niepotrzebne?

– Niepotrzebne – powtórzył. – I głupie. Rozumiem, że to przejaw matczynej troski, ale daruj sobie, umiem o siebie zadbać. – Spojrzał na nią pobłaźliwie, a jego twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie mającym przypominać uśmiech.

– Hugo, ale ja chciałam tylko...

– Wiem – uciął. – Będę się zbierać. – Wstał i ostatni raz rzucił wzrokiem na list wuja.

– Gniewasz się na mnie? – spytała Hajdukiewiczowa, podnosząc się z krzesła.

– Nie. Już nie. Co do wyjazdu w styczniu, i tak muszę lecieć do Stanów – oświadczył.

– A po co? – Nagle jego matka znów się ożywiła.

– Trzy lata nie byłem na walnym zgromadzeniu starszych partnerów, poza tym kończą się moje pełnomocnictwa – wyjaśnił, zauważając od razu ulgę malującą się na jej twarzy. – Będziesz mogła dotrzymać towarzystwa Łucji.

– Czy powiedziałeś jej o tamtym pierwszym testamencie? – Hajdukiewiczowa zebrała się na odwagę i spytała syna o coś, co zawsze nie dawało jej spokoju.

– Nie – odparł natychmiast. – O drugim też nie zamierzam. I nie radzę ci rozmawiać z moją żoną na ten temat. Nigdy. Chyba że chcesz narobić jeszcze większego zamieszania – dodał po sekundzie namysłu. Wiedział, że nie mówi całej prawdy, ale gdyby trzymać się jej dosłownie, to nie on zdradził tajemnicę woli wuja Henryka.

Matka pokiwała głową. Zauważyła, że nie żartuje. Odprowadziła go do drzwi.

– Hugo, synku... – chciała jeszcze raz spytać, czy nie czuje do niej urazy, ale on uścisnął ją lekko, pocałował w czoło i bez słowa wyszedł z mieszkania.

Rozdział 13

Marysia nadrabiała braki. Ostatnie dwa dni przespała prawie całe, budząc się jedynie na karmienie. Małeńki śnieżnobiały ząbek dał się we znaki zarówno maleństwu, jak i jego opiekunkom. Po czterech godzinach snu Marynia otwierała oczy i prawie natychmiast zaczynała płakać. Była do tego stopnia niecierpliwa, że Łucja nawet jej nie przewijała, tylko od razu przystawiła do piersi.

– Zjesz mnie – powiedziała do łapczywie pijącej córeczki. – Aj... boli – syknęła, gdy ostry ząbek lekko przygryzł brodawkę. Próbowwała ją poprawić i udało się: dziecko zaprzestało gryzienia i mlaszcząc, opróżniało pierś. Łucja zerknęła na zegarek, gdy tylko usłyszała cichy dźwięk otwieranych drzwi. – Czyżby twój tatuś wrócił? – szepnęła do Marysi, odruchowo narzucając tetrową pieluchę na obnażony biust.

– Można? – Hugo delikatnie zapukał w uchylone drzwi dziecięcego pokoju.

– Zaraz. Daj nam parę minut. – Na szczęście dziecko już się najadło. Łucja wprawnym ruchem poprawiła stanik, naciągnęła bluzkę i ułożyła Marysię na ramieniu. Wzięła głęboki wdech, żeby nieco uspokoić kołaczące serce, policzyła do dziesięciu i wyszła z pokoju. Rozejrzała się bezradnie, bo jej mąż gdzieś zniknął. Zauważyła walizkę stojącą w holu, jeszcze pachnący mroźnym powietrzem płaszcz leżący na komodzie, ale Hugo...? Dopiero gdy dobiegł ją szum wody, zorientowała się, że poszedł wziąć prysznic.

Siadła z Marysią w salonie. Huśtała ją delikatnie, mając głowę przepełnioną tym, co wydarzyło się w ciągu bez mała dwóch tygodni rozłąki z mężem: odwiedzinami dziewczyn, wizytą u babci, ząbkowaniem małej. Z jednej strony chciała o tym wszystkim mu opowiedzieć, ale z drugiej zastanawiała się, czy w ogóle będzie zainteresowany. „Pewnie jest zmęczony” – pomyślała stropiona i właśnie wtedy otworzyły się drzwi łazienki.

– Hej. – Hajdukiewicz wszedł do pokoju.

– Hej. Miałaś dobrą podróż?

– Tak, dziękuję.

Przez krótką chwilę patrzyli się na siebie zakłopotani. Od kiedy Marysia pojawiła się na świecie, jeszcze nigdy na tak długo się nie rozstawali. Najczęściej były to trzy, cztery dni, a nie dwanaście jak tym razem. Hugo powiódł wzrokiem po żonie, która nagle wydała mu się nieprawdopodobnie piękna w zwykłym domowym stroju – bawełnianej bluzeczce i welurowych spodniach, a ona, gdy zatrzymała na nim oczy, aż przełknęła ślinę. Podobał się jej z kropelkami wody kapiącymi z umytych włosów wprost na biały T-shirt.

– Mogę? – Hugo usiadł obok Łucji i popatrzył na córkę. Odzwyczał się od dziecka. Znów było tak, jak w dniu jego narodzin, gdy po raz pierwszy trzymał je w ramionach.

– Proszę. – Żona podała mu rożek. – Zaraz będę ją kąpać. Przez ząbek wszystko nam się poprzestawiało. Najpierw musi zjeść, a dopiero potem czas na higienę – dodała wyjaśniająco.

– Córuniu, nie śpij. Kochanie... – Pocałował ją w czołko. – Pobudka, trzeba cię umyć...

Dziecko leniwie uniosło powieki, na moment wlepilo wzrok w twarz ojca, jego maleńka bródka nagle się zatrzęsła, policzki spurpurowiały i wybuchnęło głośnym płaczem.

– Coś jej dolega? – Hugo natychmiast oddał zawiniątko Łucji.

– Wystraszyła się.

– Czego?

– Raczej kogo. Ciebie się wystraszyła – odpowiedziała rezolutnie Łucja. Zerknęła na męża i od razu zauważyła, że lekko zmarszczył czoło. Było mu wyraźnie przykro. Szybko wytłumaczyła, że dla takiego maleństwa dwa tygodnie rozłąki to jak dla dorosłego rok, niestety, nie zdołała zatrzeć pierwszego niezbyt fortunnego wrażenia, jakie wywarła jej niefrasobliwa odpowiedź.

– Razem ją wykąpiemy – zaproponowała, żeby go nieco udobruchać.

Poszli do łazienki. Na szczęście Marysia zapamiętała głos taty, więc gdy Hugo wymienił z Łucją kilka zdań, rozmawiając o mlecznych ząbkach, przybieraniu na wadze, jadłospisie małej i innych mniej lub bardziej ważnych sprawach, przestała płakać i zaczęła wodzić oczkami za jego twarzą.

– Już jej przeszło. Popatrz, uśmiecha się do ciebie. Przypomniała sobie, że ty to jej tatuś.

– Hej, maleńka... To ja, tatuś... – powtórzył Hugo i nachylił się nad wanienką. – Chyba rzeczywiście trochę przybrała. – Przez chwilę szukał w oczach Łucji poparcia dla tych słów, ale zaraz wrócił do podziwiania swojej pierworodnej.

– Nie trochę, a całkiem sporo. Prawie sześćset gramów – stwierdziła z dumą Łucja. – To bardzo dobry przyrost. Babcia mówiła, że ja tyle przybierałam na miesiąc! A Marysia? Niecałe dwa tygodnie i, proszę, jaka się nam okrągła pupcia i brzuszek wyhodowały... – z zachwytem wpatrywała się w maleństwo. – I jeszcze ząbek. Spójrz. Wygląda jak ziarenko ryżu! – Zerknęła na męża, uśmiechając się radośnie, a następnie odchyliła dolną wargę małych usteczek. – Zdążyłeś zobaczyć? – spytała, bo dziecko od razu zacisnęło usta na jej palcu.

– Chyba tak. – Hugo pokiwał głową. – To ta mała biała plamka?

– Tak. Twoja mama pierwsza zauważyła.

– Wiem, mówiła mi. Co teraz? Znów ją nakarmisz?

– Nie. Popatrz, ma pełny brzuszek. Trochę pomarudzi, postęka i znów zaśnie – wyjaśniła. – Wczoraj i dzisiaj jest super, ale poprzednie trzy dni to był horror. Prawie wcale nie spała. Twoja mama zadzwoniła do koleżanki, lekarki, no i ta znajoma zaleciła panadol. Trochę było lepiej, ale bez rewelacji. – Łucja myśla

dziecko, referując przy tym przebieg ostatnich dni. – Chcesz ją ubrać? – spytała, gdy już wszystko zostało opowiedziane, a i Marysia wystarczająco się wypluskała.

– Chętnie, choć nie wiem, czy jeszcze potrafię? – Hugo uniósł brwi z powątpiewaniem.

– To jak jazda na rowerze.

– Może masz rację. – Wyjął córeczkę z wanienki, ostrożnie położył na przewijaku, osuszył ręcznikiem i natarł jej ciało oliwką. Łucja stała tuż obok i przyglądała się temu z zadowoleniem.

– No widzisz, to wchodzi w krew już po pierwszym razie... – stwierdziła z satysfakcją.

– I co teraz? – spytał, gdy Marysia pachnąca i czyściutka bezpiecznie spoczywała w swoim ulubionym rożku.

– Trzeba ją ululać. Ostatnio przesypia karmienie o północy, więc jeśli twój powrót nie wywarł na niej większego wrażenia, powinna spać do trzeciej rano. – Łucja parsknęła śmiechem, widząc, jak dziecko ziewa. – Chodźmy do salonu, uśpij ją, a ja zrobię kolację.

Hugo podniósł zawiniątko i wymaszerował posłusznie za żoną.

– Nie przyzwyczai się do usypiania na rękach? – spytał po chwili.

– Już za późno. – Łucja odwróciła się od kuchennego blatu i przez moment patrzyła na krążącego po salonie męża. – Przez ząbkowanie wszystkie zasady wzięły w łeb. Podgrzeję ci obiad. Jest pyszny filet z mintaja, surówka z kiszonej kapusty i ziemniaki – rzuciła, stając przed lodówką.

– Poczekaj... – Podeszedł blisko, żeby nie musieć głośno mówić, bo dziecko już prawie spało. – Jeśli to nie kłopot, zjadłbym jajecznicę – wykrztusił dziwnie ochryplym tonem.

– Jajecznicę? – zdziwiła się. – W piątek?

– Tak, ale nie na bekonie, tylko taką... – Zerknął na pomidory leżące w wiklinowym koszyku. – Taką, jak kiedyś mi zrobiłaś, wegetariańską. Możesz? Cały dzień miałem na nią smak.

Przez moment oboje milczeli, patrząc na kilka pomidorów, jakby to one miały zdecydować, czy chcą być dzisiaj podane na kolację. Łucja wzruszyła lekko ramionami, wyjęła z lodówki jajka, a z zamrażalnika słoiczek z drobno pociętą natką pietruszki.

– Skoro na to masz ochotę, pewnie, że zrobię. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. Była zadowolona, że zapamiętał to danie, tym bardziej że tylko raz je jadł, i to dawno, na wiosnę. – Zanieś ją. Już śpi. – Wskazała brodą na dziecko.

– Jasne. – Hugo zaniósł Marysię i ułożył do snu. Zanim opuścił pokój, jeszcze raz ucałował pokryte aksamitnym meszkiem czółko. – Śpij – wyszeptał. Wychodząc, zabrał ze sobą odbiornik niani.

– Siadaj. Zaraz będzie gotowa – powitała go Łucja, ledwie się pokazał

w kuchni. Na stole czekała już herbata, oczywiście z pływającym grubym plastrem cytryny, spory talerz z kromkami chleba suto posmarowanymi masłem, a na małym talerzyku leżały niezbyt cienko pokrojone: żółty ser i kiszony ogórek. – Ogórki od babci, jajka też. Nie wiem, jak te kury mogą jeszcze coś produkować. Taki ziąb. – Zaśmiała się znad patelni, na którą właśnie wlewała rozbełtane w garnuszku jajka. – Ciotka Agata przywiozła w zeszłą sobotę – wyjaśniła.

Hugo pokiwał głową, mruknął coś w odpowiedzi, żeby nie wyjść na gbura, ale tak naprawdę jego myśli już od dobrej godziny zaprzętało coś zupełnie innego. Ledwie przekroczył próg apartamentu, gdy uświadomił sobie, że czuje się w nim obco. To już nie było jego mieszkanie, zresztą formalnie nigdy nie było, a od kiedy Łucja i Marysia wzięły je w absolutne posiadanie, on sam stał się intruzem doskonałym. Dotarło to do niego, gdy usypiał maleństwo, gdy krążył między salonem, kuchnią i jadalnią i na każdym kroku widział świadectwa ich bytności: kobiecy sweterek przewieszony przez poręcz krzesła, pieluchę rzuconą na blat ławy, książkę leżącą na sofie, stos śpioszków przygotowanych do prasowania. „One świetnie radzą sobie beze mnie” – bezgłośnie powtarzał, zauważając kolejne przedmioty, słysząc delikatny szum pralki dobiegający z łazienki.

Może dlatego zażyczył sobie takiej właśnie kolacji, tego konkretnego dania, kojarzącego mu się wyłącznie z rodzinną świąteczną sielanką? Łudził się, że pozwoli mu to na cofnięcie się w czasie do dni, kiedy było całkiem inaczej.

– Proszę. – Łucja postawiła przed nim talerz z jajecznicą. – Z pięciu jaj, więc powinieneś się najeść.

– Dziękuję. A ty? – spytał Hugo, widząc, że siada na sąsiednim krześle jedynie z kubkiem herbaty.

– Jadłam obiad bardzo późno, a kolację...

– Oddałaś wrogowi – dokończył.

– Słucham? – Łucja wlepiła oczy w męża.

– Takie powiedzenie, nie znasz? Śniadanie zjedz sam, obiad z przyjacielem, a kolację oddaj wrogowi.

– E... No tak, znam. Zapomniałam. – Łucja sięgnęła po kubek i upiła parę łyków, choć herbata była jeszcze bardzo gorąca. – Twoja mama mówiła, że w czasie świąt wyjeżdża z Krakowa – wydukała po dłuższej chwili.

– Wspominała. I co w związku z tym? – Hugo zdawał się niewzruszony, ale i jemu udzielił się dziwny nastrój wyraźnie słyszalny w głosie żony.

– Coś ci chciałam zaproponować. – Łucja wstała z ociąganiem. Po chwili kolorowy folder biura podróży z okładką zapelnioną krzykliwymi reklamami informującymi o świątach Bożego Narodzenia i sylwestrze, które można spędzić na Słowacji, leżał przed Hajdukiewiczem.

– Dziękuję, było pyszne – stwierdził Hugo trzy minuty później, odsunął pusty talerz i oparł się wygodnie na krześle. Na jego twarzy zakwitł nieodgadniony

uśmieszek. – To kiedy mam się zacząć pakować? – spytał, zatrzymując wzrok na okładce katalogu, którego nawet nie tknął palcem.

– Co? – Jego żona była jeszcze bardziej zaskoczona niż chwilę wcześniej.

– Nic – rzucił beznamiętnie. – Świetnie to wymyśliłaś. Moja matka wyjeżdża z Krakowa, a ty i Marysia spędzicie święta w Podolu. Ja pasowałbym tam średnio, zresztą też sobie tego nie wyobrażam, więc pozostaje mi jedynie zmyć się, na przykład na narty. Sylwester na Słowacji! Marzyłem o tym. – Mlasnął z zachwytem. – Zorganizuję kilka osób, na pewno będziemy się świetnie bawić. Może Olga, Iza, Patryk... Tysiąc lat ich nie widziałem.

– Hugo! To nie tak! – Łucja wybałuszyła oczy. – Chodzi o coś innego!

– Ależ wiem, kochanie – odpowiedział, starając się zachować spokój, ale drgający mięsień policzka zdradzał, jak bardzo był wzburzony. – Ktoś musi się poświęcić. Śmiało mogę być czarną owcą, odszczepieńcem, który nie celebruje tych magicznych dni z rodziną – dokończył z przekąsem.

– Ale ja... – Łucja aż podskoczyła, gdy Hugo podniósł katalog i prawie natychmiast rzucił go z trzaskiem na blat. – Ja nie to miałam na myśli, chciałam...

– Daj spokój! – Hajdukiewicz zerwał się energicznie z krzesła, jak gdyby miał zamiar wybiec z jadalni, ale zaraz siadł z powrotem i wycelował w Łucję wskazujący palec. – Przecież się zgodziłem. Pojadę na narty, okażę się chamem, który woli wypad do kurortu niż wizytę u rodziny żony. Czego jeszcze ode mnie chcesz?! Wiem, że nic nie mogę zrobić i gdy skończy się ten cały cyrk z testamentem, a ty będziesz chciała odejść, będę musiał to zaakceptować. To ty rozdajesz karty! – krzyknął tak głośno, że aż coś zabrzęczało w głośniku elektronicznej niani. – Ja nie mam nic do gadania.

Łucja siedziała bez ruchu, jak sparaliżowana. Była przerażona wybuchem męża. Otepiałym wzrokiem patrzyła na stojący na stole odbiornik niani, a jej mózg chyba chwilowo się wyłączył, bo nie potrafiła złożyć własnych myśli w ani jedno sensowne zdanie.

– To nie tak... – wyjąkała po dłuższej chwili. – Sądziłam, że... – Choć bardzo pragnęła powiedzieć, jaki był jej plan, słowa ugrzęzły w gardle, a łyzy zakręciły się w oczach. Cała się trzęsła, chciała wstać i wyjść, ale Hugo zauważył jej wysiłki: chwycił ją za rękę i pociągnął lekko, żeby usiadła. Bezwolnie się temu poddała.

– Proszę, poczekaj. Jeszcze nie skończyłem. Pozwól mi chociaż na to – powiedział z naciskiem. Popatrzyła na niego, nie mówiąc ani słowa. – Chciałbym ci coś zaproponować. Zostańcie tu, bo ja i tak zamierzam się wyprowadzić. – Rozejrzał się po jadalni. – Wynajmę mieszkanie gdzieś blisko, żebym mógł was odwiedzać. Oczywiście oprócz alimentów będę ponosił wszystkie koszty utrzymania apartamentu, a gdy już będzie to możliwe, ustanowię cię jego właścicielką. Proszę, przemyśl moją ofertę – zakończył swoją wypowiedź znacznie spokojniej i w zupełnie innym tonie, niż to miało miejsce zaledwie minutę

wcześniej.

Znów zapadła cisza. Teraz trwająca znacznie dłużej i ciągnąca się bezlitośnie dla obojga. Nagle w odbiorniku niani coś zaszeleściło. Pewnie Marysia wierciła się w łóżeczku. Ten delikatny dźwięk pozwolił Łucji otrząsnąć się i wrócić do rzeczywistości.

– Przepraszam, chyba mała się obudziła. Pójdę zerknąć, czy wszystko z nią w porządku – wyjąkała. Szybko wstała od stołu i uciekła do swojego azylu, czyli pokoju Marysi. Siadła na kanapie i starając się zachowywać jak najciszej, płakała, bo rozmowa potoczyła się inaczej, niż planowała, a odkręcenie tego okazało się zbyt trudne. Nie usłyszała swojego męża, który pełen skruchy, że doprowadził ją do łez, stanął pod drzwiami pokoiku. Dobrze słyszał tłumione łkania i gdyby mógł, sam wymierzyłby sobie siarczysty policzek. Wahał się, czy wejść i przeprosić, czy też odpuścić, po czym bezradnie machnął ręką i zrezygnowany poszedł do siebie.

– Nie możesz tego tak zostawić, idiotko! – wyszeptała Łucja z irytacją. – Idź i wyjaśnij mu wszystko, skoro taka z ciebie niemota, że zapomniałeś języka w gębie, zamiast powiedzieć, co trzeba. – Była wściekła, ale dziękowała za to Bogu. Przydał się jej ten zastrzyk energii. Otarła twarz pieluchą leżącą tuż obok, wydmuchała nos w chusteczkę, i wzięwszy uprzednio kilka głębokich oddechów, wymaszerowała z pokoju. Przez moment nasłuchiwała, żeby zlokalizować męża, i dosyć szybko się zorientowała, że jest w swojej sypialni. Gdy cicho zapukała do drzwi jego pokoju, półnagi Hajdukiewicz stał przed otwartą na oścież szafą i próbował znaleźć wygodną podkoszulkę, bo ta, którą miał jeszcze przed chwilą na sobie, ciągle była wilgotna na plecach i nie wiadomo dlaczego strasznie go ten fakt zirytował.

– Proszę – odpowiedział, niezmiernie zaskoczony, gdyż jego żona na mocy jakiegoś niepisanego prawa prawie nigdy nie nachodziła go w sypialni. Wcześniej zdarzyło się to może trzy razy i zawsze był ważny powód: coś działo się z dzieckiem albo Hugo nie usłyszał telefonu, który zapomniany dzwonił gdzieś w salonie.

Drzwi otwarły się bezszelestnie, Łucja wślizgnęła się do pokoju.

– Przepraszam, że przeszkadzam – wymamrotała speszona, widząc, że Hugo nie ma na sobie koszulki. Ciemne jak gradowa chmura oczy męża patrzyły na nią, a ona jak zawsze nie potrafiła im się oprzeć, ciało znów ją zdradziło: tętno przyspieszyło, a skórę przeszedł dreszcz.

– Nic się nie stało. To ja przepraszam, że podniosłem na ciebie głos – odparł Hugo po chwili.

– Okej. – Przełknęła ślinę, chrząknęła raz czy dwa, a chcąc poczuć się nieco pewniej, oparła dłonie o chłodną ścianę za plecami. Jeszcze tylko wypełniła płuca haustem powietrza i mogła wygłosić swoje krótkie oświadczenie. – Muszę ci coś wyjaśnić. Zaszło nieporozumienie co do tego katalogu. Chciałam, żebyśmy

wszyscy razem, w trójkę, pojechali gdzieś na święta. Dzwoniłam do babci, powiedziałam, że taki wyjazd planujemy, i się zgodziła, twoja mama też wie i uważa, że to fajny pomysł, zresztą to ona mi go podsunęła, więc myślałam, że się ucieszysz. Ja... – Miała nieodpartą chęć opuścić głowę, więc żeby tego uniknąć, natychmiast hardo uniosła podbródek. – Zdaję sobie sprawę, że czułbyś się skępowany u mojej babci, zwłaszcza gdy wszyscy spodziewaliby się, że zostaniemy tam na noc, więc ten wyjazd... – jej głos zaczął się łamać i mimo przygotowań znów nie mogła dokończyć, a uniesiona broda powoli opadała, aż zatrzymała się nad piersią Łucji.

Od kiedy weszła do pokoju, Hugo stał bez ruchu i z każdym słowem żony czuł się coraz bardziej winny. Skonstatował, że najprawdopodobniej cały ten pomysł powstał wyłącznie z inicjatywy jego matki, a żona była tylko pośrednikiem.

– To zmienia postać rzeczy. Przepraszam, że mylnie zinterpretowałem twoją propozycję – wydusił z trudem. Chciał sięgnąć wreszcie po jakąś koszulę, ale spostrzegł, że Łucja znów płacze i podszedł do niej. – Naprawdę nie chciałem cię urazić. Wybacz, że krzychałem. Byłem zdenerwowany, choć wiem, że to mnie nie usprawiedliwia.

– W porządku – wyjąkała. – Nie uraziłeś mnie.

– Pojedziemy na Słowację.

– Dobrze. To ja już pójdę. Dobranoc.

– Poczekaj. – Hugo złapał ją za rękę, ale gdy tylko poczuł, jak zadrżała, natychmiast ją puścił. – Strasznie mi głupio. Sorry. – W jego głosie oprócz szczerzej skruchy zabrzmiał jeszcze żal.

– Powiedz, czy na serio mówiłeś, że się wyprowadzisz? – Odważyła się podnieść na niego oczy. – Ja... to znaczy my tęskniłyśmy. Tak długo cię nie było, a ty mówisz, że chcesz odejść, a przecież Marysia cię potrzebuje, ja też. – Łucja zagryzła kącik ust, aż do bólu.

– Nie chcesz, żebym się wyniósł? – Hugo czuł, jak jego serce zaczyna łomotać tak głośno, że słyszy je w głowie. Jego świat nagle się zatrzymał. Nie mógł oderwać wzroku od jej zwilżonych łzami policzków i ust spierzchniętych z przejęcia. Na dnie oczu Łucji coś niepokojąco migotało, może to były kolejne kropelki łez, które jeszcze nie zdążyły się wydostać.

Łucja nie mogła już wytrzymać tego okropnego napięcia. Oddychała z trudem. Zamknęła oczy, jej stopa wysunęła się ostrożnie o jeden maleńki kroczek, a potem druga uczyniła to samo. Szczupłe ramiona objęły męczyznę, dłonie spotkały się za plecami i splotły, a dziewczęca twarz przylgnęła do nagiego męskiego torsu. Pocałowała męża w okolice serca, wdychając upojny zapach jego ciała i myśląc, że rozpoznałaby go wszędzie.

– Co robisz? – Hajdukiewicz na moment odruchowo podniósł ręce, ale zaraz opuścił je wzdłuż tułowia. Gest poddania, choć tak dziwny w tym momencie,

chyba pasował do sytuacji, bo przecież tak postępuje każdy rozsądny człowiek, gdy wie, że nie ma szans: podnosi ręce. Hugo nie miał szans w starciu z Łucją. Wszelkie dotychczasowe konfrontacje z jej osobą kończyły się dla niego sromotną porażką, odrzuceniem i wyrzutami sumienia, jak chociażby dzisiaj. Teraz tkwił w ramionach żony jak sparaliżowany. Odważył się pochylić głowę, spojrzeć na połyskujące złote włosy i nawet wziąć płytki oddech, aby poczuć ich zapach.

– Czy ty mnie jeszcze choć troszkę kochasz? – prawie po minucie usłyszał cichy szept żony. – Jeśli nie, zrozumieć. To nasze osobne życie tak długo trwało, może zbyt długo dla nas... – Przełknęła ostatnie słowa razem ze łzami uparcie cisnącymi się do oczu.

– Łucja! – Hugo nie wytrzymał. Chwycił ją za ramiona. – Popatrz na mnie! Co ty mówisz?!

– Gdy powiedziałaś, że chcesz odejść, nagle do mnie dotarło... – Nie potrafiła dokończyć ani też spojrzeć na niego. Trwała z wtuloną twarzą, z coraz mocniej przyciśniętym drżącym ciałem. Wstyd drapał ją w gardło, bo uświadomiła sobie, jak musiał cierpieć jej mąż, gdy przez pół roku trzymała go w niepewności, choć już dawno mogła i powinna podjąć jakąś decyzję.

– Kocham cię. Bardzo i chyba nigdy nie przestanę, nie wyleczę się z ciebie – wymruczał Hugo, nachylając się i całując jej włosy. – Nie wiesz, jak bardzo brakowało mi twojego dotyku.

Ich serca łomotały tak głośno, że zagłuszały się wzajemnie. Łucja otwarła oczy, podniosła głowę. Hugo spoglądał na nią z nadzieją i przeogromnym szczęściem wylewającym się przy każdym drgnieniu jego powiek. Uniósł dłoń i ostrożnie musnął jej policzek. Przesunął opuszkami palców po rozpalonej skórze, którą tak dobrze pamiętał, a której tak dawno nie dotykał.

Powiodła głodnym spojrzeniem po jego ciele, rejestrując każdy najmniejszy detal. Chciała go dotykać, całować. Potrzebowała więcej, wygięła się w jego stronę, gdy na skórze uda poczuła odciskającą się twardą męskość.

Hugo nachylił się i najdelikatniej jak mógł, pocałował Łucję.

– Tęskniłam – wyznała, odwzajemniając pieśczętę. Przyłgnęła wargami do jego policzka, czuła, jak kielkujący wieczorny zarost kłuje bez litości, ale nawet tego brakowało jej przez te wszystkie długie miesiące. Wsunęła palce w wilgotne kosmyki, przesuwając je od samej skóry aż do koniuszków czarnych, jedwabistych pasm i z każdym ruchem przypominała sobie, jak bardzo lubiła to robić.

– Czy między nami... – Hugo chciał od niej usłyszeć, że wreszcie mu wybaczyła, że od teraz na zawsze będą razem, ale Łucja nie pozwoliła mu dokończyć pytania.

Znów się całowali, coraz goręcej i mocniej. Ich stęsknione dłonie krążyły, szukając znanych, zapamiętanych ścieżek, ciepła jedwabistej skóry, sprężystości mięśni pod nią drżących. Bez zbędnych słów przekazywali sobie, co czują. Hugo

pociągnął za sobą żonę i razem przysiedli na skraju łóżka. Łucja nieco skrępowana spojrzała na żyrandol wiszący nad ich głowami. Cicho pstryknął wyłącznik głównego światła.

– Dzięki – wyszeptała. Potrzebowała nieco więcej intymności niż kiedyś, bo przecież tyle tygodni i dni Hugo nie widział jej nagiej. Podniosła dłoń i wyjęła kilka wsuwek podtrzymujących niedbale spięte włosy. Rozsypały się na ramionach, a ich zapach rozlał się delikatnie wokół dziewczęcej twarzy.

– Są piękne – wychrypiął Hugo, gdy zsunął ramiączka bluzki Łucji i ujrzał jej piersi wypełniające miseczki biustonosza.

– Zmieniły się. – Spuściła oczy, jeszcze ciągle pełna obaw, że mu się nie podobają.

Nie zważał na te słowa, legł na łóżku, zagarniając ramieniem żonę. Oparł głowę na rękę i przez moment sycił oczy widokiem zarumienionych policzków i rozszerzonych źrenic Łucji świadczących o tym, że nie jest jej obojętny.

– Zmieniły się, ale teraz uwielbiam je jeszcze bardziej. Są takie pełne i słodkie... – Zaczął pokrywać każdy centymetr skóry pocałunkami równie delikatnymi, jak muśnięcia skrzydeł motyla.

– Hugo, pragnę cię – jęknęła Łucja, gdy mąż odsunął delikatnie brzeg stanika, obwiodł językiem jedną z brodawek i lekko ją possał.

– Ja też, pragnę całej ciebie. – Z zachwytem odkrył maleńką perłową kropelkę mleka, która pojawiła się na końcu blad różowej kuleczki, gdy tylko oderwał od niej usta.

Szybko pozbyli się reszty odzieży i bielizny. Przywarli do siebie, tuląc się jak najmocniej, oboje jeszcze trochę skrępowani, choć z każdą chwilą coraz bardziej sobie bliscy.

– Kocham cię, kocham... Hugo, jak bardzo tęskniłam, to moja wina... – usprawiedliwiała się i wyznawała mu miłość w krótkich przerwach, gdy jego usta błądziły po jej szyi, obojczykach, dekolcie.

– Cii... – Położył palec na wargach Łucji. – Nie mów tak. Przecież to nieprawda. – Podłożył rękę pod jej kark, a drugą wsunął pod pośladki, uniósł je lekko i gdy poczuł na swoich plecach zaplatające się nogi, wszedł w nią silnym pchnięciem. Jeszcze do niego nie dotarło, jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że właśnie spełniają się jego marzenia: trzymał w objęciach najukochańszą kobietę, wyczekaną i upragnioną, i co było dla niego najcenniejsze: odwzajemniającą każdy poryw jego serca.

A Łucja? Łucja płynęła na fali szczęścia, unoszona przez silne ramiona męża, kołysana przezeń w najczulszym rytmie wspólnej bliskości. Woń męskiego ciała, szelest pościeli, odgłosy ich coraz szybszych i głośniejszych oddechów – to wszystko otaczało ją i pochłaniało coraz mocniej, aż do utraty tchu. Była jednym wielkim zmysłem miłości, czującym, widzącym i słyszającym wszystko

i mieszającym ze sobą każde kolejne doznanie, aż łączyły się w najbardziej nieoczekiwane akordy: szmery zapachu, smaki dotyku i dźwięki obrazów wirujących w głowie. Chciała, żeby trwało to wiecznie, ale nie żałowała, gdy oboje w tej samej chwili dotarli do linii horyzontu, do miejsca, w którym ich serca przez chwilę były w tym samym rytmie, po czym opadli przesyleni spełnieniem aż po brzegi...

Rozdział 14

Hugo ponownie przeczytał list. Dostał go od recepcjonistki rankiem, kiedy pierwszy raz schodził do samochodu z bagażami. Gdy zobaczył, kto jest nadawcą, szybko wsunął kopertę do kieszeni płaszcza. Zamierzał ją wyrzucić, ale zapomniał i dopiero teraz, gdy Łucja z Marysią zasnęły – wyjął list, przeczytał i aż ścisnęło mu się serce. Przez dłuższą chwilę rozmyślał, co ma począć.

– *Alienus dolus nocere alteri non debet*^[1] – wymamrotał adekwatną do sytuacji prawniczą paremię, jakby chciał się umocnić w podjętej decyzji. Cóż, zdał sobie sprawę, że popełnił straszny błąd. I teraz jego obowiązkiem było to naprawić. I chociaż skręcało go ze wstydu, nie miał innego wyjścia, jak stawić czoła wyzwaniu. Poza tym naprawdę tego chciał. Jedyne, co budziło w nim lęk, to możliwość odrzucenia. Ale z tym nie mógł zrobić nic. Wziął telefon i zrobił zdjęcie. Nie wyszło ostro, więc pstryknął drugie. Zwinął papier w kulkę i wrzucił do kominka. Wysłał Adamowi wiadomość. Zanim list razem z kopertą zdążyły spłonąć, otrzymał odpowiedź: „Mogę zadzwonić?”. „Tak” – odpisał natychmiast Hugo.

- Cześć – przywitał się Adam chwilę później.
- Cześć.
- Dzięki, że mi to wysłałeś.
- To ja dziękuję, że odpowiedziałeś – wychrypiał Hugo. – Skasuj to. I ani słowa Łucji o tym liście.
- Okej.
- Musimy pogadać. Powinniśmy pogadać – poprawił się szybko.
- Gdzie jesteś?
- W Tatrzańskiej Łomnicy.
- Sam?
- Z Łucją i małą. A ty?
- W Lipsku.
- Sam?
- Nie.
- Rozumiem. To wpadnijcie do nas. Zapraszam. Ja stawiam – dodał Hugo.
- Okej. Jutro. Załatw nam pokój: dwójkę z dużym i wygodnym łóżkiem. Apartamentem też nie pogardzimy, zwłaszcza że ty fundujesz – zaśmiał się Soliński.
- Jasne. Wyślę ci zaraz namiary na hotel. Ale wy też musicie mi pomóc. Będę musiał jakoś odegrać zaskoczenie przed żoną.
- Ręczę, że nie będziesz musiał odgrywać szoku – stwierdził enigmatycznie Adam.
- Zmieniłeś fryzurę?

- Też. Gdy wyjedziemy, puszcę ci wiadomość. To do jutra.
- Do jutrz...
- Poczekaj! – przerwał mu Adam. – Jest śnieg?
- Po pas! Weźcie narty...



Słońce już dawno zaszło za górami, mróz ścisnął, a stoki opustoszały. Kończył się kolejny dzień zimowo-świątecznych ferii Łucji i jej rodzinki. Już czwarty dłuższy od poprzedniego o „barani skok”, ale i tak zbyt krótki, bo pełen wrażeń.

- Idziemy? – Hugo popatrzył na żonę pytającym wzrokiem.

Rzadko kiedy udawało im się zjeść razem kolację w hotelowej restauracji. Najczęściej jedno z nich zostawało w pokoju ze śpiącą Marysią, a drugie szybko zjeżdżało windą na parter, jadło i wracało, żeby zmienić małżonka. Ale nie dzisiaj. Popołudniowa drzemka małej przesunęła się o dwie godziny i wyjątkowo mogli całą trójką odwiedzić to luksusowo urządzone miejsce.

– Idziemy – odparła Łucja. Wzięła Marysię na ręce i chwilę później wychodzili już z windy. Hugo od razu nerwowo się rozejrzał. Od południa czekał na jakiś sygnał od Solińskiego, ale ten milczał. Nie wysłał SMS-a, jak się umówili, i Hajdukiewicz zaczął wątpić, że przyjaciel się pojawi.

Właśnie w trójkę minęli recepcję, gdy za plecami usłyszał nagle swoje imię. Natychmiast stanął jak wmurowany, bo kilka sekund wcześniej kątem oka dostrzegł dwóch mężczyzn przy niej stojących, ale... jeden z nich był prawie łysy, a drugi czarnowłosy. Na dodatek brunet obejmował krótko ostrzyżonego blondyna w pasie. I był to jednoznaczny gest, niepozostawiający najmniejszych wątpliwości co do charakteru znajomości obu panów.

Hugo przez ułamek sekundy łudził się, że to pomyłka, ale gdy ujrzał swojego przyjaciela, a obok niego niewątpliwie przystojnego wysokiego i zgrabnego, ale... mężczyznę, opadła mu szczęka.

- Hugo? – zawołał Adam i oderwał się od kontuaru recepcji.

– Adam? – Hajdukiewicz zerknął na tak samo zszokowaną żonę i nie mając innego wyjścia, podszedł do Soli.

Łucja podreptała za nim na miękkich nogach. Nie dość, że obawiała się jakiejś natychmiastowej konfrontacji i tego, że Hugo robi awanturę albo coś przykrego powie Adamowi, to jeszcze zastanawiała się gorączkowo: Co tu robił ten koleś? I kim był dla przyjaciela jej męża?

- Kopę lat – powiedział Adam i wyciągnął przed siebie prawą dłoń.
- Cześć, co tu robisz? – wykrztusił Hugo, podając mu rękę.
- Przyjechaliśmy na parodniowy urlop. – Adam rozejrzał się wokół

z ukontentowaniem. – Przepraszam, nie przedstawiłem. To Luigi Mancini, mój chłopak, restaurator z Lipska, koneser sztuki oraz kulinariów, wina i włoskich serów – powiedział najpierw po polsku, a później powtórzył słowo w słowo po niemiecku i dodał wyjaśniająco, że Włoch oprócz rodzimego języka zna tylko niemiecki i też nie najlepiej.

Luigi przez moment się zawahał, ale już po chwili ścisnął wilgotną i lekko drżącą rękę Hajdukiewicza, który zgłupiał tak doszczętnie, że zapomniał o swojej małżonce stojącej tuż za nim. Dopiero Adam wyciągnął ramiona, objął Łucję i pocałował w oba policzki, szepcząc przy okazji, że wygląda zjawiskowo, a macierzyństwo jej służy, i że niewiarygodnie się cieszy z tego przypadkowego spotkania. Przedstawił Łucję i Hugona Luigiemu, potem nowo przybyli panowie uścisnęli pulchną łapkę Marysi, którą pochwalił się jej rodzony tato, wszyscy wzajemnie pożyczyli sobie szczęśliwego nowego roku – oczywiście posługując się i polszczyzną, i językiem niemieckim, a nawet włoskim – i nagle wśród zgromadzonej czwórki zapadło dziwne, pełne skrępowania milczenie, przetykane z rzadka gaworzeniem Marysi, która jako jedyna nic sobie nie robiła z tej sytuacji.

– Szliśmy właśnie na kolację... – chrząknęła Łucja, bo już miała tego dość, na dodatek córeczka zdawała się coraz cięższa i bardziej niecierpliwa w jej ramionach.

– A my musimy się rozpakować – odpowiedział Adam. – Nie dołączymy, bo jedliśmy po drodze.

– No tak. To do zobaczenia. Pewnie jeszcze nie raz wpadniemy na siebie – odparł Hugo.

– *Buonanotte* – rzucił Luigi, domyślając się kontekstu tej szybkiej wymiany zdań.

Oboje małżonkowie skwapliwie mu odpowiedzieli, okrasili to niemrawym uśmiechem i poszli w stronę wejścia do restauracji.

– Jezu... – pisnęła Łucja, gdy tylko oddalili się na tyle, żeby nikt ich nie usłyszał. – Co to było? Hugo, widziałeś?

– Trudno nie zauważyć – mruknął, przepuszczając w drzwiach żonę.

Usiedli przy stoliku w wygodnych fotelikach, a Marynia wylądowała w wysokim krzeselku. Kelner szybko ich obsłużył, ale Hajdukiewiczowi, choć jeszcze przed kwadransem był bardzo głodny – wszystko stawało w gardle. Rzadko tracił rezon, ale kiedy ujrzał Solę i tego przystojnego Włocha, zachował się jak najbardziej zielony prawnik stażysta, który pierwszy raz występuje w sądzie. Zastygł jak skała, a wraz z ciałem zatrzymały się nawet jego myśli. Już wiedział, o co chodziło Adamowi, gdy przewidział jego zaskoczenie.

– Czemu nie jesz? – spytała Łucja, widząc, jak gmera widelcem w talerzu.

– Straciłem apetyt – odparł Hugo. Nie chciał się roześmiać, zresztą zawsze uważał się za wybitnie tolerancyjnego i otwartego na mniejszości, również te

seksualne, ale życie to zweryfikowało. Co innego znać od lat zdeklarowanego geja, a co innego zobaczyć najlepszego niby-heteroseksualnego przyjaciela w czułych objęciach faceta. „I to tak do mnie podobnego!” – nagle to sobie uświadomił. Przecież Hugo nieraz nocował u Solińskiego, czasami spali w jednym łóżku, gdy impreza zbyt się rozkręciła, a oni zalali się w sztok. Aż bezwiednie zacisnął pośladki, gdy o tym pomyślał.

– Myślałam, że tam padnę.

– Ja też – parsknął pod nosem.

– Może i dobrze, że tak się stało, przynajmniej się nie pobiliście – odparła, a on uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Czemu mielibyśmy się pobić? – zapytał, sięgając po butelkę wina. Napełnił jej kieliszek do połowy, a swój po brzeg, bo było mu to teraz bardzo potrzebne.

– Przecież się pokłóciliście.

– Było, minęło. Nie ma do czego wracać. Ups... – mruknął, wskazując brodą na Marysię, która właśnie wypluła na obrus kawałek chleba.

– Ojej – westchnęła Łucja. – Ależ z ciebie paproczek – strofowała córeczkę. Obtarła jej buzię, zebrała okruszki i zawinęła w serwetkę.

– Przepraszam, ale... – Hugo wyjął z kieszeni spodni wibrujący telefon.

– Odbierz.

– Halo... – powiedział cicho do słuchawki i zakrył ją drugą ręką. Po niecałej minucie potakiwania i pomrukiwania odłożył aparat na stół. – Adam dzwonił – wyjaśnił. – Chce się ze mną spotkać. Jeszcze dzisiaj. Nie będziesz miała...

– Nie. Przecież tyle czasu się nie widzieliście. – Łucja popatrzyła na męża. Wyraz jego twarzy sprawił, że ogarnęło ją ciepłe, radosne uczucie. Cieszyła się, że Hugo tak ładnie się zachował i zgodził pogadać z przyjacielem. „Chociaż ten konflikt został zażegnany” – pomyślała.

– Dzięki. – Kolejny raz kąciki jego ust lekko się uniosły. – Na pewno się nie gniewasz, że zostawię cię samą?

– Nie samą, bo jest mała, a poza tym przy mnie nie mielibyście luzu, bo nie znam niemieckiego.

– Masz rację, nie pomyślałem o tym – westchnął z uznaniem dla jej pamięci. Coś się w nim odblokowało, może po lampce wybornego wina, a może najgorszy szok już przeszedł, bo sięgnął po sztućce i szybko dokończył kolację.



Łucja jeszcze raz zerknęła na śpiącą Marysię, poprawiła jej kołderkę, odsunęła kosmyk włosów ze spoconego czołka małej i po cichu wyszła z pokoju. Hugo już na nią czekał. Z reguły o tej porze był krańcowo zmęczony, ale nie dzisiaj. Poza tym w ciągu ostatnich kilku dni odkrył, że jeśli

mowa o smacznym śnie, to wyłącznie z żoną u boku. I naturalnie po seksie.

– I jak Marysia? – spytał, gdy tylko Łucja przekroczyła próg sypialni, a raczej sypialenki, bo te dwa pokoje, przynależne do hotelowego apartamentu, który zajmowali, wcale nie powalały wielkością.

– Wreszcie zasnęła. – Łucja przysiadła na brzegu łóżka i przez chwilę intensywnie nad czymś myślała. – Może pójdziemy do salonu? Tam jest kominek. Chyba przemarzłam. – Potarła oburącz ramiona.

– Czemu nie? – odparł Hugo wesołym tonem, bo był lekko wstawiony. – Wypijemy po lampce wina? To cię rozgrzeje.

– Jeszcze nie masz dosyć?

Wprawdzie jego spotkanie z Adamem trwało niecałe dwie godziny, ale to wystarczyło, żeby Hajdukiewicz wygolił trzy szklanki whisky.

– Bynajmniej – odparł, podnosząc się z łóżka. – Dzisiaj mam wyjątkowo dobry dzień na picie. Zresztą dopiero jedenasta.

Przeszli do głównego pomieszczenia, Hugo poszperał w hotelowym barku, z zadowoleniem coś z niego wyciągnął i chwilę później zaserwował po lampce jakiegoś tutejszego regionalnego trunku. Usadowili się na wygodnej, choć wąskiej sofie tuż naprzeciwko kominka, a Hugo okrył siebie i Łucję pledem tak pieczołowicie, że od razu zrobiło się jej lepiej. I cieplej oczywiście. Wychyliła resztę wina, odstawiła kieliszek na podłogę i wybuchnęła śmiechem, bo znów przed oczami wyświetliło się jej spotkanie z Adamem Solińskim. Była tak zszokowana, że gdy tylko Hugo wyszedł z nim porozmawiać, zadzwoniła do babci, żeby się z nią tym podzielić. Szybko opowiedziała, jaka jest pogoda, co robili, co jedli, jak sprawuje się Marysia, a to, co najciekawsze, zostawiła na koniec.

– Poczekajże, dziewczyno, co ty mówisz? – Maśnikowa popadła w podobny stupor, jaki przed niecałymi dwiema godzinami opanował jej wnuczkę.

– Babciu, no przecież ci tłumaczę: okazało się, że przypadkiem Adam też przyjechał do tego hotelu, w którym jesteśmy, ale tylko na kilka dni – dodała.

– To wiem, i co było dalej?

– I zjechaliśmy windą na parter, idziemy do restauracji, a w głównym holu stoi Adam i jakiś facet, na dodatek ten facet to taki kropka w kropkę malowany jak mój mąż, tylko oczy ma czarne. Hugo nie poznał Adasia, bo ten ogolił się prawie na łyso, z kolei ten Włoch, bo Luigi jest Włochem, to ma długie włosy, prawie jak moje. Piękny jest, przystojny i taki męski, zarost równo przystrzyżony i w ogóle. W życiu bym nie pomyślała, że taki mężczyzna...

– No, ale o co ci chodzi? – Babka nie potrafiła pojąć, skąd takie wzburzenie w głosie wnuczki.

– Bo okazało się, że Adam jest gejem... – Łucja zniżyła głos prawie do szeptu.

– Kim?

– Gejem. Ten Luigi to jego chłopak. Mówię ci, jak mój Hugo się zorientował, prawie zemdłał! – zachichotała do słuchawki, przypominając sobie reakcję męża: zbladł jak figura woskowa, a czoło w jednej chwili sperliło się kropelkami potu. – Adam stanął przed nami, przywitał się niby serdecznie, ale tak jakoś sztywno, jakby kij połknął, a potem przedstawił nam tego Włocha – dokończyła.

– Ale co? Znaczy, chłopców lubi? Ten Adam?

– Uhm.

– O matko! – zachnęła się Maśnikowa. – A może to po prostu jakiś kolega?

– Nie, bo Soliński wyraźnie powiedział, że to jego chłopak. Zresztą, gdy ich zobaczyliśmy, stali przy blacie recepcji, a Luigi obejmował Adama w pasie. Chciałabyś to widzieć, babciu.

– To se teraz pilnuj męża, bo jeszcze ci dwaj go poderwą! – Zofia Maśnik wybuchnęła szczerym śmiechem. Coś tam wiedziała o kłótni między mężem Łucki a jego najlepszym przyjacielem i jak każda waśń, ta też trochę ją gryzła, choć teraz, gdy najwyraźniej panowie się pogodzili, wcale jej nie ulżyło jakoś szczególnie. Dosyć się nasłuchiwała o takich mężczyznach w telewizji, a już te parady w Warszawie? To dla Maśnikowej było absolutnie niepojęte. – Uważaj, dziecko, bo te gaje lubią często zmieniać kawalerów – stwierdziła po namyśle.

– Geje, nie gaje – sprostowała Łucja.

– Oj tam, gaje, geje, jak zwał, tak zwał. Boże stworzenie, szanować trzeba, prześladować nie uchodzi, ale ostrożności nigdy dosyć – przestrzegła wnuczkę Maśnikowa.

Porozmawiały jeszcze przez moment, ale chwilę później Marysia nagle zapłakała przez sen i skończyło się obgadywanie Solińskiego oraz jego czarnookiego amanta.

– Co cię tak rozbawiło? – spytał Hugo, sprowadzając ją z powrotem do teraźniejszości.

– A nic. – Łucja machnęła ręką. – Tak sobie przypomniałam... Wiesz, to...

– A, to... – mruknął Hajdukiewicz i od razu sam parsknął pod nosem.

– Wiesz co? – spytała Łucja.

– Nie wiem – odparł żartobliwie.

– Ja od początku czułam, że coś z Adamem jest nie tak – orzekła autorytatywnie.

– Bo?

– Po pierwsze, ten anonim to typowe babskie zagranie. Jaki normalny facet bawiłby się w takie gierki? No sam powiedz? A jeszcze co do zachowania Adama, choć nie znam go zbyt dobrze, raptem trzy razy się widzieliśmy dłużej, ale już wtedy, na sylwestrze, jakoś mi się nie spodobał – wydeła lekko zaróżowione od wina usta.

– A co dokładnie ci nie pasowało? – Hugo przysunął się jeszcze bliżej żony, objął ją i pocałował oblanym rumieńcem policzek.

– Jakoś tak... Takie końskie były te jego zaloty... – wysapała nagle zażenowana, bo znów przed oczami stanęła jej dzisiejsza scenka.

– Końskie? Czyli? – Hugo pokręcił głową, bo żona kolejny raz zaserwowała mu jedno ze swoich niezliczonych wiejskich powiedzonek, a on nie miał pojęcia, co znaczy to określenie.

– Oj, takie... Po prostu końskie. Sztuczne. Rozumiesz?

– Nie bardzo. – Puścił do niej oczko. – Końskie zaloty kojarzą mi się z Dzikim Zachodem. Słyszę „koń”, widzę: western, kowboje, marlboro, kraciaste koszule, dżinsy, kapelusze, pojedynki na rewolwery, John Wayne i tak dalej – wymamrotał wprost do ucha Łucji, aż przeszedł ją dreszcz. – Końskie zaloty to esencja męskości...

– Nie znasz się – mruknęła. – Końskie zaloty są drętwe. Babcia tak zawsze mówiła.

– A! Skoro babcia tak mówiła, to na pewno masz rację... – powiedział i lekko nadgryzł płatek kobiecego ucha.

– Hugo! Czy ty się ze mnie nabijasz?

– Nie śmiałym.

– Poczekaj! – pisnęła, gdy dłoń męża nie wiadomo kiedy zapędziła się pod krawędź piżamowej bluzki i wyraźnie zmierzała w kierunku żoninego biustu.

– Na co? – Hugo zastygł, by po chwili kontynuować eksplorację ciała małżonki.

– Czasami jesteś nieznośny! – Łucja odsunęła się od niego, a raczej podjęła taką próbę, niestety, nie miała szans w konfrontacji z silnym męskim ramieniem. – Powiedz mi, co u niego słychać?

– Nic szczególnego. Założył kolejną firmę. Też marketingową.

– W Lipsku?

– Tak. I całkiem nieźle mu idzie, znacznie lepiej niż w Polsce, bo po niecałym pół roku działalności zatrudnia już ponad trzydzieści osób. Podpisał umowę z jakimiś sporymi spółkami z Lipska i nie tylko, w tym jedna to potentat energetyczny. Mówił nazwę, ale wyleciało mi z głowy. – Hugo podrapał się po podbródku.

– Chyba wyparowało – zażartowała Łucja, widząc jego szkliste od alkoholu oczy.

– Może tak być – zgodził się z nią.

– A ten Luigi? Jak to się stało, że Adam...

– Szczerze? Nie bardzo mieliśmy warunki, żeby spokojnie pogadać, ale w końcu Italiano poszedł wziąć prysznic i nie rozczarował mnie, bo spędził w łazience prawie godzinę. Prawdziwy piękniś...

– Piękniś? Mówisz tak dlatego, że jest do ciebie podobny? – pisnęła Łucja i od razu się odsunęła, żeby mąż nie zrobił jej jakiejś krzywdy.

– Chyba od pasa w dół, ale musiałbym sprawdzić, czy go nie przeszacowałem. Wiesz, jestem wyjątkowo duży... w tym miejscu – powiedział Hugo i od razu ryknął śmiechem, bo akurat ten żart wydał mu się wyjątkowo kretyński, zwłaszcza w kontekście całej sytuacji z Solińskim. – Nieważne. – Machnął ręką. – Wyszło na to, że Adaś całe życie miał takie ciągoty, ale skutecznie to wypierał. Przyznał mi się do wielu wizyt u seksuologów, psychologów i tak dalej. Któryś z tych fachowców już dawno zdiagnozował u niego homoseksualizm, ale Sola nie przyjmował tego do wiadomości. Zresztą widziałas, jak bardzo się bronił przed prawdą. Te wszystkie baby, niezliczone stada bab... – Hugo pokręcił głową.

– I co się wydarzyło?

– Jak to często bywa, zawinił alkohol, a raczej jego nadmiar. Sola zorganizował jakieś wielkie party dla pracowników...

– W restauracji Luigiego... – domyśliła się Łucja.

– *Exactly*. A potem było jak w tym filmie, nomen omen o kowbojach, aczkolwiek oni pasali owce, nie bydło...

– Jakim filmie? – zmarszczyła czoło.

– *Tajemnica Brokeback Mountain* – odparł Hugo i lubieżnie się uśmiechnął.

– Adaś został do końca imprezy, rzekomo pomagał Luigiemu posprzątać i obaj zlegli w kuchni, na kamiennej posadzce, między zlewem z brudnymi talerzami po pizzy a szafką zastawioną półmiskami po gnocchi. – Aż się otrząsnął, gdy to sobie wyobraził.

– Opowiedział ci to? Serio? – Oczy Łucji prawie wypadły z orbit.

– Przestań. Przecież żartuję... – Hugo znów głośno się zaśmiał. – Bez przesady, aż tak miły nie jestem, żeby wysłuchiwać takich opowieści. Jeszcze gdyby obracał tam jakąś ładną laskę, ale koleś... Auć! – krzyknął, gdy Łucja obdarzyła go mocną sójką w bok.

– Widzę, że jesteś konkretnie napruty – stwierdziła, z dezaprobatą marszcząc czoło. – Powiedz mi jeszcze jedno, pogodziliście się definitywnie?

– Tak.

– Ale tak na zawsze?

– Uhm...

– Czyli mu wybaczyłeś?

– Owszem.

– Dziwne.

– Dlaczego? – westchnął Hugo. Lekko się uniósł i sięgnął po niewielką butelczynę, żeby nalać sobie i Łucji po kolejnej lampce trunku, lecz nie zauważył, że już ją opróżnili.

– Ot, tak po prostu mu wybaczyłeś? – Łucja pstryknęła palcami. – Przecież nie odzywałeś się do niego ponad pół roku, i nagle hop, siup, taka zmiana? – Podejrzliwie świdrowała męża wzrokiem.

– Jezu... Łucja... – jęknął Hajdukiewicz, rzucił pustą butelkę na dywanik i na moment zakrył twarz dłońmi. Czuł, że tak łatwo nie pójdzie. Sam zdawał sobie sprawę z tego, że zachował się inaczej, niż to było do przewidzenia. Już miał zabłysnąć i powiedzieć żonie, że parę dni temu były święta, czas rodzinnych spotkań, miłości i wybaczenia, stąd taka chęć do zakopania wojennego topora, ale w porę ugryzł się w język. Natychmiast by usłyszał, że jest jeszcze jeden człowiek, z którym powinien się pogodzić. I to znacznie ważniejszy, bo rodzony ojciec.

– No co? – Łucja szturchnęła go w bok.

– A co miałem zrobić? – Hugo popatrzył na nią. – Prawda jest taka, że wybaczyłem autorowi tego listu, bo jesteś ze mną. Może być takie wytłumaczenie? Jesteśmy razem, było, minęło, i już. Poza tym Sola ma przechlapane. Nie mam serca dłużej się na niego wkurzać – stwierdził, starając się zachować minimum powagi, ale kąciki jego ust niebezpiecznie uniosły się ku górze.

– Niby dlaczego?

– Wiesz, co czują jego starzy? O ile Alicja może jakoś to przeżyła, choć szanse na wnuki raczej są nikłe, ale jego ojciec? Dobrze, jak stary Soliński nie skończy u siebie na oddziale.

– Oj tam. Jakoś to zniosą. Przecież to ich syn.

– Jakoś na pewno. Adam mówił, że jest okej. Nawet chcą poznać Luigiego.

– No widzisz.

– Szczerze? Też bym chciał poznać kogoś, kto wygląda jak ubiegłoroczna gwiazda Eurowizji. Choćby ze zwykłej ludzkiej ciekawości – zachichotał, czym wprowadził Łucję w kompletne zdumienie, bo jeszcze nie widziała swojego męża zachowującego się jak nastolatka.

– Gwiazda Eurowizji? – Wytrzeszczyła oczy. – O kim ty mówisz?

– Żartowałem. *Read my lips* – stwierdził dobitnie, odwracając się w jej stronę. – Jesteśmy razem, dlatego nie ma tematu. Pogodziłem się z Adamem, pojedziemy na jego ślub w lecie, a teraz koniec dyskusji.

– Jesteś zdenerwowany. – Łucja przymrużyła oczy. – Zawsze wtedy wtrącasz coś po angielsku. Hugo, czy ty mnie okłamujesz?

– Wiedziałem... Posłuchaj mnie, kochana żono: nie tylko pogodziłem się z Solą, a nawet przez chwilę pogadałem z Luigim, choć jego gładki niczym angielska brandy głos w połączeniu z okrutną włoszczyzno-niemczyzną sprawił, że miałem nieodpartą chęć pogryźć jakąś poduszkę, bynajmniej nie z podniecenia. Żeby choć temat był interesujący! Ileż można gadać o rodzajach pieprzonego parmezanu?! A ten śmiech? Piskliwy, wyższy niż twojej ciotki Agaty.

I co otrzymuję w zamian? Przesłuchanie. Co za cymbał powiedział, że dobra karma wraca? Zapomniał dodać, że wyłącznie w tej złej odmianie. *What the fuck?!*

– Czyli jednak jesteś zdenerwowany albo pijany w sztok...

– Jestem. Jestem pijany i okropnie zdenerwowany! – Nagle zerwał się z sofy, porwał Łucję w ramiona i piszczącą wniebogłosy zaniósł do sypialni.

– Hugo!!! Masz paskudne maniery! – Uderzyła go piąstką w ramię, gdy walnął się obok niej i zaczął zdzierać kraciatą piżamę, którą zresztą sam jej podarował pod choinkę kilka dni temu.

– To nie maniery – wybąkał między kolejnymi gorącymi pocałunkami.

– A co?

– Końskie zaloty *by* Hugo Hajdukiewicz...

Rozdział 15

– Hugh?! To ty? – dobiegło zza pleców.

Hugo z trudem stłumił chęć ucieczki. Zastygł przed drzwiami swojego tymczasowego gabinetu, przeklinając w duchu swego straszego pecha. Gdy kobiecy głos powtórzył pytanie, nie miał innego wyjścia i się odwrócił. Tym bardziej że jego właścicielka podeszła, głośno stukając obcasami, i stanęła na wprost Hajdukiewicza.

– Nicole? Jaka niespodzianka! – odparł. Już zamierzał odruchowo się nachylić, żeby cmoknąć ją w policzek, ale w porę sobie przypomniał, że Nicole Westbrook jest prawie tego samego wzrostu co on, a w wysokich szpilkach zasadniczo to ona góruje nad nim, więc nachylając się, jedyne, co mógłby ewentualnie pocałować, to jej obfity biust wylewający się z dekoltu obcisłej dzianinowej sukienki. Oczywiście w bardzo seksownym kolorze burgunda.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Hugo błyskawicznie odnotował, że jego dawna miłość jeszcze bardziej wypiękniała. Długie blond włosy bujnie okalały idealną pod względem rysów twarz, figura Nicole nabrała pociągających kobiecych kształtów, a uśmiech odsłaniał równe i białe ząbki.

– Nie pocałujesz mnie na powitanie? – spytała, uśmiechając się figlarnie.

– Przepraszam, zaskoczyłaś mnie – odpowiedział i niezbyt zgrabnie musnął jej policzek ustami. W nos uderzyła go fala zapachu. To były te same perfumy, których Nicole używała od zawsze. Odkąd pamiętał, kojarzyła mu się właśnie z tym określonym zapachem. Aż ścisnęło go w dołku.

– Ileż to lat? – zagadnęła.

– Nie tak dużo.

– Wystarczająco dużo, żeby twoje życie zupełnie się odmieniło. – Nicole wiedziała, że jej były chłopak ożenił się i miał dziecko, gdzieś tam, w tym kompletnie dla niej egzotycznym kraju, jak postrzegała Polskę. Jej oczy bezwiednie spoczęły na lewej ręce mężczyzny i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że w niektórych krajach obrączkę nosi się na palcu prawej dłoni. I rzeczywiście – tkwiła tam, połyskując ostrzegawczo żółcią złota, jakby chciała jej przekazać: „Nicole, trzymaj się od niego z daleka, to zajęty facet”.

Nie mogła się oprzeć i wyciągnęła od Catherine, sekretarki męża, wszystkie możliwe informacje o Hajdukiewiczu, który pojawił się w Bostonie bez mała dwa tygodnie temu. Wiedziała już, że Hugh, jak go zawsze nazywała, został właścicielem sieci kancelarii prawnych swojego zmarłego wuja Henryka, że rozdzielił czterdzieści dziewięć procent udziałów na siedmiu starszych partnerów, a sam zachował dla siebie pakiet większościowy. Jednak to prywatne sprawy Hugona interesowały ją znacznie bardziej, mimo że wśród siedmiu szczęśliwców posiadających po siedem procent udziałów w H.H. LAWS był jej

mąż, Dylan Nash.

– Jak ci się żyje w małżeństwie? – spytała, opierając się nonszalancko o futrynę drzwi biura.

– Bardzo dobrze – odparł Hugo, nerwowo rozglądając się na boki. Nie był zadowolony, że wpadli na siebie. Od początku pobytu w Bostonie myślał, jak tego uniknąć. On też zrobił research na temat byłej dziewczyny, choć nie specjalnie, lecz raczej mimochodem. Parę razy zamienił słowo z Dylanem, starym i zaufanym pracownikiem wuja. Nash był znacznie starszy od Hugona, liczył sobie prawie pięćdziesiąt lat, ale wyglądał świetnie, a jego energią można by obdzielić kilkunastu młodzieniaszków.

Gdy Dylan pochwalił się młodą żonką, Hajdukiewiczza aż zatkało. Nie spodziewał się nigdy, że drogi Nicole i Nasha kiedykolwiek się połączą. Dzielila ich nie tylko spora różnica wieku, lecz także stylu życia oraz światopoglądu. Dylan był konserwatystą, specjalizował się w prawie rodzinnym, działał aktywnie w kościele baptystów i nigdy nie zagłosowałby na kogoś spoza republikanów, a Nicole? Liberalna, mocno sympatyzująca z demokratami, głosząca wszem wobec, że jest ateistką, feministką i Bóg wie, kim jeszcze. Dlatego Hugo uznał, że to najbardziej zaskakujące połączenie, jakie mógł sobie wyobrazić.

– A tobie? – zapytał, szczerze ciekawy, jak ocenia swój związek była stażystka z kancelarii jego wuja.

– Nie narzekam.

– A tak w ogóle, co tutaj robisz? Dylan mówił, że pracujesz w jakiejś fundacji.

– Tak. Zarządzamy siecią ośrodków dla samotnych matek, ofiar przemocy domowej i tak dalej. A wpadłam tu zabrać dokumenty, bo kilku prawników z twojej kancelarii pomaga nam non profit. Oni zdobywają doświadczenie, a my obrońców. Dylan mi ich podsyła.

– Rozumiem. Zawsze miałaś zacięcie do wolontariatu – zaśmiał się Hugo.

– Bez przesady, akurat mnie fundacja płaci. I to nieźle, choć znacznie mniej, niż Dylan zarabia u ciebie. – Puściła do niego oczko. – A może gdzieś pójdziemy? Poplotkujemy przy kawie? – Nicole uniosła brwi. – Tu niedaleko, na końcu kwartału otwarli niedawno świetną włoską knajpkę. – Nie uśmiechało się jej stać w korytarzu kancelarii, gdzie nie było warunków do spokojnej i intymnej rozmowy, bo obstrzał ciekawskich oczu i uszu pracowników, którzy kręcili się tuż obok, wyraźnie temu nie sprzyjał.

– Bardzo cię przepraszam, ale za kwadrans mam spotkanie. – Żeby zabrzmiało to przekonująco, Hugo natychmiast zerknął na zegarek.

– Hm... Mam pomysł, skoro teraz jesteś zajęty, może wpadniesz do nas dzisiaj? Zrobię sushi, zaproszę paru znajomych i uczcimy twój powrót. I oczywiście sukces Dylana też – dodała szybko. – Musimy ci podziękować

za wyróżnienie, które spotkało mojego męża.

– Zasłużył jak nikt inny.

– Dziękuję. – Nicole uśmiechnęła się promiennie, ale Hugo dostrzegł napięcie w jej oczach. – To jak? Siódma?

Czuł, że tak łatwo się nie wykpi. Już chciał powiedzieć, że za dwa dni wraca do Polski, ale pomyślał, że ta wiadomość spowoduje jeszcze większy nacisk z jej strony, więc grzecznie potaknął, wpisał do telefonu adres domu państwa Nashów i pożegnał Nicole uściskiem dłoni.

Zamknął się w biurze, usiadł w klubowym fotelu, opuścił powieki i przez dłuższą chwilę rozmyślał o tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilkunastu dni. Działał jak w transie, szybko, szybko, szybko... Wizyta u notariusza, niekończące się rozmowy ze wszystkim partnerami, których wybrał, zebrania, spotkania... a wszystko jak na autopilocie. Nie potrafił inaczej, bo myślami i sercem był daleko. W Polsce. Tęsknił strasznie. Codziennie kładł się do łóżka z myślą, że właśnie kończy się kolejny dzień rozłąki i tylko to go pocieszało i pozwalało mu zapaść w płytki, nerwowy sen. Potarł policzki, otrząsnął się i jak zawsze przed południem zadzwonił do swoich dziewczyn.



Nicole i Dylan mieszkali w Beacon Hill, jednej z najbardziej luksusowych dzielnic Bostonu. Hajdukiewicza trochę to zaskoczyło, bo nawet brat jego matki dopiero kilka, góra dziesięć lat przed śmiercią, mógłby nie odczuć kosztów zakupu apartamentu w tym zakątku miasta. Ostatecznie wuj Henryk zdecydował się na przedmieścia, gdzie kupił piękny i duży dom, który teraz stanowił własność jego siostrzeńca, ale Hugo ani nie zamierzał go sprzedawać, ani też zmieniać ustaleń między zmarłym wujem a biurem nieruchomości, które wynajęło luksusowy budynek małżeństwu lekarzy.

Taksówka zatrzymała się przed zabytkową kamienicą, usytuowaną na wprost bostońskiego parku publicznego, i wtedy Hugo uznał, że cena mieszkania z taką lokalizacją musiała być zawrotna. Wszedł do budynku, portier już na niego czekał, bo od razu poinformował, na które piętro ma się udać, i po chwili Hajdukiewicz witał się z gospodynią wyjątkowo elegancko urządzonego apartamentu.

Zauważyła jego spojrzenie ślizgające się po wnętrzu salonu i wyjaśniła:

– To mieszkanie po rodzicach Dylana, a właściwie dziadkach. Jego dziadek, Louis Nash, był fabrykantem, niestety zbankrutował, a jedyne, co mu się ostało, to właśnie to miejsce. – Nicole rozejrzała się wokół z wyraźną dumą.

– Piękne.

– Czego się napijesz? Whisky?

– Chętnie.

– Ja też mam ochotę na coś mocniejszego. – Nicole zbliżyła się do zabytkowego barku i z wprawą napełniła dwie szklanki.

– Czyżbym przyszedł za wcześnie? – spytał Hugo, biorąc od niej jedną.

– Dylan dzwonił przed godziną. Niestety, spóźni się. Prawdopodobnie dotrze dopiero na dziewiątą. – Nicole zerknęła na zabytkowy ścienny zegar. – A znajomym rozchorował się dzieciak i... jesteśmy sami. – Przysiadła tuż obok swojego gościa, zzuła buty i podwinęła stopy pod siebie, zupełnie jak robiła to zawsze Łucja.

Hugo od razu nerwowo poprawił się na kanapie. Takiego obrotu sprawy się nie spodziewał, ale szybko ochrzanił się w duchu: „Nie zachowuj się jak idiota. Nicole i ty to przeszłość”.

– Jesteś głodny?

– Nie bardzo. – Zerknął na ławę suto zastawioną kilkoma półmiskami z sushi, sałatkami i pięknie przybranymi przystawkami. – Rozmowy się przeciągnęły i zjadłem kolację w biurze, ale twoim ebi maki nie pogardzę. – Sięgnął po zakąskę.

Przez chwilę opowiadali o Dylanie, o kancelarii i o tym, co ostatnio wydarzyło się w Bostonie, wspomnieli z nostalgią o studenckich czasach, o barze lodowym i stołówce z ofertą „jesz, ile chcesz”, studenckich imprezkach w kampusie i, dla kontrastu, o niezliczonych godzinach spędzanych w bibliotece, ale w końcu nadszedł czas na prywatne tematy. Nicole tak prowadziła rozmowę, że Hugo nie miał innego wyjścia i zdradził parę informacji o tym, kim i jaka jest jego żona, na prośbę gospodyni pokazał kilka zdjęć Łucji i Marysi, a nawet puścił krótki filmik nagrany przy okazji jednej z kąpieli. Z ulgą schował telefon do tylnej kieszeni spodni, gdy Nicole nasyciła ciekawość.

– Masz śliczną córeczkę – westchnęła, nie wiadomo który raz. – Podobna do ciebie. Te ciemne oczka. Wyrosnie na prawdziwą piękność.

– Dziękuję – powiedział Hugo, sięgając po kolejny kawałek sushi.

– Pewnie jesteś ciekawy, dlaczego jeszcze nie postarałam się o takie maleństwo.

– Nie mówisz, więc nie wypada mi pytać – odparł po namyśle, czując, że właśnie wszedł na bardzo grząski grunt, a raczej został tam świadomie wciągnięty.

– Nie mówię, bo to nic przyjemnego. Wtedy chyba coś mi uszkodzili. Usunięcie ciąży prawie w dwudziestym tygodniu często kończy się komplikacjami. Ten zabieg był tak późno, że... – Głos Nicole lekko się załamał

– Nie możesz mieć dzieci? – Nagle Hajdukiewicz poczuł coś na kształt litości zmieszanej z ogromnym współczuciem, ale i gniewem, bo przecież to nie był jakiś tam zabieg, lecz aborcja. I to jego dziecka, które teraz miałyby już ładnych kilka lat.

– Niestety. Bez większych problemów zachodziłam w ciążę, ale szybko roniłam i w końcu daliśmy sobie spokój. Lekarze nie wiedzą, jaka jest przyczyna niepowodzenia. Jedni mówią, że coś z macicą, a inni, że z układem rozrodczym wszystko w porządku. Byłam nawet na terapii dla kobiet, które poddały się aborcji. Bez efektów – westchnęła.

– A jakaś inna opcja? Surogatka? Przecież to legalne i całkiem niezłe dopracowane pod względem prawnym – zaproponował, starając się, żeby jego głos zabrzmiał jak najbardziej neutralnie i beznamiętnie.

– Dylan i in vitro? O czym ty mówisz? – zachnęła się Nicole. – Nie ma szans. Gdy się dowiedzieliśmy o mojej niepłodności, nie robił dramatu, ale któregoś dnia zupełnie nie wiem dlaczego i po co, powiedziałam mu o tym, co prawdopodobnie ją spowodowało. Dobrze, że ta jego religijność to miecz obosieczny, więc MUSIAŁ – stwierdziła z naciskiem i goryczą – mi wybaczyć, i NIE MÓGŁ się ze mną rozwieść, bo sumienie mu nie pozwalało.

– Żałujesz, że się przyznałaś? – spytał Hugo, widząc jej szkliste spojrzenie.

– Żałuję wielu rzeczy, ale akurat tego nie. Dylan jak mało kto zasługuje na prawdę. Najbardziej żałuję, że nie uciekłam z kliniki, gdy wieźli mnie na ten zabieg. Już wtedy żałowałam decyzji o aborcji.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Nicole... – wychrypiął Hugo. Jego gardło ściśnięte pod wpływem szoku odmawiało posłuszeństwa. Przecież był tam z nią, prosił do końca, żeby się zastanowiła. – Zabrałbym cię stamtąd i nigdy nie robił ci wyrzutów.

– Nic nie rozumiesz... – wykrztusiła z trudem. – Czułam się od ciebie gorsza, głupsza, słabsza. Przytłaczałeś mnie przez te wszystkie lata, kiedy byliśmy razem. Miałeś lepsze wyniki, choćbym nie wiem jak się starała, zawsze byłeś krok przede mną, i to bez żadnego wysiłku. W pewnym momencie nasz związek zaczął mi przypominać jakąś chorą olimpiadę, igrzyska, po których ty zawsze stawałeś na szczycie podium, a ja zadowalałam się srebrem albo brązem.

– Naprawdę tak to odbierałaś? – Z niedowierzaniem uniósł brwi. – Nie miałem takich intencji, przecież nieraz byłem z ciebie dumny, chwali...

– No właśnie! – przerwała mu. – Chwaliłeś, byłeś dumny, tą swoją okropną protekcyjną dumą rodzica. Jakbym była twoją córką, dzieckiem. A nie partnerką. Gdy zaszłam w ciążę, wreszcie poczułam, że pierwszy raz to ja rozdaję karty. To ja mogłam podjąć decyzję i podjęłam. A teraz do końca życia będę jej żałować.

– Zrobiłaś to, żeby postawić na swoim? – Hugo poczuł, jak jego serce ścisną się gdzieś głęboko w małą grudkę cierpienia. – Przecież mówiłaś, że to zbyt wcześnie, że twoja kariera... – zamilkł nagle.

– Chyba chciałam cię sprawdzić. Wiedziałam, że ci zależy na dziecku. W dniu, w którym się dowiedziałeś, gdy ci o nim powiedziałam... Nigdy przedtem

twoje oczy tak nie lśniły. Nagle poczułam się jeszcze gorzej. Ja... Chyba byłam zazdrosna o to dziecko, o twoją miłość do niego. I uznałam, że poddam cię próbie. Kiedy zgodziłeś się na aborcję, wreszcie choć przez chwilę poczułam, że naprawdę mnie kochasz. Tak bez granic, bez względu na to, co robiłam i jakie decyzje podejmowałam.

– Nicole, ja naprawdę tak właśnie cię kochałem... – wyjąkał. Mówił prawdę. Kochał ją wtedy, gdy wiozł ją do kliniki, gdy siedział na korytarzu i płakał z bezsilności, a lekarz w tym czasie dokonywał zabiegu, gdy wrócili do wynajmowanego mieszkania, a Nicole w przerwach między kolejnymi falami wymiotów wyklinała, że to przez niego tak cierpi. Jego uczucie nie słabło, kiedy przez kolejne miesiące oskarżała go, że zawinił, bo jej nie powstrzymał. Oparło się nawet temu, że Nicole wyłącznie Hugona uznała za odpowiedzialnego za aborcję. Bo w jego mniemaniu tak właśnie było. Mógł ją powstrzymać, nie zgodzić się na zabieg, ale się zgodził...

– Ale ja ciągle potrzebowałam potwierdzenia – kontynuowała. – Przez to, że czułam się gorsza. Mniej wartościowa. Kazałam ci się wynosić i już nigdy nie wracać, pamiętasz? A ty znów mnie posłuchałeś. Potem były święta, a ja jak głupia czekałam na jakąś wiadomość od ciebie – wyszeptala. – Telefon sprawdzałam chyba co minutę, w końcu pojechałam do twojego wujka. Gdy usłyszałam, że wróciłeś do Polski, spanikowałam. Dotarło do mnie, że to koniec. Że bezpowrotnie cię straciłam. Szalałam, chciałam natychmiast lecieć do Polski, odnaleźć cię i prosić o wybaczenie... ale nie robiłam tego, bo pomyślałam, że mnie nie kochasz, nigdy nie kochałeś, skoro nie walczyłeś.

– Uwierz, gdy wyrzuciłaś mnie z domu, złamałaś mi serce – wyznał nieco zbyt patetycznie Hugo, ale to było najbardziej adekwatne określenie tego, co czuł w tym momencie. I czuł przez kolejne lata, podczas których powoli zamieniał się w bazaltowy posąg, jak go kiedyś określiła Olga. Z niedowierzaniem pokręcił głową, bo właśnie sobie uświadomił, że przez lata nie znał prawdziwych intencji i odczuć kobiety, którą kiedyś bezgranicznie kochał. I to nieprawda, że nie walczył. Przecież próbował. Owszem, wrócił do Krakowa, ale szybko pożałował tej szalonej i spontanicznej decyzji. Tęsknił strasznie, nie mógł spać, jeść, żyć. W końcu się złamał i zadzwonił do wujka, żeby spytać, czy Nicole go nie szukała, a wuj odpowiedział, że nie.

Odpowiadał tak przez kolejne miesiące, aż w końcu jego siostrzeniec ustąpił. Może Henryk uznał, że Nicole nie zasłużyła na Hugona, a może chciał uchronić chłopaka przed jeszcze większym rozczarowaniem? Na to pytanie już nikt nie pozna odpowiedzi.

– Złamałam ci serce, a sobie życie... Do dzisiaj za to płacę i będę płacić. Na szczęście dla ciebie to już przeszłość. Promieniejesz, kiedy opowiadasz o swojej żonie i córeczce. A ja, gdy na ciebie patrzę, wiem, że nigdy nie przestałam

cię kochać... – Nicole podniosła szkliste spojrzenie na Hajdukiewicza. – Okłamałam cię. Pojechałam rano do twojej kancelarii, żeby cię zobaczyć, przekonać się, że to już za mną, bo przecież minęło tyle lat. Myliłam się. Dylan jest dla mnie dobry, czasami ja też jestem szczęśliwa. Czasami jestem... – wyjąkała i wysunęła dłoń, kładąc ją ostrożnie na miejscu, gdzie połyskiwała złota obrączka Hugona. – Czy mógłbyś mnie przytulić? Proszę...



Pani Hania denerwowała się całą drogę do Podola. Z trudem zaparkowała pod domem Łucji. Na obu poboczach piętrzyły się ogromne zasy. Wsiadła i znów spróbowała połączyć się z synem, ale w telefonie uparcie powtarzała się ta sama formułka: „Abonent czasowo niedostępny”.

– Ech, łotrze, niech ja cię tylko dorwę. – Martwiła się, bo Hugo od trzech dni nie dał znaku życia i nie wiedziała, czy wraca ze Stanów dzisiaj wieczorem czy jutro. Wzięła kilka głębokich wdechów, otworzyła furtkę i ostrożnie dotarła do budynku. Kochana Zosieńka jak zawsze zauważyła ją znacznie wcześniej i zanim zdążyła zadzwonić do drzwi, gospodyni już stała w progu, radośnie się uśmiechając.

Ledwie Hajdukiewiczowa weszła do środka, synowa od razu ją uspokoiła. Hugo miał wrócić nazajutrz po południu. Odetchnęła z ulgą, ale nadal była trochę zła, że jej nie powiadomił. W trójkę zjadły krupnik, bo Zosia się uparła. I choć co druga łyżka stawała jej w gardle, posłusznie opróżniła talerz zupy. Maśnikowa przyniosła zdjęcia, które zeszłego dnia przywiozła z Przeclawia Monika. We dwójkę przejrzały spory plik fotografii ze świątecznego pobytu ich „dzieci” w Tatrzańskej Łomnicy, bo Łucja wymówiła się praniem. Ledwie skończyły, a Marysia się obudziła. Kolejna godzina przeleciała w mgnieniu oka. Maleństwo też zjadło, zostało ciepło ubrane i razem z mamusią i obiema babciami wyprowadzone na krótki zimowy spacer.

Kilka razy przeszły wzdłuż głównej ulicy, prawie za każdym razem zaczepione przez którąś wścibską sąsiadkę, chcącą pooglądać „teściówkę” Łucji albo zajrzeć do wózka i zapiąć z zachwytem, że malutka to cała Maśnikówna lub wręcz odwrotnie: skóra żywcem zdjęta z pani Hani.

– Łucka, masz klucz. Ja muszę iść do Agatki – stwierdziła babka Zofia przy furtce. – Haneczko, nie gniewaj się, ale całkiem mi wypadło z głowy, że już wczoraj miałam ją odwiedzić. Pewnikiem mi znów jakaś kieckę uszyła i trzeba przymiarkę zrobić, zaś o szóstej mamy mszę za moich rodziców i wybieram się z Irenką i Agatką do Przeclawia.

– Och, to może ja przeszkadzam?

– Nie przeszkadzasz! Co też ci przyszło do głowy! Bardzo dobrze się składa,

że przyjechałaś, przynajmniej Łucka nie zostanie sama na tak długo.

– Chyba że tak. – Hania uśmiechnęła się blado.

Pożegnały się wylewnie i umówiły na ponowne odwiedziny nie później niż za dwa tygodnie. Hajdukiewiczowa weszła za synową do domu, pomogła jej rozebrać małą i nawet ululiła ją na rękach.

– Zrobię kawę – zaproponowała Łucja, gdy Marysia zasnęła na dobre w wózku ustawionym w kuchni.

– Chętnie. – Hanna przysiadła przy kuchennym stole i od razu odruchowo wygładziła ceratę.

– Mama ciągle się denerwuje? – spytała Łucja, zajmując miejsce obok.

– Trochę tak.

– Hugo jutro będzie na miejscu i na pewno od razu zadzwoni z lotniska – uspokoiła teściową.

– Co za gapa z niego. Żeby zapomnieć komórki? I co teraz?

– Mają ją wysłać FedExem.

– Z kim rozmawiałaś?

Łucja już miała powiedzieć, co naprawdę wydarzyło się w południe, ale jedyne, na co było ją stać, to nerwowo przełknąć ślinę i stwierdzić, że chyba z sekretarką.

Hajdukiewiczowej wcale to nie uspokoiło. Dobrze wiedziała, czym naprawdę się denerwuje. Tysiąc razy myślała, czy powinna powiedzieć Łucji o testamentie, i tyle samo, że to głupi pomysł, bo gdyby Hugo dowiedział się o jej niedyskrecji, pewnie zrobiłby karczemną awanturę, a nawet obraziłby się na śmierć. „Najważniejsze, że poskutkowało” – pocieszyła się w duchu, myśląc o uśmiechniętym synu, którego przed chwilą widziała na zdjęciach. Nagle coś sobie przypomniała, więc od razu przysunęła się do Łucji.

– Coś ci powiem... Wiesz, że się leczę onkologicznie... – zawiesiła głos.

– Wiem. Hugo mówił, ale przecież to nic groźnego? – Łucja od razu wzięła głęboki wdech.

– Nic się nie dzieje. – Hajdukiewiczowa od razu ją uspokoiła. – Byłam rano w instytucie na kontrolnych badaniach i wszystko w porządku.

– Boże, ale mnie pa... mama wystraszyła.

– Spokojnie. Naprawdę nic się nie dzieje. Moje torbielki mają się dobrze – zażartowała. – Mówię ci o tym, bo spotkałam tam Olgę.

– Olgę? – Łucja zmarszczyła czoło. – Tę przyjaciółkę Hugona?

– Tak. Nie chciała mi powiedzieć, co jej dolega, ale nie jestem głupia i zauważyłam, że to coś poważnego, bo wyglądała bardzo źle. Zaczepiła mnie pod ambulatorium. Czekala tam na jakiś zabieg.

– O matko – jęknęła Łucja. – Muszę do niej zadzwonić, kiedyś dała mi swój numer.

– Posłuchaj, dziecko. Nigdzie nie dzwoń, a przynajmniej na razie. Ona mi coś powiedziała. Prosiła, żeby cię przeprosić. Ciebie i mojego syna.

– Ale za co? – Łucja wybałuszyła oczy.

– Nie zdradziła mi szczegółów, a ja nie miałam sumienia wypytywać. Wyglądała jak trzy minuty przed śmiercią. Niestety, nie mogliśmy dłużej porozmawiać, bo przyszła pielęgniarka i ją zabrała. Możesz mi to wyjaśnić? – poprosiła.

– Nie mam pojęcia, za co Olga mogłaby nas przeproszać. – Łucja pokręciła głową. – Nic złego nam nie zrobiła, a już na pewno nie mnie. Zresztą widziałam ją na oczy raptem kilka razy i zawsze była wobec mnie bardzo miła. – Już miała wspomnieć o prezencie dla Marysi, ale ugryzła się w język, bo przecież grzechotkę otrzymała w tym samym dniu, w którym przyszedł anonimowy list od Solińskiego i na długie bolesne miesiące wyrócił jej życie do góry nogami.

– Chciałam to wyjaśnić, a wiesz, jaki jest mój syn. Nigdy mi nic nie mówi. Nawet nie wiem, o co im poszło z Adamem – powiedziała pani Hanna.

– Przecież się pogodzili – odpowiedziała Łucja. – Widziała mama zdjęcia. Znów się przyjaźnią, choć wiadomo, że teraz to chyba trochę inaczej niż przedtem. – Błady uśmiech przemknął przez jej twarz. Nie zamierzała tłumaczyć, jaki był powód trwającego ponad pół roku konfliktu między Solińskim a jej mężem. Ten ostatni nawet nie musiał prosić o dyskrecję.

– I Bogu dzięki. Ale Alicji to ja współczuję. – Pani Hania pokręciła głową, bo przypomniawszy sobie rozmowę z przyjaciółką, gdy ta zwierzyła się z sekretu syna.

Łzom nie było końca. I nie dlatego, że Adaś nigdy nie założy normalnej rodziny, a raczej że będzie mu znacznie ciężiej w życiu niż na przykład jego rodzicom.

– O Oldze powiedziałam, tobie córuchno, pierwszej, bo bałam się, że Hugo znów na mnie nakrzyczy, że się wtrącam – podjęła Hajdukiewiczowa.

Przez chwilę obie milczały, każda rozmyślając o tym, co ją dręczyło. Coraz mocniej kusiło panią Hanię, żeby jednak podjąć temat testamentu i na przykład spytać się synowej, co wie w tej kwestii, ale się bała. Przecież Hugo wyraźnie ją ostrzegł, że nigdy i pod żadnym pozorem ma nie poruszać z Łucją spraw związanych ze spadkiem po wuju Henryku.

Nie miała pojęcia, że jej syn o to samo poprosił swoją żonę. Pamiętnej nocy, kiedy do siebie wrócili, powiedział, że już nigdy nie chce słyszeć ani słowa o tym przeklętym testamencie. Obie związała obietnicą milczenia: żonę prośbą, matkę groźbą. Jednakowoż groźba była mniej skuteczna, bo Hajdukiewiczowa w końcu nie wytrzymała i pozornie obojętnym głosem zapytała Łucję, czy wie, po co Hugo poleciał do Bostonu aż na dwa tygodnie.

– Nie mówił mi dokładnie. Wspomniał, że jakieś pełnomocnictwa mu

wygasty i że już kilka lat nie był na walnym zgromadzeniu starszych partnerów. Chyba tyle. – Wzruszyła ramionami. – Myślałam, że mama coś wie.

– Hm... Mnie powiedział to samo.

– Czyli tak musi być. Skoro obie znamy tę samą wersję – stwierdziła Łucja.

– Może i tak, dziecino. – Hania leciutko chrząknęła, bo coś załaskotało ją w gardle. Nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że synowa nie jest wobec niej szczerą. Ale nie mogła mieć do niej pretensji, bo przecież ona sama też skrywała sekret, który ciążył jej do tego stopnia, że pierwszy raz w życiu nie była w stanie iść do spowiedzi przed świętami, a poza tym jak miała prosić Boga o odpuszczenie grzechów, skoro na razie nie mogła wyznać synowi prawdy i mu zadośćuczynić? Na pociechę ostało jej się to, że matczyzna intryga chyba odniosła skutek. Ale głos sumienia nie dawał jej spokoju. Żeby go zagłuszyć, musiała mieć pewność.

– Powiedz mi, córciu, czy między wami wszystko dobrze? – zagała.

– Tak, dlaczego mama pyta? – Łucja aż drgnęła, gdy usłyszała słowa teściowej.

– Bez powodu. Wiem, jaki Hugo potrafi być skryty. Nigdy mi nic nie mówi. Mój syn bardzo cię kocha, choć czasami pewnie tego nie okazuje. Ale zrozum go, on nie jest złym człowiekiem. Po prostu kiedyś się zagubił. Coś się stało w jego życiu. Pewna dziewczyna postąpiła bardzo źle wobec niego. – Zwiesiła głowę. – Choć akurat to on sam powinien ci opowiedzieć. Nie myśl, że go tłumaczę, ja chciałabym, żeby był szczęśliwy. Tylko tyle.

– Ale o czym mama mówi? – spytała Łucja. Jak miała powiedzieć teściowej, że kilka godzin temu zadzwoniła do męża i to, co usłyszała w słuchawce, kolejny raz ugodziło ją w serce i poważnie nadszarpięło z trudem odbudowane zaufanie?

– O niczym konkretnym – szybko odpowiedziała Hajdukiewiczowa. Zauważyła, jak bardzo Łucja zmieniała się na twarzy. Przeraziło ją to. Dziewczyna wyraźnie zbladła, a jej twarz ściągnęło skrywane przez długi czas cierpienie. „Czyżbym się pomyliła? – pomyślała strwożona. – Może między nimi nadal jest źle, a te zdjęcia ze Słowacji to jakaś mistyfikacja?”

– Porozmawiajcie. Wyjaśnijcie tę sprawę z Olgą. I z Nicole – dodała bez namysłu.

– Z Nicole? – Łucja przełknęła gulę, która natychmiast pojawiła się w gardle.

– To... ta dziewczyna, która kiedyś... – Hanna zamilkła. Już wiedziała, że popełniła kolejny błąd. Znow ten sam błąd co zawsze. W uszach zadudniły słowa syna: „Nicole nie ma i nie będzie”. – Przepraszam, niepotrzebnie się wtrącam. To jego sprawy. On musi ci to wyjaśnić. Pamiętaj, że Hugo kocha cię nad życie. I Marysię też. Pójdę już – westchnęła. – Prawie siódma, zaraz wróci Zosia, a ja wolałabym dzisiaj już się z nią nie spotkać. – Nagle zaczęła sprawiać wrażenie osoby, której bardzo się spieszy: wstała, nerwowym ruchem wygładziła spódnicę,

poprawiła apaszkę, potem fryzurę, a wszystko drżącymi dłońmi.

– Rozumiem. Odprowadzę mamę. – Łucja wstała z krzesła.

Pożegnały się wylewnie i Hajdukiewiczowa wsiadła do samochodu. Zerknęła na dom Maśników. W oknie stała synowa i machała jej ręką. Odpowiedziała światłami i ruszyła powoli, bo przez te kilka godzin znów nasypało śniegu. Była zamyślona, pewnie dlatego nie zauważyła warstwy lodu na zakręcie drogi. Próbowwała się wyratować, ale bezskutecznie. Peugeot zatańczył w miejscu, wykonał piruet i prawym bokiem zsunął się do rowu, na szczęście wypełnionego po brzegi miękkim puchem.

– Niech to szlag! – Hajdukiewiczowa bezsilnie uderzyła dłońmi w kierownicę. Popatrzyła na torebkę. – I do kogo ja teraz mam zadzwonić? – jęknęła. Stwierdziła, że może liczyć jedynie na rodzinę Łucji. Z trudem wydostała się z samochodu i szybko rozejrzała wokół. Utknęła w szczerym polu. Znikąd pomocy. Najbliższe zabudowania oddalone były o dobrych kilkadziesiąt metrów. Wyjęła telefon, a ten jak na złość piknął kilka razy i zgasł.

– Nie! – Jeszcze raz rzuciła wzrokiem na majaczący w oddali dom. – Jak tam dojdę w tych butach? – Przeniosła spojrzenie na kozaczki na szpilce. – Mam za swoje! To pewnie kara za moje gadulstwo. – Postanowiła chwilę poczekać. „A nuż ktoś tędy pojedzie?” – zastanawiała się, czy tą właśnie drogą będzie wracać Zosieńka. Z trudem otworzyła drzwi i zgasła silnik, żeby nie zużył paliwa. Przez moment rozważała, czy zostawić zapalone światła. Uznała, że akumulator powinien trochę wytrzymać. Opatuliła się cienkim kożuszkim, włożyła kaptur, a dłonie wsunęła w rękawy. Dreptała w miejscu dobry kwadrans, gdy daleko na horyzoncie pojawiły się światła.

– Boże, jestem uratowana – westchnęła z ulgą, bo już całkiem skostniała, a buty zaczęły przemakać. Śledziła wzrokiem nadjeżdżający samochód. Poruszał się powoli i ostrożnie, więc trochę to trwało, zanim dotarł. Kierowca od razu ją zauważył, nawet nie musiała machać ręką. Zresztą światła peugeota wymierzone w niebo jasno sygnalizowały, że jest problem.

Czarna toyota zatrzymała się z głośnym skrzypieniem śniegu pod kołami.

– Dobry wieczór! – krzyknął kierowca do Hajdukiewiczowej przez opuszczoną szybę. – Pomóc?

– Jakby pan mógł, będę bardzo wdzięczna! – odpowiedziała.

– Już się robi! Mam co potrzeba, zaraz panią wyciągnę! – odkrzyknął wesoło. – Ma pani hak?

– Chyba nie.

– To nic. Zwiążemy o wahacz! – Mężczyzna wysiadł, okrążył samochód i po chwili wyszedł zza bagażnika, trzymając w ręku linę do holowania. Zbliżył się do Hajdukiewiczowej i od razu zerknął na tablicę rejestracyjną.

– Widzę, że pani nie stąd. Ja z niedaleka, bo z Tarnowa. Ornecki. –

Wyciągnął dłoń.

Nie odpowiedziała od razu. Stała, patrzyła na mężczyznę i zdawało jej się, że cały świat właśnie się zatrzymał. Przed oczami przewijały się obrazy: krótkie migawki nagle wydarte z najbardziej zakurzonych zakamarków pamięci. Słyszała przebłyski dźwięków: tembru głosu i śmiechu jej kochanka. Znów jego oczy błyszczały jak gwiazdy, gdy szeptem wyznawał jej miłość... To wszystko wróciło. Nawet bardzo delikatna nuta zapachu jego ciała snuła się w mroźnym powietrzu, aż dotarła do jej nosa.

– Marek? – wyszeptała Hania. – To naprawdę ty? – powtórzyła, bezwiednie ściągając z głowy kaptur, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

– Hania... – wychrypiał. – Hania Hajdukiewiczówna.

Rozdział 16

Śnieg walił grubymi płatami, jakby chciał zakryć cały Kraków. Hugo odetchnął z ulgą, gdy samolot w końcu osiadł na pasie. Szybko przebył odprawę i pobiegł na parking, gdzie zastał całkowicie przysypany samochód. Pobieźnie odgarnął śnieg, władował walizkę na tylne siedzenie, bo zamek bagażnika odmówił posłuszeństwa, odpalił silnik i zacierając zgrabiąle z zimna dłonie, czekał, aż szyby się oczyszczą.

Nagle przypomniał sobie, że przecież w schowku zostawił służbową komórkę, i aż zacisnął kciuki z radości. Przez dwa tygodnie na pewno się rozładowała, ale w samochodzie miał też ładowarkę. Błyskawicznie podpiął urządzenie i już po chwili mógł zadzwonić do żony. Niestety, nie odbierała. Hugo zerknął na zegarek, dochodziła jedenasta. Pomyślał, że może Łucja już śpi, mimo to spróbował jeszcze raz. Bez skutku.

Wobec tego wybrał domowy numer matki. Tego, że nie śpi, był pewien, gdyż Hajdukiewiczowa rzadko kiedy kładła się przed północą. Często czytała nawet do drugiej lub trzeciej nad ranem, zawsze miała lekki sen, a i z jego długością było coraz skromniej: obecnie wystarczało jej pięć, sześć godzin snu na dobę.

– *Damn!* – cicho zaklął Hugo. – Poumieraliście? – Wybrał ponownie numer matki, później jej komórki i jeszcze raz domowy, bo poprzedni był wyłączony. – *Holy fucking crap!* – Rzucił aparat na siedzenie, ale zaraz ponownie go uruchomił, by przeglądnąć książkę kontaktów. Żałował, że do tego telefonu nie wpisał domowego numeru Maśników. Ale miał taki do Solińskich. Choć jeszcze nie dopuszczał do siebie żadnych czarnych myśli, już zaczął czuć dziwny niepokój, bo szalejąca wokół śnieżna burza wcale nie nastrajała optymistycznie. Wybrał numer Alicji Solińskiej, przestawił komórkę na zestaw głośnomówiący w samochodzie i powoli wyjechał z parkingu.

– Halo? Kto mówi? – po drugiej stronie zabrzmiał głucho baryton pana Tadzika.

– Dobry wieczór, Hugo Hajdukiewicz. Przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale...

– Hugo?! Witaj chłopcze! Coś się stało? – przerwał mu sąsiad matki.

– Panie Tadeuszu, właśnie przyleciałem do Balic. Mam prośbę. Dzwoniłem do mamy, ale nie odbiera, ani domowego, ani komórki, mógłby pan podejść i sprawdzić, co się dzieje?

– Pewnie, że mogę, ale Alicja mi tu mówi, że twoja mamusia wybierała się dzisiaj do Podola, do twojej żony.

– Rozumiem. Jeszcze nie wróciła?

– Alusia mówi, że chyba nie, bo nie ma jej samochodu. Poczekaj... Wygląda

właśnie przez okno... Nie. Na pewno nie ma auta Haneczki.

– A w domu jej nie ma? – Hugo poważnie się zaniepokoił.

– Daj nam minutę, sprawdzimy.

Nie czekał beczynn timer, od razu skierował się na zjazd do Tarnowa. Zaczął się bać. Wprawdzie kierowca z matki był niezły, ale w taką pogodę nawet najlepsi mieli problem z panowaniem nad pojazdem, poza tym jej samochód wcale nie należał do tych najbezpieczniejszych.

Gdy Solińscy potwierdzili, że drzwi u Hajdukiewiczowej zamknięte są na głucho, i byli nawet tak uprzejmi, że wyszli na zewnątrz i sprawdzili, że w oknach się nie świeci, Hugo zdenerwował się jeszcze bardziej. Całą drogę do Podola umierał ze strachu, rozglądał się na boki, czy gdzieś w rowie nie leży peugeot matki, i co dziesięć minut próbował połączyć się z Łucją, ale wszystko na nic.

Adrenalina krążyła mu we krwi w stężeniu jak po najmocniejszej włoskiej kawie. Zupełnie zapomniał, że jest na nogach od ponad doby, śmiertelnie zmęczony, bo w czasie lotu do Londynu nie zmrużył oka na dłużej niż kwadrans. Później zaliczył dwugodzinną przerwę na Heathrow i stres, czy uda się wylecieć, bo nad całą Europą szalała śnieżycyca. A teraz jeszcze to.

Gdy w końcu Hugo dotarł na miejsce, Podole zdawało się martwe. Było już po północy, wokół panowała cisza. Tak przejmująca, że gdy Hajdukiewicz wyskoczył z samochodu, usłyszał bicie własnego serca. Nawet pies Maśników nie zareagował na przyjazd gościa, bo babcia Zosia zamknęła go na noc w piwnicy.

Hugo nacisnął dzwonek przy furtce i przez kilkanaście ciągnących się w nieskończoność sekund czekał na jakikolwiek odzew. W końcu zapaliło się małe światełko nad gankiem, drzwi uchyliły się z głośnym skrzypnięciem, a do mężczyzny dobiegł najśłodszy głos, jaki mógł w tym momencie usłyszeć.

– Kto tam? Hugo?! To ty?!

– Otwórz! – krzyknął niecierpliwie.

– Jest otwarte, bramka przymarzła! Musisz mocno nacisnąć.

Kilka chwil później stał w ciepłym korytarzyku i tulił w ramionach Łucję, dziękując Bogu, że chociaż ona i oczywiście mała są bezpieczne, zdrowe i żywe.

– Co tu robisz? – wysapała Łucja z jego silnych objęć.

– Przyleciałem wcześniej. Posłuchaj, nie wiesz, gdzie jest moja matka? –

Odsunął ją na odległość ramion.

– Pani Hania? A nie ma jej w domu? – Łucja od razu się zaniepokoiła. – Była tu dzisiaj, ale wyjechała koło siódmej.

– Nie ma. Dzwoniłem do Solińskich, sprawdzili. Nie ma jej, nie ma auta. Komórkę ma wyłączoną – szybko zdał relację. – Próbowałem do ciebie dzwonić, ale...

– O Boże! Wyciszyłam telefon. Wejdz, rozbierz się. Zrobię ci coś ciepłego

do picia i zaraz coś wymyślimy. Po cichu, bo babcia śpi. Na pewno nic się nie stało, bo przecież... – zamilkła, uświadamiając sobie nagle, że tak naprawdę nie ma żadnego rzeczowego argumentu, żeby uspokoić spanikowanego męża. Zaprowadziła go do kuchni, naszykowała kubek gorącej herbaty z grubym plastrem cytryny i usiadła przy stole tuż obok Hugona. – To się na pewno wyjaśni. Może jest u jakiejś koleżanki? – spytała po chwili.

– Mama nie ma żadnych bliskich koleżanek poza Alicją i jeszcze tą babką znad morza, przecież wiesz – odparł Hugo. – Na zewnątrz jest paskudnie, nic nie widać. Sam nie wiem, może zadzwonię na policję, czy nie mieli jakiegoś zgłoszenia?

– Uhm. To bardzo dobry pomysł! – potaknęła Lucja.

Dziesięć minut później nadal nie wiedzieli nic, oprócz tego, że w ciągu ostatnich sześciu godzin nie odnotowano żadnego wypadku ani kolizji na trasie między wioską Podole a Krakowem.

– Nie martw się... – Lucja siedziała, skubiąc nerwowo pasek od szlafroka, w końcu nie wytrzymała, wstała i mocno przytuliła męża. Tylko raz widziała go tak bardzo przejętego, wtedy, gdy myśleli, że ich małżeństwo jest śmiertelnie chore. – Skoro nie było żadnego wypadku, na pewno nic jej nie jest – pocieszała go.

– A co to się dzieje? Łucka?! – Nagle dobiegł ich od drzwi głos Maśnikowej. – Hugo? Chłopcze, wróciłeś? Kiedy? I cóż ty tu robisz po nocy? Co się stało, na miłość boską?! – pisnęła, a gdy podeszła do nich, zauważyła, że oboje wyglądają bardzo niewyraźnie.

Wnuczka błyskawicznie opowiedziała jej, co się stało. Babka siadła przy nich, zadała co najmniej dwadzieścia pytań, obsztorcowała młodych, że od razu jej nie obudzili, aż w końcu zmarszczyła czoło, przez moment mocno się zamyśliła i jak nie wypali:

– Wiem! Dzięki, dobry Boże! – Wniosła oczy ku górze. – Od razu trzeba było się do Świętego Antoniego pomodlić, patrona rzeczy zagubionych! Ot co.

– Babciu, co ty mówisz? – Lucja pokręciła głową.

– Posłuchaj, chłopcze! – Klepnęła „zięcia” w zlodowaciałą dłoń. – Dzisiaj Agatka mówiła, że pan Mareczek się do nich wybierał... ale nie dojechał. Zadzwonił koło ósmej, przeprosił i powiedział, że coś bardzo ważnego mu wypadło.

– I co w związku z tym? – Hugo od razu się zjeżył, gdy usłyszał imię ojca.

– I tak mnie się wydaje, że oni się spotkali.

– Moja matka i Ornecki trafili na siebie?

– Na pewno. Bo pan Marek nigdy, ale to nigdy nie odwołuje wizyt.

– Babciu, myślę, że tym razem to pojechałaś. – Lucja wywróciła oczami.

– A założymy się? – Uśmiechnęła się figlarnie Maśnikowa.

– Babciu... Ty coś wiesz! – Wnuczka aż tupnęła nogą obutą w miękkie

pantofel.

– A ja tam nie wiem zbyt wiele, ale gdy wracałyśmy z kościoła, widziałam rozgrzebany śnieg na tym zakręcie, niedaleko od domu Krzyczkowskich, a poza tym pan Mareczek mówił, że musiał komuś pomóc. Kobięcie w potrzebie. Tak powiedział Agatce.

– Kiedyś z wami oszaleję – westchnęła Łucja.

– Czy ma pani... czy mogę dostać numer telefonu do... – Hugo dwukrotnie się zaciął. Miał problem zarówno ze zwracaniem się do Zofii Maśnik per babciu, jak i mówieniem o swoim ojcu inaczej niż po nazwisku.

– A mam ten numer! Zapisałam w kajeciku, poczekaj, chłopcze – odparła babka Zofia. – Łucka, weźże mu zrób coś do jedzenia, patrz, jaki to zimny i blady siedzi, jak trupica jakaś wygląda – obsztorcowała wnuczkę, wstając od stołu.

– Naprawdę nie jestem głodny – zaprotestował Hugo, ale natychmiast zamilkł, bo babka Łucji najpierw zgromiła go wzrokiem, a za chwilę postawiła przed nim talerz tego samego krupniku, którym kilka godzin temu zajadała się jego matka. Musiał go zjeść i dopiero wtedy Maśnikowa wręczyła mu sfatygowany niebieski zeszyt pamiętający czasy Gierka.

– Dzwon, synku. Wprawdzie środek nocy, ale w takich okolicznościach wszystko uchodzi – stwierdziła.

Biedny Hugo liczył, że obie panie zostawią go choć na chwilę samego, niestety, szybko pozbył się złudzeń. Nie dość, że nie wyszły z kuchni, to jeszcze Maśnikowa prawie usiadła mu na kolanach, gdy wstukiwiał numer Orneckiego do komórki.

– Halo, tu Hajdukiewicz... – chrząknął, bo grudka kaszy utkwiała mu w gardle. – Dobry wieczór, przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale... – nie dokończył. – Uhm... Bardzo proszę... – wyjąkał z trudem. – Mamo?! – Od razu zmienił ton. – Chciałem tylko powiedzieć, że jesteś skrajnie nieodpowiedzialna! Skrajnie! Tak, wróciłem... Była okazja i wróciłem wcześniej... W Tarnowie?... W porządku. Jutro porozmawiamy. Dobranoc – rzucił groźnym tonem. I aparatem, tak że ten przejechał przez całą długość stołu.

Łucja aż podskoczyła, gdy usłyszała, jak Hugo wrzasnął na matkę.

– I co? – spytała, ledwie skończył rozmowę.

– Co to ma być?! – krzyknął, jeszcze bardzo wzburzony. – Jak ona się zachowuje?! Niepojęte! Tak mnie wystraszyć!

– Chłopcze, dziękuj Bogu, że wszystko z nią dobrze – stwierdziła Maśnikowa. Ani słowem nie zająknęła się o Orneckim. Jej serce śpiewało z radości. Nie tylko wszystko się wyjaśniło i już nie musiała ukrywać prawdy przed Hanusią, ale i wyszło na to, że chyba rodzice „zięcia” jakoś się dogadali, skoro pojechali razem do Tarnowa. Dziękowała Bogu za tę śnieżycę, bo gdyby nie to, Hania i pan Mareczek pewnie minęliby się na drodze, nie wiedząc, że byli tak

blisko siebie.

– Przepraszam. – Szybko się pokajał.

– No to skoro wszystko się wyjaśniło, ja idę spać. I wy też się kładźcie, ale to już. Łucka, pościel no mężowi w gościnnym, dobrze? – poleciła Maśnikowa. Wprawdzie jej wnuczka wzięła ślub z Hajdukiewiczem, a maleńka Marysia była wystarczającym świadectwem, że młodzi nie zasypiali gruszek w popiele, ale spać pod jej dachem w jednym łóżku bez świętego węzła? Na to nie mogła pozwolić. Przynajmniej oficjalnie. A czy ktoś jej zamierzał posłuchać, czy nie, to już nie była jej sprawa.

– Dobrze, babciu. – Łucja nawet nie zamierzała polemizować z opiekunką. Zaprowadziła męża do łazienki, wręczyła mu świeży ręcznik, a gdy brał prysznic, szybko zmieniła pościel na wersalce w sypialni gościnniej i poczekała tam na niego, żeby choć pocałować go na dobranoc.

– Muszę tu spać? – jęknął Hugo, ledwie przekroczył próg pokoju. Od razu nie spodobał mu się pomysł, żeby spali osobno. A gdy okazało się, że w pomieszczeniu jest zimno jak w kostnicy, jeszcze bardziej wzdragał się na myśl, że miałby spędzić tu noc.

– Hm... Chyba nie masz innego wyjścia. – Łucja wydeła usta.

– Chcę zobaczyć małą – wyszeptał, trwożnie się obracając, bo coś usłyszał w korytarzu.

– Okej, chodź. Tylko po cichu... – Jego żona przyłożyła palec do ust. Wyszli, zgasili światło i na palcach przeszli do pokoiku Łucji. Oczywiście pierwsze, co zrobił Hugo, to wyjął Marysię z łóżeczka turystycznego, przytknął do twarzy śpiącą córeczkę i delikatnie ucałował. Usiadł z nią na brzegu wąskiej leżanki, na której sypiała Łucja, i minutę trwał wtulony w delikatną i pachnącą oliwką twarzyczkę dziecka.

– Boże, jak ja się za nią stęskniłem – westchnął. – I za tobą też. – Zerknął na siedzącą obok żonę. Wyglądała tak ślicznie w świetle małej nocnej lampki, że aż poczuł ściskanie w dołku. Dopiero teraz mógł spokojnie na nią popatrzeć i znów nie był w stanie uwierzyć, że jest jego żoną, że w każdej chwili może wziąć ją w ramiona i powiedzieć: „Kocham cię”.

– My też tęskniłyśmy – odparła Łucja i odruchowo zagryzła kącik ust, bo nagle znów jej się przypomniało, co frapowało ją od południa, a o czym przez całe to zamieszanie z panią Hanią kompletnie zapomniała.

– Położę ją. Bo chyba jej niewygodnie – uznał Hugo, widząc, że jego ukochane maleństwo zaczyna się niepokojąco wiercić i przeciągać. Ostrożnie ułożył Marysię w łóżeczku, czule okrył kołderką i jakby nie mógł się z nią ostatecznie rozstać, jeszcze przez moment stał nachylony, głaszcząc delikatnie ciepłą główkę.

– Jest taka słodka... – westchnął do siebie. W końcu się wyprostował

i popatrzył na Łucję. Aż zacisnął zęby, gdy pomyślał, że musi wracać do tej lodowni, która miała być jego sypialnią. – Mogę na chwilę położyć się obok ciebie? – spytał, znów nerwowo zerkając w stronę zamkniętych drzwi.

– Pewnie. Babcia już śpi. Spokojnie... – zachichotała, widząc, jaki jest spłoszony. – Uprzedzam, będzie ci ciasno. I za krótko.

– Za krótko? Zmieniłem zdanie, zamierzam tu zostać aż do rana – wyszeptał, próbując jakoś się zmieścić na wąskim tapczaniku i pod jeszcze węższą kołderką. – Zgaś światło.

– Okej. Jak chcesz. Powiedziałam, że za krótko, bo jesteś zbyt wysoki na to łóżko.

– Damy radę.

– Skoro tak twierdzisz...

– Wygodnie ci? – spytał po chwili moszczenia się na brzegu leżanki. Choć podkurczył nogi, i tak stopy wystawały poza krawędź materaca, a kolana opierały się o kolana Łucji. – Może położę się od ściany? Co ty na to?

– Oj nie, bo zaraz mnie zepchniesz. – Łucja nie mogła już wytrzymać i zaczęła się chichrać. – Hugo, to łóżko naprawdę jest wąskie. Idź do gościnnego.

– Mam pomysł...

– Jaki?

– Któraś z nas musi położyć się na drugim.

– Aha. Ciekawe rozwiązanie.

– Ciekawe i jedyne możliwe – mruknął. – Chodź tu... – Nagle zagarnął ją ramieniem i mocno przycisnął do siebie. Wsunął dłoń pod krawędź podwiniętej do góry koszuli nocnej Łucji i głośno wypuścił powietrze, gdy poczuł pod palcami skurczoną brodawkę piersi. – Pragnę cię... – jęknął, wzbudzając w żonie falę gorącego pożądania. Nawet nie bawił się w zdejmowanie koszuli, zdarł z niej jedynie majtki i jeszcze szybciej pozbył się swoich bokserów.

– Uch... – jęknęła Łucja, gdy w nią wszedł.

– Obejmij mnie – polecił.

Zarzuciła mu ręce na szyję, a nogami oplotła plecy tak mocno, że nikt nie byłby w stanie ich rozdzielić.

– Powiedz, że mnie kochasz – poprosił, delikatnie nią kołysząc, choć czuł, że wkrótce nadejdzie spełnienie, a on nie będzie w stanie go powstrzymać.

– Kocham cię, Hugo.

– Ja też cię kocham – wychrypiął w odpowiedzi. – Powiedz, że zawsze będziesz mnie kochać, że jest ci ze mną dobrze.

– Hugo... Zawsze będę cię kochać... – wykrztusiła z trudem Łucja, bo ona również zaczęła balansować na krawędzi nadchodzącej rozkoszy. – Jest mi z tobą dobrze, zawsze było, przecież wiesz.

Nagle się zatrzymał. Wyciągnął przed siebie rękę i po omacku odnalazł

kabel lampki. Cyknęło światełko.

– Powiedz, że mnie kochasz – powtórzył, patrząc jej prosto w oczy. – Powiedz, że choćby nie wiem, co się stało, choćbym nie wiem, co zrobił, zawsze będziesz mnie kochać.

– Hugo... ale ty nic nie zrobiłeś? Nie zrobiłeś niczego złego? Prawda? – Przełknęła ślinę przez nagle ściśnięte strachem gardło.

– Nie. Nigdy cię nie skrzywdzę, przysięgam.

– Zawsze cię będę kochać. Zawsze – wykrztusiła po chwili.

– Ja też. Zawsze. – Jeszcze mocniej przywarł do Łucji i do końca patrzył prosto w jej rozszerzone pożądaniem źrenice, powtarzając, że ją kocha, w krótkich przerwach między pocałunkami. Nie zamknął oczu, jak to zwykle robił, gdy docierał na szczyt spełnienia. Chciał ją widzieć, słyszeć i czuć całym sobą. Nie mógł uronić nawet milisekundy czasu, w którym drżała w jego ramionach, i dopiero kiedy jej ciało łagodnie opadło, rozluźnione przeżyta rozkoszą, sięgnął do wyłącznika, zgasił światło, zsunął się z niej i natychmiast zasnął.



Pracownica McDonalda kolejny raz podeszła do pary siedzącej w najbardziej odosobnionym kącie restauracji i z dezaprobatą pokręciła głową. Było już po pierwszej, a ci państwo dalej siedzieli przy stoliku i zjadali po jednej frytce na kwadrans już od dobrych pięciu godzin.

– Przepraszam bardzo, ale naprawdę zamykamy. I tak przedłużyliśmy godziny otwarcia – powtórzyła to, co mówiła przed dwudziestoma minutami. – Musimy zamknąć kasy.

– Chodźmy – stwierdził z żalem Ornecki. Hania poprawiła apaszkę, włożyła swój cienki kożuszek i wzięła go pod ramię. – Co teraz? – spytał, ledwie wyszli na zewnątrz.

– Jadę do domu, już późno – westchnęła Hajdukiewiczowa i popatrzyła w niebo. Płatki śniegu oświetlone latarnią parkingową zdawały się połyskiwać na złoto i pomarańczowo, zupełnie jakby ktoś rozwiązał wielki worek z cekinami i rozsypywał je teraz nad Tarnowem.

– Nie puszcze cię w taką pogodę – zaoponował Marek. Chwycił ją za ramiona i obrócił w swoją stronę. – Jedź ze mną, przenocujesz, a rano może to szaleństwo się skończy – zerknął w górę – wtedy przywiozę cię tutaj i wrócisz do Krakowa.

– Mam zostawić samochód i u ciebie przenocować?

– Tak.

– To kiepski pomysł.

– Haniu... – jęknął. – Przecież wiesz, że... Obiecuję, będę spał osobno. Zgódź

się. Proszę.

– Hugo mnie zamorduje, gdy się dowie, że u ciebie zostałam.

– Raczej mnie. – Ornecki znacząco chrząknął. – Wolę to, niż bać się o ciebie do rana. Już jedną przygodę dzisiaj zaliczyłam.

W końcu się zgodziła. Podreptała posłusznie do samochodu Marka. Dosyć szybko, jak na panujące warunki, dotarli na osiedle, gdzie mieszkał Ornecki. Aż ugięły się pod nią nogi, kiedy zauważyła adres na tabliczce przy wejściu do klatki schodowej. Nigdy nie zapomniała nazwy tej ulicy i tego numeru domu. Jedyne drobny detal: byli w Tarnowie, nie w Warszawie, jak wprowadził ją w błąd Marek ponad trzydzieści lat temu.

Zrobił herbatę. Hajdukiewiczowa poprosiła o miętową, bo po zimnych frytkach rozbolał ją żołądek. Poszła się odświeżyć w łazience, a teraz chlipała powoli gorący napar, przypominając sobie ich rozmowę sprzed paru godzin.

Zaczęli od najłatwiejszego. Od tego, co świeże, miłe, bezproblemowe i niewinne. On opowiedział o Dominisium, swoim wnuku łobuzie, a ona o najukochańszej Marysi, najśodszej dziewczynce pod słońcem. Później chwalili się synowymi, Hania rozpływała się nad Łucją, a Ornecki w niczym jej nie ustępował, gdy mówił o Justysi, żonie Mariuszka. Płynnie przeszli do klanu Maśników. Oboje zaśmiewali się do łez, przerzucając się wzajemnie co śmieszniejszymi anegdotami o Agatce, Irencie i nestorce rodu, babce Zofii. Hajdukiewiczowa stwierdziła, że Zosięńka to człowiek-dusza i że nie zna lepszej kobiety, babki i matki.

Sprawiali wrażenie radosnych, ale przecież kiedyś musiał nastąpić pierwszy przykry moment. Marek już wcześniej wyjaśnił Hani, jak się miały rzeczy z sekretem, który znali wszyscy oprócz niej. Opowiedział o przebiegu wizyty u syna i co czuł, gdy Hugo wyrzucił go z biura i zakazał zbliżyć się do niej. I właśnie wtedy zadzwonił ich syn, a chwilę później musieli opuścić restaurację.

– Zamyśliłaś się – westchnął Marek.

– Jest nad czym myśleć – odparła Hania, podnosząc na niego wzrok.

Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć, że to on, Marek Ornecki, pierwszy i jedyny mężczyzna w jej życiu, którego kochała, któremu urodziła syna i który tak haniebnie ją oszukał i po prostu uciekł z jej życia jak ostatni tchórz.

Zmienił się, ale ona też się zmieniła. Upłynęło przecież ponad trzydzieści lat od chwili, gdy żegnali się nad Balatonem, piękni, młodzi i, jak wtedy myślała, zakochani w sobie i na zawsze, do ostatnich dni. Nadal był przystojny i męski, miał niezłą sylwetkę, a jego gęste ciemne włosy tylko na skroniach przyprószyła siwizna. Ale oczy były inne: przygaszone i smutne, patrzyły na świat jak przez mleczną szybę, a woal żalu tłumiał ich blask.

– Jeszcze nie poprosiłem cię o wybaczenie. Nie wiem, czy mam do tego prawo, pewnie nie, ale spróbuję chociaż trochę się wytłumaczyć – chrząknął. – Gdy

wróciłem do Tarnowa i dowiedziałem się, że będę miał nieślubne dziecko z uczennicą, zawalił mi się cały świat. Parę dni później plotka rozniosła się po całym Tarnowie, wyrzucili mnie ze szkoły, a na koniec żona relegowała mnie z domu... Był taki moment, że... Którejś nocy pojechałem za miasto, pod ruiny.

– Jakie ruiny?

– Zamku Tarnowskich.

– Po co?

– Tam wszędzie są lasy: wysokie i stare drzewa z mocnymi konarami.

Wziąłem ze sobą napisany wcześniej list, grubą linię...

– Przestań. – Hanna zakryła usta, jakby to spomiędzy jej warg wypływały te straszne wyznania.

– Przecież nie zrobiłem tego. Choć raz moje tchórzostwo wyszło mi na dobre. Przesiedziałem całą noc w krzakach, płacząc i użalając się nad sobą. Potem plątałem się bez ładu i składu, pracując dorywczo na budowach, aż po kilku latach moja żona zgodziła się mnie przyjąć z powrotem. Na świat przyszedł Mariusz, ale przeszłość kładła się cieniem na moim życiu. Myślałem o tobie, o córce, której nigdy nie widziałem na oczy, bo jej dziadkowie, rodzice Justyny, pozbawili mnie praw rodzicielskich do dziecka, i w końcu nie wytrzymałem tego marazmu i wyemigrowałem do Kanady. Chciałem uciec jak najdalej stąd. Pewnie mi nie uwierzysz, ale przez prawie piętnaście lat pobytu tam nie spotykałem się z żadną kobietą. Żyłem jak mnich, pracowałem w iście stachanowskim tempie, zarabiałem mnóstwo pieniędzy i prawie wszystko słałem do Polski, do żony i do Justyny, żeby obie mogły godnie żyć i bez kłopotów utrzymać siebie i moje dzieci.

– Wróciłeś, bo...

– Bo Mariusz zadzwonił i powiedział, że mama jest umierająca. Po śmierci Ani postanowiłem cię odszukać, pojechałem do Częstochowy...

– Ale ja już dawno tam nie mieszkałam.

– Teraz to wiem, ale wtedy... Nawet próbowałem poszukać cię w Internecie, ale bez powodzenia. W końcu uznałem, że wyszłaś za męża i zmieniłaś nazwisko.

– Dopiero od roku mam komputer. Hugo mi kupił. – Hania uśmiechnęła się blado. – Naprawdę nie masz kontaktu z córką? – Nie mogła uwierzyć, więc wróciła do tego tematu.

– Nie. Nie wiem, jak ma na imię, jakie nosi nazwisko. Gdy mieszkałem w Kanadzie, czasem dzwoniłem do kumpla, Romka. Przekazywał mi na bieżąco, co dzieje się w Tarnowie. Kiedyś powiedział, że Justyna wyszła za męża, wyjechała z miasta, zabrała dzieciaka i to w zasadzie wszystko.

– Mój Hugo ma brata i siostrę, a ja całe życie myślałam, że jest jedynakiem...

– szepnęła Hania. Przełknęła ślinę, bo żal za utraconymi latami, szansami i tym, co straciła bezpowrotnie ona i jej syn, coraz bardziej dławił ją w gardle.

– Haniu, uważasz, że powinienem ją odnaleźć?
– A tobie na tym nie zależy? – Od razu się obruszyła, choć starała się to ukryć.

– Zależy, ale czy to ma sens? Widzisz, jak potraktował mnie... nasz syn – wykrztusił z trudem Marek. – Zasłużyłem. Moja córka nawet nie wie, że istnieje taki ktoś jak ja. Nie szukałbym jej dla siebie, lecz dla moich synów, żeby mogli odzyskać siostrę, a ona poznać braci. To jedyny powód, dla którego mógłbym spróbować.

– Myślę, że powinieneś to zrobić. Odszukać ją.
– Może kiedyś się odważę – westchnął Marek. – Jesteś śpiąca – stwierdził, widząc ją skuloną w fotelu, z pobladałą twarzą i oczami zapadającymi się coraz głębiej.

– Zmęczona tak, śpiąca nie. To wszystko trochę mnie przytłoczyło.
– Pokażę ci, gdzie możesz odpocząć. – Wstał i wyciągnął do niej rękę.
Przeszli razem do pokoju, który kiedyś zajmował Mariusz, a od lat sypiał w nim jego ojciec.

– Wczoraj zmieniłem pościel, ale mogę...
– Nie trzeba, jest w porządku. – Hania rozejrzała się wokół. Pokoik był mały. Całe jego umeblowanie stanowiło szerokie łóżko, lampa stojąca i szafa wnękowa.

– Niestety, nie mam nic do przebrania, bo moje piżamy nie dość, że mało eleganckie, to za szerokie na ciebie. – Ornecki powiódł wzrokiem po sylwetce Hani. Pociągała go tak samo jak przed laty. W jego oczach nic się nie zmieniła. Była piękna jak wtedy: szczupła i wiotka, z buzią jak u porcelanowej lalki, z włosami bez śladu siwizny, upiętymi w pozornie niedbały kok tuż nad karkiem. I pachniała tak samo: słodko, kobieco. Aż zacisnął zęby, myśląc, ile by dał, żeby cofnąć czas i nie narobić tych wszystkich głupstw. Przecież złamał jej życie, sprawił, że nigdy nie wyszła za męża, a jej syn wychowywał się bez ojca.

– Marku... – cicho powiedziała Hanna, siadając na brzegu łóżka.
– Tak?
– Zostań tu ze mną.
– Słucham? – Prawie się zakrztusił, gdy do niego dotarło, o co go właśnie poprosiła.

– Śpij ze mną. Przecież jest miejsce. – Przesunęła dłonią po zmiętej poszewce kołdry. Podniosła na niego wzrok i powtórzyła: – Śpij tutaj. Razem ze mną.

– Haniu, ale jak? – Z wrazenia aż go zatchnęło. Przykucnął na jedno kolano przed swoim gościem i przez chwilę mocno się zastanawiał, co ma począć. – Mam spać razem z tobą? – powtórzył bezwiednie.

– A cóż masz do stracenia? – westchnęła Hajdukiewiczowa. Sięgnęła prawą ręką ku głowie, wprawnym ruchem wyjęła kilka wsuwek i rzuciła je na dywanik

przed łóżkiem. Potrzepała głową, aż włosy rozsypały się na ramiona. – Muszę kiedyś się odważyć i obciąć je na krótko. Co ty na to? – spytała.

– Nie! – odpowiedział natychmiast Ornecki. – Nie obcinaj, są takie ładne. Lubię... lubiłem...

– Pamiętasz, jak układałeś mi wiersze? O moich oczach, o włosach, o wszystkim. Najpiękniejszy był ten o bilecie. Niestety, zapomniałam, jak brzmiał.

*Zapada zmierzch, a ja nie muszę patrzeć w niebo.
Przecież gwiazdy już dawno świecą w twoich oczach.
Jestem szczęśliwym człowiekiem, bo o brzasku
Nie będę musiał zadzierać głowy, żeby zobaczyć słońce.
Wzjeżdżają dwa, jak ty i ja, pod twoimi powiekami.*

Wyrecytował te słowa, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

– Pamiętasz? Nie wierzę. – Hania zakryła usta. Nie chciała się rozpląkać, pilnowała swoich emocji cały wieczór, ale teraz czuła, że polegnie. Że polegnie przy tych wierszach, które wtedy deklamował jej Marek. – Przyznaj się, mówiłeś je komuś innemu, dlatego pamiętasz – zażartowała, choć drżący jak skrzydła kolibra głos zdradził jej prawdziwe emocje.

– To były wiersze na żądanie – przypomniał jej. – Na twoje żądanie.

– A ten o bilecie? Mój ulubiony? – spytała, ocierając pierwsze łzy.

Wsiadłem do twojego życia, jak pasażer na gapę.

A ty zamiast dać mi karę za brak biletu, dałaś mi całą siebie...

– I ty wątpisz, że mamy coś do stracenia – powiedziała, gdy skończył.

– Ja chyba mam. Resztki honoru. Haniu, gdybym wiedział, że te najpiękniejsze chwile w moim życiu zaowocują dzieckiem...

– Nie mów nic. – Przytknęła palec do jego ust. – Było, minęło. Połóż się obok mnie. Jeszcze porozmawiamy? Czy śpimy?

– Jeśli chcesz, mogę rozmawiać z tobą do rana, do kolejnej nocy, do kiedy zechcesz – odparł. – Przykryję cię, bo cała się trzęsiesz. – Otulił ją kołdrą, zgasił lampkę i ostrożnie ułożył się obok.

– Pościel pachnie tobą – szepnęła po chwili Hania. – Kiedyś Hugo był na wycieczce klasowej na Zakrzówku. Było ognisko, piekli kiełbaski, zupełnie jak my wtedy nad Balatonem. Wrócił późnym popołudniem do domu i gdy stanął blisko mnie, poczułam nagle twój zapach. Włosy mojego syna pachniały jak twoje. – Przełknęła ślinę, bo przypomniała sobie, jak przepłakała wtedy całuteńki wieczór i kawałek nocy.

– Haniu... – Marek odszukał po omacku jej dłoń i delikatnie ją pocałował. – Nie wiem, co powiedzieć. Mam ochotę walić głową o ścianę, że byłem taki podły,

ale uwierz mi, ja naprawdę się w tobie zakochałem. Wiem, że to idiotyczne, bo przecież byłem żonaty, miałem kochankę, ale wiem też, że każde słowo, które ci powiedziałem, było szczerze.

– Może tak miało być? – powiedziała Hanna po dłuższej chwili milczenia.

– Jak?

– Krótko. Może gdybyśmy byli razem, te cztery magiczne dni nie byłyby takie piękne? Szara codzienność odarłaby je z magii?

– Nie wiem.

– Pamiętasz jeszcze jakiś wiersz?

– Tylko te dwa, ale jeśli chcesz, ułożę nowe, powiedz tylko o czym. O miłości, tęsknocie? A może o żalu, że tyle straciliśmy przeze mnie.

– Nie. Ułóż o nadziei, o spotkaniu po latach, o małym szczęściu, które jeszcze ciągle możemy przeżyć.

– Dobrze, Haniu...

Rozdział 17

Jak dobrze było wrócić do domu. Chociaż w Podolu czas płynął szybko i wesoło, a towarzystwo rozlicznej rodzinki było najmiłym, jakie Łucja mogła sobie wyobrazić, cieszyła się, że wreszcie jest „u siebie”, a raczej „u nas”, jak ostatnio często podkreślał jej mąż. Na szczęście podczas ich długiej nieobecności firma wynajęta przez Hajdukiewicza posprzątała w mieszkaniu, ktoś zadbał o kwiaty, a nawet lodówka była pełna, bo tak zlecił Hugo jeszcze przed wylotem do Bostonu.

Poszli na spacer z Marysią, ale szybko wrócili. Mróz nie popuszczał i choć nie był szczególnie silny, Łucja bała się o małą. Ta ostatnia wcale się nie przejęła tym, że przechadzka trwała zaledwie trzy kwadranse. Spędziła dwie godziny na zabawie ze stęsknionym tatą i teraz smacznie odsypiała ten czas w swoim ciepłym łóżeczku.

– Ależ się najadłem – sapnął Hugo, głaszcząc brzuch wypełniony po brzegi pysznym barszczem i kopiałym talerzem łazanek.

– Cieszę się, że ci smakowało – odparła Łucja, z trudem siląc się na bez troski ton. Mijały kolejne godziny, a ona czuła coraz większy ciężar w sercu. Hugo wspomniał, że przed wyjazdem zgubił gdzieś telefon i że na szczęście aparat się odnalazł. I tyle. Ani słówka więcej.

– Czy mi się wydaje, czy coś się stało? – Hajdukiewicz wreszcie zauważył, że żona ucieka przed nim wzrokiem. Dopiero teraz skojarzył fakty: czasami była wesoła, żeby po chwili dziwnie się zasępić i zmarkotnieć. – Chodź tu. – Wyciągnął do niej rękę.

– Muszę dokończyć sprzątanie. Idź do salonu, zaraz przyjdę – poprosiła, czując płacz ściskający w gardle. Zbyła go, żeby się uspokoić i jeszcze raz przygotować do konfrontacji. Starannie układała brudne naczynia w zmywarce, umyła ręcznie teflonowy rondel, nawet zlew wytarła do sucha. Zrobiła po kubku herbaty sobie i mężowi i w końcu usiadła na kanapie, tuż obok niego, ale zachowując nieco odstęp.

– Łucja! Coś się stało? – powtórzył pytanie Hugo. – Popatrz na mnie. – Dotknął palcem jej brody i leciutko obrócił w swoją stronę. – Jesteś w ciąży?

– Nie – odpowiedziała od razu i nawet blado się uśmiechnęła. – Nie jestem.

– To o co chodzi? – Pieszczotliwym gestem odsunął kosmyk włosów z jej czoła.

– O twój telefon.

– Co z nim? – Hugo od razu opuścił dłoń. – Przecież się odnalazł.

– Gdzie go zgubiłeś, powiedz mi prawdę.

– Czy to ważne? – Uniósł brwi. – Chyba w hotelu. Ktoś go przyniósł do kancelarii. Sama mówiłaś.

– Hugo... ktoś do mnie zadzwonił z tego aparatu. A dokładnie to ja zadzwoniłam, a ten ktoś nie zdążył odebrać i oddzwonił po chwili.

– Kto? – spytał Hugo, choć patrząc w oczy Łucji, domyślił się odpowiedzi. Bezradnie skonstatował, że jego serce przyspieszyło, a fala krwi uderzyła do głowy.

– Ta kobieta, która go znalazła i później zaniósła do kancelarii, przedstawiła się jako Nicole. Nie zapamiętałam nazwiska, bo mówiła szybko i niewyraźnie, a ja nie znam tak dobrze angielskiego, żeby wszystko idealnie zrozumieć. Powiedziała, że zostawiła u niej telefon, że wpadł między siedzenie a oparcie kanapy i dopiero gdy zadzwoniłam, ona usłyszała dzwonek...

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków, proszę cię. – Hajdukiewicz stężał, widząc wyraz twarzy Łucji. Jej ściągnięte bólem brwi, napięte policzki i rozbiegany wzrok nie zwiastowały niczego dobrego. Przysiadł bliżej, objął ją ramieniem i chwycił jej dłoń międlącą nerwowo brzeg bluzeczki. – Posłuchaj, to żona znajomego, pojechałem ich odwiedzić i stąd telefon tam mógł się znaleźć. Po prostu musiał mi wypaść z kieszeni spodni, gdy siedziałem na tej kanapie.

– Żona znajomego? – Łucja popatrzyła prosto w oczy męża.

– Tak. Dylana Nasha. To jeden ze starszych partnerów w kancelarii wujka. Nicole zaprosiła mnie do nich na kolację.

– Hugo... Ja wiem.

– Ale o czym?

– Twoja mama wczoraj mi powiedziała, że Nicole... Że kiedyś byłeś z nią, że to była twoja dziewczyna tam w Bostonie. Ona widziała zdjęcia moje i Marysi. Powiedziała, że mam piękną córeczkę, że mi zazdrości i pogratulowała, ale ja odniosłam wrażenie, że coś jeszcze chciała powiedzieć, że czuje do mnie jakiś żal i jest na mnie zła. Hugo, powiedz, to ona wysłała ten anonim, prawda? Dowiedziałeś się o tym już wcześniej i dlatego tak łatwo wybaczyłeś Adamowi.

– *Damn...* Zabiję moją matkę, ale to później – mruknął, na moment zamykając oczy i kręcąc głową. – To nie Nicole napisała ten anonim.

– A kto?

– Obiecałaś mi, że nie będziemy do tego wracać. Zgadza się?

– Owszem, ale... są nowe okoliczności.

– Chryste! – Hugo raptownie chwycił się za głowę. – Nie ma żadnych nowych okoliczności. Nic w związku z tym cholernym anonimem nie zdarzyło się od momentu, kiedy postanowiłaś do tego nie wracać – podniósł głos, aż Łucja leciutko zadrżała. Od razu ją przeprosił. Na szczęście dla niego bardziej zajmowała ją kwestia anonimu, bo nie zwróciła mu uwagi, za to stwierdziła dobitnie:

– To ty postanowiłaś do tego nie wracać. A ja się zgodziłam.

– Otóż to: zgodziłaś się.

„Bo musiałam” – dopowiedziała w głowie Łucja.

– Sądziłem, że to obopólna decyzja – odparł Hugo, jakby czytał w jej myślach. – Nieważne. Wracając do Nicole, skoro moja ukochana mamusia nie potrafi wytrzymać miesiąca, żeby czegoś nie zmalować, może ostatecznie zamknijemy tę kwestię. Okej?

– Okej – zgodziła się Łucja, chociaż wcale jej nie odpowiadało zignorowanie tematu anonimu. Ciągłe w tyle głowy coś uparcie brzęczało, że Hugo ukrył przed nią jakieś istotne fakty.

– Żeby zamknąć sprawę Nicole, muszę najpierw ją otworzyć. A to długa historia. Dlatego, pozwolisz, że naleję sobie whisky? – spytał.

– Jeśli ci to pomoże. – Łucja wzruszyła ramionami.

Jej też zaproponował coś do picia, ale pokazała mu pełny kubek herbaty, więc tylko sobie przygotował szklankę whisky z lodem. Wrócił na miejsce i spokojnie zreferował Łucji, co załatwił w Bostonie. Zaczął od najłatwiejszego, czyli informacji o zrealizowaniu testamentu, o udziałach dla wybrańców, wśród których znalazł się Dylan, mąż Nicole. Na szczęście dla Łucji zrobił to szybko i nie wdając się w zbędne szczegóły.

Gdy zaczął opowiadać o wizycie u Nicole, choć tego nie chciał, wyraźnie się zdenerwował. Ręce zaczęły mu drżeć, podobnie jak głos, więc jeszcze raz napełnił szklankę i wypił jej zawartość prawie duszkiem. Potrzebował luzu, lekkiego szumku w głowie, znieczulenia, żeby jeszcze raz przebrnąć przez bolesny powrót do przeszłości. W trakcie opowiadania tej historii nagle do niego dotarło, że Łucja zasługiwała na prawdę. Paradoksalnie, akurat w tej kwestii matka wyświadczyła mu przysługę. Potrzebował tego, rozmowy, spowiedzi i oczyszczenia głowy, a może i serca z emocji, które tak długo i skutecznie go zatruwały. Nagle zapragnął jej wszystko powiedzieć, i to natychmiast. Musiał się tego pozbyć, nawet jeśli miał wypaść w jej oczach jak mięczak. Cofnął się w swojej opowieści aż do momentu, kiedy dowiedział się o ciąży Nicole. Później mówił o aborcji, o kłótniach, o tym, co wtedy czuł. To też zdradził swojej żonie.

– Ona nie może mieć dzieci? – spytała Łucja, gdy dokończył nieco chaotycznie swoją przygnębiającą historię i zdążył wyraźnie uprzedzić, że nie zniesie żadnej pociechy i roztkliwiania się nad nim.

– Nie.

– Hugo... myślę, że ona bardzo żałuje. I chyba wciąż cię kocha. Gdy słuchałam jej głosu, przebijała w nim jakaś tęsknota. – Łucja zmarszczyła czoło i pokiwała głową.

– Ale jej już nie ma. Jesteś ty. I Marysia.

– Naprawdę to nie ona wysłała ten list? Przecież tam było o kobiecie, która nie może mieć dziecka...

– I którą kocham. Pamiętasz? – odpowiedział mimowolnie.

– Nie.

– Tak było. Zapamiętałem każde pieprzone słowo tego anonimu. Jediną kobietą, którą kocham, jesteś ty. A ty możesz mieć dzieci. – Hugo zerknął przez moment w stronę drzwi pokoiku Marysi. – To zwykły zbieg okoliczności – stwierdził wyjątkowo dobitnie i zacisnął szczęki.

Łucja już miała spytać: „Jeśli nie ona, to kto?” – ale w porę się zreflektowała. Hugo nie wyglądał na skorego do dyskusji o anonimie.

– Powiedz, pomyślałaś, że cię zdradziłem z Nicole? – wypalił nagle.

– Nie wiem. Chyba tak. Przez krótki moment – wyjąkała po chwili namysłu.

– Jak krótki?

– Kilka godzin? Jeden dzień?

– Naprawdę?! – Nie mógł w to uwierzyć. Bezwiednie potrząsnął głową. –

Czemu?

– Nie wspomniałaś słowem o tym, że odwiedziłaś Nicole. Gdybyś nie zgubił telefonu, powiedziałabyś mi o tej wizycie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Chcę cię chronić. Po prostu. Nie chcę, żebyś niepotrzebnie cierpiała.

– Uważasz, że trzeba mnie chronić?

Miał odpowiedzieć, że tak. Że powinien otaczać ją opieką zawsze i wszędzie, ale nagle uświadomił sobie, że znów wkracza na te same utarte ścieżki, z których wypadł jego związek z Nicole. Znów wyciągnął kartę: „Cofnij się na start za protekcyjnalne traktowanie własnej partnerki”. I wreszcie do niego dotarło, że zamiast chronić, rani Łucję brakiem zaufania.

– Czy kiedykolwiek czułaś się ode mnie gorsza? – spytał, marszcząc czoło.

– Ale... W jakim sensie?

– W każdym.

– Kiedyś tak. – Łucja na moment zamknęła oczy.

– Kiedy?

– Na początku. Zanim zrozumiałam, że ja też mogę zdobyć wykształcenie. Może nie takie wysokie jak twoje, ale czy muszę ukończyć Harvard, żeby wiedzieć, że jestem inteligentna? – Uśmiechnęła się delikatnie. – Zazdrościłam ci tego wszystkiego. – Rozejrzała się po pokoju. – To było jak pierwsze zachłyśnięcie się wodą, gdy człowiek zaczyna uczyć się pływać. Obezwładniło na moment i przeraziło. Dopiero z czasem przyszła refleksja, że wszystko przede mną, że mogę to zdobyć. Sama. I właśnie wtedy przestało mi na tym zależeć. W jednym jestem od ciebie gorsza, ale w innym lepsza, tak się pocieszam.

– Nie potrafię zrobić jajecznicy na maśle – zażartował nieco przekornie Hugo.

– A ja potrafię. Uzupełniamy się. Babcia mówi, że w małżeństwie nie ma wyścigów. Bo ktoś zawsze przegrywa.

– Czasami myślę, że powinni ją opatentować. Gdyby mieszkała w Stanach, już dawno by to zrobili.

– Naprawdę w Ameryce można opatentować człowieka? – Łucja wybałuszyła oczy.

– Nie można. Na szczęście. – Hugo puścił do niej oczko. – Niedawno amerykański Sąd Najwyższy uznał, że nie wolno opatentować ludzkich genów.

– Ktoś tak robił?

– Już prawie czterdzieści procent genomu ludzkiego...

Nagle zadzwonił jego telefon. Dzień wcześniej Hugo ustawił głośność na maksimum, więc gdy aparat zaryczał dźwiękami utworu *Jump* Van Halena, oboje podskoczyli jak na komendę.

– Jezu! Wyłącz to, obudzi małą – pisnęła Łucja.

– Mamusia! – stwierdził z przekąsem Hugo i szybko odebrał rozmowę. Łucja przez chwilę przysłuchiwała się pomrukiwaniom męża, ale gdy wywrócił oczami, dając jej do zrozumienia, że tak łatwo i szybko się nie wywinie, wstała i poszła do kuchni, żeby zrobić sobie jeszcze jeden kubek herbaty.

– I jak? – spytała parę minut później, widząc, że Hugo z impetem rzucił aparat na blat ławy.

– Chciała, żebym do niej podjechał. Już i natychmiast. Ponoć ma mi coś bardzo ważnego do zakomunikowania – stwierdził z przekąsem.

– Chodzi o twojego ojca?

– Przypuszczalnie tak. Zdążyła się pochwalić, że spędziła u niego noc. Zresztą dopiero przed chwilą wróciła z Tarnowa, więc i dzień upłynął im na miłym tête-à-tête. Wyobrażasz to sobie? Trzydzieści lat się nie widzieli, Ornecki ją olał, oszukał, a ona jedzie do niego na noc! Nie poznaję własnej matki – sapnął. – Chyba nigdy jej nie znałem. Ani krzty honoru. Muszę z nią poważnie porozmawiać.

– Hm... Nie wiem, co powiedzieć. – Łucja chlipnęła łyk herbaty. – Babcia zawsze mówi, że nie należy się wtrącać między dwójkę ludzi, bo w trójkę przy ołtarzu się nie stawało. Jeśli twoja mama spyta, co o tym sądzisz, powiedz, ale jeśli nie spyta, ja bym jej nie pouczała.

– *Ne eat iudex ultra petita partium*^[2] – wygłosił Hugo, kiwając głową. – Czy już mówiłem, że twoja babka jest jedną z najmądrzejszych osób, jakie znam? – parsknął pod nosem, bo uświadomił sobie, że on też nie mógł znieść ciągłego wcinania się matki w jego związek z Łucją.

– Nie bezpośrednio, ale tak, coś wspominałeś – uśmiechnęła się zawadiacko wnuczka Zofii Maśnik.

– Okej, ani pary z ust. Obiecuję, ale ty też mi coś obiecaj. Już nigdy, przenigdy...

– Nie mówmy o tym cholernym anonimie – dokończyła za niego.



Drzwi łazienki zamknęły się z cichym młaśnięciem. Hugo przymrużył oczy. Jego ukochana pstryknęła włącznik światła, ledwie przekroczyła próg sypialni. Usiadł na łóżku i wyciągnął do niej ręce, mówiąc bezgłośnie, żeby podeszła, ale stała w progu pokoju i przyglądała mu się równie badawczo, jak on jej.

– Chodź do mnie – poprosił, przemykając powoli wzrokiem po jej sylwetce, nieco już zmienionej ciążą.

– Nie... Ja nie mogę... – Nagle spuściła oczy na swój brzuch.

Hugo podążył za jej spojrzeniem. Próbował wypatrzeć coś, ruch dziecka, ale napięta skóra ani drgnęła. Już chciał ponowić prośbę, gdy usłyszał jakiś dziwny dźwięk. Zerknął w sufit, bo ten delikatny odgłos do złudzenia przypominał pierwsze krople deszczu uderzające w połaciowe okno ich małego mieszkania na poddaszu. Ale nie padało. Noc była piękna i ciepła.

Wrócił do podziwiania swojej nagiej kobiety. I wtedy to ujrzał: kałużę krwi powiększającą się z każdą kroplą spadającą spomiędzy nóg Nicole.

– Nie! – krzyknęła, widząc, że napiął wszystkie mięśnie, żeby zerwać się i podbiec do niej.

Tkwiał w miejscu jak sparaliżowany. Nie mógł się ruszyć, choć bardzo chciał.

– Nie podchodź – ostrzegła go i wyciągnęła przed siebie rękę, aby go zatrzymać.

– Chcę ci pomóc – jęknął.

– Nie możesz mi pomóc.

– Dlaczego?

– Dziecko i tak było chore. Przecież wiesz. Musiałam... – powiedziała, ze smutkiem kiwając głową.

– Nieprawda, nie było chore! – krzyknął rozpaczliwie Hugo. – Było zdrowe, to była pomyłka! Pomylili się w laboratorium! Pozwól sobie pomóc! Błagam! Ratujmy je!

– Nie.

– Błagam... – wykrztusił z trudem, bo jego ciało jak zaklęte uparcie odmawiało posłuszeństwa. Tkwiał na łóżku, a jedyne, co mógł robić, to bezradnie patrzeć na powiększającą się plamę krwi. Sięgała już prawie jego bosych stóp. Przełknął ślinę, gdy lepka ciecz dotarła do palców. Spodziewał się, że będzie ciepła, lecz okazała się lodowata. Wstrząsnęło nim.

– Hugo, popatrz na mnie. – Usłyszał głos, ale to nie był dźwięczny i mocny tembr Nicole.

– Nie! – krzyknął. – Tylko nie ty!!! Wszyscy, tylko nie ty!

– Hugo! Chrystusie i Mateńko Nazarejska! Obudź się, Hugo! Słyszysz? Kochanie, otwórz oczy!

Nagle coś nim szarpnęło z niewiarygodną siłą. Potrząsnął głową i... otworzył oczy, choć przecież nie spał! Siedział na łóżku i rozmawiał z...

No właśnie, z kim?

– Boże! Prawie umarłam ze strachu! – Łucja trzymała go za ramiona. Zza jej pleców prześwitywał słaby blask nocnej lampki. – Coś ci się śniło? Hugo, tak o coś błagałeś! Jezuniu, to było straszne – jęknęła i na moment mocno go przytuliła. – Ale już dobrze, to tylko zły sen. Rozumiesz? – wyprostowała ręce i popatrzyła na niego. W jej oczach połyskiwały łzy paniki, że coś mu się stało.

– To tylko zły sen – powtórzył przez zaciśnięte gardło. – To tylko sen. – Objął Łucję i przycisnął do siebie tak mocno, że prawie ją zmiażdżył. Zamknął oczy, wtulił twarz we włosy żony i zaciągnął się ich zapachem jak narkotykiem. Ciągle nie mógł się opamiętać. Serce waliło mu jak oszalałe, w uszach dźwięczał jego własny krzyk, a w głowie wyświetlał się w kółko ten sam obraz: wielka kałuża lodowatej krwi, która dopływa do niego i próbuje go pochłonąć, zatopić, zamrozić na kamień.

– Hugo, to był tylko zły sen – wyszeptowała Łucja.

– Wiem – odparł, ale nadal trzymał ją w silnym uścisku, jakby się bał, że gdy choć na moment przestanie czuć ciepło jej ciała, senny koszmar wróci. – Przepraszam, że tak cię wystraszyłem. To pewnie przez jet lag – wymamrotał chwilę później, już nieco zawstydzony swoim zachowaniem.

– Sen mara, Bóg wiara. Jeśli chcesz, pomodlimy się przez chwilę. To zawsze pomaga. Babcia tak mówi. Chcesz? – spytała nieśmiało Łucja i podniosła na niego wzrok.

– Nie wiem, czy potrafię.

– To ja się pomodłę, a ty słuchaj. A może chcesz mi opowiedzieć, co ci się śniło? – Nagle przypomniała sobie, że gdy była dzieckiem babcia tak jej pomagała wyganiać złe sny, które choć bardzo rzadko, ale czasami ją nawiedzały.

– Nie.

– Dobrze. Zgaszę światło. – Łucja odchyliła się i cyknęła wyłącznik lampki. – Połóżmy się. Nie zawsze trzeba klęczeć przy modlitwie – wyjaśniła.

– Uhm. – Przytulił ją mocno, a ona cichym głosem zaczęła odmawiać dziesiątkę różańca. Nie wiedział, kiedy zasnął, spokojnie i bez żadnych wizji, zupełnie jakby unosił się w jakiejś dziwnej przestrzeni pełnej miłości i łagodnego ciepła.



Pani Hania uwijała się jak w ukropie. Wstała o szóstej

rano, pognęła do sklepu i na rynek, wróciła zziębnięta na kość, ale szczęśliwa, że udało się jej wszystko kupić. Szybko nastawiła obiad, przekąsiła naprędce śniadanie, a trzecią ręką, której zasadniczo nie miała, upiekła ciasto, i to dosyć czasochłonne, bo sernik z brzoskwiniami.

Przed jedenastą wszystko już było gotowe i czekało na jej ukochanego syna, który zapowiedział się na południe, dlatego Hanna mogła spokojnie iść do łazienki i zadbać o siebie. Wprawdzie spotkanie z własnym dzieckiem nie miało takiej rangi jak randka z Markiem, na którą umówiła się za dwa dni, ale wyglądać elegancko i schludnie należało zawsze.

Zrelaksowana usiadła z filiżanką dobrej herbaty i sięgnęła po książkę, której nie mogła dokończyć już od tygodnia, niestety, nie docierało do niej ani jedno słowo. Wróciła wzrokiem do początku strony, przeczytała raz jeszcze, ale po chwili odłożyła lekturę i zatopiała się we wspomnieniach z wczorajszego poranka...

– Znasz Tarnów? – spytał Marek, szykując jej skromne śniadanie w równie skromnie urządzonej kuchni.

– Nie. Nigdy wcześniej tu nie zawitałam. Wiem, dziwne, bo przecież to bardzo blisko Krakowa.

– Co powiesz na to, żebym cię oprowadził po moim mieście?

Zgodziła się bez wahania. Zjedli razem kanapki, wypili owocową herbatę, ubrali się ciepło – Marek pożyczył jej gruby szal i czapkę oraz puchową kurtkę, która należała kiedyś do Mariusza – i poszli na spacer.

Pierwszym punktem wycieczki był mały osiedlowy sklep z obuwiem. Hania kupiła zimowe buty na płaskim obcasie, od razu je włożyła, a swoje eleganckie kozaczki na szpilce schowała do pudełka i włożyła do reklamówki, którą skwapliwie zabrał od niej Marek. Wsunęła dłoń do kieszeni, drugą złapała go za rękę i wyruszyli.

Podjechali taksówką do centrum, trochę włączyli się po rynku, który według słów Orneckiego był zminiaturyzowaną wersją krakowskiego i faktycznie go przypominał. Niewielki plac otaczały stare kamieniczki z podcieniami, na środku usytuowano budynek ratusza, a na obrzeżu prężył się pomnik Adama Mickiewicza, choć nie tak okazały, jak jego krakowski odpowiednik.

– Przy naszym wszyscy umawiają się na randki – stwierdziła Hania, patrząc na popiersie wieszca. – I jest znacznie większy.

– Czasami mały, ale wariat... – zażartował Marek i znacząco chrząknął.

– No wiesz? – obruszyła się Hajdukiewiczowa, ale po chwili parsknęła śmiechem.

Poszli coś zjeść w pobliskiej knajpce, wypili kawę, bo zbliżało się południe, a oni ustalili, że oboje lubią pić o takiej porze kawę. Oczywiście jako drugą w ciągu dnia. Co chwila któreś z nich mówiło: „To tak samo jak ja!”, albo: „Naprawdę, też tak masz?”. Już zapomnieli, jak bardzo do siebie pasowali, ale

przez trzydzieści lat niełatwo zapamiętać takie drobiazgi jak ulubione danie, utwór muzyczny czy preferowana pora picia kawy. Koniecznie z mlekiem.

Później Marek zaprowadził Hannę do parku Strzeleckiego, pokazał mauzoleum Bema, wytłumaczył, dlaczego generał nie spoczywa na cmentarzu, a potem bezdyskusyjnie orzekł:

– Haniu, musisz tu koniecznie przyjść w maju lub czerwcu, kiedy całą tafłę wody pokrywają lilie wodne i wygląda to najpiękniej na świecie. Pamiętasz Józefa Tolibowskiego? – spytał, wiodąc ją dosyć energicznie wokół zamarzniętego stawu.

– Pamiętam – wydyszała Hajdukiewiczowa, nieprzyzwyczajona do tak szybkiego tempa spaceru.

– Kupię sobie biały frak i cylinder. I nawet laseczkę, choć jeszcze mi niepotrzebna. Wskoczę tu i zerwę dla ciebie naręczę tych lilii, ale żeby tak było, musisz tu przyjechać. Przyjedziesz? – Nagle stanął w miejscu i delikatnie objął ją w tali.

– Nie wiem. Jeśli mnie zaprosisz? – odpowiedziała.

– Zaproszę. Przyjadę i cię tu zabiorę. Tym razem nie zawiodę. Wierzysz mi?

– Zobaczymy. – Hania odwróciła głowę.

– Ale nie mówisz „nie”?

– Nie – zachichotała.

– Idziemy dalej, proszę wycieczki – zarządził Ornecki. Znow złapał ją za rękę i powiodł za sobą. Rozmawiali, śmiali się i było po prostu cudownie. Dotarli na ulicę Wałową, gdzie przysiedli na Ławeczce Poetów, choć raczej to Hania przycupnęła w brudnym śniegu otaczającym posąg Herberta, a Marek cyknął jej kilka zdjęć telefonem.

A potem zrobiło się późno i jeszcze bardziej zimno, więc Ornecki złapał taksówkę i pojechali do McDonalda, pod którym stał samochód Hani. Oczywiście zamierzała już wrócić do Krakowa, ale Marek nie chciał jej puścić. Kiedy zobaczyli minę niskiej blondyneczki, która zeszłego wieczoru z takim trudem ich stąd wygoniła, oboje parsknęli śmiechem. Wyglądała na bardzo niezadowoloną. Wręczyła im tacę z frytkami oraz herbatą i od razu powiedziała, że dzisiaj zamykają restaurację o północy i ani minutki później.

W końcu musieli się pożegnać. I wtedy Hanię ogarnął strach, że już nigdy nie zobaczy Marka, bo jego zapewnienia, że tym razem będzie zupełnie inaczej, jakoś do niej nie trafiały. Zażartował, że ona musi mu oddać pożyczone ciuchy, a on jej pozostawiony w mieszkaniu kożuszek, ale chyba jej to nie rozbawiło. Stała i trzęsła się ze zdenerwowania.

– Haniu. Mamy syna. To znaczy, ty masz syna, a ja nadzieję, że kiedyś będę mógł o sobie powiedzieć, że jestem jego ojcem. Zaufaj mi. Zobaczymy się wkrótce, przysięgam.

Rozpłakała się i wtedy Ornecki wyjął z jej dłoni kluczyki, posadził

na miejscu pasażera, sam usiadł za kierownicą peugeota i pojechał do Krakowa. Zatrzymał się pod wskazanym adresem, wysiadł z samochodu i jeszcze raz pożegnał ukochaną, ale teraz się nie certolił. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta, długo i namiętnie, aż obojgu zaszumiała krew w uszach.

– Spotkasz się ze mną pojutrze? Chciałbym już jutro, ale muszę odwiedzić Mariusza – wyjaśnił.

– Uhm... – mruknęła zza szalika, za którym się skryła, ledwie oderwał wargi od jej ust.

– Przyjadę po ciebie w południe. Może być?

– Tak.

– To do zobaczenia. – Uśmiechnął się i jeszcze raz na moment ją przytulił.

– Do zobaczenia – odpowiedziała, patrząc, jak odchodzi. – Marek! – krzyknęła nagle.

– Tak?! – odwrócił się i zatrzymał kilkanaście metrów od niej.

– Jak dotrzesz do Tarnowa?! – zaśmiała się.

– Pociągiem. Regio Plus. Koniecznie na gapę! – odkrzyknął.

Rozdział 18

– Spałaś? – spytał Hugo, podając ziewającej matce Marysię.

– Drzemałam w fotelu – wyjaśniła. – Moje kochane maleństwo, jakież policzusię masz ciepłutkie – powiedziała, całując wnuczkę.

Hugo zdjął płaszcz, powiesił go i popatrzył krytycznie na swoje buty. Westchnął i zdjął je, bo nie chciał zabrudzić wypastowanych do błysku podłóg.

– Niechże cię ucałuję. – Pani Hania wspięła się na palce i cmoknęła syna. – Chodźcie.

Weszli do jadalni, Hugo rozebrał małą ze skafandra i od razu uprzedził, że zasnęła mu w samochodzie i trzeba ją położyć na popołudniową drzemkę. Zabrał dziecko do sypialni mamy, uspił w kilka minut i wyszedł, zacierając ręce, bo zaraz po przywitaniu wyczuł zapach sernika, który uwielbiał.

– Chcesz obiad? – krzyknęła pani Hania z kuchni.

– Może później, na razie herbatę i sernik – odparł, dołączając do niej. Usiadł przy kuchennym stole, oparł głowę o ścianę i przez chwilę nią kręcił, bo po nocy spędzonej na wąskiej leżance Łucji dokuczał mu ból kręgosłupa.

– A gdzie Łucja?

– Umówiłem się z nią, że przyjedzie tu o drugiej. Planuje od jesieni wrócić na uczelnię i poszła się spotkać z koleżankami. Z Olą i Martą – doprecyzował. – Mają jej dać jakieś notatki, część podręczników z pierwszego semestru i listy pytań, jakie miały na egzaminach i zaliczeniach.

– Aha. Bardzo dobrze. – Hanna z aprobatą pokiwała głową. Cieszyło ją, że synowa zamierza kontynuować naukę, co oznaczało dla babci mnóstwo cudownych chwil z wnuczką, a także to, że ma koleżanki i nie pogrzebie się żywcem w domu. Postawiła na stole półmisek z ciastem, imbryk z wrzątkiem i dwie filiżanki z nasypaną do wysokości jednej trzeciej najprzedniejszą angielską herbatą, którą zdobyła dzisiaj rankiem na ryneczku. „Prosto z Londynu” – zapewnił ją stały dostawca brytyjskich smakołyków, pan Józef, dla znajomych Ziutek lub Dżozef.

– O czym chciałaś porozmawiać? – Hugo od razu przeszedł do sedna.

– Może najpierw zjedz.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza – odburknął, pakując do ust spory kawałek ciasta. Wiedział, że zirytuje tym matkę. Z premedytacją nie użył małego widelczyka, który leżał przy talerzyku. Rzadko „jadł rękami” i tak samo jak matka nie znosił mieć upapranych jedzeniem palców. Był solidnie wkurzony, wręcz wszystko się w nim kotłowało i każdy sposób, żeby sprowokować rodzicielkę, wydał mu się odpowiedni, nawet tak głupi, jak opychanie się sernikiem. I kruszenie na serwetkę.

– Zadzawisz się. – Nie wytrzymała.

– Wzrusza mnie twoja troska – odparł Hugo, prostując się na krześle. – Szkoda, że przedwczoraj nie byłaś równie rozważna. Wyobrażasz sobie, jak się martwiłem? Co ty wyprawiasz?! Znikasz, telefon wyłączony, a potem okazuje się, że... – Nagle zamilkł, bo przypomniał sobie, że w kwestii Orneckiego postanowił trzymać język za zębami.

– Przepraszam. Nie miałam pojęcia, że próbujesz się ze mną skontaktować. Wracalam od Łucji, wpadłam w poślizg. Tak się pechowo złożyło...

– Pechowo? – Jej syn wykrzywił usta w grymasie mającym przypominać uśmiech. – Chyba szczęśliwie. Może nie dla ciebie, ale na pewno dla mojego kochanego tatusia. Nieźle cię zbałamucił, skoro pojechałaś do niego na noc. – Nagle poczuł spokój, a gula tkwiąca w gardle gdzieś zniknęła. Pomyślał, że nie będzie już się napinał, zresztą nie miał serca, bo matka wyglądała na bardzo przejętą. Nie zjadła ani okruszynki ciasta, wypła jedynie kilka łyków herbaty, a teraz siedziała i bezwiednie bawiła się łyżeczką.

– To moja sprawa, z kim spędzam noc i w czyim łóżku – stwierdziła, aż się kurcząc pod wpływem jego spojrzenia.

– Niewątpliwie. Jednakowoż przypominam ci, że jeszcze niedawno rozmawialiśmy o moim małżeństwie i miałaś w tej kwestii wyjątkowo dużo do powiedzenia. „Nie śpicie razem, nie żyjecie razem” – powtórzył jej słowa, modulując głos, aby przypominał jej własny. – A to wszystko niezbywalnym prawem matki. No przecież! – ironizował. – Jak mogłem tego nie honorować. Rodzice mają prawo do wszystkiego, do hipokryzji, podwójnych standardów i tak dalej. – Machnął ręką. – A skoro już o tym mówimy, to co słyhać u mojego ojczulka?

– Naprawdę cię to interesuje? – wypaliła pani Hania.

– A jakże.

– Kiedyś ci opowiem, jak nie będziesz taki nastroszony.

– *Oh my goodness* – westchnął. – Nastroszony? Ja?

– Posłuchaj, synku, nie zaprosiłam cię tu, żeby się kłócić. Opowiedz lepiej, jak było w Bostonie, co załatwiłeś?

– Wszystko – odparł, okraszając to jedno słowo promiennym uśmiechem.

– To znaczy? – Hajdukiewiczowa sięgnęła po filiżankę i przystawiła ją do ust.

– Zacząłem od wizyty u notariu... – przerwał Hugo, patrząc z rozbawieniem, jak jego matka krztusi się herbatą. – Klepnąć cię w plecy? – zapytał po chwili.

– Nie trzeba. – Pani Hania wstała i pobiegła do łazienki. Szybko otarła łzy wyciśnięte kaszlem, poprawiła włosy, ochlapała ręce lodowatą wodą i wróciła do kuchni, choć najchętniej uciekłyby z domu. Z ociąganiem zajęła swoje miejsce, chrząknęła, bo ciągle coś łaskotało ją w gardle, i wzięła głęboki wdech, żeby mieć siłę wyznać prawdę.

– To już wiesz – rzuciła z rezygnacją. – Przepraszam, że próbowałam cię oszukać. Mogłam się domyślić, że to sprawdzisz. – Wzruszyła ramionami i uciekła wzrokiem przed jego świdrującym spojrzeniem, w którym były pretensja i nagana.

– Nie musiałem sprawdzać. Od razu wiedziałem, że ten rzekomy drugi testament i list od wuja to oszustwo. Choć muszę przyznać, bardzo zgrabnie uszyte. Niezła jesteś.

– Od razu? Ale jak? – Pani Hania wybałuszyła oczy. Z irytacją zarejestrowała spływającą po plecach strużkę zimnego potu. Nie pamiętała, kiedy czuła się równie głupio, a już przed własnym dzieckiem tak zawstydzona nie była nigdy.

– Błędy, droga mamo, a raczej ich brak. Twój brat sadił ich mnóstwo, więc zanim wysłał do Polski jakikolwiek list, pisał go najpierw na brudno, ja poprawiałem i wuj przepisywał już bez błędów. Rozumiesz? – Hugo uniósł kąciki ust. – Gdyby nie ten list od wujka Henryka – chrząknął znacząco i pokazał palcami znak cudzysłowu – twój plan mógłby wypalić. Niestety, podobieństwo charakteru pisma i dbałość o pozostałe detale nie wystarczyły. Swoją drogą, ciekaw jestem, co wysłałaś temu notariuszowi? Przecież miałaś dowód nadania. I to stosunkowo ciężkiej przesyłki. Zapamiętałem – dodał, zawadiacko unosząc brwi.

– „Gazetę Krakowską” i kartkę.

– Kartkę?

– Z życzeniami świątecznymi.

Hugo ryknął niepowstrzymanym śmiechem, przez łzy spytał matkę, skąd taki pomysł, a gdy wyobraził sobie minę notariusza, znajdującego w wielkiej kopercie świąteczną kartkę z Polski, zapakowaną w gazetę, niemal spadł z taboretu.

– Przecież to było przed Bożym Narodzeniem. – Popatrzyła na niego z powagą, ale jej też udzielił się nastrój syna i w końcu parsknęła zduszonym chichotem.

– Myślałem, że cię znam. – Hugo pokręcił głową. – Ale chyba się myliłem. Jeszcze jedno, nie myśl, że tak łatwo ci się upiecze. Informuję, że w moim małżeństwie wszystko gra i nie życzę sobie już nigdy żadnych uwag, pytań ani innych prób inwigilacji. *By the way*, nie podziękowałem ci jeszcze za uświadomienie mojej żony, kim była Nicole – sarknął.

– Och! – Hajdukiewiczowa aż drgnęła na krześle. – Rozmawialiście o Nicole?

– Owszem.

– I?

– I nie zamierzam o tym mówić. Zwłaszcza z tobą. Rozczarowana?

– Widziałeś się z nią? Z Nicole? – doprecyzowała pani Hania, próbując z wyrazu twarzy syna odczytać cokolwiek.

– Widziałem, ale nie w tym celu pojechałem do Bostonu – przypomniał jej. –

Wracając do twojego pytania, byłem u notariusza – kontynuował. – Jeszcze raz odczytano mi testament, przedstawiłem dokumenty: akt ślubu i urodzenia Marysi, plus uwierzytelnione tłumaczenia. Wszystko było w porządku, więc kilka dni później mogłem działać.

– Działać?

– Przepisałem czterdzieści dziewięć procent udziałów na siedmiu partnerów – poinformował matkę.

– Dlaczego tak dużo?! – Hajdukiewiczowa złożyła dłonie jak do modlitwy. – To prawie połowa! Nie wiem, czy mój brat chciałby takiego rozwiązania.

– Widzę, że myślisz za wszystkich.

– Nie za wszystkich, tylko za ciebie.

– Ach, znów zapomniałem o prawie matki – powiedział z przekąsem Hugo.

– Nie bądź niemiły.

– Ja? Niemiły? Jestem najmilszym i najbardziej wyrozumiałym synem, jakiego można mieć – orzekł, opierając plecy o ścianę.

– Wyrozumiały? Skoro tak, może chciałbyś posłuchać, co u Marka? I wytłumaczyć mi, czemu trzymałeś w tajemnicy fakt, że się znacie? Dlaczego nie pozwoliłeś mu na kontakt ze mną?

Hugo już miał odpowiedzieć, że prawem syna, ale ugryzł się w język. „Wystarczy na dzisiaj tych szpileczek” – uznał w myślach.

– Chyba nie jestem ciekaw jego życia. Wychowałem się bez niego – odparł po chwili milczenia. – Zaskoczył mnie. Jedyne, co czułem, gdy rozmawialiśmy, to złość, że tak się z tobą obszedł. I żal, że nie mogę nic z tym zrobić. Nie dał ci wyboru, uciekł jak ostatni tchórz. W imię czego ja miałbym mu dawać prawo powrotu? Wybaczenia? Aż tak wielkiego serca nie mam. Ale skoro nie przeszkadza ci jego ponowna obecność w twoim życiu, nie zamierzam się sprzeciwić.

– Nigdy mu nie wybaczysz?

– A po co? – odpowiedział pytaniem Hugo. Pozornie zdawał się spokojny, beznamiętnie patrzył w oczy matki, ale jego serce znów ścisnęło się w twardą kulę, która dławiała w piersi i odbierała oddech. – Nie potrzebuję go. Po prostu. Obywałem się bez niego trzydzieści lat.

– Każdy potrzebuje ojca.

– Miałem ojca. Zmarł parę lat temu. Miał na imię Henryk – wykrztusił Hugo, bo ta rozmowa zaczęła przywoływać zbyt dużo przykrych wspomnień.

– Marek nie wiedział, że...

– Nie wiedział, że zaszłaś z nim w ciążę, ale to go nie usprawiedliwia. *Ignorantia legis non exculpat*³¹, a nawet gdyby tak było, przypominam: ten człowiek świadomie cię oszukał. Podał fałszywy adres, żebyś nie mogła go odnaleźć. Zawłaszczył dla siebie możliwość wyboru.

– Wiem. I pamiętam o wszystkim, co zrobił Marek. I czego nie zrobił. –

Hajdukiewiczowa zgarbiła się na krześle, jak przygnieciona nieznośnym ciężarem.
– Ale Bóg się nie myli i chyba po coś go postawił na mojej drodze. Wtedy i teraz.

– A ja wolałabym, żeby Ornecki zawsze był zły, wtedy mógłbym mu wybaczyć i definitywnie zapomnieć o nim. Niestety, przez ostatnie lata zachowywał się jak człowiek, co poważnie komplikuje sprawę – odparł Hugo.

– Komplikuje? Że wrócił i zatroszczył się o umierającą żonę? Synku, co ty mówisz?! – zachnęła się Hanna.

– Wiem, co mówię. Skoro zachowywał się różnie, podejmował dobre i złe decyzje, ranił i potrafił kochać, oznacza, że zdawał sobie sprawę ze swoich poczynań, ergo: jest podły z wyboru. Bo tak mu było wygodnie – wypowiedział na głos to, co już od dwóch dni zajmowało jego myśli. Nagle poczuł, że najchętniej poddałby się pragnieniu, aby natychmiast stąd wyjść, ale przecież nie mógł tego zrobić. Spuścił wzrok na skrzyżowane na piersiach ręce. Nawet nie zauważył, kiedy je tak ułożył, bezwiednie próbując odgradzić się od matki.

– Jesteś bardzo surowy – padło z ust Hajdukiewiczowej. W tym momencie nie myślała o Marku, lecz o nim, o własnym synu, którego zaciętość w urazie do ojca zaczęła ją przerażać. – Hugo, musisz nauczyć się wybaczać, inaczej twoje życie zmieni się w koszmar. Nie rozumiesz? Gniew, zapiekłość w sercu to coś potwornego. To zatruwa całego ciebie, twoją duszę. Czy nigdy nie popełniłeś błędu?

– Popełniłem. – Podniósł wzrok i rozplótł ręce. – I zapłaciłem. Zapłaciłem również za taki, który ktoś popełnił, a ja byłem winny jedynie zaniechania. Wiesz, dlaczego tak bardzo kocham Łucję? – spytał, nachylając się nad blatem stołu. – Bo to jedyna osoba, której nic nie musiałem wybaczać. Tylko ona nigdy mnie nie zraniła, choć tylu ludzi deklarowało, że mnie kocha: ty, wuj Henryk, Nicole, nawet Olga. Gdy będę musiał coś wybaczyć Łucji, wtedy się tego nauczę. Będę wybaczał doskonale, nie chował urazy, zapominał o krzywdzie, jeszcze zanim ona mi ją wyrządzi. Ale tylko dla niej, dla Łucji, zrobię wszystko.

– Synku... – zająknęła się Hajdukiewiczowa, bo właśnie coś sobie uświadomiła. – Czy wy rozmawialiście o...

– Poczekaj! – przerwał jej nagle Hugo. – Marysia płacze! – Zerwał się na równe nogi i popędził do pokoju.

– O Oldze... – cicho dokończyła pani Hania.



O tej porze dnia w Camelocie było pustawo. Środek tygodnia i wyjątkowo obfite opady śniegu sprawiły, że niewielu turystów zbaczało z rynku, żeby zajrzeć do zaułka Świętego Tomasza, więc dziewczyny mogły spokojnie wybrać stolik, zostały szybko obsłużone, a yerba mate okazała się jak

zawsze najlepsza w całym Krakowie. Podobnie jak pierogi czy grzane piwo, koniecznie z imbirem i miodem.

Łucja nie mogła zrozumieć decyzji Marty, która tydzień wcześniej ścięła bezlitośnie swoje długie piękne włosy, z czerni przerzuciła się na platynowosrebrny blond, okraszony jednym, ale za to wściekle różowym pasemkiem. Oczywiście Marta ją nieco obśmiała, że ma takie opory przed zmianami, a Ola stwierdziła, że Łucji było lepiej z grzywką i że też powinna coś zmienić.

– Hugo chyba nie przepada za krótkimi włosami – powiedziała, poprawiając swój niezbyt starannie upięty luźny kok na karku.

– Ale to twoje włosy, nie męża – odparowała Marta.

– Ja też nie lubię krótkich włosów. Oczywiście u siebie – dodała prędko, żeby nie urazić obu przyjaciółek, bo Olka również nosiła się ostrzyżona prawie na męsko.

Tym samym zamknęła temat, zresztą dziewczyny i tak nie zdążyły się nagadać. Przecież należało poruszyć tyle ważnych tematów. Opowiedziały, co słychać na uczelni, ale nie skupiając się na nauce, bo to było nudne, lecz raczej na towarzyskich aspektach studenckiego życia. Z rozkoszą obgadały dobrze znanego Łucji doktoranta Kuczyka, który poderwał jedną z ich koleżanek, zrobił jej dzieciaka i musiał w trybie superpilnym opuścić mury uczelni, bo skandalu nie dało się zatuszować. Poza tym ekscesem nic równie interesującego nie wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, więc temperatura rozmowy znacznie opadła. Może dlatego Marta zamówiła dla każdej z nich jabłecznik na ciepło.

– A wiesz, że ten twój Damian rozstał się z Anką? – spytała Ola, przeżuwać od niechcenia listek mięty.

– To nie jest mój Damian – sprostowała Łucja. – A czemu? Mówiłyście, że wszystko między nimi było okej. – Zmarszczyła czoło, bo trochę ją zmartwiło, że przyjacielowi tak się nie wiedzie w sprawach damsko-męskich.

– Przecież to Anka z nim zerwała – powiedziała Marta, patrząc na Olę. – On chciał z nią być, ale Różyczka nie chciała.

– Jezu, czy to ważne? – jęknęła Ola i pokręciła głową.

– Ważne – upierała się Marta.

– Analizujesz, rozbijasz gie na atomy, a co to da? Nic. Nieistotne, kto zerwał. Nie są razem, i tyle.

– Sorry, ale jak dla ciebie nie jest istotne, kto zerwał, to ja już nic nie mówię.

– Zagórska uniosła obie ręce i pomachała nimi przy głowie. – Już wiem, dlaczego z żadnym kolesiem ci nie wychodzi.

– Ale czemu zerwała? – przerwała im Łucja, bo nie mogła już znieść tej wymiany zdań. Nadal nie знаła powodów rozstania, a dziewczyny zamiast wyjaśnić, co się stało, jak zwykle zaczęły się spierać.

– Anka jest chora.

– Na co?

– Coś ze stawem biodrowym. Mają jej wstawić endoprotezę i nie wiadomo, czy wróci do pełnej sprawności. Czy będzie mogła biegać, tańczyć i tak dalej – wyjaśniła Ola.

– Ale chodzić będzie? – zaniepokoiła się Łucja. Aż przeszedł ją dreszcz, gdy sobie wyobraziła, co może czuć taka młoda dziewczyna, która nagle ląduje na wózku.

– Tak. Jest jeszcze problem z ewentualną ciążą, bo ponoć Anka po tym zabiegu nie może drastycznie przybrać na wadze, poza tym przy porodzie może być problem. No i dlatego uznała, że nie chce nikogo obarczać swoimi problemami i zerwała z Damianem – wytłumaczyła Marta.

– O Jezuu. – Łucja przytknęła dłonie do ust. – Jakie to... – zająknęła się. – Nie wiem, co powiedzieć. Boże, ale mi jej żal. I Damiana też. Nie miałam okazji z nim pogadać, bo już miesiąc nie był w domu – wyjaśniła.

– Sesja – westchnęła Ola.

– Musimy wracać. Julita wysłała mi SMS-a, że Korczakowa już jest – powiadomiła Marta.

– Ja też. – Łucja zerknęła na zegarek. – Na drugą mam być u teściowej, ale jeszcze muszę kupić sobie parę ciuchów, bo wszystko już zdarłam. I jakieś wiosenne buty, choć nie wiem po co. Zima chyba nigdy się nie skończy. – Pożegnała się z dziewczynami i z głową wypełnioną niewesołymi myślami powędrowała przez rynek.

Nogi zawiodły ją na Grodzką. Wstąpiła do Vero Mody. Wybierając jakieś bluzeczki wśród stosów tych przecenionych, ciągle zastawiała się, czy Damian słusznie uczynił, że tak łatwo ustąpił. Czowała, że gdyby to ona była na jego miejscu, tak szybko Ania by się jej nie pozbyła. Z drugiej strony nie wiedziała, jak faktycznie przebiegało to rozstanie. Wyjęła telefon z torebki i wysłała Damianowi wiadomość. Spytała, czy wpadnie do nich na kawę. Odpisał prawie od razu, że chętnie, ale w przyszłym tygodniu, bo chce przy okazji porozmawiać ze swoim szefem. Ucieszyła się, że będą mogli pogadać, tym bardziej że Damian chyba na to liczył, bo przecież od razu się zgodził. Z nieco lżejszym sercem poszła do przymierzalni, włożyła jakiś wymięty biały sweterek, uznała, że wygląda w nim koszmarnie, jak nie przymierzając nieboszczyk. I właśnie wtedy przypomniały się jej słowa teściowej o Oldze. „Jezu, do niej też muszę zadzwonić” – wymamrotała do siebie. Postanowiła, że nie będzie czekać na rozmowę z mężem. Wysłała ze sklepu z pustymi rękami, bo nic nie przypadło jej do gustu, zresztą zbyt mocno zaaferowały ją te wszystkie problemy, żeby beztrąsko grzebać w ciuchach.

– Halo? Tu Łucja Maśnik – powiedziała, przycupnąwszy przy wąskim murku przed sklepem. – Olga?

– Cześć. – Głos po drugiej stronie słuchawki nie brzmiał wyraźnie.

W zasadzie można by rzec, że Łucja prawie nic nie słyszała, dlatego powtórzyła imię i spytała, czy rozmówczyni ją słyszy.

– Nie mogę głośno mówić, ale ciebie słyszę dobrze – odpowiedziała Olga.

– Hej – Łucja jeszcze raz się przywitała. – Chciałam spytać, jak się czujesz i w ogóle co u ciebie słychać, ponieważ moja teściowa mówiła, że cię widziała i... Mam nadzieję, że u ciebie lepiej, a dzwonię dlatego, że...

– Poczekaj – przerwała jej. – Wiem, dlaczego dzwonisz. Ale to nie rozmowa na telefon.

– Aha – odparła stropiona Łucja. Nie spodobał się jej ton głosu Olgi. Brzmiał, jakby ta była jedną nogą na tamtym świecie.

– Masz czas?

– Teraz?

– Tak.

– Trochę mam. Jakąś godzinę? Może ciut więcej – odparła bez zastanowienia.

– Wystarczy. Podam ci adres.

Niecały kwadrans później Łucja wysiadła z taksówki i stanęła przed wysokim, dosyć paskudnym budynkiem. A może to pogoda i zwały brudnego śniegu na chodnikach sprawiły, że wszystko ją przygnębiało? Wzruszyła ramionami, przeszła przez dziedziniec, na szczęście do wnętrza instytutu prowadziły tylko jedne drzwi. Ale marna to była pociecha, bo w środku czekało ją poważne wyzwanie. Jedna ze ścian ogromnego pomieszczenia składała się wyłącznie z recepcyjnych okienek, przed którymi wiło się kilka szerokich i zawiniętych kolejek z niezliczoną liczbą pacjentów. Łucja rozejrzała się bezradnie.

– Boże, gdzie to jest? – jęknęła, zerkając na zmięty paragon, na którym zapisała numer sali, w której leżała Olga.

– W czymś pomóc? – Podszedł do niej uśmiechnięty ochroniarz.

– Gdzie znajdě... – Nie dokończyła. Miły grubasek wyjął z jej dłoni świstek, szybko rzucił nań wzrokiem, zaprowadził Łucję pod drzwi windy, nawet wybrał piętro i powiedział, dokąd ma się kierować, gdy już tam dotrze.

Wyszła z windy i jakby znalazła się w innym świecie. Oprócz odstręczającego zapachu środków dezynfekcyjnych w powietrzu unosiło się coś jeszcze. Jakieś dziwne, przytłaczające tchnienie. Wokół panowała niczym niezakłócona cisza. Łucja nałożyła ochraniacze na buty, zdjęła kurtkę, wzięła ją pod pachę i nieśmiało przekroczyła próg oddziału ginekologii onkologicznej. Przemierzała korytarz, myśląc, że to straszne miejsce i że nigdy nie chciałaby tu leżeć. Szpital na Kopernika, w którym spędziła kilka długich tygodni, wydał jej się teraz przytulnym i wesołym zakątkiem.

– Jest – sapnęła z ulgą, stając przed drzwiami sali oznaczonej numerem 12.

Wzięła głęboki wdech, delikatnie zastukała i wsunęła się do środka. Nie zauważyła Olgi od razu, mimo że stały tam tylko dwa łóżka. Skupiła wzrok na tym bliższym, ale kobieta, która na nim leżała, głęboko spała, musiała mieć co najmniej pięćdziesiąt lat. Lucja przeniosła wzrok na łóżko pod oknem.

– Jesteś – dobiegł ją cichy głos. – Szybko ci poszło.

– Hej. – Podeszła do Olgi i zastygła w bezruchu. – Wzięłam taksówkę, bo tramwajem... – Lucja przełknęła ślinę.

Spodziewała się, że Olga nie będzie wyglądać jak z żurnala, ale to, co zobaczyła, uderzyło ją jak obuchem. Przyjaciółka Hugona sprawiała wrażenie kogoś, kto nie ma już w sobie nawet kropli życia. Spoczywała z głową owiniętą błękitną chustą, oczami skrytymi gdzieś głęboko, tak głęboko, że nie docierał do nich nawet najśłabszy promień światła. Jej ręce leżały wzdłuż tułowia, jak ścięte łodygi jakiejś dziwnej martwej rośliny. Uniosła prawą, żeby po krótkiej chwili opuścić ją z powrotem. Mimo to Olga nadal była piękną kobietą, choć teraz jej uroda zamiast seksapilem i energią, porażała swoim dramatem.

– Jak się masz... – wykrztusiła Lucja. Podeszła bliżej, nachyliła się i najostrożniej jak mogła, musnęła ustami poblady policzek. – Przepraszam, nie wiedziałam, że tu można przynosić kwiaty – powiedziała, prostując się.

– Tu wszystko można. To od Izy, wpadła wczoraj na chwilę – odparła Olga, patrząc na stojący na parapecie słoik z bukietem lekko przywiedłych róż.

– Trzeba nasypać cukru.

– Cukru?

– Tak. Wtedy nie będą im tak wisały główki.

– Mam cukier. Jest w szufladce. – Olga wskazała brodą na nocny stolik.

– Zaraz im pomożemy. – Lucja niemrawo się uśmiechnęła. Położyła kurtkę i torebkę w nogach łóżka. Wysunęła szufladkę, znalazła zmiętą papierową paczkę, podeszła do okna i nasypała trochę cukru do słoika. – Zaraz powinny ożyć.

– Może mnie też ożywisz? – Olga smętnie pokiwała głową.

– Spróbuję. – Lucja machinalnie uniosła kąciki ust. – Na pewno nie przeszkadzam? – Zerknęła na drugą pacjentkę.

– Nie. Ta pani śpi tak mocno, że na pewno jej nie obudzisz. Przed chwilą była pielęgniarka i dała jej coś przeciwbólowego i na sen.

– Uhm. Jest tu...

– Pod łóżkiem.

– Najpierw to chciałam cię przeprosić – powiedziała Lucja, gdy już usiadła na małym taborecie. – Tak jakoś zeszło, że nawet nie podziękowałam ci osobiście, ale tyle się działo... – zawiesiła na moment głos. – Choć to żadne usprawiedliwienie. Pani Hania, znaczy się mama, mówiła, że cię spotkała parę dni temu, że jesteś chora, i strasznie mi wstyd, że nie odezwałam się wcześniej i nie podziękowałam.

– Ale za co? – stęknęła Olga i z trudem obróciła się na bok. Jeszcze bardziej pobladła, gdy próbowała ułożyć się tak, żeby widzieć dobrze swojego gościa.

– Za grzechotkę. No przecież wysłałaś nam, jeszcze gdy byłam w ciąży... I za prezent świąteczny dla Marysi, nie pamiętasz? Miałam zadzwonić, ale w tym samym dniu, w którym doszedł, wyjeżdżaliśmy na dwa tygodnie na Słowację. Prosiłam, żeby Hugo do ciebie zadzwonił. Pewnie zapomniał. Marysia uwielbia zabawki z Fisher Price, ale ten garnuszek na klocki od ciebie chyba najbardziej.

– Cieszę się. I nie musisz przeproszać. Przy małym dziecku na pewno jest dużo obowiązków.

– Oj tak. A przy Marysi to chyba podwójnie. Już całkiem fajnie siedzi, choć jeszcze musi być podparta, bo się wywraca. Potrafi bawić się tym twoim garnuszkiem nawet dziesięć minut, a to u niej rzadkie. Jest strasznie ruchliwa. Kupiliśmy kojec i tam czasami się bawi. Wyobraź sobie, że już nawet wstaje! Szybko, zwłaszcza że jest wcześniaczkiem. Stoi, trzymając się barierki, i wyrzuca ze środka wszystkie zabawki, a gdy już nie ma ani jednej, zaczyna wrzeszczeć. Muszę je pozbierać, włożyć z powrotem, a ona znów je wywala, i tak w kółko. Czasami nic nie można przy niej zrobić, nawet ziemniaki skrobię, gadając z nią. Nieraz jej śpiewam, gdy myję naczynia albo coś gotuję. Boże, powiedz, że mam przestać! – Nagle wywróciła oczami. – Zanim tu przyjechałam, spotkałam się z koleżankami ze studiów, Olką i Martą. Powiedziały, że gdy znów zacznę mówić wyłącznie o małej, już więcej się ze mną nie spotkają. – Rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Mów, mnie to ciekawi.

– Naprawdę? – W głosie Łucji zabrzmiała nutka niedowierzania. Wprawdzie obie babcie uwielbiały słuchać, gdy opowiadała o swoim skarbie, ale już kobieta spoza najbliższego grona, zwłaszcza taka, która jeszcze nie miała własnych dzieci, nie wydawała się jej dobrą powierniczką tych historyjek.

– Naprawdę. Opowiedz mi coś jeszcze.

– Okej. Ale krótko. – Łucja wzięła głęboki wdech i już nieco mniej zdenerwowana zrelacjonowała, jak zachowuje się jej córeczka, gdy trzeba ją ubrać w skafander. A potem dorzuciła kilka anegdot związanych z kąpielą i usypianiem. Choć uwielbiała opowiadać o małej, czuła, że nie wypada tak ciągle pytlować, poza tym jeszcze nie spytała o zdrowie Olgi. Prawdę mówiąc, trochę się tego obawiała. Nie miała pojęcia, jak zagaić, żeby nie wyjść na kogoś wścibskiego, więc po krótkim wahaniu spytała ogólnie o samopoczucie.

– Bywało lepiej – odparła Olga.

– Każdy ma gorsze i lepsze dni.

– Lepsze? A są takie? – Urwany śmiech odbił się od ściany salki. – Pewnie jesteś ciekawa, co mi dolega.

– Troszkę, choć domyślałam się, że to pewnie coś związanego z...

– Rakiem, nowotworami – dokończyła Olga. – Słowa tabu. Bez obaw, tym się nie można zarazić – powiedziała, krzywiąc się lekko, bo coś ją zabolalo w dole brzucha. – Chyba miałam sporo szczęścia. Jedyne, co straciłam, to macicę. I włosy – dodała, unosząc na moment dłoń, którą musnęła chustką. – Groził mi krwotok. Mój guz, który ostatnio jako jedyny wiernie dotrzymywał mi towarzystwa, wykształcił własną tętnicę. Lekarze bali się, że nie opanują krwawienia przy histerektomii.

– Och – jęknęła Lucja.

– Nie panikuj. Jak widać, żyję. Włosy odrosną, macica niekoniecznie. Nigdy nie planowałam mieć potomstwa, ale żeby aż tak dokładnie wysłuchać modłów agnostyczki? Pan Bóg stanowczo przesadził – zażartowała Olga, lecz jej głos nie brzmiał wesoło. Raczej ponuro, jak u kogoś, kto ma osiemdziesiąt lat i powoli zaczyna myśleć o ostatnim zakręcie życia. – A jeszcze niedawno miałam wspaniałe plany, prawdziwie ekscytujące. Miałam też marzenia. Gdzie one się podziały? Nie ma ich. Może wycięli je razem z moim guzem?

– Nie wiem, co powiedzieć. Chyba, że bardzo mi przykro, ale przecież nie mam pojęcia, jak to jest być na twoim miejscu, ale i tak strasznie mi przykro i w ogóle... Przepraszam. Jestem głupia – powiedziała Lucja, czując płacz ściskający w gardle.

– Nie jesteś głupia. Nigdy tak nie mów. – Kącik jej ust drgnął, jakby Olga chciała coś jeszcze dodać.

– Babcia też mi to powtarza, ale czasami trudno uwierzyć – wykrztusiła Lucja przez łzy, które niechciane pojawiły się na policzkach. Od razu szybko je otarła, przecież miała Olgę rozweselić, a nie zasmucić.

– Hugo wie, że tu jesteś?

– Nie, no skąd? – odpowiedziała szybko Lucja.

– Czyli ty o niczym nie wiesz?

– Ale o czym? – Drgnęła nerwowo, bo w głosie Olgi usłyszała coś dziwnego. Zabrzmiało złowieszczo. Od razu zrobiło się jej zimno. Bezwiednie objęła się rękami i potarła ramiona.

– W szafce jest mój portfel. Możesz mi go podać?

– Tak, oczywiście. – Ucieszyła się, że musi coś zrobić. Szybko otworzyła drzwiczki, wzięła spory portfel, myśląc, że gdzieś już dzisiaj widziała ten charakterystyczny złoty znaczek MK, i podała go Oldze. Ta wyjęła z jego kieszonki złożoną w kostkę kartkę.

– Przeczytaj – poleciła Lucji.

– Jasne, już. Na głos?

– Nie. – Olga odwróciła głowę. Błądziła wzrokiem po niezbyt czystej szybie, za którą jedyne, co widziała, to ciemne chmury pełne śniegu. Pomyślała, że czuje się jak one: ciężka i pełna czegoś, co przez chwilę wydaje się piękne, ale jest tylko

brudną od smogu wodą.

Rozdział 19

Drogi Hugo

Długo myślałam, jak napisać ten list i czy w ogóle go napisać, ale chyba powinnam załatwić wszystkie moje sprawy, zanim Was opuszczę.

Wkrótce czeka mnie poważna zmiana w życiu. Może być tak, że nie zdążę się z Tobą pożegnać, więc już teraz postanowiłam Cię przeprosić. Ciebie, Adama i Łucję.

Spotykałam się z Adamem, bo miałam w tym cel. Chciałam się na Tobie zemścić, wywołać Twoją zazdrość, zniszczyć Waszą przyjaźń. Gdy to nie pomogło, spróbowałam uderzyć w Łucję. Znam loginy do systemu informatycznego laboratorium i podmieniłam wyniki. Sądziłam, że domyślisz się winnego (przecież to nasze rodzinne laboratorium), ale tak się nie stało. Wtedy nie przyszło mi do głowy, że to mogło się skończyć czymś strasznym. Mogliście stracić dziecko.

Parę miesięcy później uderzyłam ponownie. Za każdym razem, gdy odwiedzałam Adama, czekałam, aż zaśnie i przeglądałam jego laptopa w nadziei, że znajdę coś, co pozwoli mi jeszcze bardziej Cię zranić, rozwalić Twój związek z Łucją. Trafiłam na mail od Ciebie, ten z testamentem w załączniku. Przeczytałam go i...

Tak. To ja napisałam ten anonim. Byłam pewna, że Łucja od Ciebie odejdzie, ale Wy nadal byliście razem. Wzięliście ślub, a jedyne, co do mnie dotarło, to plotka, że skłóciłeś się z Adamem. Przypuszczam, że to jego podejrzewałeś o ten anonim.

Dlaczego?

Chciałam Ci dokuczyć, sprawić, żebyś choć przez chwilę cierpiał tak mocno jak ja, gdy powiedziałeś, że odchodzisz. Nie mogłam się z tym pogodzić. Kochałam Cię i kocham nadal, choć pewnie nie mam prawa.

Nie mam żadnego usprawiedliwienia. Nawet nie próbuję prosić Cię o wybaczenie. Po prostu chcę, żebyś to wiedział.

Życzę Ci szczęścia. Tobie, Twojej żonie i córeczce.

Olga

PS. Daj mi znać, że to przeczytałeś. Proszę.

Łucja przez moment nie potrafiła zrozumieć listu, ale gdy przeczytała jego treść drugi raz, a potem trzeci, nagle wszystko poskładało się w jedną, spójną i koszmarną całość.

– Ale... – jęknęła, w osłupieniu wpatrując się w list. Jeszcze raz przebiegła oczami cały, chociaż nie miała najmniejszych wątpliwości, że wszystko pojęła. Popatrzyła przed siebie pustym wzrokiem, a jej usta mimowolnie ułożyły się, żeby wymówić tylko jedno słowo: Dlaczego? Nagle rzuciła list na łóżko Olgi, jakby to

był rozżarzony do czerwoności węgielek. – Ale jak? To... – nieoczekiwanie przerwała rozpoczętą kwestię.

– Tak. To ja napisałam. To kopia listu, który dostał Hugo. Wiem, że go otrzymał, bo wysłał mi SMS-a. – Olga zamknęła oczy, żeby jakoś przetrwać kilka kolejnych sekund.

Gdy tamtego grudniowego wieczoru jej telefon dał znać o przychodzącym SMS-ie, rzuciła się nań jak lew na swoją ofiarę. Liczyła na odpowiedź, na kilka słów, że Hugo zrozumiał, może nawet wybaczył i nie chowa urazy. Ale on odpisał tylko jednym: „Przeczytałem”.

– Ale dlaczego? – spytała Łucja.

– Przecież napisałam. Chciałam, żeby Hugo cierpiał. Jak ja. – Powoli odwróciła głowę i zatrzymała wzrok na swoim gościu. – Już wiesz, za co cię muszę przeprosić? Za co powinnam?

– To jest straszne... Ja nie wierzę, powiedz, że to nieprawda – wyrzęziła Łucja przez zaciśnięte zęby. Pokręciła głową. Co zaskakujące dla niej, zupełnie odechciało się jej płakać. Siedziała na taborecie z dłońmi wspartymi na siedzisku i bezwiednie kiwała się w przód i w tył, jak dziecko z chorobą sierocą. – To nie może być prawda...

– Ale jest. Uwierz mi. Mam ci zacytować treść anonimu? – spytała z goryczą Olga.

– To nieprawda. – Łucja opuściła powieki i potrząsnęła głową, jakby chciała wytrzepać z niej wszystko, co przed chwilą przeczytała. – Nie chcę o tym myśleć.

– Przepraszam. Nic więcej nie mogę zrobić. Jak widzisz, nieźle mnie pokarało, choć pewnie Hugo uzna, że powinnam odpokutować znacznie ciężiej.

– Hugo nie jest taki – oburzyła się Łucja, natychmiast podnosząc wzrok na Olę.

– Okej. Ty znasz go lepiej. I nie mówię tego złośliwie – dodała szybko.

– Ja... Chyba muszę już iść. Już na pewno po drugiej, a Hugo prosił, żebym przyjechała do jego mamy. Na obiad. – Głos Łucji zadrżał w ciężkim, dusznym powietrzu małej salki niczym skrzydełka muchy, która ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem próbuje przedostać się przez szybę.

– Nie zatrzymuję cię. Dzięki, że wpadłaś. Prawie nikt mnie nie odwiedza. Była tylko Iza. – Olga znów odwróciła głowę, żeby popatrzeć na róże. – Cukier pomógł. Podniosły się. Zobacz.

– Olga...

– Tak? – spytała, nie odrywając oczu od bladożółtych płatków.

– Do kiedy tu będziesz leżeć?

– Jeszcze cztery dni.

– Mogę do ciebie przyjechać jutro.

– Pytasz czy mówisz?

- Mówię. Przyjadę do ciebie. Będę w południe.
- Dzięki. – Nagle w oczach Olgi pokazały się łzy, bo coś ją ukłuło w sercu tak boleśnie, że na moment straciła oddech.
- To ja się zbieram. – Łucja podniosła się z taboretu, wzięła kurtkę i torebkę. Przez moment zawisała nad Olgą, by po chwili zdecydować, że chyba nie ma odwagi, aby ją pocałować na pożegnanie. Szurając foliowymi kapciami, zbliżyła się do drzwi, gdy dobiegł ją głos Olgi:
 - Poczekaj.
 - Odwróciła się.
 - Dziękuję.
 - Nie ma za co, będę jutro. Kupię ci jakieś ładne kwiaty.



- I gdzie ta twoja żona? Już prawie trzecia.
- No właśnie, gdzie mamusia się zgubiła? – spytał Hugo i połaskotał w brzuszki siedzącą na jego kolanie Marysię. Dziecko od razu radośnie pisnęło, ukazując maleńkie białe ząbki.
- Może zadzwoń? Już trzeci raz podgrzewam zupę. Będzie niesmaczna – westchnęła pani Hania.
- Idź do babci. – Hugo podał córeczkę matce, wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer żony. – Halo... Tu ziemia... – powiedział do aparatu.
 - Nie odbiera?
 - Nie... Halo! Łucja?! – Nagle zerwał się na równe nogi tak gwałtownie, że przewrócił taboret. – Gdzie jesteś?! Co się dzieje? – wykrzykiwał. – W szpitalu? Ale gdzie?! Powtórz! – Zatkał dłonią lewe ucho, choć w kuchni panowała absolutna cisza, nawet Marysia przestała gaworzyć i wystraszona wpatrywała się w ojca.
 - Co się dzieje?! – spytała strwożona Hajdukiewiczowa, ale Hugo machnął ręką, żeby była cicho.
 - Już jadę po ciebie! Siedź tam i czekaj na mnie. Rozumiesz?! – krzyknął i się rozłączył.
 - Hugo! Co się stało? – Pani Hania rzuciła się w pogoń za synem, który wybiegł z kuchni na korytarz.
 - Łucja jest pod kliniką na Garncarskiej. Nie mam pojęcia, co się stało. Strasznie szlochała, zawodziła i nie mogłem jej zrozumieć! – powiedział, w pośpiechu zakładając buty.
 - Na Garncarskiej? Pod instytutem?! – spytała Hajdukiewiczowa, kołysząc dziecko, które wyczuwając zdenerwowanie opiekunów, zaczęło płakać.
 - Chyba tak, przecież tam nie ma innego szpitala. W torbie masz zupkę dla

małej. Jakby coś się działo, przywieziesz ją później do mnie do mieszkania. Masz klucz?

– Pewnie, że mam. – Jego matka od razu pokiwała głową. – Fotelik też. Uważaj! Jest strasznie ślisko! – krzyknęła za nim, wychodząc na klatkę. Słyszała, jak buty dudnią po schodach, a kilka sekund później dobiegł ją trzask zamykanych drzwi. – Co to się narobiło? – jęknęła, przytulając małą. Poszła do kuchni, zgasiła gaz pod garnkiem z zupą, przeszła do jadalni i dopiero wtedy ją olśniło. Natychmiast zadzwoniła do syna.

– Hugo?

– Nie teraz! – warknął i się rozłączył.

– Boże, co za narwaniec... – fuknęła, choć sama też była mocno poruszona. Jeszcze raz się połączyła. – Posłuchaj! – krzyknęła. – Tam jest Olga!

– Co?! – wrzasnął po drugiej stronie słuchawki. – Nie słyszę!

– Olga! Ta twoja przyjaciółka!

– Nie krzycz, przecież słyszę!

– Mateńko... – jęknęła pani Hania i na sekundę wzniosła wzrok ku niebu.

– Mów, o co chodzi – popędził ją Hugo. W tle słychać było ostry warkot silnika.

– Parę dni temu spotkałam Olgę w instytucie i pewnie Łucja się z nią zobaczyła i przejęła, bo Olga jest bardzo chora – wyjaśniła. – Wiesz, jaka Łucja jest wrażliwa. Co chwilę płacze. Nic jej nie jest, to na pewno Olgą się tak przejęła.

– A skąd o tym wie? O chorobie Olgi?

– Powiedziałam jej przedwczoraj, gdy byłam w Podolu. Bo Olga prosiła, żeby was przeprosić, ale nie wiem za co. A Łucja od razu chciała do niej dzwonić, ale odwiodłam ją od tego pomysłu. Jak widać, postawiła na swoim. Przepraszam. Nie sądziłam, że mnie nie posłucha.

– Okej, nieważne. Już dojeżdżam na miejsce. – W słuchawce kliknęło.

– Boże... – jęknęła pani Hania. – Marysiu, babcia przysięga na wszystkie świętości, że już nigdy się nie odezwie do nikogo poza tobą. Bóg mi świadkiem...



Myślała, że wytrzyma, że się nie rozplacze, ale gdy zjechała na parter, a ten miły ochroniarz podszedł do niej i spytał, czy wszystko w porządku, Łucja poczuła, że wybucha. Tama runęła... Łzy nie ciekły, raczej trysnęły, a ciałem wstrząsał szloch.

– Proszę przestać płakać – cicho pocieszał ją mężczyzna. Nie pierwszy raz widział taką scenę, więc bez pytania ujął Łucję pod ramię i wyprowadził na zewnątrz, kombinując, że zimne powietrze trochę ostudzi głowę i serce biednej dziewczyny.

– Mama? – spytał po chwili.
– Nie. Znajoma.
– Uhm – mruknął z kiepsko skrywaną ulgą. „Mimo wszystko matka ważniejsza” – pomyślał, nie mając pojęcia o tym, że właśnie próbuje pocieszyć sierotę, wychowaną jedynie przez babcię.
– Może mnie pan zostawić? – załkała Łucja.
– Na pewno dasz sobie radę?
– Tak. Nic mi nie jest – odparła, krztusząc się łzami. – Dziękuję.
– Może wezwę taksówkę? – Rozejrzał się wokół. Wyglądało na to, że dziewczyna przyjechała tu sama. Szłochała, przyciskając do ust szalik. Jej twarz napuchła i poczerwieniała, a oczy prawie zniknęły w obrzękniętych powiekach. – Przecież nie pojedziesz tramwajem w takim stanie.

Już miała powiedzieć, że sobie poradzi, gdy zadzwonił telefon. Wyjęła go z torebki i aż jęknęła, kiedy zobaczyła, kto dzwoni. Usilnie próbowała się opanować, ale gdy w słuchawce usłyszała głos Hugona, rozryczała się jeszcze mocniej, choć to zdawało się niemożliwe.

– Kto dzwonił? – zapytał ochroniarz, gdy schowała telefon do kieszeni kurtki.

– Mąż, zaraz tu będzie – odpowiedziała z trudem.
– Mąż? – Mężczyzna zmarszczył czoło. Panienska, którą miał przed sobą, nie wyglądała na pełnoletnią, a co dopiero mężatkę.
– Uhm. Zaraz po mnie przyjedzie.
– Okej. To ja panią zostawię, ale będę zaglądał przez szybę.
– Dzięki. – Łucja została sama.

Patrzyła na dziedziniec błędnym wzrokiem, w końcu podeszła do zawalonej brudnym śniegiem ławki i po prostu na nią opadła, zupełnie się nie przejmując tym, że przemokną jej dżinsy. Skuliła się i wzięła parę głębokich wdechów, bo nagle poczuła, że jeszcze chwila i zasłabnie. Straciła poczucie rzeczywistości, więc drgnęła wystraszona, gdy nagle Hugo znalazł się przed nią. Kucnął i chwycił ją za ramiona, chyba coś mówił, ale rejestrowała jedynie obraz. Nie była w stanie myśleć, wpatrywała się w niego, chłonąc każdy szczegół, jakby nie widziała go Bóg wie jak długo, a nie kilka godzin, które upłynęły od śniadania. Włosy miał potargane, musiał je nerwowo przeczesać, bo sterczały na wszystkie strony, a jego oczy, które badawczo przewiercały ją na wylot, lśniły czymś nieznanym. Coś zamigotało w spojrzeniu Hugona, coś na kształt pojawiających się łez, by po ułamku sekundy zniknąć. Podniósł ją, przyciągnął do siebie i mocno przytulił. Nie stawiała oporu, ukryła twarz w jego płaszczu i cicho chlipnęła:

– Przepraszam.
– Już dobrze. Już dobrze... – Głaskał ją po plecach uspokajającym ruchem.
– Zabierz mnie do domu – wymamrotała.

– Już. – Objął ją, ostrożnie zaprowadził do samochodu, usadowił i zapiął jej pasy. Szybko obszedł auto, podkręcił ogrzewanie, bo cała się trzęsła, i zadzwonił do matki. W kilku zdaniach przekazał, że Łucji nic się nie stało i wracają do domu i żeby matka przywiozła małą za trzy godziny.

– Jedziemy – powiedział.

Kwadrans później weszli do mieszkania. Hugo zdjął z Łucji przemoczone rzeczy i postanowił, że zanim z nią porozmawia, przyda się jej gorąca kąpiel.

– Jesteś lodowata – orzekł. Nasypał soli, której zapach tak bardzo lubiła, bo kojarzył się jej z lasem, nalał płynu do kąpeli, puścił wodę i kazał wejść do wanny. – Zrobię ci herbatę. Zaraz wracam.

– Dobrze – chlipnęła.

Po chwili obok wanny stał kubek z parującą zawartością. Hugo przykucnął i łagodnym ruchem zabierał gąbką wodę, żeby wyciskać ją na zgarbione plecy żony.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o liście? – spytała po kilku minutach milczenia, starając się ukryć żal, który poczuła od razu po jego przeczytaniu.

– A po co?

– Hugo, nie jestem dzieckiem. Nie możesz mnie trzymać pod kloszem.

– Dzieckiem nie jesteś, ale cierpisz na jakąś dziwną przypadłość: ledwie kogoś poznasz, od razu go kochasz. I to na zabój. Obdarzasz pełnym zaufaniem, nieważne, czy dobry, czy zły – odpowiedział, starając się powściągnąć irytację.

– Hugo...

– Tak?

– Ona powiedziała, że nikt jej nie odwiedza. Tylko jakaś Iza była wczoraj u niej. – Podniosła na męża opuchnięte oczy. – A jej rodzice?

– Ojciec Olgi zmarł kilka lat temu, jeszcze za mojego pobytu w Stanach, a matka jest chora. Coś z psychiką. Ponoć jest w jakimś ośrodku, gdzieś za Opolem. Adam o tym wspominał, ale on też nie zna szczegółów. Olga nie ma rodzeństwa, więc... – uniósł brwi. – Tak po prostu jest.

– Jak mi jej żal. – Łucja znów poczuła szczypanie pod powiekami. – Siedzi tam sama jak palec.

– A ja... Nie wiem, co o tym myśleć – stwierdził z goryczą Hugo. – Już dość, wylaż. Woda zimna. – Opatulił ją szlafrokiem i zaprowadził do sypialni. Kazała mu wrócić po herbatę, mimo że też już wystygła. Miał zaprotestować i powiedzieć, że robi świeżą, ale wtedy przypomniał sobie często przywoływany przez Łucję argument: „Nie wolno marnować jedzenia”. Nie chciał jej denerwować, więc poczłapał do kuchni i wstawił kubek na minutę do mikrofalówki.

– Proszę. – Podał jej gorący garnuszek. – Chcesz porozmawiać? – zapytał, przysiadłszy na łóżku tuż obok Łucji.

– Uhm. Już mi trochę przeszło – wyjąkała, chlipiąc napor.

– Co jej jest?

– Miała guza. Wycięli jej macicę. I podali chemię, bo nie ma włosów. Była w chustce – dodała, zauważając wyraz twarzy męża. Jego policzek zadrgał lekko już przy słowie „guz”.

– Jakie rokowania?

– Chyba nic jej nie grozi. Tak wywnioskowałam. Mówiła, że straciła tylko macicę, ale jajniki chyba w porządku.

– Daj. – Hugo wyciągnął rękę po pusty kubek. Odstawił go na szafkę, przysunął się bliżej żony i okrył ją kołdrą po samą brodę. – Leż spokojnie – nakazał.

– Obiecałam, że jutro znów ją odwiedzę.

– Co?! – zachnął się. – Nie ma mowy. Nie dość ci? Wiem, że prawdziwa z ciebie samarytanka, mistrzyni w uszczęśliwianiu na siłę każdego, kto pojawia się w promieniu stu metrów, ale tym razem nie pozwolę ci się wykazać. Dosyć.

– Pojadę – odparła spokojnym tonem Łucja. – A ty pojedziesz ze mną. I nawet nie próbuj się sprzeciwiać.

Zawahał się. Już otwierał usta, żeby stanowczo zaprotestować, jednak zamiast tego wstał i podszedł do okna. Przez chwilę patrzył na majaczącą w oddali Wisłę. Ściemniło się, bo znów zaczął padać śnieg. Miasto wyglądało tak spokojnie, jakby czas stanął w miejscu. Ale w głowie i sercu Hajdukiewicza kotłowały się tysiące myśli i uczuć.

– Hugo. Chodź tutaj! – zawołała Łucja.

Odwrócił się i popatrzył na nią. Siedziała zgarbiona, zupełnie jak przed chwilą w wannie, gdy polewał jej plecy wodą.

– Nie prosz mnie, żebym tam pojechał – powiedział, a kiedy podszedł bliżej, Łucja dostrzegła w jego wzroku coś, co ukłuło ją w serce, bo przypomniało ten czas, gdy rozpacz opanowała ich oboje.

– Ale...

– Nie. Nie muszę jej wybaczyć – oznajmił, siadając z powrotem u boku Łucji. Ujął jej drobną dłoń w swoje ręce i mocno ścisnął. – Wybaczyłbym ten anonim, bo to głównie uderzyło we mnie. Chyba we mnie – dodał szybko. – A na pewno we mnie było wymierzone. Ale tego, co przeżyłaś, gdy myśleliśmy, że... że dziecko... – Przełknął ślinę. – Nie. Nie pojadę tam i proszę cię, choć wiem, że mnie nie posłuchasz, żebyś ty też nie jechała. Nie chcę mieć z tą kobietą nic wspólnego. Ty również nie powinnaś. Są granice. – Pokręcił głową. – Są granice podłości i nie pozwolę na to, żebyś...

– Poczekaj – przerwała mu. – Chciałam o coś spytać.

– Mów – chrząknął, widząc, jaka jest przejęta.

– Wiedziałaś, że ona choruje?

– Nie, no skąd. Gdy przeczytałem list, uznałem, że zamierza wyjechać.

Kiedyś mówiła, że chciałaby mieszkać w Szwajcarii. Jej matka ma tam mały domek odziedziczony po siostrze. W Morges. To miasteczko niedaleko Lozanny. Olga jeździła tam parę razy na wakacje. Nawet mnie zapraszała. Byłem pewny, że chodzi o wyjazd. Zresztą Adam stwierdził to samo.

– Rozmawialiście o tym liście?

– Tak, wtedy w hotelu.

– A gdybyś wiedział?

– Myślisz, że inaczej bym się zachował? – prychnął pod nosem. – Nie sądzę.

Chyba mnie przeceniasz.

– Może w sobie nie wierzysz? – spytała po chwili namysłu. – Pamiętasz, co mówiłeś, gdy przyszły te wyniki?

– Pamiętam.

– Chodzi mi o aborcję. Czy...

– Sądzisz, że bałem się o pieniądze z testamentu? – wykrztusił.

– Nie! – zaprzeczyła od razu i chwyciła go za rękę. – Nigdy tak nie myślałam, Hugo, przecież widziałam, jak wtedy wyglądałeś. Dlaczego powiedziałeś, że nie zgadzasz się na usunięcie naszego dziecka? Mówiłeś, że to obciąży moje sumienie i nie poradzę sobie z tą świadomością, pamiętasz?

– Tak. To prawda, dokładnie tak czułem, ale to nie wszystko.

– Chodzi o Nicole, o to, że wtedy się zgodziłeś, a potem ona cię obciążyła winą i odpowiedzialnością. Myślałeś, że ja też tak zrobię i zwałę to na ciebie?

Łucja dopiero teraz pojęła, dlaczego tak stanowczo sprzeciwił się aborcji ich dziecka. To była obawa. Że stanie się coś jeszcze gorszego niż kiedyś, co kolejny raz go zniszczy, ale już bezpowrotnie i na zawsze.

– Nigdy byś tak nie zrobiła. – Zaśmiał się i pokręcił głową. – Nie ma takiej możliwości, jesteś ostatnim człowiekiem na tej ziemi, który obarczałby kogoś konsekwencjami swoich decyzji. Rozgrzeszać innych – w tym jesteś doskonała, nie w oskarżaniu. Nie znasz samej siebie. – Uniósł jej dłoń i ucałował spoczone wnętrze.

– Więc co jeszcze?

– Nie chciałem cię stracić. Po prostu. Myślę, że właśnie wtedy dotarło do mnie, że cię kocham. Poczekaj, źle się wyraziłem. – Zmarszczył czoło. – Jeszcze nie dotarło, bo nie pozwoliłem na to, ale gdzieś tu głęboko – wskazał na serce – czułem strach, że cię stracę, gdy się zgodzę. Że nawet gdy nie odejdziesz, jak zrobiła to Nicole, i tak jakaś część ciebie zniknie bezpowrotnie i nie tylko ty będziesz cierpieć z tego powodu, ale i ja. Bo pokochałem cię taką, jaka jesteś. Najlepsza, ciepła, kochająca... Z ogromnym sercem... – zaczął mu się łamać głos. Nagle odwrócił głowę.

– Hugo... ty płaczesz? – wyjąkała Łucja.

– Nie. – Popatrzył na nią. – Ale niewiele mi brakuje. – Chrząknął mocno,

bo coś załaskotało go w gardle. – Od początku zmiękczałaś mój pancerz. Zbudowałem go i doskonaliłem kilka lat, a ty przyszłaś i zaczęłaś go po prostu demontować. Codziennie, konsekwentnie, jakbyś obierała karpia z tych twoich ulubionych łusek. Kiedy byłem sam, próbowałem go naprawiać, zasłaniać miękkie obnażone fragmenty, a potem znów coś się działo, zrobiłaś coś tylko dla mnie i wszystko psułaś. – Pokiwał głową. Jego twarz rozjaśnił blady uśmiech, gdy wzrok padł na pierścionek z wtopionym srebrzystym płatkim. – I przyszedł ten dzień, gdy odpadł ogromny kawał bazaltowej zbroi. To był napierśnik, a ja zrozumiałem, że nie wygram z tobą.

– Och, Hugo, powiedziałaś to tak ładnie... Chyba nie zasłużyłam. – Skrepowana, opuściła wzrok.

– Zasługujesz na wszystko, co najlepsze. Chciałbym być choć w części taki dobry jak ty, ale nie potrafię.

– Jesteś dobry.

– Od kiedy jesteś obok mnie, na pewno jestem lepszy, niż byłem kiedykolwiek – odparł po namyśle. – Może dlatego tak bardzo cię kocham? – Przytulił ją mocno, myśląc, jakim szczęśliwym jest człowiekiem.

– Czy to ważne, dlaczego kochamy? Jeśli jest ktoś, kogo możemy obdarzyć tym uczuciem i kto kocha nas, to chyba najważniejsze.

– A samotność najgorsza? Dlatego chcesz odwiedzić Olgę?

– Nie tylko.

– Okej, zawiozę cię do niej, ale ja nie jestem jeszcze gotowy, żeby się z nią spotkać – wyznał szczerze.

– W porządku, ale obiecaj, że o tym pomyślisz...



– Ładne, prawda? – spytała Łucja, moszcząc się na fotelu pasażera.

– Ładne. – Hugo spojrział na okazały pęk tulipanów. – Jedziemy?

– Uhm – odpowiedziała Łucja i zerknęła na śpiącą z tyłu Marysię. – Może najpierw ją zawieziemy do twojej mamy?

– Nie... – odparł Hugo wesołym tonem, bo rozbawiło go zachowanie Łucji i jej usilne starania, żeby zmienić zdanie. – Zawiozę cię pod szpital, potem małą do babki, a ja wpadnę do biura chociaż na chwilę, bo mnie pani Jadzia oskalpuje. Od powrotu z Bostonu jeszcze nie pokazałem się w pracy. Przeginam, prawie trzy tygodnie laby.

– Nie bój się, nikt cię nie zwolni – stwierdziła Łucja z przekąsem. Była troszkę zawiedziona, sądziła, że Hugo jednak da się namówić na wizytę u Olgi, ale był nieugięty. „Na razie nie ma mowy” – podkreślił, nie precyzując, jak długo to

„na razie” będzie trwało.

– O której mam po ciebie przyjechać? – wyraźnie zignorował jej muchy w nosie, bo jego twarz rozciągnęła się w przyjaznym uśmiechu.

– Przecież mówiłam, że wrócę sama. Przyjadę do twojej mamy.

– Okej.

Dotarli pod instytut, cmoknęli się na pożegnanie i Łucja poszła w stronę dziedzińca, a Hugo pojechał dalej. Zaparkował pod kamienicą, ostrożnie wyjął nosidełko i nie rozglądając się na boki, poszedł wprost do drzwi wejściowych.

– Hugo?! A co ty tu robisz? – Pani Hania wytrzeszczyła oczy, widząc syna i wnuczkę.

– Dzień dobry, też się cieszę, że cię widzę, mamó. Wiem, że wpadam bez zapowiedzi, na dodatek wczoraj też cię wykorzystaliśmy, ale czy mogłabyś jej przypilnować? Wystarczą dwie godzinki. Powinnaś mieć spokój, bo niedawno zasnęła. Wpadnę do biura, załatwię co trzeba i wrócę tutaj najpóźniej koło drugiej.

– Wszedł do mieszkania, położył nosidełko i dopiero wtedy zauważył, że... Że ktoś jest u matki. Na wieszaku wisiał ciemny płaszcz, a tuż obok stała para męskich butów. – Ups... – syknął. – Przeszkadzam?

– Nie. Nigdy nie przeszkadzasz – odparła jego matka. Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek. – Nie wiem tylko, czy ci się to spodoba.

– Bo?

– Bo Marek mnie odwiedził.

– Domyślam się, że nie pan Tadzik – powiedział, jeszcze raz zerkając na buty stojące na przemoczonej ściereczce. – Wobec tego nie wypada mi zostawić małej i uciec. – Wykrzywił usta w grymasie, który miał przypominać uśmiech.

– Rób, jak uważasz. – Hajdukiewiczowa wzruszyła ramionami.

– Zawsze tak robię. – Hugo z ociąganiem zdjął płaszcz i powiesił tuż obok ojcowskiego, zsuł buty i postawił na tej samej ścierece, na której stały buty ojca, wziął głęboki wdech i nosidełko i pomaszerował za matką. – Dzień dobry – burknął, wchodząc do jadalni.

– Dzień dobry. – Ornecki nerwowo poderwał się z krzesła, żeby jeszcze szybciej opaść na nie z powrotem, zgromiony spojrzeniem Hajdukiewiczowej. No tak, nie był tu gospodarzem, żeby wstawać i pędzić witać gościa, poza tym ten szczególny gość był znacznie młodszy. I był jego synem, więc to on powinien był okazać szacunek ojcu. Nie odwrotnie.

Hugo ustawił nosidełko pod oknem, podszedł do ojca, a ten znów się podniósł i wyciągnął rękę. Obaj panowie zmierzyli się wzrokiem w czasie krótkiego, dosyć mocnego uścisku dłoni.

– Siadaj, synku – poprosiła pani Hania, wskazując mu miejsce przy stole. – Kawy? Marek też jeszcze nie pił, bo przyjechał przed chwileczką – dodała.

– Chętnie. Zamierzałem wypić w biurze, ale skoro już tu jestem... – Hugo

zawiesił głos, jakby zamierzał coś jeszcze dopowiedzieć, ale ostatecznie chrząknął lekko i zamilknął.

Sytuacja była, delikatnie mówiąc, krępująca. Hajdukiewiczowa wyszła do kuchni, żeby przygotować kawę i pokroić ciasto, a oni zostali sami. Prawie sami, bo była jeszcze Marysia, ale jak na złość spała jak zabita i w nosie miała to, że jej ojciec i dziadek pierwszy raz w życiu razem jej towarzyszą.

Ornecki widział małą Marysię tylko dwa razy: kiedyś spotkał Zosię na spacerze z małą i wiedziony ciekawością zajrzał do wózka, a innym razem, gdy przyszły z Łucją odwiedzić Agatkę, a on akurat tam był. Zastanawiał się, czy wypada zagaić rozmowę z synem, wszak wnuki to taki wdzięczny temat, ale zabrakło mu odwagi.

Hugo siedział w takiej samej pozycji, w jakiej przyjął go wtedy u siebie w biurze, i to nie była przyjazna postawa: noga założona na nogę, a ręce skrzyżowane na piersiach wyraźnie wskazywały, że młody Hajdukiewicz nie zamierza wdać się w miłą pogawędkę ze swoim „staruszkim”.

– Co tu tak cicho? – Pani Hania weszła do jadalni, niosąc przed sobą tacę zastawioną filiżankami i paterą z ciastem.

– Dziecko śpi – zażartował Ornecki, żeby choć trochę rozluźnić atmosferę.

– Nigdy nie przeszkadzała jej rozmowa – wyjaśniła Hajdukiewiczowa. Ułożyła wszystko na stole i wróciła po dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą. – Nalejcie sobie – poleciła, siadając między swoimi mężczyznami: Markiem po lewej, a Hugonem po prawej stronie.

Chwilę im zeszło: napełniali filiżanki, słodzili, dolewali mleczka... Gospodyni nałożyła im po kawałku sernika, od razu przepraszając, że ciasto jest wczorajsze. Obaj panowie grzecznie nachylili się nad talerzykami i zajęli jedzeniem, co jakiś czas rzucając uprzejme uwagi, że sernik jest wyśmienity lub że te brzoskwinie nadają mu doskonałego smaku.

– A jak Łucja? Dobrze się czuje? – spytała pani Hania, usiłując rozładować ciężką atmosferę.

– Tak. – Hugo kiwnął głową.

– Pojechała wczoraj odwiedzić w szpitalu znajomą i bardzo się przejęła – wyjaśniła Orneckiemu, żeby podtrzymać rozmowę.

– Trochę ją znam, faktycznie to bardzo wrażliwa dziewczyna – potaknął natychmiast.

– A dlaczego ty tam się nie pojawiłeś? – Hajdukiewiczowa zerknęła na syna.

– To twoja koleżanka. Kiedyś nawet się spotykaliście.

– Nie znoszę szpitali, przecież wiesz – odburknął Hugo. – Na szczęście z Olgą wszystko w porządku... – przerwał, żeby przełknąć gulę, która już tkwiła w gardle od kwadransa, ale teraz zrobiła się jakby większa. – Odwiedzę ją, gdy już wyjdzie do domu, a na razie Łucja do niej pojechała.

– Znowu?

– Tak.

– Uhm. – Pani Hania pokiwała głową.

Znów zapadła krępująca cisza. Co najgorsze, cała trójka nie miała już nic do zrobienia przy stole, bo ileż filiżanek kawy można wypić na jeden raz? A ciasto bardzo szybko zniknęło.

– Wiecie, co sobie myślę, gdy na was patrzę? – zagaiła po dłuższej chwili Hanna. – I gdy widzę, jak się męczycie we własnym towarzystwie? Że jedyną osobą, która mogłaby mieć jakiegokolwiek pretensje czy żal, jestem ja. Ale nie mam. Do ciebie też. – Popatrzyła na syna. – Spotkałeś się z ojcem, a ja nie miałam o tym pojęcia.

– Nie spotkałem się z ojcem. To pan Ornecki raczył mnie odwiedzić. – Hugo uniósł kąciuki ust w sztucznie uprzejmym uśmiechu.

– Och, czy to ważne? Nie czepiaj się słówek – zachnęła się Hajdukiewiczowa. – Wychodzi na to, że wszyscy wiedzieli, co was łączy, moi drodzy panowie, bo i Zosieńka, z którą też mam do pogadania, i Łucja, i pewnie cała rodzina Maśników. Tylko ja żyłam w błogiej nieświadomości.

– Jeśli mogę coś wtrącić, tylko Zosia, Agatka i Łucja wiedzą, że jestem ojcem...

– Mariusz nie? – przerwała Markowi Hanna i szybko rzuciła okiem na syna. Aż przeszedł ją dreszcz, gdy zobaczyła jego usta wygięte w pełnym wzgardy uśmiechu na słowo „ojciec”.

– Nie.

– Że też ciotka Łucji nie puściła tej informacji w rodzinny obieg? Jestem mile zaskoczony – dodał z przekąsem Hugo.

– No cóż, jeszcze nieraz życie cię mile zaskoczy – odparła jego matka, krzywiąc się lekko.

– Oby.

– Przykre, że tak mało entuzjazmu słyszę w twoim głosie. Jesteś aż takim malkontentem? – Pani Hania uniosła brwi. – Widzisz, Marku, jaka teraz jest młodzież? Zblazowana. – Zaniósł się nieco nerwowym chichotem.

– My też tacy byliśmy, Haniu – odpowiedział i szybko przesunął wzrok na syna. Puścił do niego oczko, ale ten nadal patrzył na niego spod lekko przymrużonych powiek. – Teraz już nie popełniamy starych błędów, bo jak powiedział ktoś mądry: zbyt dużo się zmieniło, byśmy mogli łatwo je powtórzyć, ale zawsze da się wymyślić nowe.

– Czyli? – Hanna popatrzyła na Orneckiego.

– Do pewnych osób mimo ich słusznego wieku i wydawałoby się potężnego doświadczenia życiowego nie dociera, że czasu nie można cofnąć. Po co wymyślać nowe błędy, skoro starych nie da się wymazać, naprawić? – odpowiedział za ojca

syn i wzruszył ramionami.

– Synku, jesteś niegrzeczny i bardzo... – Hajdukiewiczowa już miała powiedzieć, że nie podoba jej się takie zachowanie, ale nie zdążyła.

– Przepraszam, że taki jestem – przerwał jej Hugo. – Ciekawe po kim? – Obrócił głowę i spojrzał w stronę okna, niestety, gęsta firanka nie pozwalała na podziwianie widoku, zresztą cóż mogło być ciekawego w stojącej naprzeciwko prawie identycznej kamienicy z mieszkaniami w większości pustymi o tej porze. – Mamo, chyba zmieniłem plany. – Popatrzył z powrotem na rodziców. – Podaruję sobie tę dzisiejszą wizytę w biurze.

– Jak chcesz. – Hajdukiewiczowa pokręciła głową. Irytowało ją i martwiło zachowanie syna, ale z drugiej strony dobrze pamiętała, jak bardzo przeżywał, będąc dzieckiem, że nie ma ojca. Dopiero Henryk na chwilę wypełnił tę lukę w sercu bratanka, ale po jego śmierci tęsknota wróciła, i to ze zdwojoną siłą.

Hugo podniósł się z krzesła i podszedł do Orneckiego.

– Miło było pana spotkać. – Lekko skłonił głowę.

– Mnie też. – Marek wstał i wyciągnął rękę. – Trzymaj się... – zająknął się na moment. – Powodzenia. – Opadł na krzesło, jakby uszło z niego całe powietrze, zadowolony, że ma już za sobą tę pierwszą konfrontację w trójkę, ale to raczej była ulga niż radość. Bo z czego miał się cieszyć, skoro Hugo potraktował go tak chłodno i z niewyobrażalnym dystansem? Ale chłopak miał rację: po kimś to przecież miał. Ornecki się zasepił, gdy wrócił pamięcią wstecz, do czasów młodości. Też był dumny i honorowy.

– Zadzwoń i uprzedź Łucję, żeby tu niepotrzebnie nie przyjeżdżała – powiedziała pani Hania, bezradnie drepcząc za synem na korytarz.

– Naturalnie, że ją uprzedzę. Chyba pojedę pod klinikę i zaczekam tam na nią. To już za niecałą godzinę – uznał, patrząc na zegarek. – Przepraszam za zamieszanie.

Szybko się ubrał, wziął nosidełko, cmoknął matczyne policzki i wyszedł z mieszkania, dziękując w duchu, że już może opuścić to miejsce.

– Przepraszam za niego – westchnęła Hajdukiewiczowa, siadając z powrotem przy stole.

– Nie masz za co przepraszać. Ja też zachowałem się wobec niego beznadziejnie, i to całkiem niedawno. Jestem stary i to ja powinienem być mądrzejszy, przynajmniej teoretycznie.

– Nie rozumiem? – Hanna zmarszczyła czoło.

– Nie opowiedziałem ci wszystkiego. Jakies pół roku temu miałem problem z uzyskaniem praw do emerytury. Chodziło o lata pracy w Kanadzie. Pracodawca nas oszukał, mnie i paręnaście innych osób. Nie odprowadzał składek. Próbowałem załatwić to przez Internet, nawet Mariuszek mi pomagał, ale nie wyszło. Postanowiłem, że tam pojedę, bo koledzy złożyli pozew zbiorowy przeciwko

naszemu szefowi, ale nie miałem pieniędzy na wyjazd, opłacenie prawnika i pobyt tam. Miesiąc wcześniej musiałem zapłacić za zabieg – nic groźnego, ale wydałem ostatnie oszczędności. Na szczęście później udało mi się wziąć pożyczkę i załatwić to bez konieczności wyjazdu do Kanady, ale wtedy bardzo potrzebowałem tych pieniędzy.

– Nie bardzo rozumiem. Jaki to ma związek z...

– Maśnikowa wiedziała o moich kłopotach i pewnie wygadała Łucji – przerwał jej.

– Hugo się dowiedział, że potrzebujesz pieniędzy?

– Tak. I wysłał mi je przekazem.

– Ile?

– Dwadzieścia tysięcy.

– O matko, jak dużo! – Hajdukiewiczowa była zszokowana.

– Dużo. Hugo napisał, że mogę oddać, ale nie muszę. Tylko tyle.

A dokładnie: „Darowizna lub pożyczka. Wybór należy do Pana”. Zapamiętałem, bo poczułem się, jakby mój własny syn dał mi w twarz. – Ornecki pochylił głowę.

– Pomyślałem, że to łapówka.

– Ale za co? – Głos Hanny drżał coraz bardziej.

– Za milczenie. Za unikanie ciebie. Uznałem, że wykorzystał moment, kiedy miałem nóż na gardle, i zapłacił mi, żebym trzymał się z daleka od ciebie i od niego.

– Hugo nie jest taki. – W głosie Hanny zabrzmiało oburzenie, więc Ornecki natychmiast się z nią zgodził:

– Teraz to wiem.

– Co zrobiłeś?

– Odmówiłem przyjęcia przekazu.

– Uhm... – stropiła się Hajdukiewiczowa.

– Teraz rozumiesz? Hugo chyba nigdy mi tego nie wybaczy.

– Marku, a ja myślę, że ci wybaczy. Potrzebujecie czasu. On, ty... I ja też. –

Przełknęła ślinę.

– Wiem. I poczekam cierpliwie. Choćby to miało trwać do końca mojego życia. Zapamiętałem twoje słowa na zawsze: nie mamy nic do stracenia. Po prostu.

Rozdział 20

Łucja, dzierżąc w dłoni bukiet czerwonych tulipanów, przeszła przez hol, starając się nie patrzeć na smutne twarze ludzi kłębiących się w kolejkach do okienek. Przybijała ją świadomość, że pewnie większość z nich jest poważnie chora. Z ulgą schroniła się w kabinie windy. W trakcie krótkiej podróży uśmiechnęła się parę razy do siebie, żeby jej twarz przybrała wesoły wyraz. Uznała, że dobry nastrój, choćby udawany, to najlepsze, czym warto się podzielić z Olgą. Wyszła z windy, skierowała się w stronę wejścia na oddział i już miała przykucnąć, żeby nałożyć ochraniacze, gdy zza pleców dobiegł ją głos:

– Łucja!

Aż złapała się za serce, tak się wystraszyła.

– Jezuniu, co ty tutaj robisz? – Szybko podeszła i ze zdumieniem spostrzegła, że Olga siedzi na ławce i ma na sobie swoje zwykłe ciuchy, a nie szpitalną koszulę.

– Usiądź. – Klepnęła miejsce obok siebie. – Czekałam na ciebie.

– Ale czemu tutaj? – Łucja popatrzyła na wysokie kozaki Olgi i na walizczkę stojącą z boku ławki. – Wychodzisz? Już?!

– Wypisałam się na własne żądanie.

– Dlaczego? – spytała Łucja, siadając tuż obok.

– Ta babeczka, która ze mną leżała, zmarła dzisiaj w nocy... i jakoś... – Olga spuściła wzrok na swoje dłonie, zaciśnięte bezwiednie na sporej kulce zwiniętej z kilku chusteczek higienicznych. – Nie mogłam tam wytrzymać. – Popatrzyła na Łucję. W jej oczach oprócz łez błysnęła prośba o zrozumienie.

– O matko – jęknęła Łucja i natychmiast objęła ją ramieniem. – Na pewno nic ci nie grozi?

– Nie. Lekarz powiedział, że powinnam jeszcze kilka dni poleżeć, ale nie mogłam. Po prostu nie mogłam tam być dłużej. – Wzięła głęboki wdech i opowiedziała, jak strasznie się to wszystko rozegrało. O próbach reanimacji koleżanki z sali, o zatorze płucnym, który był przyczyną śmierci tej pacjentki i o jej mężu, który zasłabł, gdy tylko dotarł na oddział. Skończyła i od razu poczuła się lepiej. Ulżyło jej, gdy podzieliła się z Łucją tymi traumatycznymi przeżyciami.

– Już nie płacz. Jestem tu z tobą. – Łucja przytuliła ją ostrożnie i ucałowała w policzek. – Och, zapomniałam, to dla ciebie. – Podała jej wiązanek tulipanów.

– Dziękuję. Są piękne. Takie pełne życia. Uwielbiam tulipany, wiesz? To moje ulubione kwiaty. – Olga przytknęła je do kompletnie zatkanego nosa i przez chwilę próbowała wyczuć ich dziwny, słodko-gorzki zapach.

– Na pewno możesz tak tu siedzieć?

– Czekałam na ciebie. Wypisałam się już o jedenastej.

– Och, czemu nie zadzwoniłaś?

– Nie wzięłam ładowarki do telefonu. – Olga wzruszyła ramionami. – A pielęgniarki nie miały. Zresztą to niecała godzina.

– Przyjechałabym wcześniej. Lepiej powiedz, kto się tobą zajmie w domu? – Łucja przypomniała sobie słowa męża, że Olga mieszka sama.

– Poradzę sobie – odpowiedziała. – Wynajmę kogoś. W moim laboratorium pracuje kilka pielęgniarek, wystarczy, że im powiem, przyjadą – uspokoiła ją. – Mam prośbę, mogłabyś mi pomóc? – Popatrzyła na walizkę. – Nie powinnam dźwigać. Tylko do wyjścia z instytutu. Zamówię taksówkę u ochroniarza.

– Jasne. – Łucja zerwała się żwawo, ale jej telefon dał znać o sobie, i od razu wyjęła go z kieszeni. – Poczekaj sekundkę – poprosiła Olę i odeszła na bok, bo zauważyła, kto dzwoni.

– Halo...

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Łucja, bo podświadomie wyczuła, że głos męża brzmi jakoś inaczej niż zwykle, choć po prawdzie ostatnimi czasy często miała okazję słuchać w nim dziwnych tonów.

– Zmieniłem plany. Nie jadę do biura, więc mogę cię odebrać – chrząknął Hugo. – Długo ci zejdzie?

– Ach! – westchnęła, bo ją zaskoczył. Zasłoniła dłonią słuchawkę, żeby Olga nie słyszała, i cicho powiedziała: – W zasadzie to już mógłbyś przyjechać, bo właśnie wychodzimy.

– Powtórz, bo nie zrozumiałem – poprosił. W tle słychać było nie tylko warkot silnika, ale i gaworzenie Marysi.

– Już przyjeżdż.

– Okej. Będę za trzy minuty, tam gdzie wczoraj.

– Dobrze. – Rozłączyła się i podeszła do Olgi. – Hugo dzwonił, zaraz tu będzie. Tak sobie pomyślałam, że zanim pojedziemy do domu, może podrzucimy cię do twojego? – zaproponowała nieśmiało.

– Wiesz co? Coraz bardziej rozumiem, dlaczego Hajduk tak bardzo cię kocha. – Olga przytknęła dłoń do swojego policzka i parę razy pokręciła głową. Nie mogła uwierzyć, że ta młodziutka dziewczyna potrafi być aż tak odważna i ryzykować gniew męża, byleby spróbować ich pogodzić. Ją i Hajdukiewicza. – Zamówię taryfę, a wy pojedziecie do domu. A teraz pomóż mi z walizką – powiedziała, okraszając twarz bladym uśmiechem.

– Jesteś pewna? – Łucja zacisnęła wargi w wąską linię. – Z tą taksówką?

– Tak. – Olga powoli i ostrożnie podniosła się z ławki. – Nic na siłę. Rozumiesz? I tak dostałam niespodziankę od losu, bo ty tu jesteś. – Wyciągnęła rękę i pogłaskała Łucję po ramieniu.

Dotarły na parter, Łucja zamówiła u ochroniarza transport dla Olgi, pomogła jej wyjść na zewnątrz i dotrzeć do miejsca, gdzie najczęściej stawały taksówki.

– Twój mąż już przyjechał. – Olga wskazała brodą na samochód stojący

po przeciwnej stronie ulicy i oddalony od nich jakieś dziesięć metrów.

– Wiem, ale to nic. Poczekam z tobą. Muszę ci przecież pomóc się załadować. – Łucja popatrzyła na walizkę.

– Taksówkarz mi pomoże. Leć, bo zimno.

– Nie. Przecież ty też marzniesz. Możemy razem. – Łucja szybko otaksowała kusą kurteczkę Olgi, niesięgającą nawet do bioder. Dobrze, że chociaż miała kaptur.

– Uparciuch z ciebie. Nigdy się nie poddajesz – stwierdziła Olga, choć miało to zabrzmieć jak pytanie.

– Rzadko. Maśniki tak mają – skwitowała wesoło Łucja.

W końcu podjechała taryfa. Na szczęście kierowca był domyślnym człowiekiem, bo od razu otworzył bagażnik i wyskoczył z wozu, żeby pomóc pasażerom.

– Leć! Zdzwonimy się – zniecierpliwiła się Olga.

– Okej. Teraz już mogę. – Łucja szybko ją objęła, cmoknęła w policzek i pobiegła do męża, który chyba zaczął się niepokoić, bo otworzył okno i wyglądał raz po raz w ich stronę, obracając do tyłu głowę.

– Jestem – oświadczyła, wskakując do środka i szybko zamykając za sobą drzwi.

– Lepiej usiądź z tyłu, bo mała się obudziła.

– A faktycznie! Moje maleństwo wstało? – zaszczebiotała Łucja, odwracając się i patrząc przez moment na córeczkę. Chwilę później już przy niej była. Zapięła pasy, poprawiła małej wełnianą czapeczkę i zerknęła na męża, bo nadal nie ruszyli z miejsca.

– Czemu nie jedziemy?

– Ktoś w samochodzie przed nami ma problem, chyba nie może odpalić silnika. Zablokował mi wyjazd – odpowiedział Hugo.

– Aha.

Hajdukiewicz się niecierpliwił. Lekko uderzał opuszkami palców po kierownicy, po chwili nerwowo zaciskał na niej dłonie, po czym znów bębnił jak pianista. Chciał jak najszybciej odjechać. Tym bardziej że ciągle widział we wstecznym lusterku stojącą przy taksówce Olgę. Zastanawiał się, czemu nie wsiada. Stała i patrzyła w ich stronę, ledwie widoczna w kłębach dymu i pary wydobywających się z rury wydechowej starego mercedesa.

– Zamknij okno. Zimno leci do środka.

– Zaraz – powiedział dziwnym, nie swoim głosem. Zastygł. Widział, jak z tyłu nadjeżdża autobus. Przez chwilę zasłonił taksówkę i stojącą obok pasażerkę. Pojazd minął ich z głuchym warkotem, wyrzucając za sobą wielką chmurę sinoniebieskich spalin. Nagle Hugo uświadomił sobie, że nie widzi Olgi. Na moment serce mu stanęło, ale po sekundzie ruszyło z kopyta i wtłoczyło

w każde naczynie falę krwi. – *Damn!* – jęknął, błyskawicznie wychylając obróconą głowę przez okno. Już myślał, że stało się coś strasznego, coś absolutnie nieprzewidywalnego... Bo przecież Olga nie mogła ot tak zniknąć! Stała tam, blisko jezdni. Zbyt blisko... Nagle znów to poczuł, to, co kiedyś: chciał cofnąć czas, wysiąść z auta, podbiec do niej i powiedzieć, że jej wybaczył, że nie chowa urazy i wszystko będzie dobrze. W jego głowie szalały tysiące myśli, oczy zaślepił żal, gdy próbował wypatrzeć ją w rozwiewającym się smogu...

Była tam. Stała i patrzyła na niego, jak przed chwilą. Powietrze ze świstem wpadło w jego płuca i odetchnął z ulgą.

– Hugo! Co się dzieje?! – zaniepokoiła się Łucja.

– Nic. Wszystko w porządku – wychrypiał, chowając głowę. – Jedziemy. – Włączył kierunkowskaz. Już miał zasunąć szybę, ale zanim to zrobił, wystawił rękę i patrząc do lusterka, pomachał do Olgi. Zauważyła i odwzajemniła jego gest. Dopiero wtedy zamknął okno i ruszył.

– Co to było? – spytała Łucja po dłuższej chwili obopólnego milczenia, przetykanego jedynie popiskiwaniami i gulgotaniem rozbawionej Marysi. – Wybaczenie?

– Tak – odparł Hugo. – Chyba właśnie to.

Więcej nie rozmawiali o Oldze. Miesiąc później Łucja zadzwoniła do niej i zaprosiła do nich w któryś dzień świąt wielkanocnych. Przyjaciółka Hugona serdecznie podziękowała, ale odmówiła. Powiedziała, że kogoś poznała i z tym kimś zamierza spędzić święta. Kazała pozdrowić i ucałować Marysię i Hajduka. Tydzień później kurier FedExu wniósł do apartamentu wielką paczkę. Zajączek oprócz zabawek dla Marysi, butelki przedniej whisky i flakonu eleganckich perfum dołączył ręcznie zrobioną kartkę. Obrazek wykonany kredkami przedstawiał kilka niezbyt zgrabnych żółtych kurczaczków, pod nim widniały życzenia wesołych świąt i podpisy: Olga, Kamil, Faustyna i coś, co wyglądało jak Maksio, ale zarówno Łucja, jak i Hugo długo nie mieli pewności, czy prawidłowo odszyfrowali imię skreślone niewprawną dziecięcą rączką.



To miał być piękny dzień. I właśnie taki był. Słońce przygrzewało z wiosennym entuzjazmem, drzewa ubrane w soczystozielone liście szumiały pobudzane przez majowy wietrzyk, a wszędzie wokół rozlegały się dźwięczne trele ptaków.

– Jak cudownie! – westchnęła Łucja i pociągnęła za sobą męża. – Czujesz? Czujesz ten zapach? – spytała, wciągając do płuc powietrze najgłębiej, jak mogła. – Tylko tutaj tak pachnie.

– Czuję – odparł Hugo. Szedł za nią, bacznie się rozglądając, bo był tu tylko

raz, i to dosyć dawno, więc czas już zamazał wspomnienia.

Rozłożyli koc prawie w tym samym miejscu, w którym zrobili to przed rokiem. Nawet zawartość piknikowego koszyka była podobna. Co się zmieniło? Za ich plecami zamiast łąnu młodej pszenicy rozciągało się rżysko, przetykane tu i ówdzie zeschniętymi badyłami ubiegłorocznych chwastów i bladozielonym dzikim rumiankiem. Hugo spytał, dlaczego nie rośnie nic pożytecznego, a Łucja wytłumaczyła, że pole czasami musi odpocząć.

Zjedli ciasto, wypili sok, pokusili się nawet o małą przechadzkę do źródelka, żeby opłukać ręce i z lodowatymi dłońmi wrócili na koc.

– Ponoć krakowskie powietrze jest tak zanieczyszczone, że gdy nim oddychamy, to jakbyśmy wypalali codziennie pięć papierosów – wspomniała Łucja o tym, co przeczytała niedawno w Internecie.

– Wiem – odparł Hugo, kładąc się na kocu. Pod głowę podłożył swój sweter, zamknął oczy i oddał się błogiemu lenistwu. Ostatnie dni były wyjątkowo męczące. Ciągle wdrażał Damiana w część swoich obowiązków i zajmowało mu to sporo czasu, zwłaszcza przygotowania do służbowych wyjazdów za granicę.

– Może zadzwonię do babci i spytam, czy wszystko w porządku z małą.

– A po co? – spytał Hugo. Już miał powiedzieć, że tyle opiekunek, ile dzisiaj pilnowało Marysi, to jakiś absurd, bo nawet jego matka przyjechała z nimi do Podola, ale nie zdążył.

– Boże, ale tęskniłam za tą ciszą... – jęknęła z rozrzewnieniem Łucja. Ułożyła się tuż obok, ale było jej niewygodnie, więc się przesunęła i oparła głowę na podbrzuszu męża. – Mogę? Nie za ciężka?

– Nie schlebiaj sobie, aż tak wielkiego mózgu nie masz... – Hugo wyciągnął rękę i zaczął bawić się jej włosami.

– Protekcyjnalny dupek – skwitowała, a on od razu się roześmiał. – Co tak szeleści? Co masz w kieszeni? – wymamrotała, próbując się poprawić.

– Nic nie mam.

– Przecież słyszę.

– Wydaje ci się.

– Hugo, nie żartuj. Coś tam jest, jakiś papier. – Poruszyła głową, żeby mu pokazać.

– Masz omamy.

– Nie, nie mam żadnych omamów i wyraźnie słyszę szelest papieru w kieszeni spodni mojego męża... – zaczęła zabawę.

– Tak, wiem dobrze, że moja żona jest bardzo wścibską i upartą istotą i pewnie już rozmyśla, jak sprawdzić, co szeleści w kieszeni – powiedział, wyginając usta w delikatnym uśmiechu.

– Nie, wcale nie jestem ciekawa, co to za papier, ale wiem na pewno, że tam jest.

– Nie, nic tam nie ma, to podszewka.

– Hugo! – pisnęła Łucja, zrywając się i siadając, żeby na niego spojrzeć. – Nie rób ze mnie wariatki. Nie jestem ciekawa, co to za papier, ale wiem na pewno, że tam jest.

– Nic tam nie ma... – Zacisnął wargi, żeby się nie roześmiać.

– Tak? – Nagle wsunęła dłoń do jego kieszeni i wyjęła złożony na cztery plik kartek. – A to co? Papierowa podszewka? – spytała z triumfem w głosie.

– Rzeczywiście... – Uniósł głowę i przez chwilę patrzył na Łucję. – Skoro już znalazłaś, sprawdź. Też jestem ciekawy. – Podparł się na łokciu, żeby lepiej widzieć.

– Uważaj, bo ci uwierzę...

– Nie daj się prosić.

– Wkręcasz mnie.

– Nie śmiałybym. Nie mam pojęcia, co to jest.

– Ech... – Zmarszczyła nos. – No dobrze, niech ci będzie. – Poprawiła się na kocu i rozłożyła przed sobą trzy kartki. Przez chwilę je wygładzała, a z każdym ruchem jej dłonie drżały coraz mocniej. – Co to jest? – W końcu odważyła się spytać.

– Kilka stron jakiegoś projektu. Zobacz, tu są rzuty poziomów budynku, a tu jak wygląda od frontu i z tyłu. – Pokazywał palcem. – To bardzo charakterystyczny budynek, stylizowany na stary. Sporo podobnych stoi na przedmieściach Bostonu. Elewacja z drewna pomalowanego na biało, charakterystyczna konstrukcja werandy okalającej cały front, cztery sypialnie i dwie duże łazienki na poddaszu, a na pierwszym poziomie salon, jadalnia, kuchnia, gabinet, łazienka dla gości i biblioteczka. Moim zdaniem to bardzo ładny dom. Nawet garaż przewidziano na dwa samochody. – Z uznaniem pokiwał głową.

– Też mi się podoba – wymamrotała Łucja.

– Chętnie bym w takim zamieszkał, a ty?

– Ja też. – Łucja podniosła jedną z kartek i utkwiała w niej wzrok.

– Podoba mi się, gdy dom stoi na lekkim wzniesieniu, wokół niego nie ma ogrodzenia, długi podjazd prowadzi przez całą posesję, a od frontu budynku rozciąga się idealnie wypielęgnowany trawnik... – Hugo spojrział na rżysko. – A z tyłu, w dolince... – obrócił się i popatrzył w stronę zagajnika z ukrytym między zaroślami źródłem – mógłby rosnąć jakiś las. Co ty na to?

– Myślę, że byłoby pięknie – powiedziała i oblizała spierzchnięte z przejęcia usta.

– Niestety, nie mam żadnej działki, na której mógłbym zbudować taki dom.

– Wuj nie zostawił ci żadnych gruntów?

– Nie. Szkoda, bo to wspaniały projekt. – Hugo usiadł, wziął do ręki jedną z kartek i patrzył na nią z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Ale ja mam działkę. Tutaj – przypomniała mu. – Żałuję, że nie chcesz mieszkać na wsi. – Zasmuciła się, bo to miejsce było jej wymarzoną, ukochaną i takim, gdzie zawsze czuła się bezpiecznie.

– Pamiętam – rzekł Hugo. – Ale to twoja działka. Gdybym miał taką, nie wahałbym się nawet minuty.

– Ach... – Łucja aż drgnęła, gdy dotarł do niej sens tych słów.

– Tak sobie pomyślałem, że moglibyśmy kiedyś znieść odrębność majątkową. – Zadumał się, spoglądając na łagodnie kołyszące się wierzchołki drzew. – Poza tym Marysia ma już dziesięć miesięcy, a proboszcz Poziomka...

– Malinka – odruchowo sprostowała Łucja.

– Faktycznie, Malinka. Więc ten proboszcz Malinka już chyba nie powinien robić problemów...

– Hugo, czy ty...

– Matka już miesiąc temu mówiła, że chce dać na zapowiedzi – przerwał jej.

– A całkiem niedawno rozmawiałem z Markiem i okazało się, że przez trzy lata był kierownikiem ekipy budowlanej stawiającej podobne domy w Kanadzie. Widział ten projekt i zaoferował swoje wsparcie. Oczywiście zadał mi pytanie, czy ta działka nadaje się pod taki budynek, więc trochę się rozeznałem w tej kwestii. Z nieocenioną pomocą ciotki Agaty, która pojechała do gminy i przywiozła plan zagospodarowania przestrzennego – cedził powoli zdania, ciągle nie patrząc na Łucję. Zachowywał się, jakby głośno myślał. – Z kolei mój brat ma dostęp do tanich materiałów budowlanych, więc też się przyda, bo jak mówi przysłowie: oszczędzają bogaci, i nam też się opłaci – zażartował. – Bałem się, że nie ma dojazdu, bo nie uśmiecha mi się karczowanie lasu, żeby tu dotrzeć drogą, którą przyszliśmy. Gajowy Marucha na pewno by tego nie pochwalił. I mógłby odstrzelić mi tyłek albo co gorsza to coś cennego z przodu, ale na szczęście dojazd jest.

– Od góry. – Wreszcie Łucja była w stanie cokolwiek z siebie wykrztusić.

– Tak, od północy działki. I to całkiem niezły, utwardzonym traktem. Uzbrojenie gruntu też nie stanowi problemu.

– Hugo! – pisnęła Łucja. Chwyciła go za ramiona i lekko nim potrząsnęła, żeby wreszcie na nią popatrzył.

– Słucham. Chciałaś mi coś powiedzieć? – Zerknął na nią.

– Tak. Kocham cię...

Przypisy

[1] Nikogo nie powinien obciążać cudzy podstęp (łac.) [2] Niech sędzia nie wychodzi ponad żądania stron (łac.) [3] Nieznajomość prawa nie jest wytłumaczeniem (łac.)

CZY PRZYSTOJNY PRAWNIK Z KRAKOWA ODZYSKA UTRACONĄ MIŁOŚĆ?



Łucja, zakochana bez pamięci w młodym prawniku z Krakowa, przeżywa szok, gdy dowiaduje się, że mężczyzna ją uwiódł, aby odziedziczyć spadek. Czuje się oszukana i wykorzystana, a na dodatek jest w ciąży. W pierwszym odruchu chce zerwać związek z Hajdukiewiczem i wrócić w rodzinne strony. Kiedy jej chora babka trafia do krakowskiego szpitala, dziewczyna postanawia pozostać w mieszkaniu Hugona na czas jej rekonwalescencji. Dla mężczyzny, który odkrywa, że naprawdę kocha Łucję, staje się to jedyną szansą na jej odzyskanie. Ale czy Łucja zdoła uwierzyć w szczerą jego uczucie?



BILET DO SZCZĘŚCIA to doskonałe zakończenie historii Łucji i Hajduka. To powieść o sile przebaczenia, o nadziei na miłość oraz o tym, że warto w życiu odnajdywać właściwe ścieżki. Jestem pod wrażeniem. Serdecznie polecam!

K.N. Haner, autorka serii o Morfeuszu i powieści *Na szczybie*



Książnica

www.publicat.pl

ISBN 978-83-245-8273-0

EAN 9788324582730

II.KS.OBY003.1.01.01

